

Następny

Crichton Michael



calibre 0.9.43

NASTĘPNY

Przekład WOJCIECH SZYPUŁA

Im bardziej wszechświat wydaje się nam zrozumiały, tym bardziej zdaje się tracić sens.

Steven Weinberg

Słowo „przyczyna” to ofiara na ołtarzu nieznanego boga. William James

Nie można nie dokonywać wyboru. Jean-Paul Sartre

Ta powieść jest fikcją - poza tymi jej częściami, które fikcją nie są.

Prolog

Idąc po miękkim dywanie, Vasco Borden obciągnął klapy marynarki i poprawił krawat. Miał czterdzieści dziewięć lat. Nie przywykł do noszenia garnituru, ten jednak jeszcze z czasów służby w marynarce - był uszyty na miarę, żeby maskować jego pokaźną muskulaturę. Borden, potężny były futbolista - metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dziesięć kilogramów żywej wagi - pracował jako prywatny detektyw i poszukiwacz zbiegów. Teraz też śledził swój cel, uciekiniera z MicroProteomics, z Cambridge w stanie Massachusetts, który właśnie zmierzał do głównej sali konferencyjnej.

Konferencja BioChange 2006 o entuzjastycznym motcie „Zróbmy to dzisiaj!” odbywała się w Las Vegas, w Hotelu Weneckim. Dwa tysiące specjalistów z różnych dziedzin przemysłu biotechnologicznego: inwestorzy, kadrowi odpowiedzialni za zatrudnianie naukowców, prezesi zarządów i prawnicy zajmujący się ochroną własności intelektualnej. Prawie każda amerykańska firma biotechnologiczna przysłała kogoś do Vegas.

Zbieg doskonale wybrał miejsce do nawiązania kontaktu. Wyglądał jak neptek, miał niewinną twarz i mikroskopijną bródkę, a kiedy szedł, garbił się i szurał nogami - jednym słowem ucieleśnienie niepewności i nieporadności. Co nie zmieniało faktu, że ukraść dwanaście transgenicznych embrionów w dewarze, przejechał z nimi pół kraju i teraz zamierzał je przekazać swojemu zleceniodawcy.

Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy facetowi z doktoratem przestała wystarczać goła piosenka. Ani nie ostatni.

Podszedł do stolika rejestracji, wziął identyfikator i zawiesił sobie na szyi. Vasco zatrzymał się przy drzwiach, udając, że czyta plan konferencji. Włożył przez głowę podobną kartę. Przyszedł tu przygotowany.

Grube ryby zgromadziły się w głównej sali balowej. Zaplanowano między innymi takie seminaria, jak: „Doskonalenie procesu rekrutacji”, „Jak zatrzymać najlepszych? Przegląd zwycięskich strategii”, „Udziały w przedsiębiorstwie jako forma wynagrodzenia członków zarządu”, „Zarządzanie korporacją w świetle przepisów Komisji Papierów Wartościowych i Giełd”, „Trendy w urzędach patentowych”, „Prywatni inwestorzy: skarb czy przekleństwo?” oraz „Piractwo przemysłowe: jak się bronić?”

Vasco często miał do czynienia z firmami hi-tech i zdarzało mu się już uczestniczyć w podobnych konferencjach. Miały zwykle charakter albo naukowy, albo biznesowy. Ta była biznesowa.

Zbieg - nazywał się Eddie Tolman - minął go i wszedł do sali. Vasco ruszył za nim. Tolman minął kilka pierwszych rzędów i usiadł na wolnym fotelu z dala od innych słuchaczy. Vasco wybrał miejsce

rząd za nim, trochę z boku. Tolman sprawdził, czy nie dostał nowych esemesów, a potem wyraźnie się odprężył i zaczął słuchać mówcy.

Vasco zastanawiał się dlaczego.

Człowiek przy pulpicie, Jack B. Watson, był jednym z najświetniejszych kalifornijskich inwestorów na rynku nowych technologii, żywą legendą branży. Ekran za jego plecami wypełniała jego twarz w ogromnym powiększeniu; męska uroda i opalenizna, z której sływał, zdawały się dominować nad całą salą. Miał pięćdziesiąt dwa lata, wyglądał znacznie młodziej i bardzo dbał o swoją reputację kapitalisty obdarzonego sumieniem. Ta etykieta wielokrotnie pozwalała mu dobijać bezlitosnych targów, a media za każdym razem rozvodziły się tylko nad jego wizytami w szkołach społecznych i stypendiami dla uczniów z biednych rodzin.

Vasco wiedział jednak, że tu, w tej sali, wszyscy myślą przede wszystkim o tym, jak twardo Watson potrafi negocjować. Ciekawe, pomyślał, czy jest wystarczająco bezwzględny, aby pokusić się o nielegalne zdobycie dwunastu transgenicznych zarodków. Pewnie tak.

Tymczasem Watson brylował.

- Biotechnologia kwitnie. Jesteśmy świadkami najszybszego rozwoju tej dziedziny nauki od czasu boomu w przemyśle komputerowym trzydzieści lat temu. Największa firma biotechnologiczna, Amgen z Los Angeles, zatrudnia siedem tysięcy ludzi. Suma federalnych grantów dla uczelni od Nowego Jorku po San Francisco i od Bostonu do Miami przekracza cztery miliardy dolarów rocznie. Co roku inwestorzy pompują w biotechnologię dalszych pięć miliardów. Perspektywa uzyskania cudownych lekarstw dzięki komórkom macierzystym, cytokinom, i proteomice przyciąga do biotechnologii najlepszych specjalistów. Populacja naszego globu starzeje się z każdą minutą nasza przyszłość rysuje się więc w różowych barwach - a to jeszcze nie wszystko! Nadeszła chwila, w której możemy stawiać warunki potężnym koncernom farmaceutycznym. Te olbrzymy nas potrzebują i dobrze o tym wiedzą. Potrzebują genów. Potrzebują technologii. Należą do przeszłości. My jesteśmy przyszłością. To u nas są wielkie pieniądze!

Odpowiedziały mu brawa. Vasco poprawił się w fotelu. Słuchacze klaskali, chociaż zdawali sobie sprawę, że skurczybyk w sekundę rozerwałby ich firmy na strzępy, gdyby mu się to opłaciło.

- Oczywiście postęp nie odbywa się bezboleśnie. Są tacy, którzy, twierdząc, że mają jak najlepsze zamiary, rozmyślnie utrudniają prace nad polepszeniem losów ludzkości. Nie chcą aby sparaliżowani mogli chodzić, aby pacjenci z rakiem odzyskali zdrowie, aby chore dzieci mogły bawić się i normalnie żyć. Mają oni swoje powody: religijne, etyczne, a nawet, jak mówią „praktyczne”. Bez względu jednak na to, co nimi kieruje, opowiadają się po stronie śmierci. I nie zwyciężą!

Jeszcze głośniejsze brawa. Vasco zerknął na Tolmana - znów sprawdzał komórkę. Wyraźnie czekał na wiadomość. I niecierpliwił się. Czyżby jego łącznik się spóźnił?

W takim razie nic dziwnego, że Tolman się niepokoi. Gdzieś przecież ukrył stalowy termos wypełniony ciekłym azotem, w którym były embriony. Na pewno nie u siebie w pokoju - Vasco już go przeszukał. Tolman wyjechał z Cambridge przed pięcioma dniami; chłodziwo nie będzie działać w nieskończoność, a rozmrożone zarodki staną się bezużyteczne. Jeśli więc Tolman nie ma jakiegoś sposobu na uzupełnienie zapasów ciekłego azotu, najwyższa pora, aby wydostać termos z kryjówki i przekazać go kupcowi.

To już nie potrwa długo.

Godzinę, nie więcej, ocenił Vasco.

- Nie powinno nas dziwić, że ludzie stają na drodze postępu - ciągnął Watson. - Nawet nasze najlepsze firmy grzęzną czasem w bezproduktywnych, absurdalnych procesach. BioGen z Los Angeles, jedna z kompanii, które pomagałem zakładać, toczy właśnie w sądzie spór z jakimś panem

Burnetem; uważa on, że nie musi przestrzegać własnoręcznie podpisanych umów. Bo zmienił zdanie. I teraz będzie blokował postęp w medycynie do czasu, aż zgodzimy się mu zapłacić. Typowy szantażysta; jego córka jest jego adwokatem. Wiecie państwo, taki rodzinny interes. - Watson się uśmiechnął. - Ale my wygramy tę sprawę. Nikt nie powstrzyma postępu.

Podniósł ręce w triumfalnym geście, pozdrawiając audytorium, które z entuzjazmem go oklaskiwało. Jak kandydat na gubernatora, pomyślał Vasco. Czyżby właśnie o to mu chodziło? Pieniądzy na pewno miał dość; być bogatym - ostatnio rzecz nieodzowna w amerykańskiej polityce. Niedługo...

Odwrócił się i zobaczył, że Tolman zniknął.

Jego miejsce było puste.

Cholera jasna!

- Postęp to nasza misja, nasze święte powołanie! - wołał Watson. - Trzeba unicestwić choroby, powstrzymać starzenie się, pokonać demencję, przedłużyć ludzkie ożycie! Życie wolne od chorób, rozkładu, bólu i strachu! Urzeczywistnić odwieczne marzenie człowieka!

Vasco Borden nie słuchał. Przeciskał się swoim rzędem w stronę bocznego przejścia, obserwując drzwi. Kilka osób właśnie wychodziło, ale żadna nie przypominała Tolmana. Przecież nie mógł tak po prostu zniknąć, był...

Obejrzał się w samą porę, żeby dostrzec, jak Tolman bez pośpiechu idzie środkowym przejściem między fotelami. Znów sprawdzał komórkę.

- Sześćdziesiąt miliardów w tym roku, dwieście miliardów w przyszłym i pięćset miliardów za pięć lat! Oto przyszłość naszego przemysłu! Oto wspaniała perspektywa dla całej ludzkości!

Słuchacze nieoczekiwanie poderwali się z miejsc, urządzając Watsonowi owację na stojąco i zasłaniając zbiega - ale tylko przez moment. Chwilę później Vasco dostrzegł Tolmana - zmierzał do głównego wyjścia. Vasco wymknął się z sali bocznymi drzwiami. W tej samej chwili na korytarz wyszedł Tolman, mrużąc oczy przed oślepiającym światłem. Zerknął na zegarek i ruszył oszklonym korytarzem, z którego roztaczał się widok na ceglana dzwonnica San Marco, odtworzoną przez budowniczych Hotelu Weneckiego i skąpaną w powodzi światła. Szedł w stronę basenu i wyjścia na dziedziniec. Wieczorem, o tej porze, w obu miejscach powinno być sporo ludzi.

Vasco nie spuszczał go z oka.

To stanie się teraz.

W sali balowej Jack Watson przechadzał się po podwyższeniu, uśmiechając się i machając do słuchaczy.

- Dziękuję, to naprawdę miłe... Dziękuję bardzo... - Leciutko skłaniał głowę, z idealnie wyważoną odrobiną skromności.

Rick Diehl prychnął z niesmakiem. Siedział w kularach, skąd na małym czarnobiałym monitorze śledził przebieg konferencji. Miał trzydzieści cztery lata i pełnił funkcję prezesa zarządu BioGen Research, nowej, walczącej o wejście na rynek firmy z Los Angeles. Wystąpienie jego najważniejszego zewnętrznego inwestora napełniało go niepokojem wiedział, że mimo talentu wodzireja i życzliwej mu prasy, pokazującej go w towarzystwie uśmiechniętych Murzyniątek, Jack Watson jest zwyczajnym łajdakiem. Ktoś ujął to tak: „Najlepsze, co można o nim powiedzieć, to to że nie jest sadystą tylko po prostu skurwysynem pierwszej wody”.

Diehl nad wyraz niechętnie przyjmował jego pieniądze. Miał bogatą żonę, której majątek pozwolił mu rozkręcić BioGen. Jego pierwszym posunięciem jako prezesa było złożenie oferty na zakup sprzedawanej przez Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles licencji do linii komórek - tak zwanych komórek Burneta. Pobrano je od Franka Burneta, jego organizm produkował cytokiny, silne związki chemiczne pozwalające skutecznie zwalczać raka.

Diehl nie spodziewał się, że uda mu się kupić tę licencję, ale kiedy szczęście mu dopisało, nagle okazało się, że czekają go wymagane przez FDA kosztowne badania i próby kliniczne. Pierwsze kosztowały milion dolarów, następne do dziesięciu - nie licząc dodatkowych wydatków i kosztów późniejszej syntezy białek - i nie mógł dłużej korzystać wyłącznie z pieniędzy żony. Potrzebował zewnętrznych źródeł finansowania.

Wtedy właśnie przekonał się, że inwestycję w cytokiny uważa się za niezwykle ryzykowną. Wiele z nich, na przykład interleukiny, musiało całymi czekać latami na debiut rynkowy; sporo innych miało opinię niebezpiecznych lub wręcz zabójczych dla pacjentów. A potem jeszcze Frank Burnet podał BioGen do sądu, podważając jego prawo własności do licencjonowanej linii komórek. Diehl zaczynał mieć kłopot z nakłonieniem inwestorów, żeby chociaż się z nim spotkali - i koniec końców był skazany na uśmiechniętego, opalonego Jacka Watsona.

A wiedział, że Watsonowi chodzi tylko o to, żeby przejąć firmę i wywalić jego, Diehla, na zbity pysk.

- Świetne wystąpienie, Jack! - Rick wyciągnął rękę do schodzącego z podium Watsona. - Kapitalne!
- Cieszę się, że ci się podobało. - Jack nie podał mu ręki. Odpiął tylko od klapy bezprzewodowy przekaźnik i wetknął mu go w dłoń. - Nie zgub.

- Jasne.

- Jest tu twoja żona?

- Nie, Karen się nie wyrobiła. - Diehl wzruszył ramionami. - Dzieciaki.

- Szkoda, że przegapiła tę mowę.

- Dostanie ją na DVD. Zajmę się tym.

- Grunt, że przekazaliśmy złą nowinę. Teraz wszyscy wiedzą że mamy proces i że Burnet jest złym facetem, ale trzymamy rękę na pulsie. To najważniejsze. Wizerunek firmy nie ucierpi.

- Dlatego zgodziłeś się wygłosić tę mowę? Watson spojrzał na Diehla z niedowierzaniem.

- A jak myślisz? Że dla przyjemności przyjechałem do Vegas? Chryste Panie... Odpiął mikrofon i również oddał go Diehlowi. - Tego też pilnuj.

- Oczywiście.

Jack Watson odwrócił się na pięcie i odszedł, nie zaszczycając Ricka ani jednym spojrzeniem więcej. Diehla przeszył dreszcz. W duchu dziękował Bogu za pieniądze Karen. Bez nich byłby skończony.

Vasco Borden wynurzył się z krużganków Pałacu Dożów i w ślad za Eddiem Tolmanem wyszedł na zatłoczony dziedziniec. W słuchawce zatrzeszczało - jego partnerka Dolly zgłaszała się z innej części hotelu. Podniósł rękę do ucha. - Mów.

- Ten łysek Tolman zaplanował sobie rozrywkę.

- Poważnie?

- Jak najbardziej. Będzie...

- Zaczekaj.

Vasco nie wierzył własnym oczom. Z prawej strony w tłumie mignął mu Jack B. Watson w towarzystwie pięknej, seksownej, ciemnowłosej kobiety. Watson słyszał z tego, że zawsze otaczał się fantastycznymi dziewczynami: wszystkie dla niego pracowały, wszystkie były piekielnie inteligentne - i wszystkie oszałamiające.

Kobieta go nie zaskoczyła, zdumiał go natomiast fakt, że Watson szedł prosto w stronę Eddiego Tolmana. To nie miało sensu. Nawet jeśli dobili targu, sławny finansista nigdy nie zgodziłby się na spotkanie twarzą w twarz, a już na pewno nie w miejscu publicznym. Tymczasem Vasco widział ich obu przed sobą jak na dłoni, na kursie kolizyjnym, na pełnym ludzi dziedzińcu Hotelu Weneckiego.

Co to ma znaczyć, do cholery? Przecież to niemożliwe!

Kobieta - w krótkiej, obcistej sukience i szpilkach - potknęła się i zatrzymała. Oparła się mocniej na ramieniu Watsona, podniosła nogę i zaczęła oglądać but. Poprawiła podtrzymujący obcas pasek, wyprostowała się i uśmiechnęła do Watsona. Kiedy Vasco wreszcie oderwał od niej wzrok, zorientował się, że Tolman zniknął.

Watson z kobietą przeszli przed Vaskiem tak blisko, że zaleciał go zapach jej perfum. Watson szepnął jej coś do ucha; ścisnęła go za łokieć i wtuliła głowę w jego ramię. Romantyczna para.

Przypadek? Czy celowe działanie? Wyrolowali go? Przycisnął słuchawkę do ucha.

- Dolly? Zgubiłem go. - Nie szkodzi. Ja go mam.

Vasco podniósł wzrok. Dolly obserwowała dziedziniec z pierwszego piętra.

- To Jack Watson przed chwilą przeszedł obok ciebie?

- Tak. Pomyślałem...

- Niemożliwe. Nie wyobrażam sobie, żeby Watson maczał w tym palce. To nie w jego stylu. A chodziło mi o to, że nasz łysek wraca do siebie do pokoju, bo jest umówiony. Zamierza się rozerwać.

- A konkretnie?

- Rosjanka. Najwidoczniej gustuje w Rosjankach. I to wysokich. - Znamy ją?

- Nie, ale coś o niej wiem. I mam kamery w jego pokoju. Vasco się uśmiechnął.

- Jakim cudem?

- Powiedzmy, że ochrona w Weneckim jest słabsza niż kiedyś. I tańsza.

Irina Katajewa zapukała do drzwi. W lewej ręce trzymała butelkę wina w ozdobnej aksamitnej torbie, zaciąganej u góry na sznureczek. Otworzył jej mężczyzna koło trzydziestki. Uśmiechnął się. Nie był szczególnie atrakcyjny.

- Ty jesteś Eddie?

- Tak. Wejdz.

- Przyniosłam ci to z hotelowego sejfu. Podała mu wino.

- Dała mu torbę na korytarzu - zauważył Vasco, obserwując ich na przenośnym monitorze. - Gdzie wszystko rejestrują kamery ochrony. Dlaczego nie poczekała, aż wejdzie do pokoju?

- Może ktoś jej kazał tak to załatwić? - podsunęła Dolly.

- Musi mieć chyba z metr osiemdziesiąt... Co o niej wiemy?

- Ma dwadzieścia dwa lata. Dobrze mówi po angielsku. Od czterech lat w Stanach. Studiuje.

- Pracuje w hotelu? - Nie.

- Czyli co, nieprofesjonalistka?

- Jesteśmy w Nevadzie.

Rosjanka weszła do pokoju i drzwi się za nią zamknęły. Vasco dostroił monitor do sygnału z kamer w pokoju. Tolman miał duży apartament, prawie dwieście metrów kwadratowych, urządzone po wenecku. Dziewczyna uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Ładny pokój.

- Ładny. Wypijesz drinka?

- Nie. Mam mało czasu. - Sięgnęła do tyłu i rozpięła suwak sukienki, która zawisała jej na ramionach. Odwróciła się, udając zakłopotaną i odsłaniając przed Tolmanem nagie plecy, aż po pośladki. - Gdzie sypialnia?

- Tutaj, złotko.

Przeszli do drugiego pokoju i Vasco znów przestawił pokrętło. Obraz i dźwięk wróciły, kiedy Rosjanka mówiła:

- Nie wiem, czym się zajmujesz, i nie chcę wiedzieć. Biznes jest taki nudny. Sukienka zsunęła się na

podłogę. Irina położyła się na łóżku, naga, tylko w szpilkach, które i tak po chwili zdjęła. - Tobie chyba drink nie będzie potrzebny - dodała.

Tolman rzucił się na nią aż łóżko jęknęło głucho. Stęknęła.

- Spokojnie, chłoptasiu - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. Tolman dyszał i sapał. Dotknął jej włosów, jakby chciał ją pieścić, zawołała: - Nie ruszaj. Po prostu leż, a ja cię uszczęśliwię.- Rany - mruknął Vasco, wpatrując się w miniaturowy ekranik. - Widziałas to? To nawet nie jest krótkodystansowiec. Można by pomyśleć, że z taką kobietą...

- Nieważne - usłyszał w słuchawce głos Dolly. - Ona już się ubiera.

- On też. I to szybko.

- Miała u niego zostać pół godziny. Poza tym nie widziałam, żeby jej płacił.

- Ja też nie. Ale oboje się ubierają.

- Coś się szykuje. Dziewczyna właśnie wychodzi.

Vasco przestroił monitor, próbując przełączyć się na inną kamerę. Bez powodzenia.

- Gównu widzę.

- Ona wyszła, on został... Nie, czekaj: też wychodzi.

- Tak?

- Tak. Zabiera butelkę.

- Dobrze. Dokąd idzie?

Zamrożone embriony przechowywano w ciekłym azocie w specjalnym termosie ze stali nierdzewnej, pokrytym od wewnątrz warstwą szkła borokrzemianowego i nazywanym dewarem. Dewary najczęściej miały pokaźne rozmiary i kształt bańki na mleko, ale zdarzały się i mniejsze, o pojemności nie przekraczającej litra, nie powinny jednak przypominać butelki na wino, ponieważ musiały mieć szeroki wlot. Ale mały dewar z powodzeniem zmieściłby się w takiej torbie.

- Na pewno ma go przy sobie - stwierdził Vasco. - W torbie.

- Domyślam się. Widzisz ich? - Widzę.

Dostrzegł Tolmana i dziewczynę blisko przystani gondoli. Tolman niósł torbę z butelką pionowo, w zgięciu łokcia. Wyglądał trochę pokracznie i w ogóle tworzyli dziwną parę: piękna kobieta i mały wypłosz. Szli wzdłuż kanału, prawie nie patrząc na mijane sklepy.

- Idą się z kimś spotkać - powiedział Vasco.

- Mam ich.

Przeniósł wzrok dalej, w głąb zatłoczonej ulicy, i przy jej drugim końcu zobaczył Dolly. Miała dwadzieścia osiem lat i wyglądała zupełnie zwyczajnie. Mogła być kimkolwiek: księgową przyjaciółką sekretarką asystentką; nadawała się do każdej roli. Tego wieczoru ubrała się - zgodnie z obowiązującą w Vegas modą - w połyskującą brokatem sukienkę z głębokim dekoltem i natapirowała włosy. Lekka nadwaga doskonale do niej pasowała. Vasco był z nią od czterech lat; świetnie im się razem pracowało, a i w życiu prywatnym układało się nie najgorzej. Nie lubiła tylko, kiedy palił w łóżku cygara.

- Idą do recepcji. Nie, zawrócili - poinformowała Dolly.

Hotelowa recepcja mieściła się w olbrzymiej owalnej sali - złożony sufit, marmurowe kolumny, dyskretne oświetlenie. Przelewające się przez nią tłumy prawie w niej ginęły. Vasco przystanął.

- Zmienili zdanie? Czy próbują nas wykiwać?

- Chyba po prostu są ostrożni.

- To wielka chwila.

Bardziej od złapania zbiega interesowało ich, komu będzie chciał przekazać embriony. Nie ulegało wątpliwości, że odbiorcą jest któryś z uczestników konferencji.

- Już niedługo - powiedziała Dolly.

Rick Diehl spacerował wzdłuż kanału z gondolami, ściskając w dłoni telefon. Nie patrzył na sklepy, pełne drogich towarów, na których nigdy mu nie zależało. Dorastał jako trzeci syn w rodzinie lekarza z Baltimore. Jego bracia poszli na medycynę i - jak ojciec zostali położnikami, a on wybrał karierę naukową. Pod wpływem presji rodziny przeniósł się na Zachodnie Wybrzeże. Przez jakiś czas pracował na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco, zaintrygowała go jednak smykałka do interesów, przejawiana przez pracowników naukowych: wyglądało na to, że każdy przyzwoity profesor uniwersytecki albo założył własny biznes, albo przynajmniej zasiadał w zarządach kilku firm biotechnologicznych. Przy lunchu rozmawiało się wyłącznie o transferze technologii, licencjach, transzach wpłat, wykupach, przejęciach, dywidendach i prawach własności intelektualnej.

Karen, jego żona, odziedziczyła pokaźną fortunę i Rick zdał sobie sprawę, że może zacząć działać na własną rękę. Nad Zatoką nie było miejsca dla nowych firm, a stare walczyły zażarcie o przestrzeń biurową i ludzi. Postanowił więc przenieść się na północ od Los Angeles, gdzie był już Amgen ze swoim ogromnym ośrodkiem badawczym. Diehl zbudował fantastyczny, nowoczesny kompleks, zatrudnił znakomitych specjalistów i ruszył z kopyta. Ojciec i bracia wpadli z wizytą i byli pod wrażeniem.

Tylko... Dlaczego nie oddzwania? Spojrzał na zegarek. Dziewiąta. Dzieci powinny już spać, a Karen - być w domu. Opiekunka powiedziała mu, że Karen wyszła przed godziną nie wiedziała jednak dokąd. A Karen nie rozstawała się z komórką. Teraz też musi ją mieć przy sobie. Dlaczego nie dzwoni?

Nie rozumiał i tym bardziej się denerwował. Tkwił sam jak palec w tym przeklętym mieście, gdzie było więcej pięknych kobiet na metr kwadratowy, niż widział w całym swoim życiu. Zgoda, wyglądały trochę plastikowo, zwłaszcza po tych wszystkich operacjach, ale były też diabelnie seksowne.

Jego wzrok padł na jakiegoś wymoczek w towarzystwie wysokiej laski w szpilkach. Kapitalna babka: czarne włosy, gładka skóra, szczupłe, seksowne ciało. Wymoczek musiał jej zapłacić, ale na pewno jej nie doceniał. Tulił butelkę z winem jak małe dziecko i pocił się z nerwów. Ale ta panna... Jezu, ależ dupencja.

Dlaczego Karen nie dzwoni, do jasnej cholery?!

- Hej - odezwał się Vasco. - Spójrz no. Ten gość z BioGenu. Kręci się w kółko, jakby nie miał nic do roboty.

- Widzę go. - Doiły stała przecznicę dalej.

- Ale nie, to nie on.

Tolman z Rosjanką minęli faceta z BioGenu, który włączył telefon i wybrał numer. Jakżeż on się nazywa... Diehl. Vasco już o nim wcześniej słyszał: otworzył biznes za pieniądze żony i podejrzewano, że teraz to ona rządzi w ich związku. Bogata kobitka, stara rodzina ze Wschodu, wielka kasa - nic dziwnego, że to ona rozdaje karty.

- Restauracja - powiedziała Dolly. - Idą do Terrazo.

II Terrazo Antico była piętrową restauracją z oszklonymi balkonami, o wystroju nowoczesnego burdelu: kolumny, sufit, ściany - wszystko ociekało złotem i ozdobami. Na sam widok Vascowi ciarki chodziły po plecach.

Tamci dwoje weszli do środka, minęli biurko, przy którym potwierdzało się rezerwacje, i ruszyli do stolika z boku, gdzie, jak zobaczył Vasco, czekał na nich barczysty zakapior, śniady, z wielkim łbem. Patrzył na Rosjankę i prawie się ślinił.

Tolman podszedł do niego i coś powiedział. Bandzior zrobił zdziwioną minę. Coś nie gra, domyślił

się Vasco. Dziewczyna cofnęła się o krok.

Błysnął flesz - to Dolly zrobiła zdjęcie. Tolman obejrzał się, zorientował, co się stało, i rzucił do ucieczki.

- Dolly! Niech cię szlag!

Vasco pobiegł za Tolmanem, który uciekał w głąb lokalu. Kelner próbował zastąpić mu drogę.

- Proszę pana? Bardzo mi przykro...

Vasco odepchnął go, nie zwalniając kroku. Tolman nie uciekał tak szybko, jak by mógł, bo nie chciał, by wskutek wstrząsów ucierpiała bezcenna butelka, w dodatku zupełnie się pogubił. Nie znał restauracji i biegł na oślep. Barn! Przez dwuskrzydłowe drzwi, do kuchni. Vasco deptał mu po piętach. Wszyscy się na nich wydzielali, kucharze wymachiwali nożami, ale Tolman parł naprzód, najwyraźniej przekonany, że znajdzie jakieś tylne wyjście.

Tylnego wyjścia nie było. Znalazł się w potrzasku i wodził dookoła dzikim wzrokiem. Vasco zwolnił. Mignął jedną ze swoich odznak, wpiętą do oficjalnie wyglądającego portfela.

- Zatrzymanie obywatelskie.

Tolman skulił się i cofnął pod drzwi z wąską szybą. Otworzył je, wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim. Zamrugła lampka. Winda służbowa.

- Dokąd jeździ ta winda?

- Na piętro.

- Tylko?

- Tak, tylko.

Vasco przycisnął słuchawkę do ucha.

- Dolly? - Już jestem.

Słyszał, jak ciężko dyszy, wbiegając po schodach.

Stał przy drzwiach. Wcisnął guzik przywołujący windę i czekał.

- Jestem przy windzie - zameldowała Dolly. - Widziałam go. Zjeżdża z powrotem na dół.

- To bardzo mała winda.

- Wiem.

- Jeżeli rzeczywiście ma przy sobie ciekły azot, nie powinien się do niej pchać.

Parę lat wcześniej Vascowi zdarzyło się zapędzić ściganego do laboratoryjnego magazynu, gdzie facet zamknął się w szafie i prawie udusił.

Winda zjechała na parter. Gdy tylko się zatrzymała, Vasco szarpnął uchwyt na drzwiach, ale Tolman musiał wcisnąć wyłącznik awaryjny, bo drzwi się nie otworzyły. Torba leżała na podłodze. Aksamit zsunął się, odsłaniając stalowy korpus dewaru.

Bez pokrywki.

Wokół wylotu kłębiła się para.

Tolman wpatrywał się w Vasca szeroko otwartymi oczami.

- Wyjdź, synu - powiedział Vasco. - Nie rób głupstw. Tolman pokręcił głową.

- To niebezpieczne. Dobrze o tym wiesz. Tolman wcisnął guzik i winda ruszyła do góry. Vasco miał złe przeczucia.

Ten dzieciak wiedział, co robi. Wiedział bardzo dobrze.

- Jest u mnie - zameldowała z piętra Dolly. - Nie mogę otworzyć drzwi. A on znów jedzie na dół.

- Zostaw go i wracaj do stolika.

Natychmiast zorientowała się, o czym mówi Vasco. Zbiegła po wyłożonych grubym, czerwonym dywanem schodach na parter i nie zdziwiła się zbytnio, widząc, że stolik, przy którym jeszcze przed chwilą siedział zwalisty bandzior, jest pusty. Nie było ani jego, ani pięknej Rosjanki - została tylko

wetknięta pod kieliszek studolarówka. Zapłacił gotówką. Oczywiście.

I zniknął.

Vasca otaczało trzech hotelowych ochroniarzy. Mówili jeden przez drugiego, więc patrząc na nich z góry - przewyższał ich o pół głowy - uciszył ich.

- Chciałbym czegoś się dowiedzieć. Jak otworzyć drzwi windy? - zapytał.

- Musiał włączyć blokadę.

- Pytałem, jak je otworzyć.

- Trzeba odciąć zasilanie.

- I drzwi się otworzą?

- Nie, ale jak winda stanie, będziemy mogli je wyłamać.

- Ile to potrwa?

- Dziesięć, może piętnaście minut. Ale czy to ważne? Facet nie ucieknie.

- Wprost przeciwnie. Ochroniarz parsknął śmiechem. - Niby dokąd?

Winda zjechała na dół. Tolman klęczał, przytrzymując drzwi.

- Wstań - powiedział Vasco. - Wstawaj! Synu, naprawdę nie warto. Wstań! Tolman przewrócił oczami i osunął się na podłogę. Winda ruszyła do góry.

- Co jest, do cholery? - zdziwił się ochroniarz. - A w ogóle, to kto to jest? Psiakrew, zaklął w myślach Vasco.

Tolman musiał w jakiś sposób zablokować funkcjonowanie windy. Otwarcie drzwi i wyciągnięcie go na zewnątrz zajęło im czterdzieści minut. Oczywiście wtedy już nie żył. W chwili gdy upadł, zanurzył się w atmosferze złożonej w stu procentach z azotu - parował z otwartego dewaru i systematycznie wypełniał windę. Padając na wznak, Tolman był już nieprzytomny; zmarł prawdopodobnie po minucie.

Ochroniarze dopytywali się, co takiego znajduje się w dewarze, który przestał dymić. Vasco włożył rękawiczki i wyciągnął z niego długi pręt. Nic na nim nie było: po embrionach pozostały tylko puste metalowe zaciski. Ktoś zabrał zarodki.

- Chce pan powiedzieć, że popełnił samobójstwo? - spytał z niedowierzaniem ochroniarz.

- Tak. Pracował w laboratorium embriologicznym, wiedział, jak niebezpieczny jest ciekły azot w zamkniętej przestrzeni. - Spośród wszystkich chemikaliów właśnie azot powoduje najczęściej wypadków śmiertelnych w laboratoriach. - Dla niego było to jedyne wyjście z fatalnej sytuacji.

- Ale co z embrionami? - spytała Dolly, kiedy jechali do domu.

- Nie mam pojęcia. - Vasco westchnął i pokręcił głową. - On ich w ogóle nie dostał.

- Myślisz, że dziewczyna je zabrała? Zanim do niego przyszła?

- Ktoś na pewno je zabrał. W hotelu jej nie znają?

- Przejrzeli taśmy z kamer. Nikt jej nie rozpoznał.

- Naprawdę studiuje?

- Studiowała, w zeszłym roku. W tym nie zapisała się na zajęcia.

- Czyli przepadła jak kamień w wodę.

- Na to wygląda. Ona, ten śniady i embriony.

- Ciekawe, co to wszystko ma ze sobą wspólnego.

- Może nic.

- Nie byłby to pierwszy raz.

Vasco zobaczył neon motelu na pustkowiu i zjechał na parking. Musiał się napić. **R001**

X_{LVIII} Wydział Sądu Stanowego w Los Angeles mieścił się w wyłożonej boazerią sali, której główną dekoracją stanowiła olbrzymia pieczęć stanu Kalifornia. Sama sala była niewielka i wyglądała

tandetnie: czerwony dywan brudny i wystrzępiony, okleina na podeście dla świadków wytarta; jedna z jarzeniówek nie świeciła, więc nad stanowiskami przysięgłych zalegał półmrok. Przysięgli ubrani byli swobodnie, w dżinsy i koszule z krótkim rękawem. Fotel sędziowski skrzypiał za każdym razem, gdy sędzia Davis Pike odwracał się, żeby rzucić okiem na ekran laptopa - a robił to dość często. Alex Burnet przypuszczała, że sprawdza pocztę i kursy akcji.

Jednym słowem sala zdawała się nie najlepszym miejscem do rozstrzygania skomplikowanych zagadnień biotechnologicznych, ale tym właśnie zajmował się sąd przez ostatnie dwa tygodnie w sprawie Frank M. Burnet przeciwko Uniwersytetowi Kalifornijskiemu.

Trzydziestodwuletnia Alex była dobrym adwokatem i młodszym wspólnikiem w kancelarii prawniczej. Siedziała przy stole powoda wraz z resztą zespołu prawników jej ojca i patrzyła, jak ojciec zajmuje stanowisko dla świadków. Uśmiechnęła się, żeby dodać mu odwagi, choć w głębi duszy trawiły ją wątpliwości, czy sobie poradzi.

Krzepki Frank Burnet nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt jeden lat. Składając przysięgę, sprawiał wrażenie opanowanego. Alex obawiała się, że jego dobry, zdrowy wygląd nie pomoże ich sprawie - tym bardziej że opinia publiczna już przed procesem została do nich nastawiona negatywnie. Ekipa prasowa Ricka Diehla postarała się, aby przedstawić jej ojca jako chciwego, pozbawionego skrupułów niewdzięcznika; człowieka, który blokuje badania medyczne i nie dotrzymuje słowa, bo zależy mu tylko na pieniądzu.

Wszystko to były kłamstwa, lecz żaden dziennikarz nie raczył zadzwonić do ojca i zapytać go o zdanie. Ani jeden. Rick Diehl miał poparcie Jacka Watsona, sławnego filantropa, a ponieważ media zakładały, że Watson nie może być zły, czarnym charakterem musi być Burnet. Gdy tylko taka wersja wydarzeń ukazała się w „New York Timesie” (zrelacjonowana przez lokalnego recenzenta), wszyscy ją podchwycili. „L.A. Times” wydrukował obszerny materiał. My też!, usiłując prześcignąć „NYT” w demonizowaniu Burneta. Lokalne wiadomości dzień w dzień wbijały czytelnikom i widzom do głów wizerunek człowieka, który hamuje postęp w medycynie i ośmiela się krytykować UCLA, sławny ośrodek naukowy i znakomity miejscowy uniwersytet. Kamery towarzyszyły Alex i jej ojcu za każdym razem, gdy pojawiali się przed gmachem sądu.

Podejmowane przez Burneta próby przedstawienia swojego stanowiska spaliły na panewce. Wynajęty przez niego doradca medialny robił, co mógł, ale nie miał szans w starciu z doskonale naoliwioną i wysoko opłacaną machiną prasową Watsona.

Przysięgli z pewnością znali publikacje na temat tej sprawy. Cała ta medialna wrzawa dodatkowo obciążała ojca Alex, który w roli świadka musiał nie tylko zaprezentować swój punkt widzenia, ale przede wszystkim wyzwolić się spod wpływu mediów i zapomnieć o szkodach, jakie już mu wyrządziły.

Prawnik ojca wstał i rozpoczął przesłuchanie.

- Panie Burnet, pozwoli pan, że cofniemy się o osiem lat, do czerwca. Co pan wtedy robił?
- Pracowałem w Calgary przy budowie gazociągu. Nadzorowałem przebieg prac spawalniczych.
- Kiedy zaczął pan podejrzewać, że jest pan chory?
- Kiedy zacząłem się budzić w środku nocy, zlany potem.
- Miał pan gorączkę?
- Tak przypuszczałem.
- Skonsultował się pan z lekarzem?
- Nie od razu. Pomyślałem, że pewnie mam grypę albo coś w tym rodzaju. Ale poty nie ustępowały. Po miesiącu, gdy czułem się już bardzo osłabiony, poszedłem do lekarza.
- Co panu powiedział?

- Że mam guz w brzuchu. Odesłał mnie do Los Angeles, do najlepszego specjalisty na Zachodnim Wybrzeżu, profesora Centrum Medycznego UCLA.

- Jak się nazywał ten specjalista?

- Michael Gross. Tam siedzi.

Burnet wskazał pozwanego, który siedział przy sąsiednim stole. Alex nie spojrzała w tamtą stronę. Nie odrywała oczu od ojca.

- Czy doktor Gross zbadał pana? - Tak.

- Przeprowadził rutynowe badanie? - Tak.

- A jakieś badania dodatkowe?

- Pobrał mi krew, zlecił prześwietlenie i tomografię komputerową całego ciała. Zrobił też biopsję szpiku kostnego.

- Jak to się odbyło, panie Burnet?

- Wkłuł się igłą w moją kość biodrową w tym miejscu. Igła przebija kość i wchodzi w szpik, który można potem zassać i zbadać.

- Czy po przeprowadzeniu tych badań doktor Gross przedstawił panu swoją diagnozę?

- Tak. Stwierdził, że mam ostrą białaczkę limfoblastyczną.

- Jak pan zrozumiał jego słowa?

- Że to rak szpiku kostnego.

- Czy doktor Gross zaproponował panu leczenie?

- Tak. Chemioterapię i leczenie operacyjne.

- Czy powiedział, jakie są rokowania? I jak choroba może się rozwijać?

- Uprzedził mnie, że wygląda to źle.

- A konkretnie?

- Że najprawdopodobniej zostałem mi niecały rok życia.

- Czy zasięgnął pan potem opinii innego lekarza? - Tak.

- Z jakim skutkiem?

- Rozpoznał u mnie... To znaczy... Drugi lekarz potwierdził diagnozę doktora Grossa.

- Alex ze zdumieniem patrzyła, jak ojciec zawiesza głos i przygryza wargę, walcząc z przyływym emocji. Zawsze był twardy i opanowany. Zmartwiła się, chociaż zdawała sobie sprawę, że taka chwila słabości może im w sądzie pomóc.

- Bałem się. Bardzo się bałem. Wszyscy mi mówili, że... że już długo nie pożyję.

Spuścił głowę.

W sali zapadła cisza.

- Panie Burnet, napije się pan wody?

- Nie, nic mi nie jest. - Burnet podniósł głowę i otarł pot z czoła.

- Proszę mówić dalej, kiedy się pan uspokoi.

- Poszedłem jeszcze do trzeciego lekarza. Ale wszyscy mi powtarzali, że doktor Gross jest najlepszy.

- I postanowił się pan u niego leczyć.

- Tak.

Ojciec chyba się już pozbierał. Alex rozluźniła się i odetchnęła z ulgą. Dalsze przesłuchanie przebiegało gładko; ojciec dziesiątki razy opowiadał swoją historię

- o tym jak przerażony, w obawie o swoje życie zawierzył doktorowi Grossowi; jak pod nadzorem doktora Grossa przeszedł operację i poddał się chemioterapii; jak przez rok objawy choroby stopniowo ustępowały; jak doktor Gross uznał z początku, że terapia się powiodła i pacjent wyzdrowiał.

- Czy doktor Gross zlecił panu badania kontrolne?
 - Tak. Co trzy miesiące.
 - Jaki był ich wynik?
 - Wszystko wróciło do normy. Zacząłem przybierać na wadze, odzyskałem siły, włosy mi odrosły. Czuję się dobrze.
 - Co się potem stało?
 - Mniej więcej rok później, po jednej z wizyt kontrolnych doktor Gross stwierdził, że potrzebne są dodatkowe badania.
 - Powiedział dlaczego?
 - Wyjaśnił, że wynik niektórych badań krwi budzi wątpliwości.
 - Powiedział o jakie badania konkretnie chodzi? - Nie.
 - Czy doktor Gross stwierdził, że rak nie został do końca wyleczony?
 - Nie, ale tego się właśnie obawiałem. Wcześniej nigdy nie powtarzaliśmy żadnych badań. - Burnet poruszył się niespokojnie na krześle. - Zapytałem go, czy nastąpił nawrót choroby. Odparł: „Na razie nie, musimy jednak być czujni”. Oświadczył, że wymagam stałej kontroli i regularnych badań.
 - Jak pan na to zareagował?
 - Przeraziłem się. W pewnym sensie było gorzej niż na początku. Kiedy pierwszy raz usłyszałem, że jestem chory, przygotowałem się na najgorsze, spisałem testament... A potem wyzdrowiałem, tak jakbym dostał nowe życie, szansę na nowy start. Później doktor Gross zadzwonił i znów zacząłem się bać.
 - Przypuszczał pan, że jest pan chory.
 - Ależ oczywiście! Po co inaczej doktor kazałby mi powtarzać badania?
 - Bał się pan?
 - Strasznie.
- Szkoda, że nie mamy zdjęć, pomyślała Alex, śledząc przesłuchanie. Ojciec był żwawy i krzepki, a ona dobrze pamiętała, jak wyglądał wcześniej: posiwiały, słaby, kruchy. Ubrania wisały na nim jak na wieszaku. Chodzący trup. A teraz - zdrowy i czerstwy, jak na budowlańca przystało - nie sprawiał wrażenia człowieka, który przestraszy się byle czego. Zdawała sobie sprawę, że wszystkie te pytania są konieczne, aby wykazać oszustwo i uzasadnić stan psychiczny ojca, ale musieli uważać. A wiedziała, że ich prawnik ma zwyczaj zapominać o notatkach, kiedy przesłuchanie na dobre się rozkręci.
- Co było dalej, panie Burnet?
 - Zgłosiłem się na badania. Doktor Gross powtórzył wszystkie, włącznie z biopsją wątroby.
 - Jakie były wyniki?
 - Kazał mi wrócić za pół roku.
 - Dlaczego?
 - Po prostu powiedział, żebym zgłosił się znowu po pół roku.
 - Jak się pan wtedy czuł?
 - Dobrze. Ale przypuszczałem, że doszło do nawrotu.
 - Doktor Gross tak zasugerował?
 - Nie. Doktor Gross w ogóle nic nie powiedział, tak jak i inni w szpitalu. Usłyszałem tylko: „Proszę przyjść za sześć miesięcy”.
- Nic dziwnego, że ojciec myślał, że nadal jest chory. Poznał kobietę, z którą mógł się ożenić, ale porzucił ten zamiar, sądząc, że wkrótce umrze. Sprzedał dom i przeprowadził się do niewielkiego mieszkania, żeby nie musieć się martwić hipoteką.

- Można by pomyśleć, że chciał pan umrzeć - powiedział adwokat.
- Sprzeciw!
- Wycofuję pytanie. Kontynuujmy. Panie Burnet, jak długo trwały badania w UCLA?
- Cztery lata.
- Cztery lata. Kiedy zaczął pan podejrzewać, że lekarze nie mówią panu prawdy o pańskim stanie zdrowia?
- Minęły cztery lata, a ja nadal czułem się dobrze. Nic złego się nie wydarzyło. Choć spodziewałem się, że grom uderzy z jasnego nieba, nic takiego się nie stało. A doktor Gross cały czas wzywał mnie na dodatkowe badania. Przeprowadziłem się już wtedy do San Diego, więc oświadczyłem, że chciałbym się badać tam, na miejscu, doktor Gross powiedział jednak, że to niemożliwe i że muszę kontynuować testy w UCLA.
- Dlaczego?
- Twierdził, że woli je przeprowadzać w swoim laboratorium. Uważałem, że to bez sensu. Poza tym podsuwał mi coraz to nowe druki do podpisania.
- Jakie druki?
- Najpierw chodziło o to, że świadomie poddaję się ryzykownej kuracji. Tamte formularze miały stronę, czasem dwie. Potem pojawiły się takie, w których wyrażałem zgodę na udział w projekcie badawczym. Papierów przybywało z każdą wizytą było nawet po dziesięć gęsto zadrukowanych stron prawniczego żargonu.
- Podpisywał je pan?
- W końcu przestałem.
- Dlaczego?
- Bo żądano ode mnie zgody na wykorzystanie moich tkanek do celów komercyjnych.
- Nie podobało się to panu?- Oczywiście że nie. Podejrzewałem, że doktor Gross mnie okłamuje, że nie mówi, po co naprawdę potrzebne są te wszystkie badania. Za którymś razem zapytałem wprost, czy sprzedaje moje tkanki. Odpowiedział, że nie, w żadnym wypadku, że samu potrzebne wyłącznie do pracy naukowej. Powiedziałem, że w takim razie okey, i podpisałem wszystkie dokumenty poza zgodą na komercyjne wykorzystanie moich tkanek.
- Co się wtedy stało?
- Doktor się zezłościł. Zagroził, że jeśli nie podpiszę wszystkich druków, nie będzie mnie dłużej leczył, i przypomniał, że ryzykuję zdrowie i życie. Ostrzegł mnie, że popełniam poważny błąd.
- Sprzeciw! Niesprawdzone informacje.
- W porządku. Panie Burnet, czy kiedy nie wyraził pan tej zgody, doktor Gross przestał pana leczyć?
- Tak.
- Czy wtedy poszukał pan pomocy prawnej? - Tak.
- I czego się pan dowiedział?
- Że doktor Gross sprzedał moje komórki, pobrane podczas tych wszystkich testów, firmie farmaceutycznej BioGen.
- Co pan wtedy czuł?
- Byłem wstrząśnięty. Przyszedłem do doktora Grossa chory, przerażony, bezbronny. Obdarzyłem go zaufaniem. Złożyłem życie w jego ręce. A potem okazało się, że kłamał, że przez całe lata niepotrzebnie mnie straszył, tylko po to, aby kraść moje tkanki i sprzedawać je dla zysku. Dla własnej korzyści. Mój los w ogóle go nie obchodził. Chciał tylko moich komórek.
- Czy wie pan, ile były warte?
- BioGen wycenił je na trzy miliardy dolarów. Przysięgłych zatkało.

R002

Alex obserwowała przysięgłych. Ich twarze pozostały obojętne, ale też nikt się nie poruszył, nawet nie drgnął. Reagowali odruchowo, dowodząc, że ta historia pochłania ich bez reszty. Jak zaczarowani słuchali dalszego ciągu.

- Panie Burnet, czy doktor Gross przeprosił za wprowadzenie pana w błąd? - Nie.

- Czy zaproponował podział zysków ze sprzedaży?

- Nie.

- A prosił go pan o to?

- W końcu poprosiłem. Kiedy dotarło do mnie, co naprawdę zrobił. To były moje komórki, pobrane z mojego ciała. Pomyślałem, że powinienem mieć coś do powiedzenia w kwestii tego, co się z nimi stanie.

- Ale doktor Gross odmówił?

- Tak. Powiedział, że nie powinno mnie interesować, co robi z moimi komórkami.

To wywołało reakcję przysięgłych: kilkoro odwróciło się i spojrzało na doktora Grossa. Dobry znak.

- Ostatnie pytanie, panie Burnet. Czy podpisał pan jakikolwiek dokument zezwalający doktorowi Grossowi na wykorzystanie pańskich komórek do celów komercyjnych?

- Nie.

- Nie wyraził pan zgody na ich sprzedaż?

- Nigdy. Ale doktor Gross i tak je sprzedał.

- Nie mam więcej pytań.

Sędzia ogłosił piętnastominutową przerwę, po której prawnicy UCLA przystąpili do przesłuchiwania świadka. Uniwersytet wynajął do tej sprawy renomowaną kancelarię Raeper and Cross, specjalizującą się w procesach korporacyjnych o wysoką stawkę; regularnie reprezentowała w sądach kompanie naftowe i duże firmy zbrojeniowe. Było oczywiste, że dla UCLA nie jest to prosta obrona praw do prowadzenia badań medycznych. W grę wchodziły trzy miliardy dolarów - a wielki biznes wymagał najlepszych biznesowych prawników.

Zespołem prawnym UCLA kierował Albert Rodriguez. Ten człowiek o łagodnym, młodzieńczym wyglądzie i przyjaznym uśmiechu roztaczał rozbijającą choć fałszywą aurę nowicjusza w swoim fachu. W rzeczywistości miał czterdzieści pięć lat i od dwudziestu z powodzeniem wykonywał zawód prawnika. Umiał jednak sprawiać wrażenie, że pierwszy raz w życiu występuje przed sądem, i w subtelny sposób zasugerować przysięgłym, aby patrzyli na niego przez palce.

- Zdaję sobie sprawę, panie Burnet, że powrót do tych wyczerpujących emocjonalnie doświadczeń z ostatnich kilku lat musiał być dla pana przykry i bolesny. Doceniam, że podzielił się pan z przysięgłymi swoimi wspomnieniami, i obiecuję, że długo nie będę pana zatrzymywał. Jeśli mnie pamięć nie myli, powiedział pan, że był pan przerażony, co jest zupełnie zrozumiałe. A tak przy okazji, ile pan schudł przed pierwszą wizytą u doktora Grossa?

Alex się zaniepokoiła. Wiedziała, dokąd to zmierza: zamierzali podkreślić dramatyczną naturę kuracji. Zerknęła na siedzącego obok niej adwokata, który gorączkowo obmyślał nową strategię. Nachyliła się do niego.

- Powstrzymaj go - szepnęła. Pokręcił przecząco głową. - Nie wiem, ile schudłem odparł jej ojciec. - Pewnie piętnaście, dwadzieścia kilo.

- Ubrania źle na panu leżały?

- Bardzo źle.

- Jak się pan wtedy czuł? Miał pan dużo energii? Mógł pan wejść po schodach?

- Nie. Musiałem odpoczywać co dwa, trzy stopnie.

- Ze zmęczenia?

Alex szturchnęła prawnika.

- To już było - syknęła. Adwokat się poderwał.

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Pan Burnet wyjaśnił już, że rozpoznano u niego chorobę w stadium terminalnym.

- To prawda - przytaknął Rodriguez. - Powiedział również, że żył w strachu. Uważam jednak, że przysięgli powinni zrozumieć, w jak beznadziejnym położeniu się znalazł.

- Oddalam sprzeciw.

- Dziękuję. Panie Burnet... Stracił pan czwartą część wagi, był pan tak słaby, że z trudem mógł pan wejść po schodach, i był pan śmiertelnie chory na białaczkę. Zgadza się?

- Tak.

Alex zgrzytnęła zębami. Bardzo chciała przerwać to przesłuchanie, ewidentnie stronnicze i niemające nic wspólnego z niewłaściwym zachowaniem lekarza po zakończonej kuracji. Skoro jednak sędzia pozwolił je kontynuować, nie mogła nic zrobić. A uchybienie było zbyt małe, aby na jego podstawie dało się wnieść apelację.

- Szukając pomocy w tym trudnym dla pana okresie, przyszedł pan na wizytę do najlepszego specjalisty na całym Zachodnim Wybrzeżu, tak?

- Który podjął się leczenia.

- Tak.

- I pana wyleczył. Ten znakomity, troskliwy lekarz wyleczył pana z choroby.

- Sprzeciw! Wysoki sędzie, doktor Gross jest lekarzem, nie świętym.

- Sprzeciw podtrzymany.

- Dobrze - powiedział Rodriguez. - Ujmijmy to inaczej. Panie Burnet, ile czasu minęło od zdiagnozowania u pana białaczki?

- Sześć lat.

- Czy nie jest prawdą że pięcioletni okres przeżycia po rozpoznaniu jest w onkologii uznawany za wyleczenie?

- Sprzeciw. Twierdzenie wymaga opinii specjalisty.

- Sprzeciw podtrzymany.

- Wysoki sędzie - Rodriguez zwrócił się do sędziego. - Nie rozumiem, dlaczego adwokaci pana Burneta mają z tym taki problem. Ja po prostu staram się ustalić, czy doktor Gross wyleczył powoda ze śmiertelnej choroby.

- Ja z kolei nie rozumiem, czemu obrona ma takie kłopoty z zadaniem tego pytania wprost - odparł sędzia. - Bez budzących sprzeciw sformułowań.

- Więc dobrze. Dziękuję, wysoki sędzie. Panie Burnet, czy uważa się pan za wyleczonego z białaczki?

- Tak.

- Jest pan w tej chwili całkowicie zdrowy?

- Tak.

- Kto, pańskim zdaniem, pana wyleczył?

- Doktor Gross.

- Dziękuję. Wyjawił pan niedawno sądowi, że kiedy doktor Gross wezwał pana na dodatkowe badania, pomyślał pan, że oznacza to, że choroba nie została całkowicie wyleczona.

- Zgadza się.

- Czy doktor Gross powiedział panu, że wciąż ma pan białaczkę?

- Nie.
- Czy ktoś z jego urzędników i personelu powiedział coś takiego?
- Nie.
- Jeśli więc dobrze zrozumiałem pańskie zeznanie, ani razu nie powiedziano panu wprost, że jest pan chory, tak?
- Tak.
- W porządku. Wróćmy teraz do pańskiego leczenia. Poddał się pan leczeniu operacyjnemu i chemioterapii. Czy to standardowe procedury w przypadku tego rodzaju białaczki?
- Nie, to nie było standardowe leczenie.
- To była nowa kuracja?
- Tak.
- Czy pan pierwszy został jej poddany?
- Tak.
- Wie to pan od doktora Grossa?
- Tak.
- Czy doktor Gross wyjaśnił panu, w jaki sposób ją opracowano?
- Powiedział, że to część programu badawczego.
- A pan zgodził się wziąć udział w tym programie?
- Tak.
- Razem z innymi pacjentami cierpiącymi na tę samą chorobę?
- Chyba tak... Wydaje mi się, że byli jacyś inni pacjenci.- W pańskim przypadku kuracja okazała się skuteczna? - Tak.
- Został pan wyleczony.
- Tak.
- Dziękuję. Czy ma pan świadomość, panie Burnet, że w badaniach medycznych nowe leki często testuje się na ludzkich tkankach, a niektóre się z nich wręcz pozyskuje?
- Tak.
- I wiedział pan o tym, że pańskie tkanki zostaną wykorzystane w taki sposób?
- Tak, ale nie w celach komer...
- Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Czy kiedy zgadzał się pan na wykorzystanie pobranych od pana tkanek w badaniach naukowych, zdawał pan sobie sprawę, że mogą zostać użyte do pozyskania lub testowania nowych leków?
- Tak.
- Czy gdyby taki lek udało się uzyskać, oczekiwaliby pan, że zostanie udostępniony innym pacjentom?
- Tak.
- Czy podpisał pan dokument, który na to zezwalał? Długa cisza.
- Dziękuję, panie Burnet. Nie mam więcej pytań.
- I co, jak poszło? - zapytał ojciec, gdy opuścili gmach sądu i zmierzali na parking.

Z nieba sączyło się przydymione słoneczne światło, jak zwykle w centrum Los Angeles. Na następny dzień zaplanowano mowy końcowe.

- Trudno powiedzieć - odparła Alex. - Udało im się skutecznie pomieszać fakty. Wiadomo że w wyniku tego programu badawczego nie powstał żaden nowy lek, ale wątpię, żeby przysięgli rozumieli, co się naprawdę wydarzyło. Powołamy dodatkowych biegłych, którzy wyjaśnią że UCLA wyodrębnił z twoich tkanek linię komórek i na jej bazie produkował cytokiny w taki sam sposób, jak twój organizm produkuje je naturalnie. W tym przypadku nie może być mowy o żadnym „nowym

leku”, chociaż to pewnie akurat przysięgli przegapią. Co gorsza, Rodriguez stara się upodobnić tę sprawę do sprawy Moore’a sprzed dwudziestu lat. To był bardzo podobny proces: pod fałszywym pretekstem pobrano od człowieka tkanki, które następnie zostały sprzedane. Wtedy UCLA łatwo wygrał, chociaż nie powinien.

- No to, pani adwokat, jak wyglądają nasze szanse? Uśmiechnęła się do ojca, objęła go i pocałowała w policzek.

- Szczerze? Będzie ciężko.

R003

Barry Sindler, specjalista od rozwodów sławnych i bogatych, rozsiadł się wygodnie w fotelu. Próbował skupić się na tym, co mówi siedzący naprzeciwko niego klient, ale nie bardzo mu się to udawało. Klientem był nudziarz Diehl, szef jakiejś firmy biotechnologicznej. Gadał abstrakcyjnie, bez cienia emocji, z twarzą bez wyrazu - mimo że opowiadał o tym, jak jego żona rżnie się na prawo i lewo. Musiał być fatalnym mężem. Tylko że Barry nie wiedział, ile kasy da się wyciągnąć z tej sprawy. Wyglądało na to, że wszystkie pieniądze ma żona.

Diehl mamrotał monotonna - o tym, jak nabrał podejrzeń, dzwoniąc do niej z Las Vegas; jak znalazł rachunki z hotelu, w którym bywała co środę; jak zaczął się w recepcji i widział ją z trenerem tenisa. Stara kalifornijska śpiewka, Barry słyszał ją ze sto razy. Czy ci ludzie nie zdają sobie sprawy, że są chodzącymi schematami? Wściekły mąż przyłapuje żonę z trenerem tenisa. Nawet w *Gotowych na wszystko* by na to nie poszli.

Darował sobie dalsze słuchanie i bez tego miał za dużo na głowie. W mieście już gadali, że przegrał sprawę Kirkorivich. Wszystko przez to, że testy DNA wykazały, że miliarder nie jest ojcem. Sąd nie chciał mu przyznać całego wynagrodzenia, chociaż Barry ograniczył je do mizernego miliona czterystu tysięcy - sędzia dał mu jedną czwartą tej sumy. I teraz adwokaci w mieście szczyrzyli zęby, bo nikt nie lubił Barry’ego Sindlera. Podobno „L.A. Magazine” szykował duży materiał o tej sprawie, na pewno dla niego niepocholebny. Nie żeby go to ruszało - prawdę mówiąc, im częściej przedstawiano go jako pozbawionego skrupułów, bezlitosnego skurczybyka, tym więcej miał klientów. Bo kiedy przychodzi do rozwodu, ludzie chcą mieć bezlitosnego skurczybyka po swojej stronie i ustawiają się do niego w kolejce. A Barry Sindler z całą pewnością był najbardziej bezwzględny, nadęty, żądnym sławy i bezdusznym skurwielem od rozwodów w całej południowej Kalifornii. I był z tego dumny!

Naprawdę nie przejmował się drobiazgami. Nie martwił się o dom, który budował w Montanie dla Denise i dwójki jej rozpuszczonych bachorów. Nie gryzł się remontem domu w Holmby Hills, chociaż sama kuchnia miała kosztować pół miliona, a Denise bez przerwy zmieniała plany, bo chorobliwie kochała kompleksowe remonty.

Nie, nie, nie. Barry’ego Sindlera trapiła tylko jedna rzecz: wynajem. Jego biuro zajmowało całe jedno piętro biurowca na rogu Wilshire i Doheny, a zatrudniał w nim dwudziestu trzech prawników - byli głównie warci, ale ich widok przy pracy imponował klientom. Poza tym nadawali się do załatwiania drobnych spraw, takich jak spisywanie zeznań i zgłaszanie wniosków opóźniających procesy - detali, którymi Barry nie lubił sobie zawracać głowy. Doskonale wiedział, że postępowanie sądowe to wojna na wyniszczenie, zwłaszcza w sprawach o opiekę nad dziećmi. Dotarli do rzeki. Czekala tam dębanka, nad wodą na wysokości piersi zawieszona była lina. Przeprawili się w dwóch grupach: Hagar stanął w łódce, przeciągnął ją na drugi brzeg, trzymając się liny, i wrócił po pozostałych. Ciszę mąciło tylko odległe pokrzykiwanie dzioborożca.

Zagłębili się w las. Ścieżka stała się węższa i miejscami błotnista. Nie byli zachwyceni; hałasowali strasznie, starając się obejść podmokłe odcinki.

- Daleko jeszcze? - zapytał dzieciak, marudny, pryszczaty nastolatek ze Stanów. Spojrzał pytająco na matkę, dostojną matronę w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Już blisko? - jęczał.

Hagar przytknął palec do ust.

- Ciii!

- Nogi mnie bołą.

Turyści skupili się wokół nich różnobarwną jaskrawą gromadką. Wszyscy patrzyli na chłopaka.

- Posłuchaj - szepnął Hagar. - Jeśli będziemy hałasować, nie zobaczymy ich.

- I tak ich nie widać. - Dzieciak się skrzywił, ale gdy grupa ruszyła, posłusznie wrócił na swoje miejsce w szeregu.

Dzisiaj Hagar prowadził głównie Amerykanów. Nie lubił ich, choć nie byli wcale najgorsi - bo najgorsi, tak, bez dwóch zdań, najgorsi byli...

- Tam!

- Patrzcie! Tam!

Nagle podekscytowani turyści zaczęli coś sobie pokazywać palcami i gadać jeden przez drugiego. Pięćdziesiąt metrów przed nimi, nieco z boku ścieżki młody samiec orangutana stał na gałęzi, która ugiwała się miękko pod jego ciężarem. Prezentował się wspaniale: dwadzieścia kilogramów, ruda sierść, wyraźny biały kosmyk nad uchem. Hagar nie widział go od tygodni.

Uciszył turystów gestem i ruszył naprzód. Stłoczyli się za jego plecami, potykając się i wpadając na siebie.

- Cśśś! - syknął.

- O co chodzi? - ktoś się zdziwił. - Przecież to rezerwat.

- Cśśś!

- Są tu pod ochroną...

- Cicho!

Hagarowi zależało na uciszeniu klientów. Sięgnął do kieszeni koszuli, włączył nagrywanie, odpiął od klapy mikrofon i wyciągnął go przed siebie. Od orangutana dzieliło ich teraz jakieś trzydzieści metrów. Minęli przy ścieżce tabliczkę z napisem REZERWAT ORANGUTANÓW BUKUT ALAM. Osierocone orangutany wracały tu do pełni sił, zanim znów wypuszczono je do dżungli. W rezerwacie znajdowały się klinika weterynaryjna i ośrodek badawczy, zatrudniający grupę specjalistów.

- Skoro to rezerwat, to dlaczego nie...

- Słyszałeś, co powiedział, George. Bądź cicho. Dwadzieścia metrów.

- Patrzcie, drugi! I trzeci!

Wyciągnięte ręce wskazywały w lewo. Wysoko w górze roczny orangutan przemykał wśród gałęzi, niosąc młode; z wdziękiem kołysał się na ręce i przeskakiwał z drzewa na drzewo.

Hagar nawet na niego nie spojrzał. Skoncentrował się na pierwszym samcu.

Orangutan z białym kosmykiem nie uciekał. Zawisł na jednej ręce i huśtał się z przekrzywioną na bok głową obserwując ludzi. Młodsze osobniki zniknęły, a on spokojnie się gapił.

Dziesięć metrów. Hagar posuwał się do przodu z mikrofonem. Turyści sięgnęli po aparaty fotograficzne. Orangutan popatrzył na Hagara i wydał dziwny odgłos, jakby zakaszłał:

- *Dwaas.*

- *Dwaas* - powtórzył Hagar.

Małpa nie odrywała od niego wzroku. Poruszyła wargami. Popłynęły gardłowe dźwięki:

- *Ooh stomm dwaas, varlaat leanme.*

- To on wydał te dźwięki? - spytał jeden z turystów.

- Tak - odparł Hagar. - On... mówi?!

- Małpy nie umieją mówić - wtrącił inny. - Orangutany są nieme. Tak piszą w książce. Kilka osób zrobiło zdjęcia, z fleszem. Samiec nie okazywał zdziwienia, znów jednak się odezwał:

- *Geen lichten dwaas.*

- Może jest przeziębiony? - zaniepokoiła się jedna z kobiet. - To brzmi jakby kaszłał.

- To nie kaszel - zauważył ktoś z grupy.

Hagar obejrzał się przez ramię: powiedział to zawzięty grubas, który teraz stał z tyłu, a wcześniej z trudem nadążał za resztą czerwony i zdyszany. W wyciągniętej ręce trzymał dyktafon.

- To jakaś wasza sztuczka? - spytał. - Nie.

Mężczyzna palcem wskazał małpę.

- To było po niderlandzku. Sumatra była kiedyś holenderską kolonią. On mówi po niderlandzku.

- Nie wiedziałem - przyznał Hagar.

- Powiedział: „Zostaw mnie w spokoju, durniu”, a potem, jak błysnęły flesze: „Bez świateł”.- Nie mam pojęcia, co to były za dźwięki.

- Ale je pan nagrywał.

- Z ciekawości...

- Wyciągnął pan mikrofon, zanim się rozległy. Wiedział pan, że ta małpa coś powie.

- Orangutany nie mówią.

- Ten mówi.

Teraz już wszyscy patrzyli na małpę, nadal kołyszącą się na gałęzi. Podrapała się wolną ręką. Milczała.

- *Geen lichten* - powiedział głośno grubas. Orangutan tylko zamrugał.

- *Geen lichten!*

Nie wyglądało na to, żeby małpa coś zrozumiała. Przeskoczyła na sąsiednią gałąź i zaczęła się wspinać, bez wysiłku, przekładając rękę nad ręką.

- *Geen lichten!* Orangutan piął się dalej.

- On chyba jednak kaszłał albo coś... - mruknęła kobieta w słomkowym kapeluszu.

- Hej! - zawołał grubas. - *Monsieur! Comment ca va?*

Małpa zniknęła już wśród gałęzi, rozkołysanych jej rytmicznymi ruchami. Nie odwróciła się.

- Myślałem, że może zna francuski - wyjaśnił grubas, wzruszając ramionami. - Ale chyba nie.

Zaczął mżyć. Turyści schowali aparaty, ktoś narzucił na ramiona lekką foliową pelerynę. Hagar otarł spocone czoło. Ich uwagę przyciągnęły trzy młode orangutany, które obstały pełną papai tacę na ziemi.

- *Espece de eon* - dobiegło z gęstwiny.

W nieruchomym powietrzu słowa zabrzmiały zdumiewająco wyraźnie. Grubas okręcił się na pięcie. - *Ze co?!*

Wszyscy spojrzeli w górę.

- On przeklął - stwierdził nastolatek. - Po francusku. Wiem, że to francuskie przekleństwo.

- Cicho bądź - burknęła matka.

Wpatrywali się w gąszcz, szukając kryjącej się w nim małpy, ale bez powodzenia.

- *Qu est-ce que tu dis?* - zawołał grubas.

Nikt mu nie odpowiedział. Słysząc było tylko szelest roztrącanych przez zwierzę liści i odległy wrzask dzioborożca.

BEZCZELNA MAŁPA DRWI Z TURYSTÓW

„News of the World”

AFFE SPRICHT IM DSCHUNGEL, FLUCHE GEORGE BUSH

„Der Spiegel”

ORANG PARLE FRANCAIS?!!

„Paris Match”, tekst zilustrowany zdjęciem Jacques’a Derridy

MUZUŁMAŃSKA MAŁPA WYZYWA TURYSTÓW „Weekly Standard”

MAŁPA PYSKUJE, ŚWIADKOM OPADŁY SZCZĘKI „National Enquirer”

NA JAWIE ODKRYTO MÓWIĄCEGO SZYMPANSA

„New York Times”, później zamieszczono sprostowanie

NA SUMATRZE WIDZIANO ORANGUTANA POLIGLOTE

„Los Angeles Times”

I wreszcie grupa turystów z Indonezji, którzy przysięgają, że w dżungli na Borneo zwyzywał ich orangutan. Według ich relacji małpa obrzucała ich wyzwiskami w języku niderlandzkim i francuskim, z czego wynikałoby, że była od nich o wiele inteligentniejsza. Nie pojawiły się jednak żadne nagrania głosu gadającej małpy, co pozwala nam wyciągnąć wniosek, że wszyscy, którzy uwierzyli w tę historię, powinni bez trudu znaleźć zatrudnienie w obecnej administracji państwowej, gdzie gadających małp nie brakuje!

Countdown, program Keitha Olbermanna, MSNBC News; sprostowania nie było.

R005

No proszę - powiedział Charlie Huggins, patrząc w telewizor w kuchni swojego domu w San Diego. Dźwięk był wyłączony i Charlie czytał biegnące u dołu ekranu napisy. - Piszą że na Sumatrze widziano gadającą małpę.

- Chyba słyszano? - spytała jego żona. Przygotowywała śniadanie. Zerknęła przelotnie na ekran.

- No tak. Ale ważne jest to, że ktoś ją widział.

- Gdyby jej nie słyszał, nie wiedziałby, że gada. - Żona Charliego uczyła angielskiego w liceum.

Ceniła precyzję wypowiedzi.

- Zgoda, kotku. Ale tu po prostu podają że jacyś ludzie w dżungli na Sumatrze rozmawiali z małpą.

- Nie wiedziałam, że małpy potrafią mówić.

- Tak napisali.

- No to kłamią.

- Myślisz? Czyja wiem... Britney Spears jednak się nie rozwodzi. Od razu mi ulżyło. Prawdopodobnie znowu spodziewa się dziecka. Na zdjęciach rzeczywiście wygląda, jakby była w ciąży. Posh Spice była na jakiejś gali w pięknej zielonej sukience. A Sting twierdzi, że może zmieniać pozycje seksualne przez osiem godzin bez przerwy.

- Sadzone?

- Tantryczne.

- Pytałam o jajka.

- Jajecznicę, proszę.

- Zawołaj dzieci. Śniadanie prawie gotowe.

- Dobra.

Charlie wstał i ruszył w stronę schodów. Przechodził obok salonu, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonili z laboratorium.

Henry Kendall siedział w laboratorium Radial Genomics Inc., w eukaliptusowym gaju Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego, bębnił palcami w blat biurka i czekał, aż Charlie podniesie słuchawkę. Telefon zadzwonił już trzy razy. Gdzie on się podziewa, do cholery? W końcu usłyszał głos Charliego:

- Słucham?

- Charlie? Słyszałeś?
- O czym?
- O tej małpie z Sumatry, jak rany...
- Przecież to bzdura.
- Dlaczego?
- Henry, daj spokój. Dobrze wiesz, że to jakiś absurd.
- Podobno mówiła po niderlandzku.
- Pieprzenie.
- To pewnie robota ekipy Uttenbroeka.
- Niemożliwe. To był dorosły orangutan, dwu-, trzylatek.
- Co z tego? Uttenbroek mógł to zrobić kilka lat temu. Jego zespół jest dostatecznie zaawansowany. Poza tym wszyscy ci goście z Utrechtu to łgarze.
Charlie Huggins westchnął ciężko.
- W Holandii prowadzenie takich badań jest nielegalne.
- Właśnie. Dlatego pojechali na Sumatrę.
- Henry, to zbyt skomplikowane; nie dysponujemy taką technologią. Trans-geniczna małpa to pieśń przyszłości. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.
- Wcale nie. Słyszałeś, co wczoraj ogłosił Utrecht? Pobrali komórki macierzyste od byka i wszczepili je samcom myszy do jąder. To dopiero jest skomplikowane, nie uważasz? Ostra jazda.
- Zwłaszcza dla byków.
- Mnie to nie bawi.
- To wyobraź sobie biedne myszki, wlokące za sobą sine bycze jajca.
- Jakoś nadal mi nie do śmiechu...
- Chcesz powiedzieć, że usłyszałeś w telewizji o gadającej małpie i w to uwierzyłeś?
- Chyba tak.
- Henry... - Charlie zaczynał się irytować. - To jest telewizja. To taka sama bajka jak historia o wężu z dwoma głowami. Weźże się w garść.
- Ta o wężu z dwoma głowami była prawdziwa.
- Muszę odwieźć dzieci do szkoły. Później pogadamy. - Charlie odłożył słuchawkę. Sukinsyn. To nie on, tylko żona odwozi dzieci.
Unika mnie.
Henry Kendall przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, wyjrzał przez okno, pospacerował chwilę po laboratorium. Odetchnął głęboko. Charlie ma rację, naturalnie. To musi być kaczka dziennikarska. A jeśli nie?
Henry Kendall rzeczywiście był z natury nerwowy. Czasem kiedy mówił, ręce mu się trzęsły, zwłaszcza gdy coś go wzburzyło. No i był strasznym niezgrabą - wiecznie się o coś potykał i wpadał na sprzęty w laboratorium. Miał charakter wrzodowca. Zawsze się czymś zamartwiał.
Nie mógł jednak powiedzieć Charliemu, że prawdziwym powodem jego niepokoju jest pewna rozmowa sprzed tygodnia. Wtedy wydała mu się bez znaczenia. Teraz nabrała złowrogiego sensu.
Jakaś nierozgarnięta sekretarka z Narodowego Instytutu Zdrowia zadzwoniła do niego do laboratorium. Odebrał i usłyszał pytanie:
- Pan doktor Henry A. Kendall? - Tak, słucham..
- Czy to prawda, że cztery lata temu przebywał pan w NIZ na półrocznym urlopie naukowym?
- Zgadza się.
- Od maja do października?

- Chyba tak. O co chodzi?
- Czy pracował pan wtedy między innymi w ośrodku badań nad naczelnymi w Marylandzie?
- Tak.
- Czy to prawda, że kiedy w maju przyszedł pan do NIZ, został pan poddany standardowym testom na nosicielstwo chorób zakaźnych, właśnie dlatego, że miał pan pracować z naczelnymi?- Tak, to prawda. - Zrobili mu całą masę badań: testy na HIV, żółtaczkę, grypę i mnóstwo innych. Upuścili mu sporo krwi. - Mogę zapytać, o co chodzi?
- Uzupełniam dokumentację dla doktora Bellarmino. Henry'emu ciarki przeszły po plecach. Rob Bellarmino był szefem wydziału genetyki w NIZ - nowym szefem, cztery lata temu, kiedy Henry odbywał tam staż, kto inny zajmował to stanowisko. Bellarmino nie darzył szczególną sympatią ani jego, ani Hugginsa.
- Pojawił się jakiś problem?
- Nie, nie, po prostu część dokumentów zaginęła, a doktor Bellarmino przywiązuje wielką wagę do porządku w papierach. Czy w ośrodku badań nad naczelnymi przeprowadzał pan jakieś doświadczenia na szympanicy Mary, numer laboratoryjny F-402?
- Wie pani, nie pamiętam takich szczegółów... To było dawno, badałem wtedy kilka szympanów... Nie przypominam sobie.
- Była wtedy w ciąży.
- Przykro mi, ale naprawdę nie pamiętam.
- Tamtego lata wybuchła epidemia zapalenia opon mózgowych i większość szympanów poddano kwarantannie. Zgadza się?
- Tak, to pamiętam. Rozesłano je po całym kraju, do różnych ośrodków.
- Dziękuję panu, doktorze. Ale jak już mam pana przy telefonie... Mogłabym potwierdzić pański adres? La Jolla, Marbury Madison Drive 348?
- Tak.
- Dziękuję, doktorze Kendall.

Na tym rozmowa się zakończyła, a Henry pomyślał tylko, że Bellarmino to podstępny skurczybyk i nigdy nie wiadomo, co knuje. Teraz jednak, ta małpa na Sumatrze... Pokręcił głową.

Charlie Huggins może się spierać do woli, ale faktów nie zmieni: naukowcom udało się stworzyć transgeniczną małpę, i to dawno temu. A teraz transgenicznych ssaków jest całe mnóstwo: psy, koty, wszystko. Nie można wykluczyć, że gadający orangutan to właśnie osobnik transgeniczny.

W NIZ zajmował się genetycznymi uwarunkowaniami autyzmu. Wybrał ośrodek prowadzący badania nad naczelnymi, bo chciał sprawdzić, które geny odpowiadają za różnicę w zdolnościach porozumiewania się ludzi i małp. Badał małpie embriony. Nic z tego nie wynikło - właściwie nawet dobrze nie zaczął, kiedy wybuchła epidemia. Skończyło się na tym, że wrócił do Bethesdy i przez resztę urlopu pracował w laboratorium.

Nic więcej nie wiedział.

W każdym razie nic pewnego.

LUDZIE JESZCZE DO NIEDAWNA KRZYŻOWALI SIĘ Z SZYMPANSAMI *Rozdzielenie gatunków to nie koniec seksu Genetyka przynosi kontrowersyjne rewelacje*

Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda i MIT wykazali, że wykształcenie się człowieka i szympana jako odrębnych gatunków nastąpiło znacznie później, niż dotychczas przypuszczano. Genetycy od dawna wiedzieli, że małpy i ludzie mieli wspólnego przodka, który żył około osiemnastu milionów lat temu. Pierwsze - przed szesnastoma milionami lat od wspólnego pnia odszczepiły się gibbony. Cztery miliony lat później przyszła pora na orangutany, a po kolejnych dwóch milionach - na goryle.

Najpóźniej, bo zaledwie dziewięć milionów lat temu, wyodrębnił się gatunek szympanów. Tymczasem po tym, jak w 2001 roku udało się odkodować ludzki genom, okazało się, że różni się od genomu szympana zaledwie w 1,5%, to około pięciuset genów, czyli znacznie mniej, niż oczekiwano. W 2003 roku naukowcy rozpoczęli katalogowanie genów różniących człowieka od szympana. Obecnie nie ulega już wątpliwości, że wiele białek strukturalnych, w tym hemoglobina i cytochromy c, jest identycznych. Krew ludzka niczym nie różni się od krwi szympana. Jeśli jednak te dwa gatunki rozdzieliły się przed dziewięćmioma milionami lat, jak to możliwe, że są tak bardzo do siebie podobne?

Genetycy z Uniwersytetu Harvarda uważają, że ludzie krzyżowali się z szympanami jeszcze długo po tym, jak wykształciły się dwa odrębne gatunki. Tego rodzaju krzyżowanie się, zwane hybrydyzacją, wywiera presję ewolucyjną na chromosom X i wywołuje w nim przyspieszone zmiany. Naukowcy stwierdzili, że najnowsze geny w genomie człowieka występują właśnie w chromosomie X.

Stąd wniosek, że nasi przodkowie krzyżowali się z szympanami jeszcze przez jakieś pięć i pół miliona lat, kiedy to rozdział gatunków się utrwalił. Ta konkluzja stoi w sprzeczności z powszechnie podzielanym poglądem, że po wyodrębnieniu się gatunków hybrydyzacja staje się czynnikiem „zaniedbywalnym”. Według doktora Davida Reicha z Uniwersytetu Harvarda nie można jednak wykluczyć, że u innych gatunków nie obserwujemy hybrydyzacji tylko dlatego, że „po prostu nigdy jej nie szukaliśmy”.

Genetycy podkreślają jednocześnie, że obecnie krzyżowanie się człowieka z szympansem jest absolutnie niemożliwe. Zwracają uwagę na fakt, że wszystkie doniesienia prasowe o rzekomych „szympoludziach” okazywały się nieprawdziwe.

R006

BioGen Research Inc. mieścił się w powleczonym tytanem sześcianie, wybudowanym w parku przemysłowym Westview Village na południu Kalifornii. Majestatyczny sześcian, górujący nad ruchliwą autostradą numer 101, był realizacją pomysłu prezesa BioGenu, Ricka Diehla, który upierał się, by nazywać bryłę heksaedrem. Gmach budził podziw i emanował nowoczesnością, nie odsłaniając zarazem wnętrza - i o to właśnie chodziło Diehlowi.

BioGen wynajmował również prawie cztery tysiące metrów kwadratowych zwykłej powierzchni magazynowej w innym, odległym o trzy kilometry parku przemysłowym. Tam trzymano zwierzęta, tam też ulokowano bardziej niebezpieczne laboratoria.

Josh Winkler, obiecujący młody naukowiec, wziął z półki przy wejściu do zwierzętarni gumowe rękawiczki i chirurgiczną maseczkę. Tom Weller, jego asystent, czytał przyklepiony do ściany wycinek z gazety.

- Chodź, Tom. Idziemy.

- Diehl na pewno robi w gacie ze strachu - stwierdził Weller, wskazując wycinek. Czytałeś?

Josh odwrócił się i spojrzał na artykuł skserowany z „Wall Street Journal”:

NAUKOWCY WYZOŁOWALI GEN WŁADZY Genetyczna podstawa do sterowania ludźmi?

TULUZA, FRANCJA. Zespół francuskich biologów wyizolował gen, który sprawia, że ludzie usiłują narzucać swoją wolę innym. Genetycy z Instytutu Biochemii uniwersytetu w Tuluzie, kierowani przez doktora Michela Narcejac-Boileau, poinformowali o swoim osiągnięciu w dniu dzisiejszym na konferencji prasowej. „Jest to gen związany z dominacją w społeczności i potrzebą kontrolowania ludzi - mówi Narcejac-Boileau. - Odkryliśmy go u najlepszych sportowców, prezesów firm i głów państw. Przypuszczamy, że znaleziono by go również u wszystkich dyktatorów w dziejach ludzkości”. Doktor Narcejac-Boileau wyjaśnił, że w silniejszej postaci gen prowadzi do wykształcenia osobowości dyktatorskiej, w słabszej zaś heterozygotycznej odpowiada za „umiarkowane zapędy

quasi-totalitarne”, czyli potrzebę mówienia innym, co mają zrobić ze swoim życiem - oczywiście dla własnego dobra i bezpieczeństwa.

„W testach psychologicznych osoby ze słabszą formą genu twierdzą, że inni potrzebują ich opinii, bez których nie potrafią poradzić sobie z życiem. Tę postać genu władzy znaleźliśmy u polityków, doradców, fundamentalistów religijnych i sław showbiznesu. Jego działanie objawia się przesadną pewnością siebie, przekonaniem o własnej wyjątkowości oraz starannie hołubioną niechęcią do tych, którzy nie zechcą słuchać”.

Doktor Narcejac-Boileau zaleca jednak umiar w interpretacji wyników badań.

„Wielu ludzi, którzy próbują kontrolować poczynania innych, chciałoby po prostu, żeby wszyscy byli do nich podobni. Nie znoszą odmienności”.

To stwierdzenie tłumaczyłoby paradoksalny z pozoru wynik badań - ten mianowicie, że osoby, u których gen przejawia się w formie umiarkowanej, są najbardziej tolerancyjne wobec społeczeństw autorytarnych i rządów twardej ręki.

„Z naszych badań wynika, że gen tworzy nie tylko osobę skłoną rządzić innymi, ale zarazem i taką, która chce, by nią rządzić. Ustrój totalitarny jest dla takich ludzi szczególnie atrakcyjny”.

Narcejac-Boileau zauważa również, że tacy ludzie są szczególnie podatni na różnego rodzaju mody i nie wyrażają głośno opinii niepopularnych w ich środowisku.

- „Szczególnie podatni na różnego rodzaju mody” - powtórzył Josh. - To ma być żart?

- Nie, to marketing. Dzisiaj we wszystkim jest marketing. Czytaj dalej.

Mimo że Francuzi nie odważyli się obwieścić, że obecność genu w łagodnej postaci jest w istocie wadą genetyczną („uzależnieniem od przynależności”, jak to ujął doktor Narcejac-Boileau), zasugerowali niedwuznacznie, że presja ewolucyjna popycha ludzkość ku coraz większemu konformizmowi.

- To się w głowie nie mieści - stwierdził Josh. - Jacyś goście w Tuluzie urządzają konferencję prasową a cały świat już powtarza ich bajki o „genie władzy”? Opublikowali to w jakimś branżowym piśmie?

- Nie, po prostu zwołali konferencję. Nie mają publikacji i w ogóle o niej nie wspominają.

- Co dalej? Gen niewolnictwa? To jakiś kit. - Josh zerknął na zegarek.

- To znaczy, chciałbyś, żeby to był kit.

- No, chciałbym. Bo na pewno przeczy rewelacjom, które zamierza ogłosić BioGen.

- Myślisz, że Diehl przełoży to na kiedy indziej?

- Mógłby. Ale on nie lubi czekać. A od powrotu z Vegas jest wyjątkowo nerwowy. Josh naciągnął rękawiczki, włożył okulary ochronne i papierową maseczkę na usta. Wziął do ręki piętnastocentymetrowy cylinder ze sprężonym powietrzem i nakręcił na niego fiolkę z retrowirusem. Całość miała wielkość pojemnika na cygaro. Na wierzchu zamontował jeszcze odwrócony plastikowy stożek i docisnął go kciukiem.

- Weź palmtop. Weszli do zwierzętarni.

Silna, słodkawa woń szczurów była znajoma: w zwierzętarni przebywało pięćset, może sześćset osobników - wszystkie w starannie opisanych klatkach, ustawionych pod ścianami w stosach wysokich na dwa metry. Środkiem biegł korytarz.

- Co dziś podajemy? - zainteresował się Weller.

Josh odczytał ciąg liczb, które Tom sprawdzał po kolei na palmtopie. Podeszli do klatek z przewidzianymi na ten dzień numerami: pięć klatek, pięć szczurów - białych, grubiotkich, zwyczajnych.

- Wyglądają normalnie. To druga dawka?

- Tak.

- No dobra, chłopaki - powiedział Josh. - Bądźcie mili dla tatusia.

Otworzył pierwszą klatkę i złapał siedzącego w niej szczura. Przycisnął go dłonią przytrzymał kciukiem i palcem wskazującym za kark i nakrył mu pyszczyk białym plastikowym stożkiem zamontowanym na końcu cylindra. Stożek zamglił się parą wodną z oddechu zwierzęcia. Krótki syk obwieścił uwolnienie wirusa. Josh trzymał szczura jeszcze przez dziesięć sekund, aby ten wciągnął specyfik do płuc, a potem wypuścił go z powrotem do klatki.

- Jeden z głowy.

Tom Weller odhaczył pierwszą pozycję na palmtopie i przeszedł do następnej klatki.

Retrovirus został zmodyfikowany: wprowadzono do niego gen znany jako ACMPD3N7 z rodziny genów

aminokarboksymukonianu paraldehydu;

sterujących

w BioGenie

wytwarzaniem dekarboksylazy nazywali go po prostu genem dojrzałości. Aktywowany ACMPD3N7 wpływał na reakcje jądra migdałowatego i zakrętu obręczy w mózgu, czego efektem było przyspieszenie dojrzewania - przynajmniej u szczurów: bardzo młode samice o wiele wcześniej niż zwykle przejawiały zachowania macierzyńskie, czyli na przykład przetaczały bobki w klatkach z miejsca na miejsce. A BioGen dysponował również wstępnymi dowodami działania genu dojrzałości u małąp z gatunku rebus.

ACMPD3N7 zainteresował naukowców ze względu na jego możliwy związek z chorobami, w których następuje degeneracja nerwów - jedna z teorii głosiła, że degeneracja tkanki nerwowej jest wynikiem zakłócenia procesów dojrzewania w mózgu. Gdyby to była prawda, gdyby gen przyczyniał się do wywołania na przykład alzheimera czy innej choroby wieku podeszłego, jego wartość handlowa byłaby ogromna.

Josh stał przy następnej klatce i nakładał plastikowy kapturek drugiemu szczurowi, kiedy w kieszeni na piersi rozdzwonił mu się telefon komórkowy. Kiwnął na Toma, żeby go wyjął.

Tom spojrzał na wyświetlacz.

- Twoja matka.

- O rany... Zastąpisz mnie na chwilę?

- Co robisz, Joshua?

- Pracuję, mamó.

- A mógłbyś zrobić sobie przerwę? - Nie bardzo...

- To ważne, Josh. Westchnął.

- Co tym razem przeszkrobał?

- Nie wiem. Ale jest w areszcie, w śródmieściu.

- To niech go Charles wyciągnie.

Charles Silverberg był ich rodzinnym prawnikiem.

- Właśnie go wyciąga, ale Adam ma stanąć przed sądem. Ktoś musi go potem odwieźć do domu.

- Ja nie mogę. Pracuję.

- To twój brat, Josh.

- Ma trzydzieści lat. - Tak to wyglądało już od dawna. Adam, brat Josha, był bankierem inwestycyjnym, który pół życia spędzał na odwyku. - Nie może wrócić taksówką?

- W tej sytuacji byłoby to chyba nierozsądne.

- Co zrobił, mamó?

- Podobno kupił kokainę od podstawionej kobiety z DEA.

- Znowu?

- Joshua. Odbierzesz go czy nie? Przeciągle westchnienie.

- Dobrze, mam. Odbiorę.

- Pojedziesz od razu? - Tak, mam. Już jadę.

Zamknął telefon i odwrócił się do Wellera.

- Co ty na to, żebyśmy zrobili sobie dwie godzinki przerwy?

- Nie ma sprawy. I tak muszę nadgonić papierkową robotę.

Joshua zdjął rękawiczki i wyszedł. Metalowy cylinder, okulary i maskę schował do kieszeni kitla, odpiął czujnik promieniowania i popędził do samochodu.

Jadąc do centrum, zauważył cylinder - wystawał z kieszeni rzuconego na sąsiedni fotel kitla. Jeśli chciał przestrzegać procedur badawczych, powinien wrócić do laboratorium najpóźniej o siedemnastej i poddać pozostałe przewidziane na ten dzień szczury działaniu retrowirusa. Takie właśnie zamiłowanie do porządku i gotowość przestrzegania przepisów najbardziej różniły go od brata.

Kiedyś Adam miał wszystko: był przystojny, popularny, wysportowany. W elitarnym liceum Westfield School nieprzerwanie odnosił sukcesy: był redaktorem szkolnej gazetki, kapitanem drużyny piłkarskiej, przewodniczącym klubu dyskusyjnego, stypendystą federalnym. Co innego Josh, urodzony pechowiec: niski, gruby i niezdarly. Chodził jak kaczkę, kołysząc się na boki - i nic nie mógł na to poradzić. Matka upierała się, żeby nosił buty ortopedyczne, ale to nie pomagało. Dziewczyny nim pogardały; słyszał, jak chichoczą na jego widok. Szkoła średnia była dla Josha koszmarem i nie spisał się w niej najlepiej. Adam poszedł do Yale, Josh z trudem dostał się do państwowego Emerson College.

Od tamtej pory dużo się zmieniło. Przed rokiem wylali Adama z Deutsche Banku; stale miał kłopoty z narkotykami. Josh natomiast zaczął karierę w BioGenie jako zwykły asystent, ale szybko awansował, gdy w firmie poznali się na jego zmyśle do wynalazków i docenili ciężką pracę. Miał udziały w firmie i jeżeli któryś z bieżących projektów - na przykład gen dojrzałości - wypali, będzie bogaty. A Adam...

Zatrzymał się przed budynkiem sądu. Nieogolony Adam w zeszmaczonym, brudnym garniturze siedział na schodach ze wzrokiem wbitym w ziemię. Charles Silverberg stał nad nim i rozmawiał przez komórkę.

Josh zatrąbił. Charles pomachał do niego i odszedł, a Adam wszedł do samochodu.

- Dzięki, braciszku. - Trzasnął drzwiami. - Doceniam to.

- Nie ma sprawy.

Josh włączył się do ruchu. Spojrzał na zegarek: zdąży jeszcze odwiedzić Adama do domu matki i wrócić do laboratorium przed piątą.

- Przeszkodziłem ci w czymś? - spytał Adam.

To było w nim najbardziej denerwujące: lubił mącić innym w życiu. Ba, wydawało się wręcz, że sprawia mu to przyjemność.

- Prawdę mówiąc, tak. Przeszkodziłeś.

- Przykro mi.

- Przykro? Jak by ci było przykro, przestałbyś się wydurniać.

- Ej! Skąd miałem wiedzieć? To była pułapka, nawet Charles tak mówi. Ta suka mnie wrobiła. Charles powiedział, że z łatwością mnie wyciągnie.

- Nie wrobiłaby cię, gdybyś nie brał.

- Wal się! Nie praw mi kazań.

Josh umilkł. Po co w ogóle o tym wspominał? Po tylu latach wiedział, że cokolwiek powie, i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Milczenie się przedłużało.

- Przykro mi - powtórzył Adam.

- Wcale nie.

- Racja. - Adam zwiesił głowę i westchnął teatralnie. - Oczywiście. Znow spieprzyłem sprawę. Adam skruszony.

Josh widział to już wielokrotnie. Adam bojowy. Adam skruszony. Adam logiczny. Adam zaprzeczający. I zawsze na prochach. Za każdym razem.

Zaświeciła kontrolka na desce rozdzielczej: rezerwa. Akurat zbliżali się do stacji benzynowej.

- Muszę zatankować.

- Dobrze się składa. Ja się muszę odlać.

- Zostaniesz w wozie.

- Muszę się wysikać, stary!

- Zostaniesz w wozie, łajzo! - Josh zajechał pod dystrybutor i wysiadł. - Tak, żebyś cię cały czas widział.

- Nie chciałbym ci się zlać na siedzenie.

- Lepiej nie. - Ale...

- Wytrzymasz!

Josh wsunął kartę kredytową w szczelinę i zaczął napełniać bak. Spojrzał przez tylną szybę na brata, potem na zmieniające się cyferki. Benzyna ostatnio piekielnie zdrożała. Chyba powinien pomyśleć o jakimś tańszym w utrzymaniu wozie.

Odwiesił pistolet i usiadł za kierownicą. Zerknął na Adama - brat miał dziwną minę. W samochodzie unosił się podejrzany zapach.

- Adam?

- Co?

- Co zrobiłeś?

- Nic.

Josh uruchomił silnik. Ten zapach... Kątem oka zauważył jakiś odblask. Spojrzał na podłogę po stronie brata i zobaczył srebrny cylinder. Podniósł go - coś bardzo lekki.

- Adam?...

- Nic nie zrobiłem!

Josh potrząsnął cylindrem. Pusty.

- Myślałem, że to jakaś fajna szpryca.

- Ty debilu.

- Czego się czepiasz? Nie zrobiłem nic złego.

- To dla szczurów. Nałykałeś się szczurzego wirusa. Adam osunął się na oparcie fotela.

- To źle?

- Na pewno nie za dobrze.

Zanim dotarli do domu matki w Beverly Hills, Josh przemyślał całą sprawę i doszedł do wniosku, że Adamowi nic nie grozi. Retrowirus był ukierunkowany na działanie na myszy i nawet gdyby się okazało, że wpływa na człowieka, dawkę obliczono dla zwierzęcia ważącego osiemset gramów. Adam był sto razy cięższy. Ryzyko? Znikome.

- Czyli co? Nic mi nie będzie? - upewnił się Adam. - Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.
- Przepraszam. - Adam wysiadł. - Dzięki za podwiezienie. Na razie, braciszku.
- Poczekam, aż wejdiesz do środka.

Josh odprowadził brata wzrokiem, gdy ten przeszedł przez podjazd i zapukał do drzwi. Otworzyła mu matka. Adam przestąpił próg i drzwi się zamknęły. Matka nawet nie spojrzała na Josha. Uruchomił silnik i odjechał.

R007

Punktualnie o dwunastej Alex Burnet wyszła z kancelarii Century City. Nie miała daleko do domu: wraz ze swoim ośmioletnim synkiem mieszkała przy Roxbury Park. Jamie był przeziębiony, więc nie posłała go do szkoły. Jej ojciec się nim opiekował.

Zastała go w kuchni; przygotowywał makaron z serem - jedyną potrawę, jaką chory Jamie jadał.

- Co z nim? - spytała.
- Gorączka spadła. Ale dalej ma katar i kaszle.
- Zgłodniał?
- Dopiero niedawno. Poprosił o makaron.
- To dobry znak. Chcesz, żebym się tym zajęła? Ojciec pokręcił głową.
- Dam sobie radę. Nie musiałaś wracać.
- Wiem. - Alex zawiesiła głos. - Sąd wydał wyrok.
- Kiedy?
- Dziś rano.
- I co?
- Przegraliśmy.

Ojciec dalej mieszał makaron.

- Wszystko?
- Tak. Nie uznali naszych argumentów. Nie masz prawa do swoich tkanek. Sąd uznał, że są to „odpady” i że zleciłeś uniwersytetowi, żeby pozbył się ich za ciebie. W uzasadnieniu stwierdził, że kiedy tkanki zostały wypreparowane z ciała, straciłeś do nich wszelkie prawa i uczelnia może z nimi zrobić, co zechce.
- Ale oni kazali mi przychodzić i...
- Sąd twierdzi, że każdy rozsądny człowiek domyśliłby się, że tkanki pobiera się od niego w celach komercyjnych, a zatem twoje milczenie oznaczało zgodę.
- Powiedziano mi, że jestem chory.
- Sąd odrzucił nasze argumenty. Wszystkie, co do jednego.
- Zostałem okłamany.
- Wiem, ale według sądu dobrze rozumiany interes publiczny wymaga popierania naukowych badań medycznych. Gdyby teraz przyznano ci prawo do twoich tkanek, wpłynęłoby to niekorzystnie na przyszłość takich badań. Takie właśnie racje im przyświecały: dobro ogółu.
- Dobro ogółu nie miało tu nic do rzeczy! Chodziło o kasę, na litość boską o trzy miliardy dolarów...
- Wiem, tato. Uczelniom zawsze chodzi o pieniądze. A ten sąd oparł się na wyroku innego kalifornijskiego sędziego, z 1980 roku, w sprawie Moore’a. Wtedy też uznano, że pobrane od Moore’a tkanki to odpady, więc nie ma prawa o nich decydować. Potem przez ponad dwadzieścia lat nikt do tego nie wracał.
- Co teraz?
- Odwołamy się. Mamy wprawdzie wątpliwe podstawy, ale bez apelacji nie możemy pójść do sądu stanowego.

- Kiedy?

- Za rok.

- Jest w ogóle jakaś szansa?

- W żadnym wypadku - powiedział Albert Rodriguez, obracając się na fotelu i spoglądając na jej ojca. Wraz z innymi prawnikami UCLA przyszedł do biura Alex po ogłoszeniu wyroku. - Odwołanie nie ma szans powodzenia, panie Burnet.

- Dziwię się, że jest pan taki pewny wyroku - stwierdziła Alex.

- Nie, nie wiem, jaką decyzję podejmie sąd. Chodziło mi tylko o to, że przegracie bez względu na wyrok.

- Dlaczego?

- UCLA to uczelnia stanowa. Rada naukowa uniwersytetu jest gotowa w imieniu stanu Kalifornia zająć komórki pobrane od pani ojca. Przymusowe wywłaszczenie.

- Słucham?!

- Jeżeli nawet sąd drugiej instancji uzna, że komórki pani ojca istotnie są jego własnością co uważamy za mało prawdopodobne, stan i tak wejdzie w ich posiadanie dla dobra ogółu. Prawo przymusowego wywłaszczenia pozwalało władzom stanowym zająć własność prywatną bez zgody właściciela. Niemal za każdym razem uzasadniano je dobrem ogółu.

- Ale przymusowe wywłaszczenie stosuje się w przypadku gruntów pod szkoły i autostrady, a nie...

- W tym przypadku stan może je zastosować. I robi to. Ojciec patrzył na nich jak rażony gromem.

- Pan żartuje.

- Nie, panie Burnet. Stan w majestacie prawa zawłaszczy pańskie komórki.

- Po co więc dziś się spotkaliśmy? - spytała Alex.

- Uznaliśmy za stosowne zapoznać państwa ze wszystkimi aspektami sytuacji. Pomyśleliśmy, że może zrezygnujecie państwo z dalszego postępowania.- Sugeruje pan, abyśmy nie składali apelacji?

- Swojemu klientowi to właśnie bym doradził.

- Zakończenie postępowania przyniesie stanowi znaczne oszczędności.

- Wszystkim, nie tylko stanowi.

- Jakie wobec tego proponuje pan warunki ugody?

- Żadnych, panno Burnet. Przykro mi, ale najwyraźniej się nie zrozumieliśmy. To nie są negocjacje. Chcieliśmy tylko przedstawić nasze stanowisko, abyście mogli państwo podjąć najlepszą dla was decyzję, dysponując pełnymi informacjami.

Ojciec Alex odchrząknął.

- Mówi pan, że bez względu na wyrok sądowy i tak zabierzecie moje komórki. Sprzedaliście je za trzy miliardy dolarów i tych pieniędzy nie zwrócicie.

- Powiedziane bez ogródek... Ale dokładnie tak jest.

Spotkanie się skończyło. Rodriguez i jego ludzie podziękowali Alex i jej ojcu za poświęcony im czas, pożegnali się i wyszli. Alex kiwnęła głową ojcu i wyszła za nimi. Burnet przyglądał się przez szybę, jak dalej rozmawiają.

- To dranie - mruknął. - W jakim my świecie żyjemy?

- Z ust mi pan to wyjął - powiedział ktoś za jego plecami. Burnet się odwrócił.

Młody mężczyzna w okularach w rogowych oprawkach siedział w kącie sali konferencyjnej. Przyszedł, kiedy spotkanie już trwało. Przyniósł kawę i kubki, postawił je na niskim stoliku z boku, a potem usiadł w kącie i ani razu się nie odezwał. Burnet przypuszczał, że jest stażystą czy kimś w tym rodzaju, ale kiedy przemówił, w jego głosie brzmiała pewność siebie.

- Mówiąc wprost, panie Burnet, został pan wydymany. Okazało się, że takie komórki jak pańskie są

ogromnie rzadkie i, w związku z tym, niezwykle cenne. Są bardzo wydajnymi fabrykami cytokin, związków chemicznych zwalczających raka. I to właśnie jest prawdziwy powód, dla którego pan wyzdrowiał: pańskie komórki produkują cytokiny znacznie szybciej niż jakikolwiek sztuczny, dostępny komercyjnie proces. Nic dziwnego, że są warte fortunę. Lekarze z UCLA niczego nie wymyślili ani nie stworzyli, nie dokonali żadnej modyfikacji genetycznej. Po prostu wzięli pańskie komórki, wyhodowali całą kulturę, a potem sprzedali ją BioGenowi. A pana, przyjacielu, wydymali.

- Kim pan jest?

- W dodatku nie ma pan co liczyć na sprawiedliwość - ciągnął młody człowiek ponieważ sądy są w tej materii kompletnie zielone. Nie mają pojęcia o tym, jak szybko zachodzą zmiany, nie rozumieją że my już żyjemy w nowym świecie, nie zdają sobie sprawy z postępu. A że w sprawach technicznych sędziowie są absolutnymi ignorantami, nie rozumieją stosowanych, a w tym przypadku niestosowanych, procedur. Pańskie komórki skradziono i sprzedano, to jasne i proste. A sąd?

Burnet westchnął ciężko.

- Ale złodzieje mogą jeszcze zostać ukarani - dodał tamten.

- W jaki sposób?

- Ponieważ UCLA nic nie zmienił w pańskich komórkach, inna firma mogłaby je wziąć, dokonać w nich mało znaczących modyfikacji genetycznych i sprzedać je jako nowy produkt.

- Ale BioGen już je ma.

- To prawda. Tyle że kultury komórkowe to delikatne zabawki. Może im się coś przydarzyć.

- Co pan ma na myśli?

- Są podatne na zakażenia grzybami, infekcje bakteryjne, zanieczyszczenia, mutacje... Różnie może być.

- BioGen na pewno się zabezpieczył.

- Oczywiście. Ale zabezpieczenia bywają niewystarczające.

- Kim pan jest? - powtórzył Burnet. Rozejrzał się. Za szklanymi ścianami sali konferencyjnej po biurze kręcili się różni ludzie. Córki nigdzie nie widział.

- Nikim. Nigdy się nie spotkaliśmy.

- Da mi pan swoją wizytówkę? Młody mężczyzna pokręcił głową.

- Mnie tu nie ma, panie Burnet.

- Moja córka... - Burnet zmarszczył brwi.

- O niczym nie wie. Nie znam jej ani ona mnie. To sprawa między nami dwoma.

- Sugeruje pan nielegalne działania.

- Niczego nie sugeruję. Nigdy mnie pan nie widział. Zastanówmy się jednak, jak mogłoby to wyglądać.

- No dobrze.

- W tym momencie nie może pan legalnie sprzedać swoich komórek, ponieważ sąd uznał, że nie są już pana własnością. Należą do BioGenu. Można je jednak uzyskać z wielu różnych miejsc. Nieraz oddawał pan krew. Czterdzieści lat temu był pan w Wietnamie: armia pobrała krew. Dwadzieścia lat temu przeszedł pan operację kolana w San Diego. W szpitalu nie tylko pobrali panu krew, ale też zachowali fragment chrząstki. Konsultował się pan z wieloma lekarzami, którzy też robili panu badania krwi. Laboratoria nie pozbyły się tych próbek, więc z krwią nie byłoby problemu. Można ją pozyskać z ogólnodostępnych banków krwi, gdyby na przykład okazało się, że inna firma chce użyć pańskich komórek.

- A co z BioGenem?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

- Biotechnologia to niewdzięczny biznes. Codziennie dochodzi do zanieczyszczenia próbek. Jeśli w laboratorium BioGenu coś się wydarzy, to przecież nie pańskie zmartwienie, prawda?

- Ale jak...

- Nie mam pojęcia. Wszystko się może zdarzyć. Na chwilę zapadła cisza.

- Dlaczego miałbym się zgodzić? - zapytał w końcu Burnet.

- Dostanie pan sto milionów dolarów.

- Za co?

- Za biopsję sześciu organów.

- Przecież możecie zdobyć moją krew z innych źródeł.

- Teoretycznie. Gdyby sprawa oparła się o sąd, tak właśnie należałoby twierdzić. Ale w praktyce każda firma wolałaby mieć świeże komórki.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Żaden problem. Proszę to przemyśleć, panie Burnet. - Młody człowiek wstał i poprawił okulary. -

Może naprawdę pana dymają ale to jeszcze nie powód, żeby im to ułatwiać.

„Alumni News”, publikacja Beaumont College DEBATA O KOMÓRKACH MACIERZYSTYCH TRWA Skuteczne kuracje „odległe o całe lata” Stwierdzenie profesora McKeowna wstrząsnęło słuchaczami

Max Thaler

Występując w Beaumont Hall, słynny profesor biologii Kevin McKeown zszokował licznie przybyłych słuchaczy stwierdzeniem, że badania komórek macierzystych to „okrutny żart”. „Ludziom wmawia się najzwyklejsze bajki - powiedział McKeown. - Wszystko po to, aby zapewnić finansowanie badań, a czyni się to kosztem ciężko chorych, których karmi się złudnymi nadziejami. Prawda zaś wygląda zupełnie inaczej”.

Jak wyjaśnił, komórki macierzyste wyróżniają się tym, że są zdolne przekształcić się w inne rodzaje komórek. Są ich dwa rodzaje. Dorosłe komórki macierzyste znajdują się wszędzie, w całym organizmie: w mięśniach, mózgu, wątrobie i tak dalej. Mogą produkować nowe komórki, ale wyłącznie tej tkanki, w której same występują. To dzięki nim w ciele człowieka co siedem lat następuje pełne odnowienie komórek. Badania nad komórkami dorosłymi nie budzą większych kontrowersji.

Istnieje jednak także drugi ich rodzaj - embrionalne komórki macierzyste. Badania nad nimi wywołują ogromne emocje. Embrionalne komórki macierzyste występują w krwi pępowinowej, można je także pobrać z młodych zarodków. Są pluripotenne, co oznacza, że może się z nich rozwinąć każdy rodzaj tkanki. Badania nad nimi budzą wątpliwości, ponieważ wiążą się z wykorzystaniem ludzkich embrionów, a te zdaniem wielu ludzi kierujących się przesłankami religijnymi, ale nie tylko - mają pełnię praw przysługujących człowiekowi. Ta debata trwa już od dłuższego czasu i nie zanoszą się na to, by rychło się rozstrzygnęła.

NAUKOWCY MÓWIĄ: TO ZAKAZ BADAŃ

Obecny rząd stoi na stanowisku, że embrionalne komórki macierzyste można pozyskiwać z istniejących linii laboratoryjnych, a nie z nowych embrionów. Specjaliści twierdzą jednak, że dostępne kolonie komórek macierzystych są niewystarczające, i postrzegają ten przepis jako de facto zakaz prowadzenia badań w tej dziedzinie. Dlatego odchodzą do prywatnych ośrodków naukowych, gdzie kontynuują swoje prace bez opierania się na grantach federalnych.

Ale prawdziwy problem nie polega wcale na niedostatku komórek. Rzecz w tym, że aby osiągnąć efekty terapeutyczne, każdy musiałby dysponować własnymi pluripotentnymi komórkami macierzystymi. Dopiero wtedy można by z nich odtworzyć uszkodzony organ, naprawić szkody

wyrządzone przez uraz albo chorobę czy uleczyć z paraliżu. I to jest wielkie marzenie o cudzie medycznym, które na razie nie może się spełnić. Nikt nie wie nawet w przybliżeniu, jak to osiągnąć - wiadomo tylko, że potrzeba do tego komórek macierzystych.

W przypadku noworodków wystarczy pobrać i zamrozić krew pępowinową; i tak się już robi. Ale co z dorosłymi? Skąd wziąć pluripotente komórki macierzyste u dorosłych? Oto jest pytanie.

JAK URZECZYWIŚNIĆ MARZENIE

Nam, osobom dojrzałym, pozostały tylko dorosłe komórki macierzyste, zdolne produkować pojedyncze typy tkanek. Co by się jednak stało, gdyby okazało się, że można zmienić komórki dorosłe w embrionalne? Taka procedura zapewniłaby każdemu człowiekowi źródło pluripotentyh komórek macierzystych. Ziściłby się terapeutyczny sen.

Okazuje się, że można cofnąć dorosłą komórkę w rozwoju do pożądanego stadium - w tym celu należy ją jednak wszczepić do komórki jajowej. Pewien czynnik w jaju cofa efekty zróżnicowania i z komórki dorosłej robi embrionalną. To dobra wiadomość, tyle że procedura w przypadku ludzkich komórek jest niezwykle skomplikowana. Poza tym gdyby nauczono się ją stosować u człowieka, ogromnie wzrosłoby zapotrzebowanie na ludzkie komórki jajowe. A to znów budzi kontrowersje.

Naukowcy na całym świecie szukają więc innych metod przekształcenia komórki dorosłej w pluripotentyh. Pewien biochemik z Szanghaju umieszcza ludzkie komórki macierzyste w jajach kurzych (ze zmiennym powodzeniem); są jednak tacy, którzy kręcą na to nosem. Trudno w pełni przewidzieć skutki stosowania tej metody.

Równie niepewna jest przyszłość wymarzonych zastosowań komórek macierzystych - przeszczepów bez ryzyka odrzucenia, leczenia uszkodzonego rdzenia kręgowego i tak dalej. Zwolennicy tych badań - przy niemałym zaangażowaniu mediów - od lat karmią opinię publiczną fałszywymi rewelacjami. Ludzi nieuleczalnie chorych zwodzi się nadzieją bliskiego wyleczenia, nadzieją jednak złudną. Praktyczne zastosowanie komórek macierzystych w terapii to wciąż pieśń przyszłości - odległej nawet nie o lata, lecz prawdopodobnie o całe dziesięciolecia. Anonimowo najwięksi specjaliści w branży przyznają, że dopiero około roku 2050 zyskamy pewność, czy leczenie za pomocą komórek macierzystych ma szansę powodzenia. Wskazują przy tym, że odkąd Watson i Crick zdekodowali gen, upłynęło czterdzieści lat, zanim zaczęto z powodzeniem stosować kuracje genetyczne.

SKANDAL, KTÓRY WSTRZAŚNĄŁ ŚWIATEM Kiedy koreański biochemik Hwang Woo-Suk w 2004 roku ogłosił, że dzięki somatycznemu transferowi jądrowemu (czyli wprowadzeniu do komórki jajowej) udało mu się stworzyć ludzką embrionalną komórkę macierzystą z dorosłej komórki, zapanowała atmosfera nadziei i wyczekiwania. Hwang słynął z pracoholizmu: w laboratorium spędzał po osiemnaście godzin na dobę, przez siedem dni w tygodniu. Jego ekscytujące doniesienie opublikował w marcu następnego roku „Science”. Naukowcy z całego świata zjechali do Korei. Nagle zaczęło się wydawać, że kuracja ludzkimi komórkami macierzystymi jest na wyciągnięcie ręki. Hwang został w Korei obwołany bohaterem i wyznaczono go na kierownika nowego, finansowanego przez rząd Centrum Badań nad Komórkami Macierzystymi.

Jednakże w listopadzie 2005 roku jego amerykański współpracownik z Pittsburgha oświadczył, że kończy z nim współpracę. Wkrótce potem jeden ze współpracowników Koreańczyka ujawnił, że komórki jajowe do eksperymentów zostały pozyskane w sposób sprzeczny z prawem od kobiet zatrudnionych w laboratorium Hwanga.

W grudniu 2005 Uniwersytet Narodowy w Seulu ogłosił, że zarówno same linie komórkowe Hwanga, jak i publikacja w „Science” były jedną wielką mistyfikacją. „Science” wycofał artykuły, a

Hwang czeka na proces karny. Tak w tej chwili wygląda sytuacja.

GROŹBA »GORĄCZKI MEDIALNEJ» „Jaką mamy z tego nauzkę? - pytał profesor McKeown.

- Przede wszystkim taką, że w świecie, w którym środki masowego przekazu są wszechobecne, ich nadmierne zainteresowanie uwiarygodnia nawet najbardziej niebywałe twierdzenia. Od lat zapowiada się w mediach, że badania nad komórkami macierzystymi doprowadzą do cudu w medycynie, nic więc dziwnego, że kiedy ktoś ogłosił, że cud już się stał, wszyscy mu uwierzyli. Czy z tego wynika, że nadmierne zainteresowanie mediów może być niebezpieczne? Ależ naturalnie: nie tylko budzi złudną, okrutną nadzieję u chorych, lecz ma także wpływ na poczynania naukowców, którzy zaczynają wierzyć, że cud jest tuż-tuż chociaż powinni przecież najlepiej znać prawdę. Jak temu zaradzić? Gdyby instytucjom naukowym rzeczywiście na tym zależało, najpóźniej po tygodniu sprawę by wyciszono. Tak się jednak nie dzieje, bo naukowcy kochają ten zgiełk. Wiedzą, że to on przynosi pieniądze. Dlatego w tej materii nic się nie zmieni. Yale, Stanford, Johns Hopkins - uczelniom zależy na rozgłosie nie mniej niż Exxonowi czy Fordowi; nie tylko uczelniom zresztą, także poszczególnym specjalistom. Tym bardziej że zarówno naukowcy, jak i całe instytucje biorą przykład z wielkich firm i coraz częściej w swoich poczynaniach kierują się rachunkiem ekonomicznym. Kiedy więc usłyszycie, jak naukowiec skarży się, że jego słowa przekręcono, wyolbrzymiono albo wyjęto z kontekstu, zapytajcie, czy wysłał do wydawcy sprostowanie: w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto okaże się, że nie.

Lekcja druga: opinia środowiska. Wszystkie artykuły Hwanga w „Science” były recenzowane przez specjalistów z jego branży. Jeżeli ktoś jeszcze potrzebował dowodu na to, że recenzje są tylko nic nieznaczącym rytuałem, właśnie go uzyskał. Hwang twierdził, że dokonał cudu, nie przedstawiał jednak nadzwyczajnych dowodów. Wielokrotnie wykazywano, że recenzowanie publikacji wcale nie podnosi ich poziomu; i naukowcy o tym wiedzą. Opinia publiczna uważa jednak mechanizm recenzencki za gwarancję jakości publikacji i mówi: »Ten artykuł został (albo: nie został) zrecenzowany przez takich a takich ludzi«, tak jakby to coś znaczyło. To nic nie znaczy.

„Przejdźmy dalej: periodyki. Gdzie się podziała żelazna konsekwencja redaktora »Science«? »Science« to potężna machina, zatrudniająca sto piętnaście osób. Tymczasem zdarzało się, że cały ten zespół nie potrafił wykryć oczywistych fałszerstw, wliczając w to zdjęcia podkręcane w Photoshopie! Photoshop słynie z tego, że wykorzystuje się go jako narzędzie do fałszowania wyników badań, a taki poważny periodyk nie umie rozpoznać skutków jego użycia. Zresztą »Science« nie jest bynajmniej na tym polu osamotniony. Nierzetelne wyniki badań publikował także »New England Journal of Medicine« - autorzy artykułu zataili kluczowe informacje o atakach serca, które wywołał viox - oraz »Lancet« raport dotyczący leków powodujących raka jamy ustnej został wzięty z księżycy: dwustu pięćdziesięciu pacjentów w bazie danych miało tę samą datę urodzenia! To powinno być zauważone. Fałszowanie wyników badań naukowych w medycynie to nie tylko skandal, to przede wszystkim zagrożenie zdrowia i życia nas wszystkich. Mimo to proceder ten trwa w najlepsze”.

CENA OSZUSTWA

„Koszty takiego fałszerstwa są astronomiczne - ciągnął McKeown. - Szacuje się je na trzydzieści miliardów dolarów rocznie, a w rzeczywistości mogą być nawet trzykrotnie wyższe. Fałszerstwo w nauce nie należy do rzadkości, nie jest w żadnym wypadku problemem marginalnym. Na fałszowaniu wyników przylapywano największe sławy i najlepsze instytuty naukowe. Nawet Francis Collins, szef projektu Poznania Ludzkiego Genomu w NIZ, jest współautorem pięciu nierzetelnych artykułów, które wycofano z publikacji.

Najważniejsza lekcja brzmi: nauka nie jest wyjątkiem, nawet jeśli kiedyś nim była. Może w

czasach, gdy Einstein rozmawiał z Bohrem, a w każdej dziedzinie mieliśmy najwyżej po kilkudziesięciu ważnych specjalistów, wyglądało to inaczej. Obecnie w samych Stanach Zjednoczonych mamy trzy miliony naukowców. Praca naukowa to już nie powołanie, lecz robienie kariery, jak każde inne podatne na korupcję. Naukowcy to nie święci, tylko zwykli ludzie, którzy też zupełnie zwyczajnie się zachowują: kłamią, oszukują, kradną, wytaczają sobie procesy sądowe, ukrywają fakty, fałszują dane, puszą się, oczerniają konkurentów. Taka już nasza natura. Nie zmienimy jej”?

R008

W zwierzętarni BioGenu Tom Weller i Josh Winkler jak co dzień podawali szczurom genetycznie zmodyfikowanego wirusa, gdy zadzwoniła komórka Toma.

Josh spojrział na niego z ukosa: był przełożonym i mógł odbierać telefony w pracy, ale nie tolerował tego u podwładnych. Weller zdjął rękawiczkę i wyciągnął aparat.

- Halo? - Tom.

Dzwoniła jego matka.

- Cześć, mammo. Jestem zajęty. Josh spiorunował go wzrokiem.

- Oddzwonię później, dobrze?

- Ojciec miał wypadek samochodowy, wczoraj w nocy. Nie żyje.

- Co takiego?! - Zakręciło mu się w głowie. Oparł się o stos klatek, odetchnął ciężko. Josh patrzył na niego z niepokojem. - Jak to się stało?

- Około północy uderzył w podporę wiaduktu. Zabrali go do szpitala w Long Beach. Zmarł rano.

- Mój Boże... Jesteś w domu? Mam przyjechać? Rachel wie?

- Właśnie z nią rozmawiałam.

- Przyjadę.

- Tom, wolałabym nie musieć cię o to prosić, ale...

- Chcesz, żebym powiedział Lisie?

- Przepraszam cię. Nie mogę się do niej dodzwonić. - Lisa była czarną owcą w rodzinie, najmłodszą z rodzeństwa: skończyła dopiero dwadzieścia lat. I od dawna nie odzywała się do matki. - Wiesz, gdzie jest?

- Chyba tak. Dzwoniła parę tygodni temu.

- Żeby poprosić o pieniądze?

- Nie, po prostu podała mi swój nowy adres. Mieszka w Torrance. - Nie mogę jej złapać.

- Pojadę tam.

- Powiedz jej, że pogrzeb jest w czwartek. Może będzie chciała przyjechać.

- Powiem.

Wyłączył telefon i odwrócił się do Josha, który przyglądał mu się z troską i współczuciem.

- Co się stało?

- Ojciec nie żyje.

- Przykro mi, naprawdę...

- Miał wypadek, wczoraj w nocy. Muszę zawiadomić siostrę.

- Chcesz wyjść?

- Zajrzę po drodze do biura i przyślę ci Sandy'ego.

- Sandy się nie nadaje. Nie zna procedury.

- Naprawdę muszę iść, Josh.

Na drodze numer 405 ruch był spory. Tom dotarł pod zaniedbany blok w South Acre w Torrance dopiero po godzinie. Nacisnął dzwonek domofonu pod numerem 38. Blok stał tuż przy drodze; hałas

był nie do zniesienia.

Wiedział, że Lisa pracuje na nocną zmianę, ale dochodziła dziesiąta rano, więc może już nie śpi. I rzeczywiście, zahuczał elektromagnes i Tom otworzył drzwi. Na schodach śmierdziało kocim moczem. Winda była zepsuta, więc wszedł na drugie piętro, wymijając worki ze śmieciami. Z jednego z nich, rozdartego, na stopnie wysypały się odpadki.

Zatrzymał się pod numerem 38 i nacisnął dzwonek.

- Chwileczkę, do cholery! - usłyszał.

Trochę to trwało, ale w końcu Lisa otworzyła drzwi. Była w szlafroku, krótkie włosy spięła z tyłu.

Miała smutną minę.

- Dzwoniła ta suka.

- Mama?

- Obudziła mnie, menda jedna. - Cofnęła się od progu w głąb mieszkania. Tom wszedł za nią. -

Myślałam, że to dostawca z monopolowego.

W mieszkaniu panował potworny bałagan. Lisa podreptała do kuchni i ze stosu naczyń w zlewie wygrzebała kubek. Oplukała go.

- Chcesz kawy? Pokręcił głową.

- Kurczę, Lisa... Tu jest jak w chlewie.

- Przecież wiesz, że pracuję na nocki.

Nigdy nie przejmowała się tym, jak mieszka. Nawet kiedy jako mała dziewczynka miała swój pokój, nigdy w nim nie sprzątała. Po prostu bałagan jej nie przeszkadzał. Tom wyjrzał przez brudne firanki na samochody pełznące czterysta piątką.

- No tak. Jak w pracy?

- To House of Pancakes. Jak może być? Noc w noc to samo.

- Co mama powiedziała?

- Pytała, czy przyjadę na pogrzeb. - I co jej odpowiedziałas?

- Żeby się odpiardoliła. Po co mam jechać? Przecież nie był moim ojcem. Tom westchnął. Ten spór ciągnął się od lat: Lisa uważała, że nie jest córką Johna Wellera.

- Ty też tak uważasz - dodała.

- Wcale nie.

- Mówisz to, co mama chce, żebyś powiedział. - Wygrzebała niedopałek z kopczyka na popielniczce i zapaliła go od palnika kuchenki. - Był pijany, kiedy się rozbił?

- Nie wiem. - Na pewno. Nawalony w trzy dupy. Albo na haju po tych sterydach, które łykał przed siłownią.

Ojciec Toma był kulturystą. Zaczął uprawiać ten sport późno, nie w młodości, ale startował nawet w jakichś zawodach dla amatorów.

- Tata nie brał sterydów.

- Jasne. Widziałam igły u niego w łazience.

- No dobrze. Nie lubiłaś go.

- I co z tego? Nie był moim ojcem, więc nic mnie to nie obchodzi.

- Mama zawsze powtarzała, że jest twoim ojcem, a ty twierdziłaś, że nie, bo go nie lubiłaś.

- Wiesz co? Moglibyśmy to raz na zawsze załatwić. Sprawdzić. - Niby jak?

- Zrobić test. Na ojcostwo.

- Liso, nie zaczynaj...

- Niczego nie zaczynam. Raczej kończę.

- Odpuść. Obiecuj mi, że tego nie zrobisz. Daj spokój: tata nie żyje, mama jest w szoku... Obiecuj mi.

- Jesteś zwykłym tchórzem, wiesz?

Miała łzy w oczach. Objął ją i przytulił, czując, jak wstrząsa nią szloch.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak mi przykro.

Kiedy brat wyszedł, podgrzała kawę w mikrofalówce i usiadła z nią przy stoliku. Wzięła telefon, zadzwoniła do biura numerów i poprosiła o numer szpitala.

- Szpital Long Beach Memoriał - usłyszała w słuchawce.

- Może mnie pani przełączyć do kostnicy?

- Przykro mi, kostnica mieści się przy biurze koronera. Podać pani numer?

- Ktoś z mojej rodziny zmarł u państwa w szpitalu. Gdzie jest ciało?

- Proszę poczekać, połączę panią z prosektorium.

Cztery dni później zadzwoniła matka.

- Co ty sobie wyobrażasz, do diabła?!

- O co ci chodzi?

- Byłaś w szpitalu i poprosiłaś o krew ojca!

- To nie był mój ojciec.

- Jeszcze ci się ta zabawa nie znudziła?

- Nie. A on nie był moim ojcem. Mam wynik testów genetycznych. - Lisa sięgnęła po wydruk. - Piszą tu, że szansa na to, że John J. Weller był moim ojcem, jest mniejsza niż jeden do dwóch milionów dziewięciuset tysięcy.

- Jakich testów genetycznych?

- Kazałam je zrobić.

- Jesteś beznadziejna.

CS

- Nie, mam, to ty jesteś beznadziejna. John Weller nie był moim ojcem, te testy są tego dowodem, a ja zawsze to wiedziałam.

- To się jeszcze okaże. - Matka odłożyła słuchawkę.

Mniej więcej pół godziny później zadzwonił Tom.

- Cześć, Lisa. - Spokojny, wyluzowany. - Rozmawiałem z mamą.

- Tak?

- Mówiła coś o jakichś testach.

- Zleciłam testy. Wiesz, co wyszło?

- Słyszałem. Kto je robił?

- Laboratorium w Long Beach.

- Które?

- BioRad Testing.

- Aha. Wiesz, te laboratoria z internetu nie są zbyt wiarygodne. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Ręczę za wynik.

- Mama się wścieka.

- Trudno.

- Wiesz, że też chce zlecić test? Spotkacie się w sądzie. Oskarżasz ją o zdradę.

- Rany, Tommy, naprawdę mnie to nie interesuje. Chyba wiesz?

- Wiem tylko, że w ten sposób mącisz przy śmierci taty.

- Twojego. Nie mojego.

R009

Kevin McCormick, szef administracji szpitala Memoriał w Long Beach, spojrział na pucułowatego

mężczyznę, który właśnie wszedł do biura.

- Jak mogło do tego dojść?! - zapytał i pchnął w jego stronę stertę papierów. Marty Roberts, naczelny patolog szpitala, przejrzał pobieżnie leżący na wierzchu dokument.

- Nie mam pojęcia.

- Żona zmarłego Johna J. Wellera oskarża nas o samowolne wydanie tkanki zmarłego jej córce.

- Jak to wygląda od strony prawnej?

- Mętnie. W świetle prawa córka jako członek rodziny ma prawo uzyskać próbki tkanek niezbędne do badań pozwalających wykryć u ojca choroby, które mogłyby jej zagrażać. Kłopot w tym, że ona wykorzystwała te próbki do testów na ojcostwo, które dały wynik negatywny. To oznacza, że nie jest córką zmarłego, a więc nie wolno nam było wydać jej jego tkanek. - Wtedy tego nie wiedzieliśmy.

- Oczywiście, że nie, ale takie jest prawo. Pytanie brzmi: czy rodzina może nas podać do sądu? Odpowiedź: tak. Ma ku temu podstawy i tak właśnie zamierza zrobić.

- Gdzie jest teraz ciało?

- Na cmentarzu. Pogrzeb był osiem dni temu.

- Rozumiem... - Marty przerzucił kolejne kartki. - Czego się domagają? Odszkodowania w nieokreślonej na razie wysokości oraz próbek tkanek i krwi do dalszych testów - odparł McCormick.

- Mamy jakies?

- Musiałbym sprawdzić... Ale myślę, że tak.

- Na pewno?

- Na pewno. Takie czasy, Kevin; przechowujemy całą masę próbek. No wiesz, od każdego pacjenta pobieramy, ile się da, oczywiście w granicach prawa...

McCormick zmarszczył brwi.

- Zła odpowiedź. - Aha. Jaka jest dobra?

- Że nie mamy żadnych próbek tkanki tego faceta.

- Ale będzie wiadomo, że to nieprawda. Musieliśmy przynajmniej zrobić toksykologię, bo to był wypadek, czyli mamy krew...

- Próbka zaginęła.

- W porządku. Próbka zaginęła. Co nam z tego przyjdzie? Mogą ekshumować zwłoki i pobrać nowe próbki, ile będą chcieli.

- No tak.

- Więc?

- Więc niech to zrobią. Tak radzi nasz dział prawny. Ekshumacja wymaga czasu, pieniędzy i pozwoleń. Spodziewamy się, że czasu i pieniędzy im zabraknie i sprawa rozejdzie się po kościach.

- Rozumiem. To po co mnie wezwałeś?

- Chcę, żebyś wrócił do prosektorium i potwierdził, że niestety nie mamy więcej próbek tkanki zmarłego, bo wszystko, poza tym, co dostała córka, zaginęło.

- Jasne.

- Zadzwoń najpóźniej za godzinę.

Marty Roberts wszedł do mieszczącego się w piwnicy prosektorium. Jego asystent Raza Rashad, przystojny dwudziestosiedmioletni brunet, czyścił właśnie stalowy stół przed następną sekcją zwłok. Właściwie to on kierował laboratorium. Marty'ego bez reszty pochłaniały obowiązki administracyjne, zarządzanie zespołem patologów, nadzorowanie stażystów, rotacja studentów i tym podobne sprawy. Nauczył się polegać na Razi, ambitnym i bardzo inteligentnym.

- Cześć, Raza. Pamiętasz takiego gościa sprzed tygodnia: biały, czterdzieści sześć lat, po wypadku. Wpadł na podporę wiaduktu.

- Tak, pamiętam. Heller? Weller?
 - Jego córka prosiła o próbki krwi?
 - Tak. Daliśmy jej.
 - Zleciła badanie ojcostwa. Wynik negatywny. Facet nie był jej ojcem. Raza osłupiał.
 - Serio?
 - Serio. Matka się wściekła i też chce dostać próbki. Co mamy?
 - Musiałbym sprawdzić, ale pewnie jak zwykle: po kawałku każdego z głównych organów.
 - A nie mogłoby się tak zdarzyć, żeby zaginęły? Tak, żeby nie dało się ich odnaleźć?
- Raza z namysłem pokiwał głową.
- Mogłoby. Zawsze może się okazać, że zostały błędnie opisane, a wtedy to bez szans.
 - To znaczy? Odszukanie ich trwałoby kilka miesięcy?
 - Albo lat. O ile w ogóle by się znalazły.
 - Szkoda by było... A co z krwią z toksykologii?
 - Jest w laboratorium toksykologicznym. - Raza zmarszczył brwi. - Nie mamy dostępu do ich magazynu.
 - Czyli próbka jest u nich?
 - Zgadza się.
 - A my nie możemy jej od nich wyciągnąć? Raza się uśmiechnął.
 - Potrzebowałbym paru dni...
 - Dobrze. Załatw to.

Marty podszedł do telefonu i zadzwonił do biura administratora. Odebrał McCormick.

- Złe wieści, Kevin. Wygląda na to, że wszystkie próbki tkanek gdzieś nam się zapodziały.
- Przykro mi to słyszeć - odparł McCormick i się rozłączył.
- Marty? - Raza wszedł za nim do biura. - Jakiś problem z tym Wellerem?
- Nie. Już nie. Poza tym prosiłem cię, żebyś nie mówił do mnie Marty. Jestem doktor Roberts.

R010

W Radial Genomics w La Jolla Charlie Huggins odwrócił ciekłokrystaliczny monitor i pokazał coś Henry'emu Kendallowi. Nagłówek krzyczał: GADAJĄCA MAŁPA TO FAŁSZERSTWO.- Nie mówiłem? Już po tygodniu okazuje się, że to bzdura.

- Niech ci będzie. Pomyliłem się. Przyznaję, że niepotrzebnie się martwiłem.
- Więcej niż tylko martwiłeś...
- Było, minęło. Możemy porozmawiać o czymś istotnym?
- Na przykład?
- O genie ryzyka. Odrzucili nasz wniosek o grant. - Henry zaczął stukać w klawiaturę.
- Znowu zostaliśmy wydymani, i to przez twój ulubieńca, Papieża Dopaminy, doktora Roberta A. Bellarmino z NIZ.

Przez ostatnich dziesięć lat badania mózgu w coraz większym stopniu koncentrowały się na neuroprzekazniku zwanym dopaminą. Wyglądało na to, że poziom dopaminy ma bezpośredni związek z dobrym stanem organizmu, szczególnie w takich schorzeniach, jak schizofrenia i choroba Parkinsona. Wyniki prac laboratoryjnych prowadzonych przez Charliego Hugginsa sugerowały, że receptorami dopaminy w mózgu steruje między innymi gen D4DR. Pracownia Charliego wiodła prym w tych badaniach - przynajmniej do czasu, gdy konkurujący z nim Rob Bellarmino z Narodowego Instytutu Zdrowia zaczął nazywać D4DR genem ryzyka i dowodzić, że wpływa na pragnienie ryzyka, chęć poszukiwania nowych partnerów seksualnych i dreszczyku emocji. Tłumaczył, że właśnie wyższy poziom dopaminy u mężczyzn niż u kobiet tłumaczy typowy dla mężczyzn brak rozwagi oraz

męską skłonność do ryzykownych zachowań - od wspinaczki górskiej po zdradę małżeńską.

Bellarmino, przykładny ewangelik i najlepszy specjalista w NIZ, był wzorem nowoczesnego naukowca, gładko łączącego skromność utalentowanego naukowca z obyciem medialnym. Jego laboratorium jako pierwsze w kraju wynajęło specjalistów od wizerunku publicznego, dzięki temu mógł zawsze liczyć na zainteresowanie prasy swoimi przemyśleniami. To z kolei przyciągało do jego pracowni najlepszych i najambitniejszych młodych doktorów - wskutek tego jego prestiż rósł.

Co to D4DR, Bellarmino umiejętnie dostosowywał komentarze do oczekiwań publiki: spotykając się ze zwolennikami postępu, piał z zachwytem; występując przed konserwatystami, pomniejszał wagę odkrycia. Był postacią barwną otwartą na nowości, pozbawioną uprzedzeń. Zasugerował nawet, że pewnego dnia uda się stworzyć szczepionkę przeciw niewierności.

Niedorzeczność takich komentarzy tak bardzo rozdrażniła Charliego i Henry'ego, że przed sześcioma miesiącami wystąpili z wnioskiem o grant na badania rzeczywistego wpływu genu ryzyka.

Ich propozycja była niezwykle prosta: zamierzali porozysłać do wesołych miasteczek swoich pracowników i kazać im pobrać krew od ludzi, którzy całe dni jeżdżą na kolejkach górskich. Zgodnie z teorią Bellarmino u takich właśnie „nałogowców” D4DR powinien występować częściej niż u „nieryzykantów”.

Jedyny problem z wnioskami składanymi do Narodowego Funduszu Badawczego był taki, że podlegały ocenie anonimowych recenzentów, wśród których najprawdopodobniej miał się znaleźć Rob Bellarmino. A Bellarmino słynął z - mówiąc delikatnie - zawłaszczania cudzych pomysłów.

- No więc KFB nas odrzucił - ciągnął Henry. - Recenzenci uznali, że nasz pomysł jest do bani, jeden powiedział wprost, że „jest niepoważny”.

- No dobrze. A co to ma wspólnego z Robem-bandziorkiem?

- Pamiętasz, gdzie chcieliśmy prowadzić badania?

- Jasne. W dwóch największych parkach rozrywki na świecie: w Sandusky, tutaj, w Stanach, i w Blackpool w Anglii.

- A wiesz, kto akurat wyjechał? - spytał Henry. I włączył pocztę elektroniczną.

Od: Rob Bellarmino, NIZ Temat: Odpowiedź automatyczna.

Przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie mnie w biurze. W nagłych wypadkach proszę o kontakt z sekretariatem.

- Zadzwoń do jego laboratorium. I czego się dowiedziałem? Że pojechał do Ohio, do Sandusky, a potem wybierze się do Anglii, do Blackpool.

- A to łajdak! - oburzył się Charlie. - Jeżeli już kradnie komuś pomysł na badania, mógłby go chociaż trochę zmodyfikować.

- Najwyraźniej nie przeszkadza mu to, że się dowiemy, że go nam ukradł. Nie wpienia cię to? Może by go ściągnąć? Postawić przed Komisją Etyki?

- Z przyjemnością bym to zrobił, ale nie. Jeśli oficjalnie go oskarżymy, na długo utoniemy w papierkach, a sprawa i tak rozejdzie się po kościach. Rob to wielka szucha w NIZ; ma ogromne laboratorium i decyduje o milionowych grantach. Bierze udział w śniadaniach modlitewnych z pobożnymi kongresmanami. Jest naukowcem, który wierzy w Boga. Na Kapitolu go uwielbiają. Nikt nie odważy się zarzucić mu oszustwa. Nawet gdybyśmy przyłapali go na bzykaniu asystentki, uszłoby mu to płazem.

- To co, powinniśmy dać sobie spokój?

- Świat nie jest doskonały. A my mamy swoją robotę. Odpuść, Henry. **R011**

Barry Sindler się nudził. Kobiectę naprzeciw niego usta się nie zamykały. Znał takie baby: bogata dziwka ze Wschodu, wredna wersja Katharine Hepburn. Fundusz powierniczy, nosowy akcent z

Newport. Chciała sprawiać wrażenie arystokratki, ale stać ją było tylko na bzykanie się z trenerem tenisa - tak jak w L.A. tysiące idiotek ze sztucznym cymem.

Siedzący obok niej frajer doskonale do niej pasował: Bob Wilson, adwokat dupek z Ivy League, w garniturze w prążki, eleganckiej koszuli, krawacie w paski i kretyńskich mokasynach z dziurkami na palcach. Nic dziwnego, że wszyscy nazywali go Białas Wilson. Przy każdej okazji podkreślał, że jest po Harvardzie, tak jakby to kogoś interesowało. Na pewno nie interesowało Barry'ego Sindlera - wiedział, że Wilson jest dżentelmenem, czyli prościej mówiąc - tchórzem. Nie umiałby rzucić się wrogowi do gardła.

A on, Sindler, zawsze mierzył prosto w gardło.

To babsko, Karen Diehl, nadawało bez chwili przerwy. Chryste Panie, ależ te suki z forszą mają gadane. Nie przerywał jej, bo nie chciał dać Białasowi pretekstu do formalnego oskarżenia o utrudnianie składania zeznań. A już cztery razy to zapowiadał. Więc dobrze: niech sobie zdzira nawija. Niech drobiazgowo, wyczerpująco, zanudzając go szczegółami, wyjaśni, dlaczego jej mąż jest beznadziejnym ojcem i kompletnym zerem. A prawdy i tak nie zmieni: to ona miała romans, nie on.

Co oczywiście nie będzie miało znaczenia w sądzie. W kalifornijskim prawie istnieje pojęcie „rozvodu bez winy”, czyli sąd może orzec rozwód bez szczególnych powodów wystarczy „niezgodność charakterów”. Ale kobieca niewierność zawsze dodawała smaczku postępowaniu - a to dlatego, że wprawny adwokat (na przykład on, Barry) mógł na jej podstawie insynuować, że żona ma ważniejsze sprawy na głowie niż dobro ukochanego potomstwa; zaniedbuje dzieci, jest nieodpowiedzialna i samolubna, a zatem nie nadaje się na ich opiekunkę, bo mając na względzie wyłącznie własną frajdę, zostawia dzieci na całe dni w towarzystwie hiszpańskojęzycznej niani.

Poza tym wygląda świetnie jak na swoje dwadzieścia osiem lat - co też obróci się przeciwko niej. Barry z przyjemnością wyobrażał sobie przebieg procesu i gromadził argumenty, a Białas chyba zaczynał się denerwować. Pewnie domyślał się, jak Barry zamierza sprawę rozegrać.

A może niepokoiło go, że Barry w ogóle zgodził się jej wysłuchać? Wiadomo było, że zwykle zostawia protokołowanie zeznań leszczykom z kancelarii, a sam zgarnia fortunę za czas spędzony w sądach.

W końcu kobieta przerwała, by odetchnąć, co Barry natychmiast wykorzystał.

- Pani Diehl, chciałbym chwilowo porzucić ten wątek naszej rozmowy i przejść do następnej sprawy. Zamierzamy zwrócić się z oficjalną prośbą o to, aby poddała się pani kompletnym badaniom genetycznym w jakimś renomowanym laboratorium, najlepiej w UCLA albo...

Wytrzeszczyła oczy. Poczzerwieniała. - Nie ma mowy!

- Nie podejmujemy pochopnych decyzji - wtrącił Białas, kładąc jej dłoń na ramieniu. Odepchnęła go. Była wściekła.

- Nie! Odmawiam! Nie, i koniec!

Cudownie. Barry się tego nie spodziewał, ale był zachwycony.

- Biorąc pod uwagę, że może się pani nie zgodzić - powiedział - przygotowaliśmy prośbę do sądu, aby zlecił pani wykonanie tych badań. - Podał dokument Białasowi. - Sąd raczej nie odrzuci naszego wniosku.

- Pierwsze słyszę. - Białas kartkował dokument. - Badania genetyczne w sprawie rozwodowej...

Diehl wpadła w histerię.

- Nie! Nie dam się zbadać! To jego pomysł, prawda?! A to kutas! Jak on śmie?! Skurwiel jeden!

Białas przyglądał się jej zdumiony.

- Pani Diehl... Chyba powinniśmy porozmawiać o tym w cztery oczy...

- Nie! To nie podlega dyskusji! Nie zgadzam się na żadne badania koniec, kropka! Sindler wzruszył ramionami.

- Nie pozostawia nam pani wyboru. Pójdziemy do sądu...

- Wal się! Wszyscy się walcie! Nie będzie żadnych badań! Wstała, zabrała torebkę i wybiegła z pokoju. Trzasnęły drzwi. Zapadła cisza.

- Do protokołu - odezwał się w końcu Sindler. - O godzinie piętnastej czterdzieści pięć świadek opuścił pokój, kończąc tym samym składanie zeznań.

Zaczął się pakować.

- Pierwsze słyszę, Barry - powtórzył Wilson. - Co badania genetyczne mają wspólnego z rozwodem i opieką nad dziećmi?

- To właśnie będziemy chcieli ustalić. To nowa procedura, ale spodziewam się, że wkrótce się rozpowszechni - odparł Sindler.

Zamknął aktówkę, uściśnął wiotką dłoń Wilsona i wyszedł.

R012

Josh Winkler zamknął drzwi do gabinetu i ruszył w stronę stołówki. Wtedy zadzwonił telefon. Matka. Była dla niego bardzo miła, a to nie wróżyło nic dobrego.

- Josh? Powiedz mi, skarbie, co zrobiłeś ze swoim bratem?

- Jak to, co z nim zrobiłem? Nic. Odkąd dwa tygodnie temu odwiozłem go z aresztu do domu, nie widziałem go na oczy.

- Miał dziś rozprawę. Charles go bronił.

- Mhm... - Czekał.

- I co?

- Adam przyjechał do sądu na czas, w czystej koszuli, czystym garniturze, ostrzyżony, w wypastowanych butach. Przyznał się do winy, poprosił o skierowanie na odwyk, zapewnił, że od dwóch tygodni nic nie bierze, i powiedział, że dostał pracę...

- Słucham?!

- Tak, ma pracę. Jest kierowcą limuzyny w swojej dawnej firmie. Jeździ od dwóch tygodni. Charles mówi, że przytył...

- Nie wierzę.

- Nie dziwię ci się. Charles też nie chciał uwierzyć, ale przysięga, że to szczerą prawdą. Adam jest nowym człowiekiem. Dojrzał, zupełnie jakby nagle dorósł. To cud, nie uważasz? Joshua... Jesteś tam?

- Jestem - odparł po chwili.

- Czy to nie cud?

- Tak, mamó. Bez dwóch zdań.

- Dzwoniłam do niego. Ma komórkę. Odebrał od razu. Powiedział, że mu pomogłeś. Co zrobiłeś?

- Nic, mamó. Rozmawialiśmy tylko.

- Dałeś mu jakiś specyfik genetyczny. W sprayu.

Jezus Maria. Na to są paragrafy, i to bardzo surowe. Badania na ludziach bez stosownych zezwoleń, aprobaty rad naukowych; nieprzestrzeganie przepisów federalnych wyleją go na zbity pysk.

- Nie, mamó, chyba coś mu się pomyliło. Był otumaniony.

- Mówił o jakimś aerozolu.

- Nie, mamó.

- Że nawdychał się jakiegoś specyfiku dla myszy.

- Nie, mamó.

- Ale on tak powiedział.

- Nie, mammo.

- No już się tak nie broń. Myślałam, że się ucieszysz. Przecież cały czas szukacie nowych lekarstw, zależy wam na komercyjnych zastosowaniach. A tu: spray, po którym ludzie przestają brać narkotyki. Kto wie, może w ogóle wychodzą z nałogu?

Josh kręcił głową.

- Nie, mammo, nic takiego się nie stało.

- Dobrze. Nie chcesz mi powiedzieć prawdy, to nie mów. To był jakiś eksperymentalny środek, tak? Mam rację?

- Mammo...

- Bo widzisz, Josh, powiedziałałam o tym Lois Graham. Jej syn Erie wyleciał z uczelni, z USC. Bierze kokę, herę czy...

- Mammo...

- Chciałaby wypróbować na nim ten spray. Chryste Panie.

- Mammo, nie wolno ci o tym mówić!

- Powiedziałałam też Helen Stern. Jej córka łyka środki nasenne. Miała wypadek. Chcą jej odebrać dziecko i oddać rodzicom zastępczym, więc Helen chciałaby...

- Mammo, proszę cię! Nikomu więcej o tym nie mów!

- Zwariowałaś? Muszę o tym mówić. Zwróciłeś mi syna. To cud. Nie rozumiesz, Joshua? Dokonałeś cudu. I będzie o tym głośno na całym świecie, czy ci się to podoba, czy nie. Pocił się, kręciło mu się w głowie, ale nagle oprzytomniał. „Będzie o tym głośno na całym świecie”. Oczywiście. Uwolnienie od nałogu? To byłby najcenniejszy lek dziesięciolecia. Każdy by go chciał kupić. A jeśli to nie jego jedyne działanie? Może leczy także zaburzenia obsesyjno-kompulsywne? Albo zespół nadpobudliwości psychoruchowej? Gen dojrzałości może wpływać na zachowanie, o tym wiedzieli już wcześniej, ale Adam, który pociągnął z inhalatora... to prawdziwy dar od Boga. I zaraz zadał sobie pytanie: jaka jest sytuacja patentowa ACMPD3N7? Postanowił darować sobie lunch i wrócił do gabinetu.

- Mammo?

- Tak, Josh?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Naturalnie, kochanie, co tylko zechcesz.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła i utrzymała to w absolutnej tajemnicy.

- To będzie trudne...

- Tak czy nie, mammo?

- No dobrze, skarbie. Tak.

- Mówiłaś, że syn Lois Graham bierze herę? I że przez to wyleciał z uczelni?

- Zgadza się.

- Gdzie teraz jest?

- Mieszka w śródmieściu, w jakimś zapchlonym hoteliku niedaleko kampusu...

- Wiesz dokładnie gdzie?

- Nie, ale Lois go tam odwiedziła. Podobno straszny brud. Trzydziesta Ósma Wschodnia, stary drewniany dom z wyblakłymi niebieskimi okiennicami. Ośmiu albo dziewięciu narkomanów sypia tam na gołych deskach. Mogę zadzwonić do Lois i poprosić...

- Nie - uciał Josh. - Nic nie rób, mammo.

- Powiedziałaś, że mam ci pomóc...

- Później, mamó. Na razie wszystko jest w porządku. Zadzwońię jutro albo pojutrze.

Zanotował: Erie Graham 38 Wsch.

Drewniany dom, niebieskie okiennice Sięgnął po kluczyki do samochodu.

Pracująca w magazynie Rachel Allen zwróciła mu uwagę:

- Nie oddałeś sprayu, który pobrałeś dwa tygodnie temu, Josh. I nie rozliczyłeś fiolki z wirusem, którą wzięłeś razem z nim.

Rutynowo sprawdzano pozostałą w fiolkach ilość retrowirusa, aby z grubsza kontrolować dawki podawane szczurom.

- Wiem. Ciągłe zapominam.

- Gdzie je masz?

- W samochodzie.

- W samochodzie? Josh, to zakaźny retrowirus.

- Dla myszy.

- Mimo wszystko powinien być przechowywany w laboratorium, w warunkach obniżonego ciśnienia.

Rachel była okropną formalistką. Nikt się nie przejmował jej marudzeniem.

- Wiem, Rachel, ale coś mi wypadło. Pilna sprawa rodzinna. Musiałem odebrać brata... - i dodał ciszej: - Wyszedł z więzienia.

- Nie mów.

- Poważnie.

- Za co siedział? Josh się zawahał.

- Napad z bronią w ręku. - No co ty!

- Na sklep z alkoholem. Mama jest zdruzgotana. Ale mniejsza z tym. Przyniosę ci ten spray, a teraz chciałbym pobrać jeszcze jeden.

- Wydajemy po jednej sztuce.

- Jest mi potrzebny. Proszę. To nagła sprawa.

Z niskich gniewnych chmur padał drobny deszcz. Brudne od plam benzyny ulice szklily się wszystkimi kolorami tęczy. Josh jechał Trzydziestą Ósmą przez starą zapomnianą część miasta.

Współczesny boom budowlany koncentrował się dalej na północ. Tu nadal stały domy z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Josh minął kilka drewnianych budynków, w różnym stanie: jeden miał niebieskie drzwi, ale żaden nie miał niebieskich okiennic.

Kiedy dotarł do kwartału magazynów, zawrócił. Jechał najwolniej jak mógł - i w końcu wypatrzył ten dom. Nie stał na samej Trzydziestej Ósmej, tylko na rogu Alameda, schowany wśród chwastów i rachitycznych krzewów. Przed nim, na chodniku, leżał stary materac upstrzony rdzawymi plamami. Na trawniku - opona od ciężarówki. Przy krawężniku stał sfatygowany mikrobus, volkswagen. Josh zaparkował naprzeciwko. Obserwował dom. Czekał.

R013

Światło słońca zabłysło na wieku. Trumna nie zmieniła się przez tydzień, jaki minął od pogrzebu, tylko od dna odklejały się i spadały pojedyncze grudki ziemi.

- W tym wszystkim nie ma za grosz szacunku dla zmarłego - stwierdziła Emily Weller.

Stała sztywno przy grobie w towarzystwie syna Toma i córki Rachel. Lisa, rzecz jasna, nie przyjechała. Była przyczyną tego całego zamieszania, ale nie zamierzała zawracać sobie głowy tym, co zrobiła swojemu nieszczęsnemu ojcu.

Trumna kołysała się miarowo, gdy pracownicy cmentarza opuszczali ją na ziemię po drugiej stronie grobu, nadzorowani przez szpitalnego patologa, drobnego nerwusa Marty'ego Robertsa. Nic dziwnego, że się denerwuje, pomyślała Emily. To pewnie on bez niczyjej zgody wydał Lisie próbki

krwi.

- Co teraz? - spytała syna. Tom miał dwadzieścia sześć lat, na ekshumację przyjechał w eleganckim garniturze, w krawacie. Był magistrem biotechnologii i pracował w dużej firmie biotechnologicznej w Los Angeles. Wyszedł na ludzi, tak jak i Rachel, jej druga córka, która kończyła właśnie studiować zarządzanie. - Od razu pobiorą krew?

- Nie tylko krew.

- Jak to?

- Do takich testów genetycznych, kiedy pojawia się jakaś sporna kwestia, pobiera się próbki kilku organów.

- Nie wiedziałam.

Emily zmarszczyła brwi. Serce waliło jej jak młotem. Nienawidziła tego uczucia. Chwilę później ścisnęło ją w gardle, mocno, boleśnie. Przygryzła wargę.

- Niedobrze ci, mammo?

- Powinnam była łyknąć coś na uspokojenie.

- Długo to potrwa? - zniecierpliwiła się Rachel.

- Nie - odparł Tom. - Kilka minut, nie więcej. Patolog otworzy trumnę i potwierdzi tożsamość zmarłego, a potem przewiozą ciało do szpitala, żeby pobrać próbki. Jutro albo pojutrze zostanie ponownie pogrzebane.

- Jutro albo pojutrze? - Emily pociągnęła nosem. Otarła łzę. - To znaczy, że będziemy musieli jeszcze raz tu przyjechać? Jeszcze raz pochować Jacka? To takie... takie... - Wiem, mammo. - Poklepał ją po ręce. - Przykro mi. Ale tak musi być. Sprawdzą, czy nie mamy do czynienia z tak zwaną chimera.

- Nic nie mów. I tak nie zrozumie.

- Jak chcesz, mammo. Tom objął ją ramieniem.

W mitologii starożytnych chimery były potworami, których ciało składało się z części ciał różnych zwierząt. Pierwsza Chimera miała głowę lwa, tułów kozy i węża zamiast ogona. Inne chimery miały po części ludzką postać - tak jak egipski Sfinks o ciele lwa, skrzydłach ptaka i głowie kobiety.

Ale prawdziwe ludzkie chimery, czyli ludzi z dwoma zestawami DNA, odkryto całkiem niedawno. Pewna kobieta oczekująca na przeszczep nerki zleciła przebadanie własnych dzieci jako potencjalnych dawców, ale okazało się, że mają zupełnie inne DNA. Powiedziano jej, że nie są jej dziećmi, i poproszono o przedstawienie dowodów, że naprawdę je urodziła. Sprawa oparła się o sąd, gdzie po długich badaniach biegli orzekli, że w ciele kobiety znajduje się nie jeden, ale dwa rodzaje DNA. W jej jajnikach lekarze znaleźli komórki jajowe z różnymi zestawami DNA; komórki skóry pobrane z brzucha zawierały takie samo DNA jak DNA jej dzieci, pobrane z rąk - już nie. Każdy organ jej ciała przypominał mozaikę. Koniec końców okazało się, że miała mieć siostrę bliźniaczkę, lecz na wczesnym etapie rozwoju zarodek siostry połączył się z jej zarodkiem i na świat przyszło tylko jedno dziecko. Była - jak najbardziej dosłownie - sobą i swoją siostrą bliźniaczką.

Od tamtej pory opisano ponad pięćdziesiąt przypadków ludzkich chimer i genetycy zaczęli przypuszczać, że zjawisko to wcale nie jest tak rzadkie, jak by się mogło wydawać. Kiedy więc chodziło o ustalenie ojcostwa, należało przede wszystkim zbadać możliwość chimeryzmu - tak jak u ojca Lisy. W tym celu trzeba było jednak pobrać próbki tkanek z każdego narządu i to - najlepiej - z różnych miejsc.

Właśnie dlatego doktor Roberts musiał pobrać sporo próbek, a więc przewieźć ciało do szpitala, zamiast zająć się nim na miejscu, na cmentarzu.

Roberts podniósł wieko trumny, spojrzął do środka, a potem na stojących po drugiej stronie grobu członków rodziny.

- Czy mógłbym prosić, by ktoś z państwa zidentyfikował zwłoki?

- Już idę - powiedział Tom.

Obszedł grób i zajrzał do trumny. Ojciec prawie się nie zmienił - miał tylko mocno poszarzałą skórę i dziwnie chude kończyny, zwłaszcza nogi.

- Czy to jest pański ojciec, John J. Weller? - spytał oficjalnym tonem patolog.

- Tak, to on.

- W porządku. Dziękuję panu.

- Doktorze Roberts, wiem, że są pewne procedury, ale... Czy nie dałoby się pobrać tych próbek tutaj?

Nie chciałbym, żeby matka musiała przyjeżdżać tu ponownie i przeżywać kolejny pogrzeb.

- Przykro mi, obowiązuje mnie prawo stanowe. Musimy zabrać ciało do szpitala.

- Ten jeden raz, panie doktorze. Nie dałoby się nagiąć...

- Przykro mi, ale nie.

Tom skinął głową i wrócił do matki i siostry.

- O czym rozmawialiście? - zainteresowała się matka.

- Pytałem go o coś.

Doktor Roberts pochylił się i podniesione wieko trumny prawie go zasłaniało, nagle jednak wyprostował się, podszedł do Toma i zaczął mu szeptać do ucha:

- Wie pan co, panie Weller... Może jednak udałoby się oszczędzić pana bliskim przykrości. To musi zostać między nami...

- Naturalnie. Czyli...

- Tak. Wszystko załatwimy tutaj, na miejscu. To nie potrwa długo. Wezmę torbę. Roberts szybko podszedł do zaparkowanego w pobliżu samochodu.

Emily przygryzła wargę.

- Co on robi?

- Poprosiłem, żeby pobrał próbki tutaj, od razu.

- I co, zgodził się? Dziękuję ci, kochanie. - Pocałowała syna. - A wykona wszystkie te testy, które zrobiłby w szpitalu?

- Nie, ale dość, żeby sprawę wyjaśnić.

Dwadzieścia minut później próbki tkanek znalazły się w szklanych fiolkach, które doktor umieścił w metalowej chłodziarce, a trumnę na powrót spuszczone do grobu.

- Chodźcie - powiedziała do dzieci Emily. - Muszę się napić. Kiedy wracali do domu samochodem, spojrzała na Toma.

- Przepraszam, że musiałeś to oglądać. Czy ciało zaczęło się rozkładać? - Nie, prawie wcale.

- To dobrze. Bardzo dobrze.

R014

Marty Roberts wrócił do szpitala cały spocony. Z powodu tego, co zrobił na cmentarzu, mógł stracić prawo wykonywania zawodu - i z tym się liczył. Wystarczyłoby, żeby któryś z grabarzy zadzwonił do władz hrabstwa. Te zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego Marty naruszył procedury, zwłaszcza że szykował się proces. Jeśli próbki pobierane są w warunkach polowych, zwiększa się ryzyko ich zanieczyszczenia - wszyscy o tym wiedzą. Urzędnicy zaczęliby węszyć, co sprawiło, że Marty to ryzyko podjął, a potem ich uwagę zwróciłoby... Cholera jasna. Cholera, cholera, cholera!

Zjechał na parking dla pogotowia ratunkowego, zaparkował obok karetek i podziemnym korytarzem przemknął prosto do prosektorium. W porze lunchu prawie nikogo w nim nie było, stalowe stoły świeciły pustkami.

Raza mył instrumenty.

- Tu głupi bucu - powiedział Marty. - Chcesz, żebyśmy obaj poszli siedzieć? Raza odwrócił się do niego powoli.

- O co chodzi? - spytał półgłosem.

- O to, że powiedziałem: zabieraj sobie kości, ale tylko ze zwłok, które idą do kremacji, nie są zwyczajnie grzebane. Tylko kremacje. Kurwa mać, czy to tak trudno pojąć?!

- No wiem. I trzymam się tego.

- Właśnie że nie! Wracam z ekshumacji. Wiesz, co zobaczyłem, kiedy wykopaliśmy faceta? Miał kurewsko chude nogi, Raza. I ręce też. A to był zwykły pogrzeb, nie kremacja.

- Ja tak nie robię.

- Ktoś musiał zabrać kości. Raza poszedł do biura.

- Jak się ten facet nazywał?

- Weller.

- Znowu on? To jego próbki gdzieś posialiśmy, prawda?

- Tak. Dlatego rodzina zleciła ekshumację. Został pochowany, nie spalony. Raza pochylił się nad biurkiem, wprowadził nazwisko do komputera i patrzył na ekran.

- No tak, zgadza się. Pogrzeb. Ale ja go nie robiłem.

- Ty go nie robiłeś? Ja pierdołę... Jak nie ty, to kto? Raza wzruszył ramionami.

- Mój brat mnie zastępował. Byłem z kimś umówiony na spotkanie.

- Twój brat? Jaki brat? Nikomu nie wolno...

- Wyluzuj, Marty. Mój brat od czasu do czasu przychodzi na zastępstwo. Zna się na tej robocie. Pracuje w kostnicy w Hilldale.

Marty otarł pot z czoła.

- Rany boskie... Od dawna?

- Z rok... - Rok!

- Przychodzi tu tylko na nocki. I to późno. Wkłada mój kitel, jest do mnie podobny... Nie do odróżnienia.

- Zaraz, zaraz... Kto wydał tej dziewczynie próbkę krwi? Tej Lisie Weller?

- No dobrze, masz rację. Czasem zdarzają mu się błędy.

- I czasem pracuje popołudniami?

- Tylko w niedziele, Marty. I tylko jeśli ja mam coś do załatwienia. Marty się zachwiał. Przytrzymał się krawędzi biurka i odetchnął głęboko.

- Jakiś pojeb, w ogóle u nas niezatrudniony, bez autoryzacji wydał próbki krwi kobiecie, tylko dlatego, że o nie poprosiła? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Nie jakiś pojeb, tylko mój brat. - Jezu Chryste...

- Mówił, że była miła.

- To wszystko tłumaczy.

- Daj spokój, Marty. Przepraszam za tego Wellera, naprawdę mi przykro z jego powodu, ale każdy mógł zrobić podmiankę - powiedział Raza pojednawczym tonem. - Nawet ci faceci z cmentarza mogli go wykopać i wyjąć kości. Grabarze, którzy chcą dorobić do pensji. Sam wiesz, że to się zdarza. Złapali takich gości w Phoenix, w Minnesocie, na Brooklynie...

- Złapali i wsadzili, Raza.

- No tak, to prawda. Ale widzisz... Ja kazałem bratu to zrobić.

- Kazałeś mu...

- No tak. Tamtej nocy, kiedy przywieźli Wellera, mieliśmy zamówienie na kości. Na cito. Weller pasował. Musieliśmy zrealizować zamówienie, bo jak inaczej? Klienci poszliby do kogoś innego.

Jak mówią na cito, to na cito. Nie ma dyskusji.

Marty westchnął.

- Niech ci będzie. Było zamówienie, trzeba dostarczyć.

- No właśnie.

Marty osunął się na krzesło i zaczął pisać na komputerze.

- Wyjęliście kości osiem dni temu, tak? Nie widzę jakoś przelewu na moje konto.

- Nie bój nic, będzie.

- Że niby czek już wysłaliście, tak?

- Po prostu zapomniałem, okej? Dostaniesz swoją działkę.

- Dopilnuj tego. - Marty wstał. - A swojemu zasranemu braciszкови powiedz, że nie ma tu więcej wstępu. Rozumiesz?

- Jasne, Marty. Spokojnie.

Marty przeparkował samochód do części „Tylko dla personelu”, ale długo jeszcze w nim siedział.

Myślał o Razie. „Dostaniesz swoją działkę”.

Razie chyba zaczęło się wydawać, że to on rządzi, a Marty tylko dla niego pracuje. Raza wypłacał pieniądze, Raza decydował, kogo wziąć sobie do pomocy... Nie zachowywał się jak podwładny, tylko jak przełożony. A to niebezpieczne. Z wielu powodów. Musisz coś z tym zrobić, Marty.

I to szybko. W przeciwnym razie utrata prawa wykonywania zawodu będzie najmniejszym z twoich zmartwień.

R015

W zachodzącym słońcu tytanowy sześcian BioGen Research lśnił oślepiającym czerwonym blaskiem, zalewając pobliski parking pomarańczową poświatą. Rick Diehl, prezes, wyszedł z budynku, włożył okulary przeciwsłoneczne i ruszył w stronę miejsca, gdzie zaparkował nowiutkie srebrne porsche carrera SC. Uwielbiał ten samochód. Kupił go tydzień temu, żeby uczcić zbliżający się rozwód...

- Kurwa mać!

Nie wierzył własnym oczom.

- Kurwa, kurwa, kurwa mać!

Miejsce parkingowe było puste. Samochód zniknął. Dziwka!

Nie miał pojęcia, jak to zrobiła, ale był pewien, że to ona ukradła mu wóz. Prawdopodobnie namówiła swojego kochasia, żeby to zorganizował. Tym bardziej że jej nowy kochaś prowadził salon samochodowy. Też mi awans - zamiast trenera tenisa dystrybutor samochodów.

Wściekły wrócił do biura. W recepcji Bradley Gordon, szef ochrony - pochylony nad biurkiem - flirtował z Lisą recepcjonistką. Lisa była milutka. Dlatego Rick ją zatrudnił.

- Psiakrew, Brad! Musimy przejrzeć taśmy z kamer ochrony!

- Tak? - Brad spojrzał na niego. - A po co?

- Ktoś ukradł moje porsche. - Bez jaj! Kiedy?

Facet nie nadaje się do tej roboty, pomyślał Rick. Nie pierwszy raz zresztą.

- Przejrzyjmy te taśmy, Brad.

- Jasne.

Gordon puścił oko do Lisy i kartą magnetyczną otworzył drzwi dla personelu. Wściekły jak osa Rick poszedł za nim. W małym, przeszklonym pokoju ochrony przy jednym z dwóch biurków siedział jakiś młodziak i z uwagą wpatrywał się w linie na swojej dłoni. Monitory kompletnie go nie interesowały.

- Jason - rzucił ostrzegawczo Gordon. - Przyszedł pan Diehl.

- O kurde! - Młody usiadł prosto. - Przepraszam, dostałem wysypki. Nie wiedziałem...

- Pan Diehl chce obejrzeć taśmy. Z których kamer, panie Diehl?

Matko Boska...

- Z tych na parkingu.
- Z tych na parkingu, właśnie. Zaczniemy czterdzieści osiem godzin temu...
- Dziś rano przyjechałem tym wozem do pracy - zauważył Diehl. - No tak... O której?
- O siódmej.
- Rozumiem. Jason, cofnijmy się do siódmej rano. Młodziak poruszył się niespokojnie.
- Eee... panie Gordon, kamery na parkingu nie działają.
- Ach, rzeczywiście. - Gordon odwrócił się do Ricka. - Kamery na parkingu nie działają.
- Dlaczego?
- Nie wiem dokładnie. Chyba jakiś problem z kablem.
- Długo to trwa? - No...
- Dwa miesiące - odpowiedział Jason. - Dwa miesiące!
- Musieliśmy zamówić części - wyjaśnił Gordon.
- Jakie części?
- Z Niemiec.
- Ale co to za części?
- Musiałbym sprawdzić.
- Możemy zobaczyć zapis z kamer na dachu - podsunął młodziak. - No dobrze. Pokażcie, co tam jest.
- Jason, włącz podgląd z kamer na dachu.

Po piętnastu minutach przewijania włączyli odtwarzanie. Rick patrzył, jak porsche wjeżdża na teren firmy, zatrzymuje się na parkingu, a on sam wysiada i wchodzi do budynku. To, co wydarzyło się później, kompletnie go zaskoczyło. Nie minęły dwie minuty, gdy obok porsche zatrzymał się inny samochód. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn; szybko włamali się do jego wozu i odjechali.

- Czekali na pana - zauważył Gordon. - Albo pana śledzili.
- Na to wygląda. Zadzwońcie na policję, zgłoście kradzież. I powiedz Lisie, że ma mnie odwiedzić do domu.

Gordona zamurowało.

Problem polega na tym - uświadomił sobie Rick, jadąc z Lisą do domu - że Gordon jest idiotą a ja mimo to nie mogę go zwolnić.

Brad Gordon, zapalony surfer, narciarz i podróżnik, alkoholik na leczeniu i niedoszły student, był siostrzeńcem Jacka Watsona, głównego inwestora BioGenu. Jack zawsze opiekował się Bradem i pilnował, żeby ten miał pracę, a Brad nieodmiennie pakował się w kłopoty. Chodziły nawet słuchy, że w Palo Alto posuwał żonę wiceprezesa GeneSystems - za co słusznie został zwolniony, ale nie bez fochów mającego wujka, który nie rozumiał, dlaczego wyrzucającego siostrzeńca.

„Przecież to wina wiceprezesa”, brzmiało jego słynne stwierdzenie.

A teraz to: od dwóch miesięcy na parkingu nie działają kamery.

Rick zaczynał się zastanawiać, co jeszcze jest nie tak z ochroną BioGenu.

Zerknął na Lisę, która prowadziła spokojnie. Zatrudnił ją jako recepcjonistkę niedługo po tym, jak odkrył, że żona ma romans. Miała śliczny profil - mogłaby być modelką ten, kto poprawiał jej nos i podbródek, był prawdziwym geniuszem

- I piękne ciało, o wąskiej talii i po mistrzowsku powiększonych piersiach. Niedawno skończyła dwadzieścia lat, studiowała na uniwersytecie stanowym w Crestview i emanowała zdrowym amerykańskim seksapilem. Każdy pracownik firmy chętnie by ją przeleciał.

Tym bardziej zaskakujący był fakt, że ilekroć się kochali, Lisa po prostu leżała bez ruchu. Po dłuższej chwili, widząc jego frustrację, zaczynała poruszać się mechanicznie i cicho dyszeć, jakby ktoś jej

powiedział, że ludzie tak właśnie zachowują się w łóżku. Czasami, kiedy Rickowi szczególnie nie szło, próbowała go zachęcać, pojękując: „Och, skarbie, tak, tak, jeszcze, kotku!”, ale to, zamiast pomóc, tylko podkreślało jej obojętność.

Pogrzebał więc trochę w literaturze i znalazł przypadłość zwaną anhedonią. To niezdolność odczuwania przyjemności. U anhedoników obserwowano spłaszczenie reakcji emocjonalnych, tak właśnie jak u Lisy w łóżku. Najbardziej jednak zainteresowało Ricka to, że anhedonią najprawdopodobniej ma - przynajmniej częściowo

- podłoże genetyczne. Wyglądało na to, że jej występowanie wiąże się z nieprawidłowościami funkcjonowania układu limbicznego, całkiem więc możliwe, że istnieje odpowiedzialny za nią gen. Rick zamierzał wkrótce poddać Lisę wszystkim dostępnym testom genetycznym. Tak z ciekawości.

A tymczasem lekarstwem na ewentualne kompleksy była Greta, austriacka stypendystka z laboratorium mikrobiologii. Niska, przy kości, nosiła okulary i strzygła się po męsku, ale pieprzyła się jak króliczek; za każdym razem kończyli zdyszani i złani potem. Greta jęczała głośno, rzucała się pod nim, wiała. Z nią było mu fantastycznie.

Zajechali pod jego nowy apartament. Sprawdził, czy ma klucze w kieszeni.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? - spytała Lisa.

Miała śliczne niebieskie oczy i długie rzęsy, piękne, pełne usta. Czemu nie, do diabła?

- Pewnie - odparł. - Chodź.

Zadzwoił do swojego adwokata, Barry'ego Sindlera, by poinformować go, że żona ukradła mu samochód.

- Naprawdę tak pan myśli? - spytał z powątpiewaniem Sindler.

- Tak. Wynajęła dwóch gości. Mam to na taśmie. - Nagrał ją pan?

- Nie, tych facetów. Ale to ona za tym stoi.

- No nie wiem... Zwykle kobieta rozbija samochód męża, a nie go kradnie. - Mówię panu...

- Dobrze, sprawdzę to. Ale najpierw musimy obgadać parę spraw związanych z postępowaniem.

Lisa się rozbierała. Każdą część garderoby starannie składała i zawieszała na oparciu krzesła. Miała na sobie różowy stanik i różowe figi, opinające się na wzgórku łonowym. Żadnych koronek - tylko elastyczny materiał, gładko przylegający do gładkiego ciała.

Sięgnęła do tyłu i rozpięła biustonosz.

- Muszę kończyć - powiedział Rick.

BLONDYNI NA WYMARCIU *Gatunek „zagrożony wymarciem w ciągu najbliższych dwustu lat”*

Jak podaje BBC, „niemieccy uczeni twierdzą, że osoby jasnowłose są gatunkiem zagrożonym i do roku 2202 wyginą całkowicie”. Naukowcy przepowiadają, że ostatni naturalny blondyn lub blondynka urodzi się w Finlandii, która ma największy odsetek jasnowłosych mieszkańców. Uważają, że wśród współczesnych gen odpowiedzialny za jasne włosy jest zbyt rzadki, aby blondyni mogli przetrwać. Sugerują również, że farbowane blondynki mogą być „częściowo odpowiedzialne za kłopoty ich naturalnych rywalek”.

Nie wszyscy specjaliści zgadzają się z tą przepowiednią, ale badania przeprowadzone przez Światową Organizację Zdrowia także wskazują, że za dwa stulecia nie będzie już blondynów.

Londyński „Times” poddał ostatnio analizie wiarygodność tych prognoz, opierając się na wynikach najnowszych badań nad MC1R, genem odpowiedzialnym za jasne włosy.

R016

W dżungli panowała kompletna cisza - nie było słycać cykad, dzioborożców, małp. Cisza absolutna. Nic dziwnego, pomyślał Hagar. Pokręcił głową. Dziesięć ekip filmowych z całego świata zebrało się w grupkach pod drzewami, osłaniając obiektywy kamer przed skapującą liści wodą i gapiąc się w

górze. Kazał im być cicho - i rzeczywiście, nie rozmawiali. Francuzi palili papierosy. Niemcy wprawdzie milczeli, ale kamerzysta, dyrygując asystentem, co chwila pstrykał władczo palcami. Japończycy z NHK siedzieli cicho jak myszy pod miotłą za to ludzie CNN z Singapuru szeptali między sobą zmieniali obiektywy i szczękali metalowymi pudłami. Ekipa British Sky TV z Hongkongu ubrała się nieodpowiednio na taką wycieczkę: teraz wszyscy zdjęli adidas i klnąc pod nosem, wygrzebywali pijawki spomiędzy palców u nóg. Beznadzieja.

Hagar uprzedził zainteresowane firmy, że na Sumatrze panują ciężkie warunki i trudno się tu filmuje; zalecał przysyłanie zespołów z doświadczeniem w kręceniu filmów przyrodniczych. Nikt go nie posłuchał. Telewizje po prostu przerzuciły swoje najbliższe dyspozycyjne ekipy do Berastagi - i teraz połowa zespołów czekała z gotowymi kamerami i mikrofonami w rękach, jakby filmowcy zaczęli się na jakąś głowę państwa.

Czekali tak już trzy godziny.

Gadający orangutan na razie się nie pokazał i Hagar był gotów się założyć, że już go nie zobaczą. Na migi dał znać Francuzowi, żeby zgasił papierosa. Ten tylko wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem. Palił dalej.

Japończyk odłączył się od swoich i podszedł do Hagara.

- Kiedy to zwierzę przyjdzie?

- Jak będzie cicho.

- Czyli nie dzisiaj?

Hagar bezradnie rozłożył ręce.

- Jest nas za dużo? Pokiwał głową.

- Może jutro przyjedziemy sami?

- Dobrze.

Nagle filmowców przeszył dreszcz podniecenia: skoczyli do kamer, poprawili statywy i zaczęli kręcić. Rozległ się wielojęzyczny pomruk. Spiker ze Sky TV trzymał mikrofon przy ustach i mówił scenicznym szeptem:

- Znajdujemy się w sercu dżungli na Sumatrze. Tam, po drugiej stronie ścieżki, widzicie państwo istotę, która od niedawna jest na ustach wszystkich: szympansa, który umie mówić, nawet, tak, tak, proszę państwa, przeklina!

Chryste Panie.

Hagar odwrócił się, zaciekawiony, co filmują kamerzyści. Mignęła mu brunatna sierść i ciemny łebek. Zwierzę miało najwyżej pół metra wzrostu. Chwilę później usłyszał charakterystyczne dla lapundera jękliwe zawodzenie.

Rozemocjonowani dziennikarze wycelowali mikrofony niczym karabiny w stronę szybko przemieszczającej się małpy. Z głębi dżungli też dobiegały jęki: gdzieś w pobliżu musiało się kryć niezłe stado.

Niemcy pierwsi się połapali.

- *Nein, nein, nein.* - Zirytowany kamerzysta wyłączył sprzęt. - *Es ist ein macaque.*

W koronach drzew rozległy się trzaski i pokrzykiwania: kilkanaście lapunderów przemknęło im nad głowami, kierując się na północ. Jeden z Anglików spojrział pytająco na Hagara.

- A gdzie szympanse?

- Orangutan.

- Nieważne. Gdzie on jest? - Reporter wyraźnie się niecierpliwił.

- Nie ma kalendarzyka, w którym zapisywałby umówione spotkania.

- Ale ty zwykle się pojawia, tak? Tak? Może trzeba wyłożyć jakąś przynętę, coś do jedzenia, żeby go

przywabić? Albo wydać dźwięk samicy w rui?

- Nie.

- To znaczy, że nie można go tu zwabić?

- Nie można.

- Czyli co? Mamy tu tkwić i się modlić? - Anglik zerknął na zegarek. - W południe muszę dostarczyć taśmę.

- Niestety, to jest dżungla. Co ma być, to będzie. Tak to działa w świecie natury.

- Jeśli ta małpa mówi, to nie należy do świata natury. A ja nie mam, do cholery, całego dnia, żeby na nią czekać!

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę mi znaleźć tego zasranego małpizona!

Krzyk kamerzysty spłoszył buszujące w koronach drzew lapundery; podniosły rwetes. Hagar spojrział na pozostałych.

- Może by tak ciszej? - zasugerował Francuz. - Będzie lepiej dla nas wszystkich.

- Goń się, frajerze - warknął Anglik.

- Ej, stary, wyluzuj.

Barczysty Australijczyk położył dłoń na ramieniu Anglika, który bez namysłu wymierzył mu sierpowy w podbródek. Australijczyk chwycił go za pięść, wykręcił mu rękę i pchnął go na jego statyw. Statyw przewrócił się, kamerzysta padł jak długi, a na Australijczyka rzuciła się cała brytyjska ekipa. Jego towarzysze skoczyli mu na pomoc. Niemcy również. Trzy ekipy okładały się pięściami, aż przewrócił się także francuski statyw i kamera wylądowała w błocie. Wtedy wywiązała się ogólna bijatyka.

Hagar tylko patrzył.

Dziś nie będzie orangutana.

R017

Rick Diehl przebierał się w szatni klubu golfowego w Bel Air. Szykował się do gry z trzema potencjalnymi inwestorami BioGenu: facetem z Merrilla Lyncha, jego chłopakiem i gościem z Citibanku. Miał nadzieję rozegrać to na luzie, ale był spięty - odkąd zobaczył żonę w towarzystwie tego dupka tenisisty, żył w ciągłym stresie. Bez pieniędzy Karen był zdany na łaskę drugiego dużego inwestora, Jacka Watsona, czuł się więc mało komfortowo. Potrzebował świeżego zastrzyku pieniędzy.

Na polu golfowym świeciło słońce i powiewał lekki wiaterek, kiedy Rick wygłaszał krótką mowę o cudach biotechnologii i potędze cytokin z kupionej przez BioGen linii komórek Burneta. Otwierała się szansa zarobienia na firmie, która wkrótce zacznie się błyskawicznie rozwijać.

Oni jednak mieli inne zdanie na ten temat. Facet z Merrilla Lyncha powiedział:

- Czy limfokiny i cytokiny to nie to samo? Czy cytokiny przypadkiem nie były przyczynajakichś niewyjaśnionych zgonów?

Rick przyznał, że owszem, parę lat temu zdarzyło się kilka zejść śmiertelnych, ponieważ lekarze za szybko rzucili się na zbawienną terapię.

- Pięć lat temu wszedłem w limfokiny - ciągnął facet z Merrilla Lyncha. - Nie zarobiłem ani centa.

- A burze cytokinowe? - wtrącił gość z Citibanku.

Burze cytokinowe, Chryste Panie... Rick zepsuł łatwe uderzenie.

- Właściwie... To tylko teoretyczna możliwość. Chodzi o to, że w pewnych, niezwykle rzadkich, okolicznościach system immunologiczny reaguje zbyt silnie i atakuje organizm, co prowadzi do uszkodzenia wielu organów...

- Czy nie to właśnie zdarzyło się podczas epidemii grypy w 1918 roku?

- Zgadza się, niektórzy specjaliści tak podejrzewają ale głównie ci, których zatrudniają koncerny farmaceutyczne produkujące konkurencyjne środki.

- Czyli to nie musi być prawda, tak?

- Przyszły takie czasy, że trzeba bardzo uważać na to, co mówią naukowcy. - Nawet o 1918?

- Dezinformacja przybiera różne postacie. - Rick podniósł swoją piłkę. - Prawda jest taka, że cytokiny to przyszłość. Prawdopodobnie wkrótce przejdą badania kliniczne i zostaną skierowane do produkcji. Gwarantują najszybszy zwrot inwestycji. Dlatego pierwszą moją decyzją w BioGenie był zakup cytokin. Właśnie wygraliśmy proces, który przy okazji nam wytoczono...

- Nie będzie apelacji? Ja słyszałem, że tak.

- Wyrok odebrał im chęć do walki.

- Ale przecież zdarzało się, że ludzie umierali po transferze genów, który prowadził do burzy cytokinowej. I to całkiem dużo ludzi.

Rick westchnął.

- Nie tak znowu dużo...

- To znaczy? Pięćdziesiąt osób? Sto? W tych granicach?

- Nie znam dokładnej liczby - odparł Rick.

Stwierdził, że ten dzień zdecydowanie kiepsko się układa. A to było godzinę przed tym, jak któryś z tamtej trójki uznał ostatecznie, że tylko idiota wszedłby w cytokiny.

Super.

Zniechęcony i zmęczony siedział oklapły na ławce w szatni, kiedy przysiadł się do niego Jack Watson, pięknie opalony, w białym stroju do tenisa.

- No i co? Jak interesy?

Był ostatnim człowiekiem, którego Rick chciał teraz spotkać. - Nie najgorzej. - Wejdą w to?

- Może. Poczekamy, zobaczymy.

- Ci goście z Merrilla Lyncha nie mają jaj. Dla nich nawet sikanie pod prysznicem to brawura i ryzykanctwo, więc na twoim miejscu nie czekałbym z zapartym tchem. Co myślisz o sprawie Radial Genomics?

- Jakiej sprawie?

- Pewnie jeszcze się nie rozeszło, ale myślałem, że będziesz wiedział. - Watson schylił się i zaczął rozsznurowywać buty. - Że się zaniepokoisz. Nie było u was ostatnio jakiejś kradzieży?

- A tak, ukradli mi samochód z parkingu. Ale jestem w trakcie rozwodu, więc i bez tego mam dość zmartwień.

- Zakładasz, że to żona zleciła kradzież? - No tak...

- Masz dowody?

- Nie. - Rick zmarszczył brwi. - Myślałem po prostu...

- Tak to się właśnie zaczęło w Radial Genomics: od drobnych kradzieży. Ktoś ukradł z parkingu samochód laboranta, portfel ze stołówki, identyfikator z łazienki. Nikt się tym nie przejmował, a teraz, z perspektywy czasu, widać, że w ten sposób sprawdzano system zabezpieczeń i szukano w nim luk. Zorientowali się dopiero po włamaniu.

- Po włamaniu?

Poważna sprawa. Znał Charliego Hugginsa z Genomics. Postanowił zadzwonić do niego i go o wszystko wypytać.

- Huggins oczywiście nabrał wody w usta - ciągnął Watson. - W czerwcu wchodzi na giełdę, więc taka informacja położyłaby ofertę. Ale prawda jest taka, że w zeszłym miesiącu ukradziono im z laboratorium cztery linie komórek, a z twardych dysków zniknęło pięćdziesiąt terabajtów danych, w

tym także kopie zapasowe na zewnętrznych serwerach. Fachowa robota. Nieźle ich to uderzyło.

- Rany... To przykre.

- Poleciałem Charliemu skontaktować się z BDG, Biological Data Group. To spece od zabezpieczeń.

Na pewno o nich słyszałeś.

- BDG? - Nie kojarzył tej nazwy, czuł jednak, że powinien. - Jasne.

- To dobrze. Zajmowali się zabezpieczeniami w Genentechu, Wyeth, BioSynie i jeszcze dziesięciu innych firmach. Firmy oczywiście nie pisną o tym słowa, ale na problemy BDG jest najlepsze.

Przychodzą analizują system zabezpieczeń, wyszukują słabe punkty i je likwidują. Cicho, szybko, dyskretnie.

Rick pomyślał, że jedynym słabym punktem jego systemu zabezpieczeń jest siostrzeniec Watsona, ale powiedział zupełnie co innego:

- Może powinienem z nimi porozmawiać.

Skończyło się na tym, że Rick Diehl siedział przy stoliku w restauracji naprzeciw eleganckiej blondynki w eleganckim żakiecie. Przedstawiła się: Jacqueline Maurer. Miała krótkie włosy, wysportowane ciało gimnastyczki i rzeczowe podejście do interesów. Po męsku uściśnęła mu dłoń i podała swoją wizytówkę. Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. Mówiąc, patrzyła mu w oczy. Była bardzo bezpośrednia.

Zerknął na wizytówkę. Niebieskie litery BDG, a niżej, mniejszą czcionką jej nazwisko i numer telefonu. Nic więcej.

- Gdzie macie biura? - zapytał.

- W wielu miastach, na całym świecie. - A pani gdzie pracuje?

- W tej chwili w San Francisco. Wcześniej w Zurychu.

Mówiła z lekkim akcentem; początkowo myślał, że to francuski, teraz jednak doszedł do wniosku, że musi być niemiecki.

- Pochodzi pani stamtąd?

- Nie. Urodziłam się w Tokio. Mój ojciec był dyplomatą. W młodości dużo podróżowałam. Chodziłam do szkół w Paryżu i Cambridge. Najpierw pracowałam w Credit Lyonnais w Hongkongu, ponieważ znam mandaryński i kantoński. Później przeniosłam się do Genewy, do Lombard Odier. To prywatny bank.

Przyszedł kelner. Zamówiła wodę mineralną której marka nic Rickowi nie mówiła.

- Co to za woda? - zapytał.

- Norweska. Bardzo dobra. Wziął to samo.

- Jak trafiła pani do BDG?

- W Zurychu, dwa lata temu.

- W jakich okolicznościach?

- Przykro mi, ale tego nie mogę panu powiedzieć. Pewna firma miała kłopoty. Zwróciła się do BDG z prośbą o pomoc w ich rozwiązaniu, a oni poprosili mnie o konsultacje w sprawach... technicznych. Później do nich przesłam.

- Pewna firma w Zurychu miała kłopoty? Uśmiechnęła się.

- Przykro mi.

- Jakie firmy obsługiwała pani po przejściu do BDG?

- Niestety, tego również nie mogę powiedzieć.

Rick spochmurniał. Zapowiada się ciekawa rozmowa, skoro jedna ze stron nie może powiedzieć nic konkretnego.

- Zdaje pan sobie sprawę, że kradzież danych to problem globalny. Wszystkie firmy na świecie są nią

zagrożone, a straty ocenia się na bilion euro rocznie. Nikt nie chciałby, żeby publicznie mówiono o jego kłopotach. Dlatego szanujemy prywatność naszych klientów.

- Co właściwie może mi pani powiedzieć?

- Proszę pomyśleć o dowolnym dużym banku, instytucji naukowej, firmie farmaceutycznej. Prawdopodobnie pracowaliśmy dla nich.

- Rzeczywiście, w dyskrecji jesteście niezrównani.

- Tak jak będziemy w pańskim przypadku. W pana firmie zjawią się tylko trzy obce osoby, łącznie ze mną. Przedstawimy się jako księgowi pracujący na zlecenie dużego potencjalnego inwestora. Przez tydzień dokonamy wywiadu, a potem złożymy panu sprawozdanie.

Prosto i bez zbędnych fajerwerków. Próbował się skupić na tym, co powiedziała, ale jej uroda mu to utrudniała. Nie zrobiła najmniejszego gestu, który miałby erotyczny podtekst, nie rzuciła dwuznacznego spojrzenia, nie poruszyła się prowokująco, nie dotknęła go, była jednak niesamowicie seksowna. I nie miała na sobie stanika - widział jędrne piersi rysujące się pod bluzką.

- Panie Diehl?

Wpatrywała się w niego. Najwyraźniej odpłynął myślami zbyt daleko.

- Przepraszam. - Pokręcił głową. - Przechodzę trudny okres...

- Wiemy co nieco o pańskich problemach osobistych, jak również o kłopotach z bezpieczeństwem w firmie. To znaczy, o ich politycznym aspekcie.

- Właśnie. Nasz szef ochrony, niejaki Bradley...

- Trzeba się go jak najszybciej pozbyć.

- No tak, ale jego wuj...

- Wszystkim się zajmujemy.

Kiedy kelner znów podszedł do stolika, zamówiła lunch. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej go pociągała. Jacqueline Maurer emanowała aurą egzotyki, zachowując przy tym dystans, który Rick traktował jak osobiste wyzwanie. Zdecydował, że skorzysta z jej usług. Chciał się z nią ponownie spotkać.

Zjedli i razem wyszli z restauracji. Podali sobie ręce.

- Kiedy zaczynacie?

- Od razu. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

- Zgoda.

- Świetnie. Zgłosimy się do firmy za cztery dni.

- Nie dziś?

- Nie, nie. Dzisiaj zaczniemy, ale najpierw musimy się zająć pańskim problemem politycznym. Dopiero potem zjawimy się osobiście.

Czarna limuzyna zatrzymała się przy krawężniku. Szofer wysiadł i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Jeszcze jedno: znaleźliśmy pańskie porsche. W Houston. Na pewno nie ukradła go pańska żona.

Kiedy wsiadała do samochodu, spódnica przesunęła jej się w górę uda. Nie obciągnęła jej. Pomachała do Ricka, kiedy szofer zamykał drzwi.

Wóz odjechał, zanim Rick zorientował się, że zaparło mu dech w piersi.

R018

Brad Gordon wiedział, że jest to po prostu jego sposób na relaks, nic więcej - ale weź to komuś wytłumacz. Wolny facet musi być bardzo ostrożny. Takie czasy. Dlatego kiedy przychodził na trybuny szkolnego stadionu, zawsze brał ze sobą palmtop i komórkę. Udawał, że cały czas dzwoni i esemesuje jak zapracowany ojciec. Albo wujek. Poza tym nie przychodził codziennie, tylko raz,

czasem dwa razy w tygodniu, gdy trwał już sezon piłkarski. No i kiedy nie miał nic do roboty. W popołudniowym słońcu dziewczynki w szortach i podkolanówkach wyglądały bosko. Siódmoklasistki: nogi jak u żrebiąt i pączkujące piersi, które prawie nie podskakiwały w biegu. Kilka dziewczyn miało już całkiem niezłe bufory i zaokrąglone tyłeczki, ale większość zachowała uroczą dziecięcą sylwetkę. Jeszcze nie kobiety, ale już nie dziewczynki. Niewinne - przynajmniej na razie.

Zajął swoje stałe miejsce, w połowie wysokości trybun i trochę z boku, jakby chciał móc w spokoju rozmawiać przez telefon. Skinął głową innym bywalcom meczów, głównie dziadkom i latynoskim opiekunkom, po czym wyjął palmtop i położył sobie telefon na udzie. Wyciągnął rysik i zaczął stukać w ekran palmtopa, udając zbyt zapracowanego, żeby śledzić mecz.

- Przepraszam...

Podniósł wzrok. Obok niego siedziała młoda dziewczyna o orientalnych rysach. Nigdy wcześniej jej tu nie widział. Była miłutka. I miała może z osiemnaście lat.

- Strasznie przepraszam, ale muszę zadzwonić do rodziców Emily. - Wskazała jedną z piłkarek. - A komórka mi się rozładowała. Mogłabym skorzystać z pana telefonu? Tylko na chwilkę.

- Eee... Oczywiście. Podał jej telefon.

- To lokalna rozmowa.

- Nie ma sprawy.

Zadzwoniła, powiedziała, że trwa już trzecia kwarta i niedługo mogą po nią przyjechać. Gordon udawał, że nie słucha. Oddała mu telefon. Ich dłonie się zetknęły.

- Dzięki.

- Drobiazg.

- Nie widziałam pana wcześniej na meczach. Często pan przychodzi?

- Nie tak często, jak bym chciał. Wiesz, praca... Która to Emily? - zainteresował się Gordon.

- Gra na środku ataku. - Wskazała czarnoskórą dziewczynkę po przeciwnej stronie boiska. - Jestem Kelly, jej przyjaciółka.

Podali sobie ręce.

- Brad.

- Miło cię poznać, Brad. Po kogo przyszedłeś?

- Moja siostrzenica ma dziś wizytę u dentysty. Ale dowiedziałem się o tym, dopiero kiedy już tu byłem. - Wzruszył ramionami.

- Fajny z ciebie wujek. Na pewno cieszy się, że przychodzisz ją oglądać. Chociaż młody jesteś jak na wujka takiej dziewczyny.

Uśmiechnął się. Nie wiedzieć czemu, denerwował się. Kelly siedziała bardzo blisko, ich uda prawie się stykały. Nie mógł pisać na palmtopie ani dzwonić. Ludzie nie siadają tak blisko siebie.

- Moi rodzice są starzy - powiedziała. - Ojciec miał pięćdziesiąt lat, kiedy się urodziłam. - Spojrzała na boisko. - Pewnie dlatego wolę starszych facetów.

Ile ona ma lat?! Nie wiedział, jak zapytać, żeby się nie zdradzić. Wyprostowała ręce, rozczapierzając palce.

- Pomalowałam sobie paznokcie. Podobają ci się?

- Fajne. Świetny kolor.

- Tata nie znosi, kiedy maluję paznokcie; uważa, że to mnie postarza. Ale kolor mnie też się podoba. Gorąca miłość. Tak się nazywa.

- Aha...

- Przecież wszystkie dziewczyny robią sobie paznokcie. Bez przesady. Ja malowałam sobie już w

siódmej klasie. A poza tym skończyłam szkołę.

- Tak?

- Tak, rok temu.

Otworzyła torebkę. Obok szminki, kluczyków do samochodu, iPod'a i puderniczki Gordon zauważył dwa zawinięte w folię skręty i kilka kolorowych prezerwatyw. Szeleściły głośno, kiedy grzebała w torebce.

Odwrócił wzrok.

- To co, teraz chodzisz do college'u?

- Nie. Przymusowy rok wolnego. - Uśmiechnęła się. - Miałam kiepskie stopnie. Za dużo imprezowałam. - Wyjęła plastikową buteleczkę z sokiem pomarańczowym. - Masz wódkę?

Zamurowało go.

- Nie... nie przy sobie.

- A gin?

- Też nie.

- Ale mógłbyś załatwić, prawda? - Znowu się uśmiechnęła.

- Pewnie tak...

- Odwdzięczę ci się. I tak to się zaczęło.

Wyszli ze stadionu osobno, w odstępie kilku minut. Bradley czekał w samochodzie na parkingu, patrząc, jak Kelly idzie w jego kierunku. Miała na sobie klapki, krótką spódniczkę i koronkową bluzkę, która wyglądała raczej jak bielizna nocna. Ale cóż, teraz wszystkie dziewczyny się tak ubierają. Torba objęła się jej o biodro. Zapaliła papierosa i wsiadła do swojego wozu - czarnego mustanga. Pomachała do Brada.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. Ruszyła za nim.

Nie napalaj się, ostrzegł się w myślach. Ale, prawdę mówiąc, już się napalił.

R019

Marilee Hunter, pedantyczna kierowniczka laboratorium genetycznego w Memoriału, lubiła się upajać swoim głosem. Marty Roberts bardzo się starał udawać zainteresowanie. Marilee była zasadnicza i pedantyczna jak bibliotekarka ze starego filmu. Uwielbiała przyłapywać pracowników szpitala na błędach. Zadzwoiła do Marty'ego i kazała mu się natychmiast stawić u niej w gabinecie.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - zaczęła. - Lisa, córka pana Wellera, przeprowadziła po jego śmierci test na ojcostwo, który wykazał, że mają różne DNA. Tymczasem wdowa upiera się, że to Weller jest ojcem Lisy, i żąda powtórzenia badań, a tym dostarczasz mi próbki krwi, tkanki śledziony, wątroby, nerek i jąder, mimo że ciało przeszło po drodze przez dom pogrzebowy i tkanki mogą być zanieczyszczone. To oczywiste, że myślicie o chimerze.

- Zgadza się. Albo o pomyłce w pierwszym teście. Nie wiemy, skąd została pobrana krew, którą córka oddała do laboratorium.

- W testach na ojcostwo zdarzają się błędne wyniki, i wcale nie tak rzadko - przyznała Marilee. - Zwłaszcza w laboratoriach działających online. Ale moje laboratorium się nie myli. Sprawdzimy te tkanki, Marty, wszystkie, najpierw jednak musisz nam dostarczyć komórki pobrane z policzka córki.

- Dobrze. - Całkiem o tym zapomniał. Musieli mieć próbkę pobraną z ciała córki, żeby móc porównać DNA. - Choć nie wiem, czy się zgodzi.

- Jeśli nie, zbadamy drugą córkę i syna. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że takie testy zajmują sporo czasu. Całe tygodnie.

- Wiem. To zrozumiałe.

Marilee otworzyła teczkę Przekartkowała dokumenty.

z aktami Wellera, opatrzoną pieczęcią N_{IE} ŻYJE.

- Wciąż zastanawia mnie sekcja zwłok - powiedziała. Marty podskoczył.

- Dlaczego?

- Tu jest napisane, że badanie toksykologiczne niczego nie wykazało.

- Robimy je każdej śmiertelnej ofierze wypadku samochodowego. To norma.

- Mhm... - Marilee wydeła wargi. - Rzecz w tym, że my, tutaj, powtórzyliśmy je. I coś nam wyszło.

- Tak? - Marty starał się nie dać nic po sobie poznać. Co jest, kurwa?!

- Trudno się je przeprowadza po tym, jak w ciało wstrzyknięto wszystkie niezbędne przy pogrzebie środki konserwujące, ale mamy doświadczenie w takich sprawach. Stwierdziliśmy, że zmarły pan Weller miał podwyższony wewnątrzkomórkowy poziom wapnia i magnezu...

O rany!

-...jak również zbyt dużo dehydrogenazy etanolu w wątrobie, co sugeruje, że w chwili wypadku we krwi miał sporo alkoholu.

Marty jęknął w duchu. Kto robił to badanie? Czy Raza naprawdę się tym zajął, czy tylko tak mówił?

- Znaleźliśmy też śladowe ilości kwasu etakrynowego.

- Kwasu etakrynowego? - Marty pokręcił głową. - Bez sensu. Przecież to doustny środek moczopędny.

- Owszem.

- Facet miał czterdzieści sześć lat. Odnosił bardzo poważne obrażenia, mimo to można śmiało powiedzieć, że był w świetnej formie, jak jakiś kulturysta. No tak, kulturyści biorą środki moczopędne. Może to dlatego.

- Zakładasz, że przyjął go świadomie. A może nie? Może o niczym nie wiedział?

- Sugerujesz, że ktoś go otruił? Marilee wzruszyła ramionami.

- Reakcją na kwas etakrynowy może być wstrząs, obniżenie ciśnienia, nawet śpiączka. To mogło przyczynić się do śmierci.

- Nie wiem, jak chcesz to stwierdzić.

- To ty robiłeś sekcję - przypomniała mu Marilee, przeglądając akta.

- Tak, ja. Miał rozległe obrażenia. Zmiażdżona twarz i klatka piersiowa, pęknięcie osierdzia, złamanie kości udowej i biodrowej. Poduszka powietrzna nie odpaliła.

- Samochód został sprawdzony? Marty wzruszył ramionami.

- Spytaj glin. To nie nasza działka.

- Powinni byli się tym zająć.

- Posłuchaj. To był prosty wypadek: jeden wóz, jedna ofiara śmiertelna. Są świadkowie. Facet nie był ani napruty, ani w śpiączce, tylko po prostu walnął w podporę wiaduktu nad autostradą jadąc sto pięćdziesiąt na godzinę. Prawie wszystkie takie wypadki to samobójstwa. Trudno się dziwić, że gość najpierw wyłączył poduszkę.

- Ale nie sprawdziliście tego, Marty.

- Nie było powodu. Toksykologia na zero, a elektrolity właściwie w normie, biorąc pod uwagę obrażenia i godzinę zgonu.

- Wcale nie były w normie.

- Nam wyszło, że były.

- Mhm. A wiesz na pewno, że w ogóle zrobiliście testy?

I właśnie w tym momencie Marty Roberts zaczął się poważnie zastanawiać nad Razą. Raza

powiedział, że tamtej nocy musiał na gwałt zrealizować zamówienie na kości. Nie na rękę byłoby mu więc trzymanie zwłok Wellera w chłodni przez cztery czy pięć dni, aż ktoś zanalizuje podejrzone wyniki badań toksykologicznych.

- Sprawdzę.

- Powinieneś. Z akt wynika, że syn zmarłego pracuje w firmie biotechnologicznej, a żona w recepcji gabinetu pediatrycznego. Oboje mają pewnie dostęp do różnych chemikaliów. Nie wolno nam wykluczyć, że pan Weller nie został otruty.

- Rzeczywiście, to możliwe. Ale mało prawdopodobne. Marilee zmroziła go wzrokiem.

- Natychmiast to sprawdzę - obiecał.

Wracając do laboratorium, myślał o tym, co zrobić z Razą. Facet stanowił zagrożenie. Dla Marty'ego było już teraz oczywiste, że w ogóle nie zlecił badań toksykologicznych, co oznaczało, że sfałszował raport z laboratorium. Albo sam, kserując jakiś inny raport i zmieniając nazwisko zmarłego, albo ktoś z laboratorium zrobił to za niego. Pewnie to drugie. Jezus Maria, to jeszcze ktoś był w to zamieszany?!

A teraz Panna Porządnicka urządziła sobie polowanie na łobuzów, bo laboratorium wykryło kwas etakrynowy. Kwas etakrynowy... Jeżeli ktoś naprawdę otruł Johna Wellera, Marty musiał przyznać, że sprytnie to załatwił. Denat dbał o wygląd; w tym wieku musiał codziennie spędzać na siłowni ze dwie godziny, pewnie łykał kilogramy odżywek i innego syfu. Trudno byłoby udowodnić, że sam nie wziął środka moczopędnego.

Trudne, ale nie niemożliwe. Kwas etakrynowy wydaje się na receptę, musiał więc gdzieś zostać ślad na papierze. Nawet jeśli kupił go od kogoś, od innego kulturysty albo ze sklepu internetowego w Australii, to też można sprawdzić, ale to wymaga czasu. A nie trzeba by długo czekać, aż ktoś zainteresuje się ciałem, obejrzy je i stwierdzi, że zniknęły z niego wszystkie kości długie.

Cholera jasna.

Pieprzony Raza!

Wrócił myślami do czterdziestosześcioletniego kulturysty. Facet w jego wieku, staż rodzinny, dzieci odchowane... Są tylko dwa powody, dla których zaharowuje się na siłowni, żeby mieć takie ciało: albo jest gejem, albo ma dziewczynę - w każdym razie na pewno nie bżyka żony. A co ona na to?

Wkurza się?

Pewnie tak. Wystarczająco, żeby otruć męża pakera? Nie można tego wykluczyć; ludzie zabijali współmałżonków za mniejsze przewiny. Zaczął myśleć o pani Weller. Przypomniał sobie całą ekshumację, ze szczegółami. Scena stanęła mu przed oczami: zapłakana wdowa, wsparta na ramieniu wysokiego syna, obok dobra córka, podająca jej chusteczki. Wzruszające.

Tylko że...

Ledwie wyciągnęli trumnę z grobu, Emily Weller zaczęła się denerwować. Pograżona w żałobie wdowa nagle chciała załatwić wszystko jak najszybciej. Nie zabierajcie ciała do szpitala. Nie pobierajcie zbyt wielu próbek. Kobieta, która jeszcze niedawno zleciła szczegółowe badanie DNA, jakby nagle zmieniła zdanie.

Dlaczego?

Przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź: pani Weller chciała zrobić test na ojcostwo, ale nie miała pojęcia, że z tego powodu ciało powinno trafić z powrotem do szpitala. Nie wiedziała, że lekarz pobierze próbki tkanek z kilku organów. Myślała, że weźmie tylko trochę krwi; potem znów pogrzebią trupa i wrócą do domu. Wszystko ponad to wyraźnie ją niepokoiło.

Może jest jednak jeszcze cień nadziei.

Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Chciał zadzwonić do pani Weller, ale musiał być

ostrożny. Szpitalna centralka zapisze datę i czas rozmowy. Po co mógłby do niej telefonować? Zastanowił się.

No tak: musi przecież pobrać próbki DNA od niej i jej dzieci. Świetnie. Ale dlaczego nie zrobił tego na cmentarzu? Wystarczyłby wacik. Pobranie próbki z policzka zajęłoby dosłownie chwilę.

Odpowiedź: myślał, że laboratorium Panny Porządnickiej już to zrobiło. Rozważył to. Obrócił pomysł w głowie na wszystkie strony. Całkiem niezłe. Miał świetny pretekst, żeby zadzwonić. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Pani Weller? Mówi doktor Roberts ze szpitala Memoriał. Marty Roberts.

- Tak, panie doktorze? Czy coś się stało?

- Nic poważnego, pani Weller. Chciałbym tylko umówić się z panią i pani dziećmi na wizytę u nas.

Musimy pobrać próbki krwi i tkanki z policzka. Do testów DNA.

- Już nie trzeba. Próbki pobrała ta kobieta z laboratorium.

- Tak? Ma pani na myśli doktor Hunter? Przepraszam, nie wiedziałem. Na chwilę zapadła cisza.

- Czy pan... Czy przeprowadzacie testy na Jacku? - zapytała Emily.

- Tak. Część testów robimy u nas, część w laboratorium.

- Coś znaleźliście? To znaczy... Czy wasze przypuszczenia się potwierdziły? Marty się uśmiechnął.

Nie pytała wcale o ojcostwo - bała się tego, co mogą znaleźć.

- Prawdę mówiąc, pani Weller...

- Tak?

- Wystąpiły pewne drobne... komplikacje. Nic poważnego, ale...

- Jakie komplikacje?

- Laboratorium genetyczne znalazło w tkankach pana Wellera ślady dziwnej substancji. To pewnie efekt pomyłki laboranta albo zanieczyszczenia próbki.

- Co to za substancja?

- Wspominam o tym tylko dlatego, że zależało pani na tym, aby zmarły mąż jak najszybciej zaznał wiecznego spokoju.

- Zgadza się. Nie chcę, aby znów mu go zakłócano.

- To zrozumiałe. Ja również nie chciałbym, aby ostateczne złożenie go do grobu odwlekło się o całe tygodnie, podczas gdy próbowano by dociec, co to za substancja i jak znalazła się w jego organizmie. Bo nawet jeśli mamy do czynienia z pomyłką laboranta, od tego momentu dalszy przebieg testów jest ściśle regulowany przepisami. Nie powinienem nawet do pani dzwonić, i pewnie bym tego nie zrobił, gdyby nie fakt, że czuję się trochę winny. Nie chciałbym jednak, by śledztwo koronera spowodowało dalszą zwłokę.

- Rozumiem.

- Oczywiście nie śmiałybym doradzać pani niczego, co byłoby sprzeczne z prawem, pani Weller, ale mam wrażenie, że ekshumacja męża ogromnie panią wyczerpała...

- Tak... O, tak...

- Gdyby więc chciała sobie pani oszczędzić dalszych nerwów, a także wydatków związanych z ponownym pochówkiem, istnieje rozwiązanie mniej bolesne. I tańsze. Może pani zlecić kremację.

- Nie wiedziałam.

- Na pewno nawet pani nie przypuszczała, że ekshumacja może być tak traumatycznym przeżyciem.

- Istotnie, nie przypuszczałam.

- I pewnie nie chciałaby pani znowu tego przeżywać. - W rzeczy samej. No myślę.

- Naturalnie gdyby wiedziała pani, że szykuje się śledztwo, nie pozwolono by pani skremować zwłok męża; ja z pewnością niczego podobnego bym pani nie sugerował. Mogłaby pani jednak podjąć

decyzję o kremacji samodzielnie, mając ku temu swoje powody. Gdyby podjęła ją pani szybko, czyli dziś do wieczoru, najpóźniej jutro rano, zdarzyłby się pech, jaki czasem się zdarza: ciało zostało spalone przed wszczęciem śledztwa.

- Rozumiem.

- Muszę kończyć.

- Dziękuję, że zadał pan sobie trud, żeby do mnie zadzwonić. Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć?

- Nie, to wszystko. Dziękuję, pani Weller.

- Nie ma za co, doktorze. Klak.

Marty Roberts rozparł się w fotelu. Był bardzo zadowolony z przebiegu rozmowy. Bardzo.

Pozostała mu jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

- Słucham, laboratorium. Jennie przy telefonie.

- Jennie? Mówi doktor Roberts z prosektorium. Chciałbym, żebyś sprawdziła dla mnie wyniki badań.

- Na cito, panie doktorze?

- Nie, to stara sprawa. Toksykologia sprzed ośmiu dni. Nazwisko: Weller. Marty odczytał numer identyfikacyjny. Przez chwilę słyszał w słuchawce tylko stukanie w klawiaturę.

- John J. Weller? Biały, czterdzieści sześć lat?

- Zgadza się.

- Pełne badanie toksykologiczne, niedziela, ósmy maja, trzecia trzydzieści siedem. Toksykologia i... i dziewięć innych testów.

- Macie próbkę jego krwi?- Oczywiście. Teraz wszystko trzeba przechowywać.

- Mogłabyś sprawdzić?

- Panie doktorze, w dzisiejszych czasach niczego się nie wyrzuca. Przechowujemy identyfikatory noworodków z wynikami testu na fenylketonurię, krew pępowinową, fragmenty łożyska, tkankę po operacjach, wszystko...

- Rozumiem, proszę jednak, żebyś to dla mnie sprawdziła.

- Informacja wyświetla mi się na ekranie: zamrożona próbka, chłodnia B-7. Pod koniec miesiąca zostanie przeniesiona do zewnętrznego magazynu.

- Naprawdę mi przykro, ale to śliska sprawa. Może się oprzeć o sąd. Czy ktoś mógłby pójść do tej chłodni i sprawdzić, czy ta próbka naprawdę tam jest?

- Naturalnie, zaraz kogoś tam pošlę. Oddzwonię.

- Dziękuję, Jennie.

Rozłączył się i usiadł wygodniej. Patrzył przez szklaną ścianę, jak Raza czyści stalowy blat stołu, przygotowując go do następnej sekcji. Raza był mistrzem sprzątania, to mu trzeba było przyznać. W ogóle do czegokolwiek się brał, robił to rzetelnie. Nie zaniedbywał żadnego szczegółu.

Co oznaczało, że mógł zmienić zawartość szpitalnej bazy danych w taki sposób, aby zapis w niej wskazywał miejsce przechowywania nieistniejącej próbki. A jeśli nawet nie zrobił tego osobiście, to może komuś zlecił.

Zadzwonił telefon.

- Doktor Roberts? Mówi Jennie.

- Tak, słucham?

- Chyba się pospieszyłam z tymi zapewnieniami. Próbka Wellera to trzydzieści mililitrów krwi żyłnej, zamrożonej. Ale nie ma jej w B-7. Gdzieś się zapodziała. Kazałam jej szukać i dam panu znać, jak tylko się znajdzie. Ma pan jeszcze jakąś sprawę do mnie?

- Nie, Jennie. Bardzo ci dziękuję.

R020

Nareszcie!

Ellis Levine znalazł matkę na piętrze firmowego sklepu Ralph Lauren na rogu Madison i Siedemdziesiątej Drugiej. Właśnie wyszła z przebieralni, ubrana w białe płócienne spodnie i kolorową bluzkę, i stała teraz przed lustrem, wykręcając się na wszystkie strony. Zobaczyła go.

- Cześć, kochanie. Jak wyglądam?

- Mamo, co ty tu robisz?

- Kupuję ubrania na rejs.

- Nie wybierasz się na żaden rejs.

- Ależ wybieram. Co rok gdzieś płyniemy. Podobają ci się mankiety spodni?

- Mamo...

Zmarszczyła brwi i z roztargnieniem przeczesła siwe włosy.

- Sama nie wiem, co z tą bluzką... Nie przypominam w niej sałatki owocowej?

- Musimy porozmawiać.

- Dobrze. Masz trochę czasu? Zjemy razem lunch.

- Nie, mamo. Muszę wracać do biura.

Ellis był księgowym w agencji reklamowej. Po telefonie od spanikowanego brata wybiegł w pośpiechu z pracy i przyjechał z centrum. Podszedł do matki.

- Mamo, nie możesz teraz robić zakupów - powiedział, zniżając głos.

- Nie wygłupiaj się, kochanie.

- Mamo, rozmawialiśmy o tym, całą rodziną...

Ellis i jego dwaj bracia widzieli się z rodzicami w poprzedni weekend. To było bolesne, przykre spotkanie w ich domu w Scarsdale. Ojciec miał sześćdziesiąt trzy lata, matka pięćdziesiąt dziewięć. Synowie poruszyli kwestię finansów.

- Żartujesz - mówiła teraz matka.

- Wcale nie. - Ścisnął ją za ramię.

- Ellisie Jacobie Levine, zachowujesz się niestosownie - zachnęła się.

- Tata stracił pracę, mamo.

- Wiem, ale mamy jeszcze dużo...

- Obcięli mu emeryturę.

- Chwilowo.

- Nie, mamo, nie chwilowo.

- Przecież zawsze mieliśmy mnóstwo... - Ale już nie macie. Już nie. Spiorunowała go wzrokiem.

- Rozmawiałam z ojcem, po tym, jak wyszliście. Powiedział, że będzie dobrze, a to całe gadanie o sprzedawaniu domu i jaguara to bzdury.

- Ojciec tak powiedział?

- Oczywiście! Ellis westchnął.

- Nie chciał, żebyś się zamartwiała.

- Wcale się nie zamartwiam. A on kocha jaguary. Co roku kupuje sobie nowego. Kupował już wtedy, kiedy byliście dziećmi.

Sprzedawcy przyglądali im się coraz natarczywiej. Ellis pociągnął matkę w kąt.

- Mamo, trochę się pozmieniało.

- Dajże spokój!

Ellis odwrócił wzrok. Nie mógł spojrzeć matce w oczy. Przez całe życie brał rodziców za wzór: zrównoważeni, wiarygodni, zamożni. On i bracia miewali wzloty i upadki - na litość boską,

najstarszy już się rozwiódł! - a rodzice należeli do poprzedniego, godnego zaufania pokolenia. Można było na nich polegać.

Nawet kiedy ojciec stracił pracę, nikt się tym nie przejął. Zgoda, w jego wieku nie należało liczyć na to, że znajdzie coś nowego, ale rodzice poczynili inwestycje, mieli akcje, ziemię w Montanie i na Karaibach, piękną emeryturę. Nie było się czym martwić. Rodzice nie zmienili stylu życia: nadal świetnie się bawili, podróżowali, szastali pieniędzmi.

A teraz Ellis z braćmi spłacali kredyt hipoteczny za dom w Scarsdale, próbując jednocześnie sprzedać apartament w Charlotte Amalie i domek w Vail.

- Mam dwójkę dzieci w przedszkolu. Maluch Jeffa jest w pierwszej klasie. Wiesz, ile dziś kosztuje prywatna szkoła w dużym mieście? Aaron płaci alimenty. Każdy z nas ma swoje życie. Nie możemy wciąż za was płacić.

- Nie płaciecie ani za mnie, ani za ojca! - wycedziła.

- Płacimy, mam. Dlatego mówię ci, że nie możesz sobie kupić tych ciuchów. Wróć do przymierzalni i zdejmij je. Proszę.

Był przerażony, kiedy matka nagle wybuchnęła płaczem. Ukryła twarz w dłoniach.

- Tak się boję... Co z nami będzie? Trzęsła się. Objął ją ramieniem.

- Będzie dobrze - zapewnił. - Idź, przebierz się. Zjemy razem lunch.

- Przecież nie masz czasu - zaszlochała. - Sam mówiłeś.

- Mam. Idziemy na lunch. Do Carlyle'a. Wszystko będzie dobrze. Pociągnęła nosem, otarła łzy i z podniesioną głową wróciła do przymierzalni.

Ellis włączył telefon, zadzwonił do biura i uprzedził, że się spóźni.

R021

W Waszyngtonie trwało Biotechnologiczne Śniadanie Modlitewne Kongresu. Doktor Robert Bellarmino nie mógł się doczekać zakończenia prezentacji: słynący z wodolejstwa kongresman Henry Waters mamrotał monotonie:

- Wszyscy znamy doktora Bellarmino jako lekarza obdarzonego sumieniem, bogoboju naukowca, człowieka z zasadami w świecie oportunistów, prawego w epoce hedonizmu i permissywizmu, zwłaszcza w MTV. Doktor Bellarmino nie tylko zajmuje kierownicze stanowisko w Narodowym Instytucie Zdrowia, ale jest także świeckim pastorem Kościoła baptystów Thomasa Fieldsa w Houston oraz autorem *Turning Points*, książki traktującej o duchowym przebudzeniu i otwarciu na uzdrawiającą nowinę Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Z tego, co wiem... No dobrze, nasz gość się niecierpliwi. Za godzinę ma wystąpienie przed komisją Kongresu, pozwólcie więc państwo, że przedstawię naukowca i człowieka Bożego w jednej osobie: doktor Robert A. Bellarmino.

Przystojny, emanujący pewnością siebie Bellarmino stanął przy pulpicie. Tematem jego prelekcji - zgodnie z wydrukowanym programem spotkania - był „Boży plan dla ludzkości w genetyce”.

- Dziękuję panu kongresmanowi Watersowi i wszystkim państwu za przybycie. Zastanawiacie się prawdopodobnie, w jaki sposób naukowiec, a zwłaszcza genetyk, godzi swoją pracę zawodową ze Słowem Bożym. Jak zauważył Denis Alexander, Biblia podkreśla, że Bóg, Stwórca Wszecrzeczy, nie stanowi wprawdzie jedności ze Swoim stworzeniem, ale aktywnie wspiera je na każdym kroku. Bóg jest więc stwórcą DNA, a nasza planeta właśnie DNA zawdzięcza ogromne zróżnicowanie biologiczne. Niektórzy krytycy inżynierii genetycznej twierdzą że powinniśmy zarzucić prowadzone badania, zamiast bawić się w Boga. W niektórych doktrynach ekologicznych rzecz ma się podobnie: natura jest nienaruszalną świętością. Ale przecież podobne poglądy to pogaństwo czystej wody.

Bellarmino zawiesił głos, czekając, aż jego słowa dotrą do wszystkich. Kusiło go, żeby pociągnąć temat pogaństwa, zwłaszcza panteistycznego kultu natury, nazywanego czasem „kosmologią

kalifornijską”, uznał jednak, że to nie najlepszy dzień do takich kazań. Dziś chciał poruszyć inny problem.

- Biblia mówi wprost, w Księdze Rodzaju, rozdział pierwszy, wers dwudziesty ósmy, i rozdział drugi, wers piętnasty, że Bóg zlecił człowiekowi opiekę nad Ziemią i wszystkimi zamieszkującymi ją istotami. My nie bawimy się w Boga. Bóg oczekuje, że będziemy odpowiedzialnymi opiekunami natury w całym jej majestacie i całej złożoności. Sam wyznaczył nam to zadanie. Jesteśmy namiestnikami Ziemi.

Genetycy posługują się danymi przez Stwórcę narzędziami, aby wypełnić to zobowiązanie. Pozbawione opieki rośliny padają łupem szkodników, giną ścięte mrozem, usychają gdy zabraknie deszczu. Inżyniera genetyczna pomaga temu zapobiec. Pomaga również zmniejszyć areal upraw, ocalić więcej nietkniętych terenów zielonych, a jednocześnie wyżywić głodnych. Inżyniera genetyczna pozwala obdzielić owocami hojności Boga wszystkie Jego stworzenia, zgodnie z Jego wolą. Zmodyfikowane genetycznie organizmy wytwarzają czystą insulinę dla cukrzyków i czyste środki zwiększające krzepliwość krwi dla hemofilików. Dawniej ci chorzy często umierali z powodu zanieczyszczenia leków. My stworzyliśmy czystość, która jest dziełem Bożym. Kto temu zaprzeczy?

Nasi przeciwnicy zarzucają nam, że inżyniera genetyczna jest sprzeczna z naturą ponieważ zmienia najgłębszą istotę żywych organizmów. To pogląd pogański, rodem ze starożytnej Grecji. Faktem jest przecież, że udomowienie zwierząt i modyfikacja roślin uprawnych, a jedno i drugie ludzkość praktykuje od tysięcy lat, również zmieniły ich naturę. Pies domowy nie jest już wilkiem, tak jak zboże nie jest karłowatym, niejadalnym chwastem. Inżyniera genetyczna to tylko kolejny krok na tej długiej, uświęconej tradycją drodze. To kontynuacja, a nie radykalne zerwanie z przeszłością.

Czasem mówi się po prostu, że nie powinniśmy manipulować DNA i już. Koniec, kropka. Dlaczego? DNA nie jest wcale niezmiennie. Poza tym wpływa na nasze codzienne życie. Czy mamy powiedzieć sportowcom, żeby nie dźwigali ciężarów, bo przez to zmienia się rozmiar ich mięśni? Czy powinniśmy zakazać uczniom czytania książek, ponieważ wskutek tego zmienia się struktura ich nie w pełni ukształtowanych mózgow? Oczywiście, że nie. Nasze ciała zmieniają się nieustannie, a wraz z nimi zmienia się DNA.

Istnieje pięćset schorzeń o podłożu genetycznym; udałoby się, być może, wyleczyć je, stosując terapię genową. Niektóre z nich przysparzają dzieciom okrutnych cierpień i prowadzą do przedwczesnej, bolesnej śmierci; inne grożą człowiekowi przez całe życie niczym wyrok w zawieszeniu - ofiary mogą tylko bezradnie czekać na atak choroby. Czy nie powinniśmy ich leczyć, jeśli okaże się to możliwe? Próbować ulżyć im w cierpieniu? Jeśli tak, to trzeba zmieniać DNA. Innego wyjścia nie ma. A zatem: modyfikować DNA czy nie? Czy będzie to dzieło Boże, czy przejaw ludzkiej pychy? To musi być przemyślana decyzja.

Podobnie jak orzeczenie w kwestii wykorzystywania komórek pobranych z zarodków. Ludzie wyrosli w tradycji judeochrześcijańskiej zwykle bezwarunkowo temu wykorzystywaniu się sprzeciwiają. Kłopot w tym, że ich poglądy wcześniej czy później muszą stanąć w sprzeczności z potrzebą leczenia chorych i niesienia pociechy cierpiącym: jeszcze nie dziś, nie w tym roku i nie w przyszłym, ale w końcu to nastąpi. W dążeniu do rozstrzygnięcia tego sporu potrzebujemy namysłu i modlitwy. Nasz Pan, Jezus Chrystus, leczył paralityków. Czy to znaczy, że nie powinniśmy Go naśladować, jeśli okaże się, że to możliwe? Wiemy przecież, że ludzka pycha przybiera różne formy, że może się przejawiać nie tylko w zapalczywym parciu do przodu, ale i w powstrzymywaniu zmian. Jesteśmy tu po to, aby odzwierciedlać chwałę Bożą w całym Jego stworzeniu, a nie w człowieczym upartym ego. Stojąc tu przed wami, muszę przyznać, że sam nie znajduję dziś odpowiedzi. Moje serce przepełnia troska. Wierzę jednak, że Bóg poprowadzi nas w końcu do takiego świata, jaki dla nas zaplanował.

Wierzę, że wskaże nam drogę do mądrości, my zaś zachowamy ostrożność i okiełznamy pychę, opiekując się Jego dziełem, Jego cierpiącymi dziećmi i wszystkimi stworzonymi przez Niego istotami. O to właśnie pokornie proszę w modlitwie. W imię Boże. Amen.

Przemówienie przyniosło zamierzony skutek. Oczywiście. Jak zawsze. Bellarmino wygłaszał tę samą mowę od dziesięciu lat, w różnych wersjach, za każdym razem trochę odważniej, z nieco większą determinacją. Przed pięcioma laty nie użył słowa „zarodek” teraz tak, choć tylko raz, przelotnie o nim wspomniał. Kładł fundamenty. Dawał słuchaczom do myślenia. Nie podobała im się ani wizja cierpiących chorych, ani wracających do zdrowia paralityków.

Naturalnie nikt nie miał pewności, czy coś takiego w ogóle kiedyś będzie możliwe; sam Bellarmino mocno w to wątpił. Chciał jednak, żeby oni myśleli, że cud jest bliski. Żeby się niepokoiili. Stawka w grze była wysoka, szybkość postępu - niewiarygodna. Jeżeli Waszyngton zakaże jakichś badań, pałeczkę przejmą Szanghaj, Seul, Sao Paulo. A do tego Bellarmino, fachowiec i bigot, nie zamierzał dopuścić. Nic nie mogło zagrozić jego laboratorium, badaniom i reputacji. Dobrze wiedział, co robić, by je chronić.

Godzinę później, w wykładanej boazerii sali przesłuchań Kongresu, Bellarmino złożył zeznania przed Komisją Genetyki i Zdrowia. Spotkanie z nim wchodziło w zakres prac komisji, która próbowała odpowiedzieć na pytanie, czy urząd patentowy powinien udzielać patentów na ludzkie geny. Tysiące patentów już wydano, ale czy ta praktyka ma nadal trwać?

- Z całą pewnością jest to problem - przyznał doktor Bellarmino, nie zaglądając do notatek. Nauczył się wystąpienia na pamięć, aby wygłoszone przed kamerami wywarło większe wrażenie. - Patentowanie genów przez firmy stanowi zagrożenie dla przyszłych badań. Gdyby jednak dopuścić patentowanie genów przez ośrodki naukowe, nie byłoby to tak niebezpieczne, ponieważ instytuty i uczelnie chętnie dzielą się swoimi osiągnięciami.

To bzdura, naturalnie. Nie wspomniał o tym, że granica między nauką a biznesem dawno się zatarła. Dwadzieścia procent naukowców jest opłacanych przez przemysł; dziesięć procent specjalistów pracuje przy produkcji nowych leków; ponad dziesięć procent ma już na rynku swoje produkty, a ponad czterdzieści złożyło w swojej karierze wnioski patentowe.

Nie pisał też słowa o tym, że sam ubiega się o patenty na geny: w ostatnich czterech latach jego laboratorium złożyło pięćset siedemdziesiąt dwa wnioski patentowe, obejmujące potencjalne lekarstwa na całą gamę schorzeń - od alzheimera, przez schizofrenię, zaburzenia maniakalno-depresyjne, nerwice aż po ADHD. Uzyskało patenty na dziesiątki genów odpowiedzialnych za konkretne wady metabolizmu, takie jak niedobór i-tyroksyi-tyroksy dihydroksybentaminy (odpowiedzialny za moczenie nocne).

- Pragnę jednak zapewnić szanowną komisję, że sam system patentowania genów jest korzystny dla społeczeństwa. Nasze procedury ochrony własności intelektualnej sprawdzają się znakomicie. Chronią interes naukowców, a beneficjentem jest konsument: amerykański pacjent.

Przemilczał fakt, że co roku przyznaje się ponad cztery tysiące patentów na rozwiązania bazujące na DNA - czyli w każdy dzień roboczy co dwie godziny wydawany jest nowy patent. Ponieważ ludzki organizm zawiera tylko trzydzieści pięć tysięcy genów, eksperci szacują, że ponad dwadzieścia procent genomu człowieka znajduje się już w rękach prywatnych.

Nie wspomniał również o tym, że największym potentatem na rynku patentów nie jest żaden gigant komercyjny, ale Uniwersytet Kalifornijski, posiadacz większej liczby patentów niż Pfizer, Merck, Lilly i Wyeth łącznie. Nawet rząd Stanów Zjednoczonych nie ma tylu patentów.

- Myśl o tym, że ktoś może być właścicielem części ludzkiego genomu, może się wydać niezwykła. Ale to właśnie dzięki temu Stany Zjednoczone przodują w badaniach naukowych. Owszem, zdarzają

się błędy i uchybienia, ale z czasem nauczymy się je korygować. Ochrona patentowa genów to nasza przyszłość.

Po złożeniu zeznania Bellarmino pojechał prosto na lotnisko Reagana, skąd poleciał do Ohio, aby w tamtejszym wesołym miasteczku kontynuować badania nad genem ryzyka. Ekipa filmowa z *60 Minutes* nie odstępowała go na krok, kręcąc dokument o jego doniosłych i zróżnicowanych pracach naukowych, a przy okazji także o życiu osobistym. W Ohio miał powstać pokaźny fragment filmu - zwłaszcza że właśnie tam Bellarmino nawiązywał kontakty ze zwykłymi ludźmi, a zdaniem filmowców właśnie taki „ludzki wymiar” był najważniejszy. Szczególnie w przypadku naukowca. Szczególnie w telewizji.

Biuro Uniwersyteckiego Transferu Technologii stanu Massachusetts Centrum rządowe, Boston

Do natychmiastowego rozpowszechnienia

NAUKOWCY WYHODOWALI W LABORATORIUM MINIATUROWE UCHO *Pierwsza „częściowa forma życia” w MIT* *Możliwe zastosowania w technologii leczenia słuchu*

Pierwszy raz specjalistom z MIT udało się wyhodować ludzkie ucho w kulturze tkanek.

Australijski artysta-performer Stelarc nawiązał współpracę z laboratorium Massachusetts Institute of Technology, prosząc o wyhodowanie dla niego trzeciego ucha. Sztucznie wyhodowany organ jest czterokrotnie mniejszy od naturalnego, wielkością zbliżony do kapsla butelki. Tkanę pobraną od Stelarca na czas hodowli umieszczono w obrotowym bioreaktorze, wytwarzającym środowisko mikrogravitacji.

W wydanym oświadczeniu MIT stwierdza, że ucho można uznać za „częściową formę życia, ponieważ zostało częściowo skonstruowane, częściowo zaś - wyhodowane”. Ucho to mieści się z łatwością w dłoni dorosłego człowieka.

W ubiegłym roku laboratorium MIT wyhodowało na polimerowej siatce steki z żabiej tkanki. Udało się również wyhodować stek z komórek nienarodzonej owcy. Stworzono także produkt nazwany „skórą bez ofiar” - wyhodowaną w warunkach laboratoryjnych skórę nadającą się do wyrobu butów, torebek, pasków i innej galanterii skórzanej, przede wszystkim z myślą o rozwijającym się szybko rynku wegańskim.

Kilku producentów aparatów słuchowych rozpoczęło rozmowy z MIT w sprawie zakupu licencji na produkcję uszu. Jak twierdzi jeden z genetyków, Zack Rabi: „Amerykańskie społeczeństwo się starzeje i coraz więcej ludzi, zwłaszcza starszych, wolałoby przeszczepić sobie powiększone, zmodyfikowane genetycznie uszy, niż stosować aparaty słuchowe”. Rzecznik Audiona, producenta takich aparatów, wyjaśnia: „Nie chodzi nam o uszy jak u słonia Dumbo. Małżowina większa zaledwie o dwadzieścia procent podwaja skuteczność organów słuchu. Naszym zdaniem popyt na powiększone uszy będzie ogromny, a kiedy się rozpowszechnią, ludzie przestaną je zauważać. Wkrótce powiększone uszy staną się czymś tak zwyczajnym jak dziś powiększone piersi”.

R022

Marty Roberts miał fatalny dzień - i to nawet przed telefonem od Emily Weller.

- Doktorze Roberts, dzwonię z kostnicy. Jest kłopot z kremacją zwłok mojego męża.

Marty był u siebie w gabinecie.

- Co się stało?

- Nie można spalić ciała, ponieważ zawiera metal.

- Metal? Jaki metal? Czy pani mąż miał jakieś stare rany wojenne? Albo metalową protezę kości biodrowej?

- Nie, nic z tych rzeczy. Ale podobno ktoś usunął kości z jego rąk i nóg i w ich miejsce wstawił metalowe rury.

- Niemożliwe. - Marty wstał i pstryknął palcami na kręcącego się po prosekorium Raze. - Jak to się mogło stać?

- O to właśnie chciałam pana zapytać.

- Nie wiem, co powiedzieć. Nic nie rozumiem, pani Weller. Nie ukrywam, że jestem wstrząśnięty. Raza wszedł do pokoju.

- Przełączę na głośnik, będę robił notatki. Czy jest pani w tej chwili w krematorium, przy zwłokach męża?

- Tak. I ci panowie właśnie mi powiedzieli, że ponieważ mąż ma ołowiane rury zamiast kości, nie można skremować zwłok.

- Aha.

Marty spojrzał pytająco na Raze, który pokręcił głową i napisał na kartce: *Wzięliśmy tylko jedną nogę. Wstawiliśmy drewniany kolek.* - Pani Weller, nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść. Teraz prawdopodobnie nie uniknie się już śledztwa. Obawiam się, że albo w domu pogrzebowym, albo już na samym cmentarzu doszło do nadużycia.

- W każdym razie oświadczyli, że trzeba go ponownie pochować. Ale sugerują też, żeby wezwać policję, bo kości najwyraźniej zostały skradzione. Tylko że ja nie chcę przez to wszystko przechodzić: policja, i tak dalej... - Długa, znacząca cisza. - A jakie jest pana zdanie, doktorze?

- Oddzwonię do pani za chwilę, dobrze? Marty odłożył słuchawkę.

- Ty tępaku! Tyle razy ci mówiłem: drewno! Tylko drewno!

- Wiem. Ale ten ołów to nie nasza robota, przysięgam. Zawsze wstawiamy drewno.

- Ołowiane rury... - Marty pokręcił głową. - To jakiś obłąd.

- To nie my, Marty. Słowo. Pewnie ci dranie z cmentarza. Przecież wiesz, jakie to proste: urządza się pogrzeb, rodzina rzuci garść ziemi i wszyscy się rozchodzą. Trumny wcale się od razu nie zakopuje, czasem trzymają ją tak jeszcze przez cały dzień albo i dłużej. Wystarczy przyjść w nocy, wyjąć kości... Sam wiesz.

- A ty? Skąd ty to wiesz? - Marty spiorunował Raze wzrokiem.

- W ubiegłym roku mieliśmy taki przypadek. Dzwoni kobieta: pochowała męża, a chciałaby odzyskać obrączkę. I pyta, czy może zdjęliśmy ją przed sekcją. Ja na to, że nie, ale mogę zadzwonić na cmentarz. I co się okazało? Jeszcze go nie pochowali i odzyskała tę obrączkę, bez problemu.

Marty usiadł.

- Posłuchaj. Jeśli będzie śledztwo, jeśli zaczną grzebać przy kontach...

- Nie martw się, nic nie wyjdzie na jaw. Zaufaj mi.

- Jesteś żaloszny.

- Powtarzam, Marty: to nie my. Nie wstawilibyśmy metalowej rury. W życiu.

- Dobrze, już dobrze. Słyszałem. Po prostu ci nie wierzę. Raza postukał w biurko.

- Chyba powinieneś ją postraszyć receptą.

- Wiem. A teraz spadaj, muszę do niej zadzwonić.

Raza wszedł do szatni po drugiej stronie prosekorium. Nikogo w niej nie było. Wyjął komórkę, wybrał numer.

- Jezu, kurwa... Świrujesz, facet?! Wstawiłeś ołowiane rury temu gościowi po wypadku! Marty się wściekł. Chcą go spalić, a tu bach! Ołów zamiast kości. Ile razy mam ci powtarzać, durniu?! Drewno!

- Pani Weller? Chyba powinna pani pochować męża. Wydaje mi się, że nie ma innego wyjścia.

- Poza zawiadomieniem policji o kradzieży kości.

- Nie mogę pani niczego nakazywać. Sama musi pani zdecydować, co dla pani lepsze. Ale jestem

przekonany, że w śledztwie wypłynie recepta na kwas etakrynowy, wystawiona na pani nazwisko i zrealizowana w aptece Longwood Pharmacy przy Motor Drive.

- Wykupiłam lek na własny użytek.

- Wiem. Pozostaje jednak pytanie, skąd się wziął kwas etakrynowy w organizmie pani męża. Niezręczne pytanie.

- Wasze laboratorium znalazło jego ślady?

- Owszem. Przypuszczam jednak, że szpital nie będzie się tym chwalił, jeżeli wycofa pani pozew. Proszę mi dać znać, co pani postanowiła. A na razie do widzenia.

Rozłączył się i spojrzął na termometr w prosektorium. Tylko piętnaście stopni. A on się poci.

- Zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz. - Marilee Hunter z laboratorium genetycznego nie była zadowolona. - Interesuje mnie twoja rola w tym wszystkim.

- W czym wszystkim?

- Dzwonił dziś do mnie Kevin McCormick. Wellerowie złożyli nowy pozew. Tym razem syn, Tom Weller. Biotechnolog.

- O co mu chodzi?

- Ja tylko trzymam się przepisów.

- Mhm.. O co nas skarży?

- Jego polisa ubezpieczeniowa wygasła.

- Dlaczego?

- Ojciec miał gen BNB71, odpowiedzialny za chorobę serca. - Naprawdę? To niemożliwe. Facet obsesyjnie dbał o zdrowie.

- Gen nie musiał się uaktywnić. Znaleźliśmy go w tkankach i odnotowaliśmy to w sprawozdaniu. Ubezpieczyciel to wykorzystał i rozwiązał umowę z synem jako „wstępnie chorym”.

- Skąd się dowiedzieli?

- Informacja jest w internecie.

- Jak to: w internecie?!

- Trwa w tej sprawie dochodzenie. Prawo stanowe nakazuje nam publikować wszystkie wyniki na serwerze FTP. Teoretycznie są chronione hasłem, ale w praktyce każdy może się do nich dostać.

- Zamieszczacie informacje genetyczne w internecie?

- Nie zawsze. Tylko kiedy jest śledztwo. W każdym razie syn twierdzi, że nie wyraził zgody na opublikowanie swojego profilu genetycznego, i to prawda. Jeśli jednak ujawniamy informacje o ojcu, a do tego zmuszają nas przepisy, ujawniamy dane syna, czego z kolei przepisy zakazują. Przecież dziecko ma połowę genów ojca. Tak czy inaczej, łamiemy prawo.

- Marilee westchnęła. - Tom Weller chciałby odzyskać ubezpieczenie, ale nie ma szans. Marty oparł się o biurko.

- Jak to dokładnie wygląda?

- Pan Weller pozwał mnie i cały szpital. Departament prawny radzi, żeby laboratorium przestało się zajmować Wellerami. - Marilee prychnęła. - Koniec sprawy.

Koniec sprawy! Nie będzie śledztwa, nie będzie ekshumacji! Marty czuł obezwładniającą ulgę, lecz bardzo się starał udawać zaniepokojonego.

- To nie fair. Prawnicy rządzą światem. - Nieważne, Marty. Już po sprawie.

Po południu Marty wrócił do prosektorium.

- Raza - powiedział. - Jeden z nas musi się pożegnać z tym laboratorium.

- Wiem. Będzie mi cię brakowało.

- Jak to?

- Odchodzę. - Raza się uśmiechnął. - Dostałem posadę w San Francisco, w szpitalu Hamiltona. Asystent w prosektorium zmarł nagle. Zawał. Zaczynam pojutrze, a że muszę się jeszcze spakować i pozałatwiać różne rzeczy, dziś jest mój ostatni dzień w pracy.

Marty Roberts wytrzeszczył oczy.

- No tak... - Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Wiem, że obowiązują mnie dwa tygodnie wypowiedzenia - ciągnął Raza. - Ale wytłumaczyłem im, że to wyjątkowa sytuacja, i zapewniłem, że zrozumiesz. A... mam dla ciebie kandydata na moje miejsce. To Jesu, mój kumpel. Świetny gość. Pracuje w domu pogrzebowym, więc orientuje się w tej robocie.

- Spotkam się z nim, ale myślę, że sam sobie kogoś znajdę.

- Jak chcesz. Żaden problem. - Podali sobie ręce. - Dziękuję za wszystko, doktorze Roberts.

- Zapamiętałeś. - Marty się uśmiechnął. Raza odwrócił się i wyszedł.

R023

Josh Winkler patrzył przez okno swojego gabinetu, z którego roztaczał się widok na recepcję BioGenu. W firmie panował chaos. Tom Weller, jego asystent, wziął tydzień urlopu po tym, jak jego ojciec zginął w wypadku samochodowym w Long Beach. W dodatku okazało się, że są jakieś problemy z jego polisą ubezpieczeniową. Josh był skazany na współpracę z innym asystentem, który nie znał odpowiednich procedur.

Serwisanci naprawiali kamery na parkingu. W recepcji Brad Gordon jak zwykle flirtował z piękną Lisą. Josh westchnął. Co takiego ma w sobie Brad, że może sobie pozwolić dosłownie na wszystko, włącznie z bzykaniem dziewczyny szefa? Bo nic nie wskazuje na to, żeby miał zostać zwolniony.

A Lisa ma śliczny biust.

- Josh? Słuchasz mnie?

- Tak, mam.

- Co ci chodzi po głowie? - Nic, mam.

Z miejsca, w którym stał, mógł zjrzeć prosto w głęboki dekolt Lisy, odsłaniający zarys jej jędrnych piersi - nienaturalnie jędrnych, bez wątplenia, ale to mu wcale nie przeszkadzało. Wszyscy teraz korzystali z chirurgii plastycznej. Faceci też. Nawet goście przed trzydziestką robili sobie liftingi i wstawiali implanty w penis.

- No to jak będzie?

- Z czym? Przepraszam, mam. Co mówiłaś?

- Chodzi o Levine'ów. Moich kuzynów.

- Nie znam ich. Gdzie mieszkają?

- W Scarsdale.

Teraz sobie przypomniał. Levine'owie mają rozrzutnych rodziców.

- To nielegalne, mam.

- Przecież pojechałeś do syna Lois i podałeś mu ten środek.

- To prawda.

Zgodził się, bo myślał, że i tak nikt go nie złapie.

- No i teraz chłopak rzucił narkotyki i poszedł do pracy. W banku, Josh, rozumiesz? W banku.

- Kim tam jest?

- Nie wiem, pewnie kasjerem.

- Super.

- Więcej niż super. Ten twój spray to prawdziwa maszyna do robienia pieniędzy. Cudowny lek. Możesz zrobić karierę.

- To miłe, mammo.
- Wiesz, o co mi chodzi. To może być coś wspaniałego... - Matka zawiesiła głos. - Ale powinieneś sprawdzić, jak działa na ludzi starszych, nie uważasz? Josh westchnął ciężko. Miała rację.
- Tak, mammo.
- Levine'owie mogą ci się przydać.
- Dobrze. Spróbuję to załatwić.
- Dla obojga?
- Tak, mammo. Dla obojga.

Rozłączył się. Zastanawiał się, co powinien zrobić, i był o krok od podjęcia zupełnie innej decyzji, kiedy usłyszał wycie policyjnych syren. Dwa radiowozy zatrzymały się przed budynkiem. Wysiadło z nich czterech funkcjonariuszy; weszli do recepcji i skierowali się prosto do Brada, który nadal w najlepsze flirtował z Lisą.

- Pan Bradley A. Gordon?

Jeden z nich odwrócił Brada, odciągnął mu ręce za plecy i zakuł go w kajdanki. O kurwa, pomyślał Josh.

- Co to ma znaczyć?! - krzyczał Brad. - O co chodzi, do cholery?!

- Panie Gordon, jest pan aresztowany pod zarzutem brutalnej napaści i gwałtu na nieletniej.

- Że co?!

- Ma pan prawo milczeć...

- Coś ty powiedział?! Jakiej nieletniej?! Nie znam żadnej pierdolonej nieletniej! Policjant spojrzał na niego z ukosa.

- No dobra, nieodpowiednie słowo. Nie znam żadnej nieletniej.

- Chyba jednak pan zna.

- Popelniecie poważny błąd, dupki! - ostrzegł Gordon, kiedy prowadzili go do wyjścia.

- Niech pan tylko idzie z nami.

- Pozwę was! Wszystkich! Nie wypłacicie się do końca życia!

- Tędy, proszę pana.

Wyszli na zalany słońcem parking.

Josh przeniósł wzrok na gapiów zgromadzonych przy barierce: połowa pracowników obserwowała tę scenę; cicho rozmawiali. Na końcu podestu stał Rick Diehl, prezes BioGenu.

Po prostu sobie stał, z rękami w kieszeniach. Stał i patrzył.

Jeżeli się przejął, to z pewnością nie dał tego po sobie poznać.

R024

Brad Gordon z nieszczęśliwą miną przyglądał się sedesowi w celi. Z boku metalowej muszli przykleił się kawałek mokrego papieru toaletowego, a przed sedesem, w kałuży brunatnej cieczy, pływały jakieś farfocle. Chciało mu się sikać, ale nie zamierzał stąpnąć w tę kałużę, czymkolwiek była. Właściwie to nawet wołał o niej nie myśleć.

Za jego plecami klucz zgrzytnął w zamku. Drzwi się otworzyły.

- Gordon? Idziemy.

- O co chodzi?

- Przyszedł twój adwokat.

Poszturchując go, gliniarz zaprowadził go do małego pokoju, gdzie czekało dwóch ludzi: starszy w prążkowanym garniturze i młodszy w kurtce Dodgersów, z laptopem. Młodszy miał też okulary w rogowej oprawce, które upodabniały go do sowy. Albo do Harry'ego Pottera.

Obaj wstali i podali Gordonowi ręce. Nie dosłyszał nazwisk, ale wiedział, że obaj są z kancelarii

obsługującej firmę wuja.

- Co tu się dzieje? - zapytał. Starszy otworzył tekturową teczkę.
- Nazywa się Kelly Chin. Poznaliście się na meczu piłki nożnej. Zaczepił ją pan...
- Ja ją zaczepiłem?!
- Zabrał ją pan do hotelu Westview Plaża; pokój numer 413.
- Wszystko pokręciliście.
- Tam uprawialiście seks oralny, genitalny i analny. Kelly ma szesnaście lat.
- Chryste Panie... Wcale tak nie było. Starszy prawnik spojrział na niego.
- Wdepnął pan w niezłe gówno, przyjacielu.
- Mówię wam: wcale tak nie było.
- Czyżby? Kamery w hotelu zarejestrowały was w holu, a potem w windzie. Kamery na czwartym piętrze nagrały, jak wchodzi pan z panną Chin do pokoju 413, gdzie spędziliście godzinę i siedem minut. Wyszła sama.
- No tak, ale...
- W windzie płakała. - Co?!
- Pojechała prosto do szpitala w Westview, zgłosiła napad i gwałt. Została zbadana i obfotografowana. Miała pękniętą pochwę i odbyt. Z odbytu pobrano próbkę spermy i oddano do laboratorium. Wyników jeszcze nie ma, ale dziewczyna twierdzi, że to pańskie nasienie. Czy tak?
- O w mordę... - stęknął Brad.
- Lepiej się przyznać. Proszę nam powiedzieć, jak było naprawdę.
- A to mała suka.
- Zaczniemy od tego meczu, na którym się spotkaliście. Świadkowie twierdzą że widywali pana już wcześniej na meczach dziewczynek. Co pan tam robił, panie Gordon?
- Jezus Maria...Brad opowiadał, a starszy z prawników cały czas mu przerywał, przez co wstęp zajął mu prawie pół godziny. A doszedł dopiero do pokoju w hotelu.
- Powiedział pan, że dziewczyna napaliła się na pana.
- Jeszcze jak!
- W windzie nie całowaliście się ani nie przytulaliście.
- Nie, zachowywała się z rezerwą. Wie pan, jak to Azjatka.
- Rozumiem. Jak to Azjatka. Niestety, obraz z kamer sugeruje, że to nie działo się za jej zgodą.
- Spękała.
- Tak? Kiedy?
- Potem, w sypialni. Niby przechodzimy do akcji, ona cała nagrzana... ale taka trochę dziwna była, jakby nie mogła się przemóc. Wie pan: chciałabym, a boję się. Ale bardziej chciała. Przecież nawet naciągnęła mi gumkę. No więc ja tu jestem cały gotowy, ona kładzie się na plecach, rozkłada nogi i nagle: „Nie, jednak nie chcę”. Siedzę obok niej, pała mi stoi jak się patrzy, więc się trochę wkurzyłem. A ona wtedy, że strasznie mnie przeprasza. Zrobiła mi loda, wytrysnąłem w gumę. Niezła była, jak zawodowa dziwka, ale wie pan, jakie są te dzisiejsze dziewczyny. W każdym razie zdjęła mi kondom, zabrała do łazienki, spuściła wodę. Przyniosła ciepły, wilgotny ręcznik, wytarła mnie i powiedziała, że przeprasza, ale musi wracać do domu. Ja na to: proszę bardzo. Bo już się połapałem, że coś z nią nie halo. Może jakaś fetyszystka, flirtiara, nie wiem; widywałem już takie. Albo niedorozwinięta, a wtedy to bym wolał, żeby jak najszybciej spadała. No więc mówię: „Nie ma sprawy, przepraszam, jeśli cię to ruszyło”. Poprosiła, żebym nie wychodził zaraz po niej, tylko chwilę odczekał. Ja na to: „Spoko, poczekam”. Wyszła, ja trochę posiedziałem i też wyszedłem. Słowo daję, nic więcej między nami nie było.

- Nie powiedziała panu, ile ma lat?

- Nie.

- A pan nie pytał?

- No nie. Powiedziała, że skończyła liceum.

- Nie skończyła. Jest w drugiej klasie.

- Kurwa mać!

Cisza. Adwokat przekartkował dokumenty w teczce.

- Czyli według pana było tak: dziewczyna uwiodła pana na meczu, pojechaliście do hotelu, zebrała pana spermę w kondomie, wyszła, sama się okaleczyła, wprowadziła sobie nasienie do odbytu, pojechała do szpitala i zgłosiła gwałt. Tak?

- Na to wygląda.

- Trudno w to uwierzyć, panie Gordon. - Ale tak musiało być!

- Ma pan jakiś dowód? Coś, co potwierdzałoby pańskie słowa? Brad nie odpowiedział. Myślał.

- Nie - odparł w końcu. - Nic nie mam.

- No to jest problem.

Brad wrócił do celi, a adwokat spojrział na kolegę w kurtce Dodgersów i okularach w rogowej oprawce.

- Chcesz coś dodać?

- Owszem. - Młodszy prawnik odwrócił laptop i pokazał mu ekran poprzecinany czarnymi zygzakami.

- Odczyt stresu w głosie w normie. Ani śladu niepewności, wahania, interferencji przedczołowej. On nie kłamie. Święcie wierzy w to, co mówi.

- Ciekawe... Ale to bez znaczenia. Nie mamy szans go z tego wyciągnąć.

R025

Henry Kendall zostawił samochód na parkingu szpitala Memoriał i wszedł do budynku bocznymi drzwiami. Niósł pojemnik na próbki. Poszedł prosto do podziemi, do prosektorium, gdzie zapytał o Marty'ego Robertsa. Uczyli się razem w szkole średniej w hrabstwie Marin.

Marty od razu do niego wyszedł.

- Rany! Jak usłyszałem twoje nazwisko, pomyślałem, że nie żyjesz!

- Jeszcze żyję. - Podali sobie ręce. - Świetnie wyglądasz.

- Ja wyglądam grubo, ty świetnie. Co u Lynn?

- Wszystko w porządku. Dzieci dobrze się chowają. A jak tam Janice?

- Dwa lata temu rzuciła mnie dla kardiochirurga.

- Przepraszam, nie wiedziałem.

- Już się pozbierałem. I nieźle sobie żyję. Mieliśmy tu małe zawirowanie, ale teraz jest okej. - Marty się uśmiechnął. - Przejechałeś kawał drogi z La Jolla. Tam pracujesz, prawda?

- Tak, w Radial Genomics. Marty pokiwał głową.

- No proszę... Co cię sprowadza?

- Chciałbym, żebyś rzucił na coś okiem. Na krew.

- Żaden problem. Mogę zapytać, czyja to krew?

- Możesz, ale ja tego nie wiem. To znaczy, nie jestem pewien.

Henry podał Marty'emu pojemnik na próbki - nieduży, styropianowy, wyłożony dodatkową izolacją. W środku znajdowała się próbówka z krwią Marty wziął ją do ręki.

- Na etykiecie jest napis: LABORATORIUM ROBERTA A. BELLARMINO. Ostro grasz, Henry. Zdjął nalepkę. Pod spodem była druga, starsza. - A to co? Jakiś numer? F-102? Chyba, nie widzę za dobrze... - Może być F-102.

Marty spojrział na przyjaciela podejrziwie.

- No dobra, dość tego krygowania się. Co to jest?
 - Chciałbym, żebyś mi powiedział.
 - Dobrze, powiem ci. Nie zamierzam łamać prawa. Nie bawimy się w takie rzeczy.
 - To nie jest nielegalne...
 - Czyżby? Po prostu nie chcesz jej przebadać u siebie i już, tak?
 - Właśnie.
 - Dlatego wsiadasz w samochód i jedziesz dwie godziny, żeby się ze mną spotkać.
 - Zrób to, Marty. Proszę cię.
- Marty Roberts popatrzył w okular mikroskopu i wyostrzył obraz na monitorze, żeby obaj mogli mu się przyjrzeć.
- Jest. Morfologia czerwonych krwinek, hemoglobina, różne białka... Standard. Krew jak krew. Czyja?
 - Czy to ludzka krew?
 - No pewnie! Co, myślisz, że zwierzęca?
 - Tylko pytam.
 - Wiesz, jeżeli pobrano ją od jakiejś małpy, możemy jej nie odróżnić. Krew szympanów niczym nie różni się od ludzkiej. Pamiętam, jak kiedyś gliniarze aresztowali dozorcę z ogrodu zoologicznego w San Diego. Był cały zakrwawiony, pomyśleli, że kogoś zabił. Okazało się, że to krew miesięczna szympanicy. Byłem tu wtedy rezydentem.
 - Nie da się ich odróżnić? A kwas sialowy?
 - Kwas sialowy występuje tylko u szympanów... Czyli co, to jest krew małpy?
 - Nie wiem, Marty.
 - U nas nie wykrywamy kwasu sialowego. Nie ma takiej potrzeby, nie dysponujemy też sprzętem. Ale wydaje mi się, że w Radial Genomics w San Diego mogliby ci to sprawdzić.
 - Bardzo śmieszne.
 - Powiesz mi, o co tu chodzi, Henry?
 - Nie. Ale chciałbym, żebyś pobrał i zbadał DNA z tej krwi. A potem moje. Marty wytrzeszczył oczy.
 - Zaczynam się denerwować. Coś ty wykombinował, z boku?
 - Nie, nic z tych rzeczy. To był taki projekt badawczy, parę lat temu.
 - Czyli podejrzewasz, że to może być krew szympana. Albo twoja.
 - Tak.
 - Albo jedno i drugie naraz?
 - Zrobisz to badanie DNA, czy nie?
 - Oczywiście. Wezmę tylko wacik i pobiorę od ciebie próbkę. Wyniki będą za parę tygodni.
 - Dzięki. I niech to zostanie między nami.
 - Jezu... Przerażasz mnie. Jasne, nie pisnę ani słowa. - Marty się uśmiechnął. Zadzwoń, jak coś będę miał.

R026

To są miny - powiedział rzecznik patentowy do Josha Winklera. - Poważne miny.

Josh się uśmiechnął.

- Niech pan mówi dalej.

Siedzieli w McDonaldsie za miastem. Wszyscy pozostali klienci mieli mniej niż siedemnaście lat. Nikt nie mógł się dowiedzieć o tym spotkaniu.

- Kazał mi pan szukać patentów lub ich zastosowań związanych z tak zwanym genem dojrzałości. Znalazłem pięć, od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego do dzisiaj.

- Aha.
- Dwa z nich to miny. Tak nazywamy patenty, o które ludzie się ubiegają chociaż wiedzą że nie przydadzą im się do niczego, dopóki ktoś inny nie dokona odkrycia, które pozwoli je wykorzystać. Klasyczny przykład to COX-2...
- Słyszałem. To stara sprawa.
- Patent na inhibitor COX-2 był słynny. W roku 2000 uniwersytet w Rochester opatentował gen nazwany COX-2, odpowiedzialny za produkcję enzymu wywołującego ból, i przy pierwszej nadarzającej się okazji podał do sądu Searle'a, giganta farmaceutycznego, który wprowadził na rynek celebrex, blokujący enzym COX-2 i skuteczny w leczeniu artretyzmu. Rochester stwierdził, że celebrex narusza jego prawa wynikające z ochrony patentowej genu, mimo że w patencie znalazły się tylko ogólnikowe zastrzeżenia co do zastosowania genu w zwalczaniu bólu. Uniwersytet nie próbował opatentować żadnego konkretnego specyfiku.
- Ten właśnie argument podniósł sąd po czterech latach procesu. Rochester przegrał. W uzasadnieniu orzeczenia stwierdzono, że przyznany mu patent ma chronić „nieco tylko rozbudowany plan badawczy”. Pozew przeciw Searle'owi oddalono jako nieuzasadniony.
- Tego rodzaju orzeczenia nie zmieniły jednak stałych przyzwyczajęń urzędników biura patentowego, którzy zamiast wydawać patenty na konkretne zastosowania, obejmowali ochroną listy mętnych przechwałek. Można było uzyskać patent na wszystkie zastosowania genu związane z leczeniem chorób serca, walką z bólem albo infekcjami. Sądy uznawały, że tego rodzaju patenty są bezwartościowe, a biuro przyznawało je w najlepsze. Ba, nawet szybciej niż poprzednio. Cóż, oto pieniądze podatników w działaniu.
- Proszę przejść do rzeczy - powiedział Josh. Adwokat zerknął do notatek.
- Najlepszy byłby wniosek patentowy z dziewięćdziesiątego ósmego na ACMMD, dehydrogenazę aminokarboksymukonianu metaldehydu. Patent chroni jej wpływ na potencjały neuroprzekaźników w zakręcie obręczy.
- Tak działa nasz gen dojrzałości.
- Zgadza się. Patent na ACMMD chroni jego oddziaływanie, a więc de facto chroni sam gen. Nieźle, prawda?
- Kto jest właścicielem? Adwokat przerzucił kilka stron.
- Wniosek złożyła firma GenCoCom z Newton w stanie Massachusetts, w dziewięćdziesiątym piątym. Umowa stanowiła, że prawa do wszystkich zastosowań patentu przechodzą na głównego inwestora, Carla Weiganda. Weigand zmarł w 2000 roku, a patent odziedziczyła wdowa po nim. Ma raka, jest umierająca. Chce go oddać szpitalowi w Bostonie.
- Może pan coś z tym zrobić?
- Niech pan powie tylko słowo. Josh zatarł ręce.
- Proszę się tym zająć.

R027

Rick Diehl podszedł do sprawy jak prawdziwy naukowiec. Przeczytał książkę na temat orgazmu u kobiet. Nawet dwie, w tym jedną z rysunkami. Obejrzał też film, i to trzy razy, robiąc notatki. Poprzysiągł sobie, że w taki czy inny sposób zmusi w końcu Lisę do jakiejś reakcji. Teraz klęczał z głową między jej nogami i od pół godziny harował jak wół. Język miał obolały, palce zdrętwiałe, kolana otarte, a ciało Lisy pozostawało odprężone, kompletnie nieczułe na jego zabiegi. Nie wystąpił żaden z opisywanych w książkach objawów: obrzmienie warg sromowych, przekrwienie krocza, odsłonięcie łechtaczki; oddech Lisy się nie zmienił, jej brzuch się nie napiął, nie wydała ani jednego jęku czy choćby westchnienia.

Nic.

Rick był wykończony, a ona gapiła się w sufit, nieobecna duchem, jakby siedziała na fotelu u dentysty. Jak człowiek, który czeka na ustąpienie drobnej dokuczliwości.

I nagle... zaraz... Coś się zmieniło w jej oddechu. Z początku ledwie zauważalnie, potem wyraźniej. Westchnęła. Mięśnie brzucha zaczęły się rytmicznie napinać i rozluźniać. Lisa ścisnęła swoje piersi. Jęknęła cicho.

Udało się.

Zdwoił wysiłki. Teraz reagowała gwałtownie. Podziałało, podziałało jak nic... Lisa zaczęła dyszeć, więc się, była coraz bliżej... jej plecy wygięły się w łuk... Szarpnęła się i krzyknęła:

- Tak! Tak, Brad! Taaak!

Rick odskoczył jak oparzony. Lisa zakryła dłonią usta, obróciła się na bok. Zadygotała jeszcze, a potem usiadła, odgarnęła włosy z oczu i spojrzała na niego. Policzki miała zarumienione, oczy błyszczące z podniecenia.

- Rany... Przepraszam.

I w tej trudnej chwili rozdzwoniła się leżąc na nocnym stoliku komórka Ricka. Lisa sięgnęła po nią i mu podała.

- Co jest?! - Rick był wściekły.

- Pan Diehl? Mówi Barry Sindler. - O... Witam.

- Coś się stało?

- Nie, skądże.

Lisa wstała, odwróciła się plecami i zaczęła ubierać.

- Mam dobre wieści.

- To znaczy?

- Jak pan wie, w ubiegłym tygodniu pańska żona odmówiła poddania się testom genetycznym. Wystąpiliśmy z wnioskiem o nakaz sądowy i wczoraj go otrzymaliśmy.

- Aha...

- Pańska żona wolą uciec, niż dać się zbadać.

- Jak to: uciec?

- Nie ma jej. Wyjechała z miasta. Nikt nie wie dokąd.

- Co z dziećmi?

- Zostawiła je.

- No to kto się nimi teraz zajmuje?

- Gospoia. Nie dzwoni pan do nich codziennie?

- Zwykle dzwonię, ale mam urwanie głowy w pracy...

- Kiedy ostatnio pan dzwonił?

- Nie wiem... Ze trzy dni temu.

- No to radzę panu brać dupę w troki i jechać do domu. Chciał pan mieć dzieci dla siebie, to je pan ma. Proszę pokazać sądowi, że jest pan odpowiedzialnym rodzicem.

Sindler się rozłączył. Chyba był wkurzony. Rick przysiadł na piętach i spojrzał na Lisę.

- Muszę iść.

- Okej - powiedziała. - Przepraszam. Do zobaczenia.

R028

Wysokość kaucji ustalono na pół miliona dolarów. Adwokat Brada Gordona zapłacił. Brad wiedział, że to pieniądze wuja, ale cieszył się, że będzie wolny. Kiedy wychodził z sądu, zaczepił go śmieszny okularnik w kurtce Dodgersów.

- Musimy pogadać - powiedział.

- O czym?

- Wrobili cię. Wiem, jak to wyglądało.

- Taaak?

- Tak. Wszystko ci wyjaśnię.

Zarezerwował prywatną salkę w innym skrzydle gmachu, gdzie mogli porozmawiać w cztery oczy. Zamknął drzwi, włączył laptop i wskazał Bradowi krzesło. Odwrócił komputer w jego stronę.

- Ktoś włamał się na twoje konto u operatora komórkowego.

- Skąd to wiecie?

- Mamy swoje wtyki.

- I co z tego?

- Sprawdzili, co porabiasz, kiedy cię nie ma w pracy.

- Po co?

- Pewnie wiesz o tym, że masz w telefonie GPS. Przy każdej rozmowie system odnotowuje, gdzie jesteś. - Wcisnął klawisz. - To mapa z zaznaczonymi miejscami, skąd dzwoniłeś przez ostatni miesiąc. - Czerwone kropki były rozsiane po całym planie miasta, ale szczególnie gęsto pokrywały część Westview. - Okularnik podkręcił powiększenie. - Stadion.

- Wiedzieli, że tam bywam?

- Tak. We wtorki i czwartki. Ktoś wiedział o tym od dwóch tygodni.

- Czyli faktycznie mnie wrobili.

- To właśnie powiedziałem.

- A ta dziewczyna?

- Pracujemy nad nią. Nie jest jakąś zwykłą nastolatką. To najprawdopodobniej Filipinka. Występowała w necie, masturbując się przed kamerką za pieniądze. Nas najbardziej interesują pewne niespójności w jej historii. To jest obraz z kamery w hotelu - następny klawisz. - Czeka na windę. Odwraca się tyłem do kamery, otwiera torebkę i podnosi rękę do twarzy. Podejrzewamy, że wkropliła sobie do oczu jakąś podrażniającą substancję: kiedy chwilę później wsiada do windy, widać, że płacze. Ale patrzmy, co się dzieje dalej. Ofiara gwałtu, cała zapłakana, roztrzęsiona, nie idzie prosto do recepcji, żeby zgłosić gwałt. Ciekawe dlaczego, prawda?

- Aha. - Brad zmrużył oczy.

- Wychodzi i wsiada do samochodu. Kamery na parkingu pokazują jak odjeżdża. Jest siedemnasta siedemnaście. Przejazd z hotelu do szpitala zajmuje od jedenastu do siedemnastu minut, to zależy od natężenia ruchu. Tymczasem dziewczyna zjawia się w szpitalu dopiero o osiemnastej pięć. Czterdzieści osiem minut później. Co robiła przez ten czas?

- Kaleczyła się?

- Nie. Poprosiliśmy o opinię kilku ekspertów. Pokazaliśmy im zdjęcia ze szpitala. A pielęgniarka, która ją wtedy przyjęła, to bardzo doświadczona osoba. Fotografie nie pozostawiają wątpliwości: spotkała się ze współnikiem, który doprowadził do tych obrażeń.

- To znaczy, że jakiś facet...

- Tak.

- No to musiał zostawić swoje DNA.

- Miał kondom.

- Czyli są w to zamieszane co najmniej dwie osoby.

- Prawdę mówiąc, podejrzewamy, że więcej. To zawodowcy. Kto mógłby zrobić coś takiego? Brad dużo o tym myślał, siedząc w celi, i wiedział już, że odpowiedź może być tylko jedna.

- Rick. Mój szef. Odkąd zacząłem pracować, chce się mnie pozbyć.
- W dodatku próbowałaś bzykać jego dziewczynę...
- Wcale nie próbowałem, tylko bzykałem.
- A teraz zostałeś zawieszony. Masz minimum dziewięć miesięcy w plecy, zanim sprawa trafi do sądu, a potem, jeśli przegrasz, dostaniesz od dziesięciu do dwudziestu lat. Nieźle. - Zamknął laptop i wstał.
- Co teraz?
- Skoncentrujemy się na dziewczynie. Jeżeli czegoś więcej się o niej dowiemy, może znajdziemy jej filmik w sieci, będziemy mogli naciskać na prokuratora, żeby wycofał zarzuty. Ale jeśli sprawa oprze się o sąd, będzie kiepsko.
- Skurwiel Rick.
- Fakt. - Okularnik podszedł do drzwi. - Mam dla ciebie jedną dobrą radę. Nie chodź już na ten stadion, dobrze?

Magazyn „Science”, *Wiadomość tygodnia* NEANDERTALCZYK: ZBYT OSTROŻNY, BY PRZEŻYĆ? *Naukowiec odkrył gen zagłady gatunku*

Z DNA pobranego ze szkieletów neandertalczyków udało się wyodrębnić gen, który jak twierdzi jego odkrywca - tłumaczy wyginiecie tego podgatunku.

„Przeciętny człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, że neandertalczyki mieli większe mózgi niż bliżsi naszym czasom ludzie z Cro-Magnon. Byli silniejsi, odporniejsi i wyrabiali lepsze narzędzia. Przetrwali kilka zlodowaceń, zanim na scenę wkroczyli przedstawiciele rasy kromaniońskiej. Dlaczego zatem wyginęli?”

Profesor Sheldon Harmon z Uniwersytetu Wisconsin wyjaśnia, że przyczynił się do tego gen powodujący opór wobec zmian.

„Neandertalczyki byli pierwszymi ekologami. Żyli w zgodzie z naturą. Nie polowali bez potrzeby, kontrolowali użycie narzędzi. To jednak powodowało, że byli niezwykle konserwatywni i oporni na zmiany. Nie spodobali im się nowo przybyli kromaniończycy, którzy malowali na ścianach jaskiń, ozdabiali swoje narzędzia, a polując, stracali z urwisk całe stada zwierząt, co prowadziło do zagłady gatunków. Malowidła jaskiniowe uważamy dziś za cudowne osiągnięcie; dla neandertalczyków były równie bezwartościowe jak dla nas graffiti. Prehistoryczny wandalizm. Wyrafinowane kromaniońskie narzędzia wydawały im się niepotrzebne i szkodliwe dla środowiska. Nie przyswoili sobie innowacji, broniąc swojego starego, sprawdzonego stylu życia, i w końcu wyginęli”.

Harmon podkreśla jednak, że konkurujące rasy się krzyżowały.

„Możemy to stwierdzić z całą pewnością, ponieważ ten sam gen odkryliśmy u ludzi współczesnych. To spadek po neandertalczykach, czynnik wzmagający ostrożność i konserwatyzm. Ten właśnie gen rządzi zachowaniem ludzi, którzy współcześnie marzą o powrocie »złotego wieku« albo przynajmniej o utrzymaniu status quo”.

Harmon wyjaśnia, że gen oddziałuje na receptory dopaminy w tylnej części zakrętu obręczy i prawym płacie czołowym. „Sposób jego działania jest oczywisty”.

Po tych stwierdzeniach na Harmona spadły gromy ze strony środowiska naukowego. Tak zaciekłych sporów nie obserwowano od czasów, gdy dwie dekady temu E.O. Wilson opublikował swoją pracę z socjobiologii. Vartan Gorvald, genetyk z Uniwersytetu Columbia, zarzuca Harmonowi, że niepotrzebnie miesza politykę do badań czysto naukowych.

„Nic podobnego - zaprzecza Harmon. - Gen występuje zarówno u neandertalczyków, jak i współczesnych ludzi. Badania aktywności mózgu potwierdzają jego oddziaływanie. Związek pomiędzy genem i konserwatywnym zachowaniem jest bezdyskusyjny. To nie jest kwestia polityki,

poglądów prawicowych czy lewicowych - to kwestia naszej postawy: tego, czy czekamy niecierpliwie, co przyniesie przyszłość, czy się jej boimy; czy dostrzegamy rozwój świata, czy tylko jego upadek. Nie od dziś wiadomo, że niektórzy z nas patrzą w przyszłość z nadzieją i z entuzjazmem przyjmują każdą nowinkę, a inni boją się zmian i chcieliby powstrzymać wszelki postęp. Linie podziału między nimi wytycza genetyka: obecność lub brak genu neandertalskiego.

Dzień później „New York Times” podchwycił ten wątek:

NEANDERTALSKI GEN DOWODZI SENSU EKOLOGII *Obawy przed „nieokielznaną techniką” są uzasadnione* Stuttgart, Niemcy. Odkrycie neandertalskiego, promującego troskę przez antropologa

Sheldona Harmona genu o środowisko naturalne, „dowodzi potrzeby ukształtowania rozsądnej polityki ekologicznej”, jak powiedziała rzeczniczka Greenpeace, Marsha Madsen. „Fakt, że neandertalczyki przegrali walkę o swoje środowisko, powinien być dla nas wszystkich ostrzeżeniem. Wyginiemy tak jak oni, jeżeli natychmiast nie zostaną podjęte radykalne działania ekologiczne o zasięgu globalnym”.

A w „Wall Street Journal”:

NADMIERNA PRZEZORNOŚĆ ZABIŁA NEANDERTALCZYKÓW Czy „zasada ostrożności” może być zabójcza?

Opór wobec wolnego rynku - na własną odpowiedzialność Klub na rzecz Postępu Steve Weinberg Amerykański antropolog doszedł do wniosku, że neandertalczyki wymarli na skutek

genetycznej skłonności do przeciwstawiania się zmianom. Innymi słowy, jak ujął to Jack Smythe z Amerykańskiego Instytutu Konkurencji, postępowego waszyngtońskiego ośrodka analityczno-badawczego: „Człowiek neandertalski wprowadził w życie »zasadę ostrożności, tak wychwalaną przez konserwatywne środowiska ekologiczne. Jego wyginięcie powinno być ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy chcieliby powstrzymać postęp i cofnąć nas do czasów, kiedy życie było paskudne, okrutne i krótkie”.

R029

Na ekranie telewizora w rogu pomieszczenia Sheldon Harmon, profesor antropologii i samozwańczy odkrywca genu neandertalskiego, prowadził właśnie wykład, kiedy ktoś doskoczył do niego i wylał mu na głowę wiadro wody. Scenę odtwarzano wielokrotnie, w zwolnionym tempie; woda spływała po chudym jak szczapa, łysym jegomościu, który wyglądał na dziwnie rozbawionego.- Widzisz? Uśmiecha się - stwierdził Rick Diehl. - Chce zwrócić na siebie uwagę mediów. Promuje gen.

- Możliwe - przytaknął Josh Winkler. - Przygotowali kamery, żeby to nakręcić.

- No właśnie. Ale mniejsza o sławę, jaką zyskuje jako odkrywca. Główny problem polega na tym, że ten jego gen ma działać bardzo podobnie do naszego genu dojrzałości: aktywacja zakrętu obręczy i tak dalej. Może nam sprzątnąć sukces sprzed nosa.

- Wątpię. Dziesiątki genów oddziałują na zakręt obręczy.

- Mimo to uważam, że powinniśmy to ogłosić. I to szybko. Świat musi się dowiedzieć o genie dojrzałości.

- Wybacz, Rick, ale jest jeszcze za wcześnie.

- Przetestowałeś go na szczurach. Udało się.

- Owszem, ale to nie jest materiał dla dziennikarzy. Małe szczury turlające bobki w klatce. Kto to pokaże w wiadomościach?

- No tak... - Diehl pokiwał głową. - Masz rację. Potrzebujemy czegoś lepszego.

- A skąd ten pośpiech?

- Zarząd. Po tym, jak przymknęli Brada, jego wuj się wściekł. Chyba uważa, że to nasza wina. W każdym razie chce, żeby o firmie zrobiło się głośno. Mamy z czymś wystrzelić.

- Nie jesteśmy jeszcze na tym etapie.
 - Wiem, ale moglibyśmy... Moglibyśmy ogłosić, że jesteśmy przygotowani do przeprowadzenia prób na ludziach. Jak myślisz?
- Josh się wzdrygnął.
- To zły pomysł. Nie złożyliśmy nawet wniosku do Agencji Żywności i Leków o...
 - Wiem. O próby pierwszego stopnia. Ale go złożymy.
 - Dobrze znasz wymogi wstępne. Potrzebna jest wysoka na trzy metry sterta formularzy i wyników, a to dopiero początek procedury. Musielibyśmy rozplanować kolejne fazy...
- Rick machnął ręką zniecierpliwiony.
- Wiem, wiem. Dlatego proponuję, żebyśmy tylko to ogłosili.
 - Właśnie o tym mówię: miną całe miesiące, zanim będziemy gotowi.
 - Dziennikarzom to obojętne. Ogłosimy, że BioGen z Westview Village już jest gotowy do rozpoczęcia prób pierwszego stopnia i przygotowuje wniosek do AŻL o pozwolenie na ich rozpoczęcie.
 - Na rozpoczęcie prób z genem dojrzałości...
 - Tak. Podawanym w retrowirusie.
 - Ujawnimy, jakie jest jego działanie?
 - Nie wiem. Moglibyśmy powiedzieć, że... leczy z narkomanii. Joshowi ciarki przeszły po plecach.
 - Niby dlaczego?
 - To chyba brzmi sensownie, nie uważasz? Gen dojrzałości aktywizuje zachowania zrównoważone, dorosłe, czyli z definicji wolne od uzależnień.
 - Mam wątpliwości...
 - Masz wątpliwości? Okaż no trochę entuzjazmu, Josh. To świetny pomysł, naprawdę. Jaka jest dziś skala nawrotów po odwyku? Osiemdziesiąt procent? Dziewięćdziesiąt? Sto? Kuracje odwykowe rzadko są skuteczne. Takie są fakty. Ilu narkomanów żyje w tym kraju? W samych więzieniach siedzi z milion, a na ulicach? Dwadzieścia milionów? Trzydzieści?
- Josh zaczynał się pocić.
- To by dawało osiem do dziesięciu procent populacji.
 - Mniej więcej. Założę się, że co dziesiąty Amerykanin jest uzależniony od narkotyków albo alkoholu. Dziesięć procent, jak nic. A z tego wynika, że gen dojrzałości byłby przebojem na rynku.
- Josh milczał.
- I co ty na to?
 - Eee... No... Brzmi nieźle...
 - Nie próbujesz mnie chyba wydymać, co?
 - Nie. Pewnie, że nie.
 - Nie chcesz mnie wykiwać, prawda? Nie wykręcisz mi żadnego numeru? Nie pójdziesz na swoje?
 - Nie! Skąd ten pomysł?
 - Dzwoniła twoja matka. Psiakrew!
 - Jest z ciebie bardzo dumna i dziwi się, że cię nie awansuję. Josh osunął się na oparcie fotela. Był zlany potem.
 - Co chcesz zrobić? Diehl się uśmiechnął.
 - Awansować cię, oczywiście. Zapisywałeś wielkość dawek?

R030

W oszklonej sali konferencyjnej przy Madison Avenue specjaliści od marketingu z Watson & Naeme wymyślali nazwę dla nowego produktu. Sala była pełna młodych ludzi, przed dwudziestką lub tuż po,

ubranych luźno, jakby przyszedli na koncert rockowy, a nie na wykład kostycznego profesora w muszce, który stał na podeście i opowiadał o genie A58799-6B. Teraz właśnie pokazywał na ekranie schematyczne rysunki ilustrujące działanie enzymów - czarne zygzaki na białym tle. Młodzież, zniechęcona i znudzona, bawiła się palmtopami; tylko parę osób słuchało z zainteresowaniem.

Siedzący w ostatnim rzędzie Paul Gode, psycholog i szef zespołu, dał profesorowi znak, żeby powoli kończył. Muszka trochę się zdziwił, ale gładko przeszedł do podsumowania.

- Na zakończenie powtórzę jeszcze raz, w wielkim skrócie: nasz zespół na Uniwersytecie Columbii wyodrębnił gen wzmacniający harmonię społeczną i spójność grupy. Aktywuje on przedczołowy obszar kory mózgowej, o którym wiadomo od dawna, że decyduje o zaufaniu i skłonności do zawierania innym. Działanie genu zademonstrowaliśmy na uczestnikach badań, którym prezentowaliśmy różne pomysły: jedne całkiem zwyczajne, inne kontrowersyjne. Kontrowersyjne idee wywołują bardzo konkretną charakterystyczną reakcję płata przedczołowego, konwencjonalne - rozmytą aktywację tego obszaru; można by ją nazwać poświatą. Osobniki posiadające ten gen wykazują wyraźną skłonność do myślenia konwencjonalnego i przychylają się do znanych, oswojonych idei; cenią sobie również myślenie grupowe. Lubią telewizję, Wikipedię, imprezy w gronie przyjaciół, niezobowiązujące pogawędki; lubią zgadzać się z tymi, którzy ich otaczają. Nasz gen odgrywa istotną rolę w stabilizowaniu społeczeństw i cywilizacji. Ponieważ jego posiadacze cenią sobie popularne, obiegowe poglądy, nazwaliśmy go genem konwencjonalnym.

Słuchacze zamarli. Odebrało im mowę.

- Jak? - ktoś w końcu się odezwał.

- Gen konwencjonalny.

- Tragicznie.

- To samobójstwo.

- Beznadzieja.

- Druga nazwa to gen cywilizacji - dodał pospiesznie profesor. Odpowiedziały mu jęki.

- Gen cywilizacji? To jeszcze gorzej! - Fatalnie!

- O rany!

- Tylko skoczyć z mostu!

- Co jest niewłaściwego w takiej nazwie? - Profesor nie krył zdumienia. - Cywilizacja to przecież dobra rzecz, prawda?

- Oczywiście. - Paul Gode poderwał się, przeszedł przez salę i stanął na podwyższeniu obok profesora. - Problem polega na tym, że w naszym kraju ludzie nie lubią widzieć w sobie członków wspólnoty. Wprost przeciwnie: wszyscy jesteśmy indywidualistami, twardzielami, buntownikami. Stanowimy antyestablishment. Wyróżniamy się, kłujemy w oczy, robimy to, na co mamy ochotę, chadzamy własnymi drogami. Ktoś nazwał nas stadem niezależnych umysłów. Nikt nie chce usłyszeć, że nie jest zbuntowany. Nikt się nie przyzna, że chciałby po prostu być częścią grupy.

- Ale prawda jest taka, że każdy chce należeć do grupy - zaproponował profesor. - No, prawie każdy. Dziewięćdziesiąt dwa procent ludzi ma gen konwencjonalny. Prawdziwi buntownicy są go pozbawieni i dlatego...

- Wystarczy. - Gode uniósł rękę. - Proszę nic więcej nie mówić. Chcecie panowie, aby wasz gen budził zainteresowanie. Musi zatem tworzyć wartość, której ludzie pragną coś ekscytującego, pożądanego. A obiegowe mądrości nie są w cenie. To szarzyzna. To grzanka z dżemem na śniadanie. Coś, co można usłyszeć od grupy. - Wskazał gościowi krzesło. - Proszę usiąść, panie profesorze.

Gode zwrócił się do słuchaczy. Trochę się ożywili.

- No dobrze, proszę państwa. Wyłączamy palmtopy. Ktoś chce coś powiedzieć?

- Może gen sprytu?
- Niezłe, ale nieprecyzyjne.
- Gen prostoty.
- Dobry kierunek...
- Gen społeczny.
- Przerost formy nad treścią.
- Gen uspołecznienia.
- Zbyt fachowe.
- Gen mądrości. Mądry gen.
- Mądry gen... Niezłe. Bardzo dobrze.
- Gen prawomyślności.
- Zalatuje Mao. Albo Buddę. No dalej, obudźcie się!
- Gen imprezowy.
- Zabawowy.
- Geny dekatyzowane. Geny-biodrówki.
- Gen szczęścia.
- Gen na całość.

Gode zmarszczył brwi i uciszył zebranych.

- Przystawcie się. Cofamy się, przewijamy wstecz, myślimy od nowa. Na czym polega nasz problem? Gen pozwala docenić obiegowe mądrości, których się nie kwestionuje, ale tego nie chcemy powiedzieć. Mam rację? Co dobrego jest w oczywistych, powszechnie znanych prawdach? Co nam dają? Szybko, nie zastanawiać się.

- Czujesz, że nie jesteś sam.
- Należysz do grupy.
- Nie wyróżniasz się.
- Myślisz tak jak wszyscy.
- Łagodzą tarcia.
- Pasujesz do reszty.
- Czytasz „Timesa”.
- Nikt na ciebie krzywo nie patrzy.
- Ułatwiają życie.
- Z nikim się nie kłócisz.
- Możesz bez obaw wyrazić swoją opinię.
- Wszyscy ci przytakują.- Jesteś dobrym człowiekiem.
- Dobrze się czujesz.
- Miło.
- Bezpiecznie.

Gode pstryknął palcami.

- Świetnie! Obiegowe mądrości dają nam poczucie bezpieczeństwa. Tak jest! Żadnych niespodzianek, ani zmartwień. Tymczasem świat zmienia się nieustannie, w każdej chwili. Nie jest bezpiecznym miejscem. A przecież każdy chce się czuć bezpiecznie, prawda? Mieć ulubioną parę butów, znoszony sweter, ukochany fotel bujany...

- Wygodny gen.
- Gen odprężenia.
- Gen luzu.

- Gen ciepła. Ciepły gen?
- Gen szczęścia.
- Przyjazny gen. Łagodny gen.
- Kojący gen. Gen ukojenia.
- Gen spokoju.
- Gen wyciszenia.

Trwało to jeszcze jakiś czas, aż w końcu na tablicy wypisano kredą dziewięć najlepszych propozycji. Rozgorzała burzliwa dyskusja przy wykreślaniu kolejnych nazw chociaż całą dziewiątkę, naturalnie, czekał jeszcze test na grupie docelowej. Wreszcie uznano, że najlepiej brzmi „kojący gen”.

- Czas na chrzest bojowy - stwierdził Gode. - Panie profesorze, proszę nam powiedzieć, jakie widzicie komercyjne zastosowania tego genu?

Profesor odparł, że za wcześnie na takie deklaracje. Udało się wyodrębnić gen, ale nieznana jest jeszcze pełna lista schorzeń, za które może być odpowiedzialny. Biorąc jednak pod uwagę, że występuje u prawie wszystkich ludzi, na całym świecie, można przypuszczać, że wielu mieszkańców naszego globu cierpi na wywołane nim przypadłości. Na przykład niektórzy ludzie za wszelką cenę chcą należeć do jakiejś zbiorowości - to może być wada genetyczna. Inni, pozbawieni towarzystwa, popadają w przygnębienie i depresję. To też choroba. A ludzie, którzy biorą udział w marszach protestacyjnych, kibicują na stadionach, szukają towarzystwa podobnie myślącego tłumu? Oni także mogą cierpieć na zaburzenia genetyczne. To samo dotyczy tych, którzy czują się w obowiązku zgodzić z każdym, z kim rozmawiają cokolwiek powie. A co z tymi, którzy boją się myśleć samodzielnie? Boją się uniezależnić od grupy?

- Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedział profesor. - To bardzo liczna grupa. Nikt nie lubi samodzielnie myśleć, jeśli tylko ma wybór.

- Sugeruje pan, że wszystkie tego rodzaju zachowania zostaną sklasyfikowane jako patologie?

- Każde zachowanie kompulsywne jest patologią.

- Nawet pozytywne? Te marsze protestacyjne...

- Jedno nie ulega wątpliwości: jesteśmy o krok od rozpoznania całej gamy zaburzeń związanych z życiem społecznym.

Anomalie genetyczne, wywołane przez gen kojący, nie zostały jeszcze ostatecznie zdefiniowane, ale Uniwersytet Columbii złożył już wniosek patentowy na sam gen, który to gen miał systematycznie zyskiwać na wartości w miarę rozpoznawania schorzeń.

Gode odchrząknął.

- Popełniliśmy błąd. Profesor mówi o zaburzeniach życia towarzyskiego. To gen towarzyskości.

I na tym stanęło.

„Business”, wydanie internetowe:

NAUKOWCY ZIDENTYFIKOWALI GEN TOWARZYSKOŚCI Czy towarzyskość jest dziedziczna? Naukowcy z Laboratorium Morecomba na Uniwersytecie Columbii uważają, że tak. Niedawno poinformowali, że udało im się wyizolować odpowiedzialny za nią gen. Złożyli już wniosek o objęcie genu ochroną patentową...

„New York Times” opublikował następujący komentarz:

- GEN TOWARZYSKOŚCI? CZY TE BZDURY NIGDY SIĘ NIE SKOŃCZĄ?

Genetycy z Columbii twierdzą, że odkryli gen towarzyskości. Co będzie dalej? Gen nieśmiałości? Gen odludków? Gen klasztorny? A może gen „dajcie mi spokój”?

Prawdę mówiąc, naukowcy wykorzystują powszechną nieznajomość praw rządzących funkcjonowaniem genów. Nigdy nie jest tak, że jeden gen odpowiada za konkretną cechę charakteru -

o czym, niestety, opinia publiczna nie ma zielonego pojęcia. Ludzie myślą, że jeden gen decyduje o kolorze oczu, drugi o wzroście, trzeci o tym, czy włosy się komuś kręczą - więc czemu nie miałyby istnieć gen towarzyskości? A genetycy milczą. Zasiadają w zarządach prywatnych firm i prześcigają się w odkrywaniu i patentowaniu genów dla własnych korzyści. Czy to się kiedyś skończy? Najwyraźniej nie.

„Grist”, wydanie internetowe:

LUBISZ BYĆ WŚRÓD LUDZI? UWAŻAJ, JEST NA TO PATENT Biuro naukowe Uniwersytetu Columbii złożyło wnioski o ochronę patentową genu, który - jak twierdzą tamtejsi badacze - steruje ludzką towarzyskością. Czy to znaczy, że pewnego dnia pacjenci przyjmujący antydepresanty, leki na ADD albo środki uspokajające będą musieli płacić Columbii prowizję? Podobno szwajcarscy giganci farmaceutyczni już biją się o licencję na ten gen.

R031

Organizatorzy przesłuchania przed Komisją Bioetyki w Narodowym Instytucie Zdrowia w Bethesdzie zadbali o to, aby panowała na nim przyjazna, swobodna atmosfera. Wszyscy siedzieli przy jednym stole w dobrze sobie znanej sali konferencyjnej na drugim piętrze. Na ścianach wisiały zawiadomienia o planowanych seminariach, w kącie perkotał wiekowy ekspres do kawy. Tutejsza kawa zawsze była paskudna. Nikt nie chciał jej pić.

Sześciu członków komisji ubrało się nieco bardziej oficjalnie niż zwykle - większość miała marynarki, jeden nawet krawat - ale siedzieli na swoich miejscach rozluźnieni, prowadząc rozmowę z czterdziestym ednoletnim doktorem Ronaldem Marshem, który siedział naprzeciwko nich.

- W jakich dokładnie okolicznościach zmarła ta dwunastoletnia dziewczynka? Doktor Marsh był profesorem medycyny na Uniwersytecie Tekszańskim w Austin.

- Miała CTFD, wrodzony niedobór czynnika transportującego. Ta wada genetyczna powoduje śmierć.

- Odkąd skończyła dziewięć miesięcy, przeszła na specjalną dietę i regularnie ją dializowano. Nie rosła tak jak inne dzieci, nie wykazywała jednak żadnych objawów niedorozwoju umysłowego. Zarówno ona sama, jak i jej rodzice prosili o zastosowanie tej procedury. Była nadzieja, że dzięki niej dziewczynka będzie mogła żyć normalnie, uniezależnić się od maszyny. Zwłaszcza dla dziecka to żadne życie, o czym dobrze panowie wiecie.

Członkowie komisji patrzyli na niego beznamiętnie.

- Poza tym zdawaliśmy sobie sprawę, że dotychczasowa kuracja wkrótce przestanie wystarczać. Dziewczynka dojrzewała, zmiany hormonalne zaczynały wpływać na metabolizm i było oczywiste, że za trzy, cztery lata umrze. Dlatego też postanowiliśmy wprowadzić gen do jej ciała. - Marsh zawiesił głos. - Byliśmy świadomi ryzyka.

- Czy poinformowaliście o tym ryzyku rodzinę? - zapytał jeden z naukowców.

- Oczywiście. Szczegółowo. - A pacjentkę?

- Tak. Była bystrym dzieckiem. Sama zresztą zaproponowała tę kurację, o której przeczytała w internecie. Wiedziała, że ogromnie ryzykuje.

- Czy próbował pan przybliżyć rodzinie skalę ryzyka?

- Tak. Powiedzieliśmy, że szanse powodzenia terapii oceniane są na trzy procent.

- Mimo to zgodzili się na zabieg?

- Tak. Córnka nalegała. Mówiła, że skoro i tak ma umrzeć, nie ma nic do stracenia.

- Była niepełnoletnia...

- To prawda, ale to ona była chora.

- Rodzice podpisali oświadczenia, że biorą na siebie odpowiedzialność za tę decyzję, prawda?

- Tak.

- Czytaliśmy te dokumenty. Niektórzy z nas odnieśli wrażenie, że tchną nieuzasadnionym optymizmem, a sformułowania o ryzyku są w nich nadmiernie stonowane.

- Przygotował je departament prawny naszego szpitala. Proszę poza tym zwrócić uwagę, że rodzice podpisali dokument, w którym stwierdzają że zostali wyczerpująco poinformowani o ryzyku, jakie niesie zabieg. Mówi się o tym również w historii choroby. Bez pełnej i świadomej zgody rodziny nie wykonalibyśmy zabiegu.

Przewodniczący komisji, doktor Robert Bellarmino, wśliznął się dyskretnie do sali i zajął miejsce u szczytu stołu.

- A zatem zabieg został przeprowadzony, tak?

- Tak.

- Jaki zastosowano wektor?

- Zmodyfikowany adenowirus w połączeniu ze standardowymi protokołami immunosupresyjnymi Barlowa.

- Skutek?

- Prawie od razu dostała wysokiej gorączki, czterdzieści jeden i sześć. Drugiego dnia wystąpiły objawy niewydolności organów wewnętrznych, głównie wątroby i nerek, które nie podjęły już normalnej pracy. Trzeciego dnia pacjentka zmarła.

Zapadła cisza.

- Jeżeli wolno mi dodać coś od siebie - odezwał się Marsh. - Wszyscy w szpitalu byliśmy wstrząśnięci. Ja również. Opiekowaliśmy się nią od małego. Wszyscy ją uwielbiali. Kiedy pojawiała się w klinice, była jak promyk słońca. Podjęliśmy ryzyko, bo ona tego chciała, ale po nocach wciąż zadaję sobie pytanie: czy postąpiliśmy słusznie? I za każdym razem czuję, że miałem obowiązek to zrobić, bo taka była wola pacjentki. Dziewczynka chciała żyć. Jak mógłbym odebrać jej tę szansę?

Chrząknięcie.

- Ale pański zespół... nie miał doświadczenia w transplantacji genów.

- Nie. Myśleliśmy o tym, żeby operację przeprowadziła inna ekipa.- Dlaczego tak się nie stało?

- Nikt nie chciał się tego podjąć. - I jaki wyciągnęliście wniosek? Marsh westchnął.

- Czy któryś z panów widział kiedyś człowieka umierającego na CTFD? Następuje martwica nerek. Wątroba przestaje funkcjonować. Ciało obrzmiewa, staje się fioletowosine. Pacjent nie może oddychać. Cierpi katusze. Umiera całymi dniami. Powinienem był czekać, aż to samo spotka tę śliczną dziewczynkę? Chyba nie.

Znów zapadła cisza. Atmosfera wyraźnie się popsuła.

- Dlaczego rodzina wytoczyła proces?

- Nie wiem. - Marsh pokręcił głową. - Nie miałem okazji z nimi porozmawiać.

- W pozwie twierdzą że nie uzyskali pełnych informacji.

- To nieprawda. Proszę posłuchać: wszyscy mieliśmy nadzieję, że się uda. Panował ogólny optymizm. A rodzice nie potrafią pogodzić się z faktami; szansa powodzenia: trzy procent... To oznacza, że dziewięćdziesiąt siedem procent pacjentów umiera. Dziewięćdziesiąt siedem procent. To prawie pewna śmierć. Wiedzieli o tym. Kiedy ich nadzieje legły w gruzach, poczuli się oszukani, ale nie było w tym naszej winy.

Doktor Marsh wyszedł i rozpoczęło się zamknięte posiedzenie komisji. Z siedmiu jej członków sześciu się oburzyło. Upierali się, że Marsh kłamał wcześniej i kłamie nadal. Zarzucali mu brak rozwagi. Twierdzili, że skałał dobre imię genetyki, przez co całe środowisko będzie musiało walczyć o jego przywrócenie. Mówili o Dzikim Zachodzie i niedojrzałości Marsha.

Było oczywiste, że zamierzają ukarać Marsha naganą a także zalecić odebranie mu uprawnień

lekarskich i niemożliwie ubieganie się o rządowe dofinansowania.

Przewodniczący komisji, Rob Bellarmino, długo milczał. W końcu odchrząknął znacząco.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że używacie panowie tych samych argumentów, jakie wytoczono przeciw Christiaanowi Barnardowi po pierwszej transplantacji serca.

- Ale to nie była pierwsza...

- Niedojrzałość. Niedostateczne konsultacje. Możliwość zaskarżenia do sądu. Pozwólcie panowie, że przypomnę wam, jakie Barnard miał początkowo wyniki. Kiedy pierwszych siedemnastu pacjentów zmarło krótko po operacji, nazwano go mordercą i szarlatanem. A dziś? Co roku w naszym kraju wykonuje się ponad dwa tysiące transplantacji serca; większość pacjentów żyje z nowym sercem od pięciu do piętnastu lat. Przeszczep nerki to już standard; przeszczepiamy nawet płuca i wątroby, choć jeszcze kilka lat temu była to mrzonka. Każda nowa terapia musi pokonać trudny, pionierski etap. Ludzie odważni, gotowi podjąć ryzyko, tacy jak doktor Marsh, będą nam zawsze potrzebni. - Ale naruszono wiele przepisów...

- Jak chciałby pan ukarać Marsha? Nie sypia po nocach; to widać, wystarczy na niego spojrzeć. Ulubiona pacjentka zmarła pod jego opieką. Jaką gorszą karę chce mu pan wymierzyć? I kim pan właściwie jest, aby go krytykować?

- Etyka...

- Żaden z nas nie patrzył tej dziewczynce w oczy. Nie znaliśmy jej życia, bólu, nadziei. A Marsh tak. Znał ją od lat. Mamy go teraz osądzać?

W sali zapanowała cisza.

Skończyło się na tym, że postanowili udzielić upomnienia działowi prawnemu Uniwersytetu Teksańskiego, rezygnując z wymierzenia kary konkretnie Marshowi. Jak później powiedział jeden z członków komisji, Bellarmino okręcił ich sobie wokół palca.

- To był klasyczny Rob Bellarmino. Mówił jak kaznodzieja, dyskretnie odwoływał się do Boga i jakimś sposobem przekonał nas, żebyśmy poszli o ten jeden krok dalej. Bez względu na to, co będzie potem ani komu stanie się krzywda. Rob wszystko umie usprawiedliwić. Jest w tym mistrzem.

Prawda jednak była taka, że Bellarmino wyszedł z zebrania komisji jeszcze przed głosowaniem. Spieszył się na następne spotkanie.

Bellarmino wrócił do laboratorium, gdzie był umówiony z jednym ze swoich młodych doktorów. Chłopak zgłosił się do niego z Centrum Medycznego Cornella, gdzie prowadził obiecujące badania nad mechanizmem powstawania chromatyny.

DNA komórki zazwyczaj znajduje się w jej jądrze. Większość ludzi wyobraża sobie DNA jako podwójną helisę, słynne „kręcone schody” odkryte przez Watsona i Cricka. W rzeczywistości helisa jest tylko jedną z trzech postaci, jakie przyjmuje DNA. Może ono występować również jako pojedyncze włókno albo w postaci struktury bardziej skondensowanej, zwanej centromerem. To, jaką formę przybierze, zależy od skojarzonych z nim białek.

Jest to o tyle ważne, że przy dużym skondensowaniu DNA komórka nie ma dostępu do zawartych w nim genów. Można kontrolować stopień skondensowania genów, zmieniając chromatynę w różnych segmentach DNA. Dlatego kiedy wszczepia się nowe geny do komórek, należy za pomocą odpowiednich środków chemicznych utrwalić chromatynę w pożądanej formie.

Chłopak z Cornella dokonał przełomu w badaniach nad metylacją przez pewne białka i ich wpływem na strukturę chromatyny. Napisał też wzorcowo przejrzysty artykuł *Sterowanie dostępnością genomu przez białka i metylotransferaza adeniny*, który musiał się odbić echem w świecie naukowym i wyrobić chłopakowi markę na lata. Siedzieli teraz we dwóch w gabinecie. Młody doktor z nadzieją wpatrywał się w Bellarmino przeglądającego jego artykuł.

- Znakomicie. Świetna rzecz. Wystawia doskonale świadectwo całemu laboratorium. Tobie również, rzecz jasna.

- Dziękuję panu, Rob.

- Masz siedmiu współautorów... Widzę, że zajmuję stosownie wysokie miejsce na tej liście.

- Tak, trzecie. Ale jeśli uważa pan, że powinien być pan wyżej...

- Wiesz co? Przypomina mi się taka nasza rozmowa sprzed paru miesięcy. Dyskutowaliśmy wtedy o metylacji i zasugerowałem ci...

- Tak, pamiętam.

-...dokładnie taki mechanizm, jaki tu opisujesz. Dlatego wydaje mi się, że powinienem być głównym autorem publikacji.

Młodego doktora zamurowało. Z trudem przełknął ślinę. - Eee...

- Dzięki temu będzie częściej cytowana. Co w przypadku odkrycia tej miary jest szczególnie ważne. To właściwie tylko formalność. Będzie wiadomo, że jako pierwszy współautor wykonałeś całą czarną niewdzięczną robotę. Tak czy inaczej zyskujesz. A więcej cytowań to większe granty. - Bellarmino się uśmiechnął. - Wiem, co mówię. Następne badania przeprowadzisz już absolutnie niezależnie, a za rok czy dwa lata pierwszy cię poprę w staraniach o własne laboratorium.

- No... Rozumiem.

- To się cieszę. Wprowadź tę zmianę, podeślij mi gotowy artykuł, a ja go pchnę do „Nature”. Uważam, że zasługuje na coś lepszego niż „Science”, który ostatnio trochę podupadł. Zadzwoń do redakcji i dopilnuję, żeby docenili wagę tej pracy. Wtedy szybciej ją puszcza.

- Dziękuję.

- Zawsze służę pomocą.

„ŻYWA SZTUKA” NA WYSTAWIE Transgeniczne organizmy w galeriach Żywe dzieła sztuki do kupienia

Laura Cinti, artystka z RPA, zaprezentowała w Londynie transgenicznego kaktusa, zawierającego ludzki materiał genetyczny i porośniętego ludzkimi włosami.

- Włochaty kaktus ucieleśnia nasze żądze - powiedziała Cinti. - Jest symbolem seksualności. Nie chce dać się zamknąć w klatce, chce być wolny.

Zapytana o reakcję publiczności na jej dzieło, odparła:

- Najbardziej zainteresowani są łysi panowie.

Inna artystka, Marta de Menezes, tworzy genetycznie zmodyfikowane motyle, których skrzydła nie są identyczne.

- Z początku szokowałam tym ludzi - przyznaje. - Twierdzili, że to zły pomysł. Marta de Menezes zapowiedziała, że w przyszłości zamierza stworzyć danio pręgowanego, u którego prążki na ciele będą biegły pionowo zamiast poziomo, przez co bardziej upodobni się do zebry. Zmiana ta ma być dziedziczna.

Fin Oron Catts wyhodował skrzydła z kultury komórek macierzystych pobranych ze szpiku kostnego świni. Jak powiedział, przy muzyce świńskie skrzydła rosły szybciej.

- Ściągnęliśmy wiele piosenek dla świnek i puszczałyśmy je komórkom.

Jego zdaniem komórki przy dźwiękach muzyki rozwijały się szybciej niż zwykle.

Eduardo Kac z Chicago stworzył transgenicznego królika o świecącej na zielono sierści. Ochrzcił go imieniem Alba. Do zapłodnionego jaja królika albinosa wprowadzono GFR gen odpowiedzialny za tworzenie fluorescencyjnego zielonego białka u pewnego gatunku meduz z północno-zachodnich rejonów Oceanu Spokojnego. Wyhodowany z takiej komórki jajowej królik emanuje zieloną poświatę. Opinia publiczna zareagowała oburzeniem. Kac przyznał, że „[królik] niepokoi ludzi”.

Podkreślił jednak, że GFP jest popularnym narzędziem badawczym, które już wcześniej wstrzykiwano do komórek drożdży, pleśni, roślin, muszek owocowych, myszy oraz zarodków krowy. Zapowiedział również, że przygotowuje się do stworzenia fluorescencyjnego psa. Alba zdechła przedwcześnie z nieznanych przyczyn. Podobny los spotkał transgenicznego kaktusa. W 2003 roku na rynku pojawiło się pierwsze transgeniczne zwierzątko domowe: świecący czerwonym blaskiem danio pręgowany, dzieło doktora Zhiyuana Gonga z Singapuru. Licencję na produkowanie takich rybek wykupiła pewna firma z Austin w Teksasie. Po dwóch latach badań, prowadzonych przez agencje stanowe i federalne, rybka została wprowadzona do sprzedaży pod marką GloFish. Specjaliści orzekli, że GloFish jest całkowicie bezpieczna dla człowieka - pod warunkiem że nie zostanie spożyta.

R032

Pani Bond... - zaczęła nauczycielka klasy pierwszej. - Pani syn to wspaniały chłopak, ale, niestety, ma kłopoty z matematyką. Nie bardzo radzi sobie z dodawaniem, odejmowaniem przysparza mu jeszcze większych problemów. Za to poczynił wyraźne postępy we francuskim.

- Miło mi to słyszeć. Ciężko przeżył naszą przeprowadzkę z Londynu - wyznała Gail Bond. - Dziwią mnie jednak jego kłopoty z matematyką.

- Dlatego, że sama jest pani naukowcem? - Pewnie tak. Pracuję tu, w Paryżu, w Institut National. Mąż jest bankierem inwestycyjnym, stale ma do czynienia z liczbami.

- Jest pani genetykiem, więc zdaje sobie pani sprawę, że geny to nie wszystko; zdarza się, że dziecko wielkiego artysty nie umie rysować. Muszę jednak podkreślić, że wyręczanie syna w odrabianiu prac domowych wcale mu nie pomaga.

- Słucham? Wyręczanie go...

- Innego wyjaśnienia nie widzę. Pomagacie mu: albo pani, albo ktoś z domowników.

- Nie rozumiem.

- Prace domowe Evana są bezbłędne. Tymczasem na klasówkach wypada blado. Stąd wniosek, że ktoś odrabia lekcje za niego.

Gail Bond pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia, kto by to mógł być. Kiedy syn wraca ze szkoły, w domu jest tylko gosposia, która prawie nie mówi po francusku. A kiedy o piątej ja wracam do domu, Evan ma już lekcje odrobione. Tak przynajmniej twierdzi.

- Nie sprawdza ich pani?

- Nie, nigdy. Evan zapewnia, że nie potrzeba.

- Cóż... Ktoś na pewno mu pomaga. - Nauczycielka wyjęła prace domowe Evana i rozłożyła je na biurku. - Widzi pani? Każde zadanie rozwiązane. Bezbłędnie.

- No tak. - Gail spojrzała na kartki. - A te plamy... Drobne, białe i zielonkawe.

- Często się zdarzają, zwykle u dołu strony. Jakby coś się na nią wylało.

- Chyba już wiem, kto mu pomaga.

- Tak?

- Ktoś z laboratorium.

Kiedy otworzyła drzwi mieszkania, przywitał ją okrzyk Gerarda:

- Cześć, kochanie!

Perfekcyjnie naśladował głos jej męża.

- Cześć, Gerard. Co u ciebie?

- Muszę się wykapać.

- Później się tym zajmę.

Weszła do przedpokoju. Gerard - dwuletni transgeniczny samiec żako - siedział na swojej żerdce. Kiedy był pisklęciem, wszczepiono mu mieszankę ludzkich genów, ale do tej pory ich wpływ na niego pozostawał niezauważalny.

- Świetnie wyglądasz, maleńka. Stęskniłem się za tobą.

- Dziękuję. Chciałabym cię o coś zapytać.

- Skoro nalegasz...

- Powiedz mi, ile to będzie trzynaście odjąć siedem?

- Nie wiem.

Zawahała się.

- A trzynaście zabrać siedem? Tak by to powiedział Evan.

- Sześć - odparł ptak bez wahania.

- Jedenaście zabrać cztery?

- Siedem.

- Dwanaście zabrać dwa?

- Dziesięć. Zmarszczyła brwi.

- Dwadzieścia cztery zabrać jedenaście?

- Ojej... - Gerard przestąpił z nogi na nogę. - Próbujesz mnie oszukać. Trzynaście.

- Sto jeden zabrać siedemdziesiąt?

- Trzydzieści jeden. Ale nie robimy tylu cyfr. Najwyżej dwie. - My?

Gerard, zamiast odpowiedzieć, zaczął rytmicznie kołysać łebkiem i pośpiewywać:

- Jest w orkiestrach dętych jakaś siła...

- Gerardzie, czy Evan prosił cię, żebyś mu pomagał?

- No pewnie. - I dalej, głosem Evana: - Hej, Genie, pomóż mi. To dla mnie za trudne. I wysokim tonem: - Tak trudno jeeeeest...

- Idę po kamerę - oświadczyła Gail.

- Jestem gwiazdą? Jestem gwiazdą?

- O tak. Jesteś gwiazdą.

- Przepraszamy za spóźnienie, ale musieliśmy odebrać po drodze naszego syna Hanka

- zawołał Gerard z przeciągłym amerykańskim akcentem.

- Z jakiego to filmu?

- Spokojnie, Jo, nie denerwuj się. - Ten sam amerykański akcent.

- Nie powiesz mi?

- Muszę się wykapać, zanim zaczniemy kręcić. Obiecałaś. Gail Bond pobiegła po kamerę.

W pierwszy roku życia w zachowaniu Gerarda nie zauważono żadnych oznak działania ludzkich genów, które Yoshi Tomizu i Gail Bond wszczepili mu w laboratorium Maurice'a Groliera w paryskim Institut National. Nikogo to nie dziwiło. Sukces rzadko osiąga się za pierwszym razem, zazwyczaj potrzeba dziesiątek, jeśli nie setek prób - a to dlatego, że aby gen zadziałał w nowym środowisku zgodnie z oczekiwaniami, musi zostać spełnionych wiele warunków jednocześnie.

Przede wszystkim musi się w odpowiedni sposób wbudować w istniejącą strukturę genetyczną zwierzęcia. Czasem lokuje się w niej na odwrót, co przynosi albo skutek niepożądany, albo nie przynosi go wcale; a niekiedy - nawet całkiem często - trafia do niestabilnego fragmentu genomu i powoduje powstanie śmiertelnego nowotworu.

Poza tym w transgenice nie wystarczy wszczepienie jednego konkretnego genu

- trzeba wprowadzić także wszystkie te geny, bez których ten pożądaný nie będzie mógł funkcjonować. Większość genów ma swoje izolatory i geny regulatorowe. Regulatory mogą na

przykład, produkować białka, które wyłączają własne geny zwierzęcia, czyszcząc tym samym przedpole dla nowych przybyszów; mogą również wzmacniać działanie wszczepionego genu. Izolatory z kolei oddzielają nowy gen od innych w pobliżu, a także zapewniają nieustanny do niego dostęp.

Wszystkie te czynniki - mimo że niezwykle złożone - nie uwzględniają wszakże dalszych komplikacji, których może przysporzyć obecne w komórce RNA. Albo geny sterujące translacją. I tak dalej.

Wprowadzenie nowego genu do organizmu zwierzęcia i zmuszenie go do oczekiwanego działania właściwie znacznie bardziej przypomina analizę źle działającego programu komputerowego niż jakikolwiek proces biologiczny. Nieustannie robi się poprawki, naprawia błędy, eliminuje niepożądane efekty, aż wreszcie uzyskuje się zamierzony skutek. Po czym czeka na pojawienie się szkodliwych efektów ubocznych, które mogą wystąpić nawet po kilku latach.

Dlatego właśnie w laboratorium uznano, że Gail powinna wziąć Gerarda do siebie, przez pewien czas się nim opiekować i obserwować skutki przeszczepu. Trzymanie go w domu było o tyle istotne, że żako są niezwykle inteligentne - porównuje się wręcz do szympanów, a co więcej, mają znacznie bardziej niż małpy rozwinięte zdolności językowe. Zdarzało się - choć nieczęsto - że posługując się językiem migowym i klawiaturą komputera, niektóre naczelnne opanowywały około stu pięćdziesięciu słów. Dla żako jest to wynik zaledwie przeciętny - niektóre z nich posługują się nawet tysiącem słów. Dlatego potrzebne im są stymulacja i interakcja, jaką zapewnia tylko stały kontakt z żywym, prawdziwym człowiekiem. Nie można ich trzymać w zwierzętarni razem z myszami i chomikami, bo oszaleją z braku odpowiednich bodźców.

Aktywiści ruchów na rzecz praw zwierząt uważają że nawet żako chowane w domach są upośledzone wskutek niedostatecznej interakcji. Właściwie równie dobrze można by je latami trzymać w odosobnieniu. Żako wymaga podobnie stymulującego środowiska jak człowiek - a niektórzy naukowcy twierdzą że nawet bardziej.

Gerard jako pisklę nauczył się siadać człowiekowi na palcu i wcześniej zaczął mówić. Dysponował całkiem pokaźnym zasobem słów, kiedy Gail - trzydziesto-jednoletnia żona bankiera - przyniosła go do domu.

- Fajna chata, Gail - stwierdził na wstępie. - Superancka.

Niestety, w laboratorium naoglądał amerykańskiego slangu.

- Cieszę się, że ci się podoba, Gerardzie.

- Ja to właśnie powiedziałem.

- To znaczy... że ci się nie podoba? się telewizji i przyswoił sobie sporo

- To znaczy, że ja to właśnie powiedziałem.

- Aha.

- Takie spostrzeżenie.

- Jasne. Rozumiem.

Zacząła na bieżąco notować jego postępy. Umiejętność mówienia miała kapitalne znaczenie. Jednym z celów doświadczeń transgenicznych było sprawdzenie, czy można wpływać na zachowania świadczące o inteligencji zwierząt. Przepisy i obostrzenia zakazywały eksperymentów na naczelnnych, ale papugi nikogo nie interesowały; nikt nie powoływał komisji badających etyczny aspekt doświadczeń na laboratorium Groliera wybrało żako.

Przede wszystkim naukowcy poszukiwali w papuziej papugach. Dlatego

mowie dowodów samoświadomości. O tym, że papugi są świadome swojego istnienia, wiadano od dawna; rozpoznają się w lustrze. Ale mowa to co innego. Nie zdarzyło się, żeby ze zrozumieniem użyły słowa „ja” w odniesieniu do siebie. Używały tego zaimka, wyłącznie cytując

czyjeś słowa. Pojawiło się pytanie, czy transgeniczna papuga będzie umiała się nim posługiwać w sposób jednoznaczny.

Wyglądało na to, że Gerard właśnie to zrobił. To był dobry początek. Mąż Gail, Richard, niezbyt zainteresował się nowym domownikiem. Wzruszył tylko ramionami i powiedział:

- Nie spodziewaj się, że będę po nim czyścił klatkę.

- W porządku - odparła.

Evan, ich syn, okazał więcej entuzjazmu: od razu zaczął się bawić z Gerardem - sadzał

go sobie najpierw na palcu, a potem także na ramieniu. Wkrótce okazało się, że to on spędza z papugą najwięcej czasu i nawiązuje z nią najlepszy kontakt.

I - najwyraźniej - może liczyć na jej pomoc.

Gail zamontowała kamerę na statywie, wykadrowała obraz i włączyła nagrywanie. Niektóre żako uczyły się liczyć, jedna podobno wyrobiła sobie pewne ogólne pojęcie o naturze zera. Żadna jednak nie знаła arytmetyki.

Poza Gerardem.

Gail z trudem ukrywała podniecenie.

- Gerardzie? - zagadnęła, najspokojniej jak umiała. - Pokażę ci teraz rysunek.

Chciałabym, żebyś mi powiedział, co na nim jest.

Pokazała mu jedną z kartek z pracą domową Evana; złożyła ją tak, że widać było tylko jedno zadanie. Wynik zasłoniła kciukiem.

- Już to rozwiązałem.

- Ale co tu jest napisane? - Gail wskazała palcem: piętnaście minus siedem.

- Musisz przeczytać. - Nie możesz odpowiedzieć, patrząc tylko na tę kartkę?

- Musisz przeczytać - uparł się Gerard.

Przeskakiwał z nogi na nogę, coraz bardziej zirytowany. Zerkał podejrzliwie na kamerę. Nie lubił się czuć zawstydzony.

- Piętnaście zabrać siedem - przeczytała Gail.

- Osiem - odpowiedziała bez namysłu papuga.

Gail z trudem powstrzymała chęć wyłączenia kamery. Omal nie zawyła ze szczęścia.

Spokojnie jednak odwróciła stronę, odsłaniając następne działanie.

- Teraz to. Ile to będzie dwadzieścia trzy zabrać dziewięć?

- Czternaście.

- Bardzo dobrze. Dalej...

- Obiecałaś.

- Ja ci coś obiecałam?

- Tak, obiecałaś. Sama wiesz... Chodziło mu o kąpiel.

- Później. Na razie...

- Obiecałaś. - Obrażonym tonem. - Kąpiel.

- Gerardzie, pokażę ci kolejne zadanie. Ile to będzie dwadzieścia dziewięć zabrać osiem?

- Mam nadzieję, że patrzą - głos miał dziwnie zmieniony. - Niech zobaczą. Niech zobaczą niech się dowiedzą. Powiedzą wtedy: „Też coś, przecież ona by muchy nie skrzywdziła”.

- Skup się, Gerardzie, bardzo cię proszę. Ile to jest dwadzieścia dziewięć zabrać osiem?

Ptaka otworzył dziób. Zadzwoił dzwonek przy drzwiach wejściowych, ale Gail była

na tyle blisko papugi, by zorientować się, że to ona wydała ten dźwięk. Gerard doskonale umiał naśladować przeróżne odgłosy: dzwonek przy drzwiach, dzwonek telefonu, wodę spuszczaną w toalecie.

- Proszę cię, Gerard...

Kroki. Szczęk zamka, skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Świetnie wyglądasz, maleńka - powiedział, naśladowując jej męża. - Stęskniłem się za tobą.

- Gerard... Kobięcy głos:

- Och, Richardzie, tyle czasu... Cisza. Odgłos pocałunku.

Gail zamarła. Nie mogła oderwać wzroku od ptaka, który mówił dalej, ledwie poruszając dziobem. Był jak magnetofon. Ta sama kobieta:

- Jesteśmy sami?

- Tak - odparł mąż Gail. - Mały wróci ze szkoły o trzeciej. - A...

- Gail? Jest na konferencji w Genewie.

- Czyli mamy cały dzień dla siebie. Mój Boże... Znowu pocałunki.

Kroki dwóch osób. Jej mąż:

- Napijesz się czegoś?

- Może później, kotku. Teraz chcę tylko ciebie. Gail wyłączyła kamerę.

- Będę mógł się teraz wykąpać? - upomniał się Gerard. Spiorunowała go wzrokiem. Trzasnęły drzwi sypialni. Skrzypienie sprężyn łóżka. Pisk i śmiech kobiety. Znowu skrzypienie sprężyn.

- Przestań! - nakazała Gail.

- Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

- Nienawidzę tego ptaszyska! - powiedział mąż wieczorem, kiedy byli sami w sypialni.

- Nie w tym rzecz. Rób, co chcesz, Richardzie, ale nie w moim domu. Nie w naszym łóżku.

Gail zmieniła pościel, ale i tak nie mogła się zmusić, żeby usiąść na łóżku. A nawet do niego podejść. Stała z dala od niego, przy oknie, za którym Paryż tętnił życiem.

- To był tylko ten jeden, jedyny raz. Nie znosiła, kiedy kłamał.

- Raz, kiedy byłem w Genewie. A może zapytam Gerarda, czy jedyny?

- Nie. Ptaka w to nie mieszaj.

- A więc nie jedyny.

- Co mam ci powiedzieć, Gail? Przepraszam. Już dobrze? Przepraszam.

- Nic nie mów. Po prostu więcej tego nie rób. Nie życzę sobie, żebyś się tu bzykał ze swoimi babami.

- Dobrze. W porządku. Możemy już o tym nie rozmawiać?

- Tak. Teraz już możemy.

- Nienawidzę tej pieprzonej papugi. Gail podeszła do drzwi.

- Jeśli ją tkniesz, zabiję cię - ostrzegła w progu.

- Gdzie idziesz?

- Gdzieś. Spotkała się z Yoshim Tomizu u niego w mieszkaniu. Ich romans zaczął się rok wcześniej, a potem, w Genewie, odnowili bliższą znajomość. Yoshi miał w Tokio żonę i dziecko i zamierzał jesienią do nich wrócić. Była to więc przyjaźń - tyle że z pewnymi przywilejami.

- Jesteś spięta - zauważył, głaszcząc ją po plecach. Miał cudowne dłonie.

Pokłóciliście się z Richardem?

- Nie. No, trochę.

Sączące się przez okno światło księżyca wydało się jej zdumiewająco jasne.

- To o co chodzi?

- Niepokoję się o Gerarda.

- Dlaczego?

- Richard go nienawidzi. Po prostu nienawidzi. - Ale przecież nic mu nie robi. To skarb.

- No nie wiem... - Gail usiadła na łóżku. - Chyba powinnam wracać. Yoshi wzruszył ramionami.

- Jak uważasz...

- Przepraszam. Pocałował ją delikatnie.

- Zrobisz to, co uznasz za najlepsze. Westchnęła.

- Masz rację, jestem głupia. - Wśliznęła się z powrotem pod koc. - Powiedz mi, że jestem głupia. Proszę.

R033

Brad Gordon wyłączył telewizor.

- Otwarte! - zawołał. - Proszę!

Było południe. Siedział w swoim mieszkaniu w Sherman Oaks - oglądał mecz i czekał

na pizzę. Osłupiał: kiedy drzwi się otworzyły, do środka weszła najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział. Elegancja w każdym calu; około trzydziestki, wysoka, szczupła, europejskie ciuchy, nie za wysokie szpilki. Seksowna, ale z umiarem. Usiadł prosto na sofie i podrapał się po nieogolonym podbródku.

- Przepraszam, nie spodziewałem się gości...

- Przysłał mnie pański wuj, pan Watson. - Podeszła prosto do niego. Szybko wstał. Jestem Maria Gonzales. - Mówiła z lekkim obcym akcentem, ale raczej nie hiszpańskim. Bardziej przypominał niemiecki. - Pracuję w firmie nadzorującej inwestycje pańskiego wuja.

Brad kiwnął głową wdychając woń jej perfum. Nie zdziwił się, słysząc, że pracuje dla wujka Jacka, bo ten słynął z tego, że otacza się ślicznymi i nadzwyczaj kompetentnymi biznesmenkami.

- Czym mogę pani służyć?

- Mnie niczym - odparła swobodnym tonem, rozglądając się, gdzie tu usiąść. W końcu jednak postanowiła nie siadać. - Ale może pan pomóc wujowi.

- Bardzo chętnie. W czym rzecz?

- Nie muszę chyba przypominać, że wuj wpłacił za pana kaucję i weźmie na siebie koszty procesu. A biorąc pod uwagę, że chodzi o seks z nieletnią... cóż, potrzebny będzie drogi adwokat.

- Przecież mnie wrobili... Uciszyła go, podnosząc rękę.

- Mnie to nie interesuje. Wuj przez lata nieraz panu pomagał. Problem w tym, że teraz sam potrzebuje pomocy. Dyskretnej.

- Ode mnie? Wujek Jack potrzebuje mojej pomocy?!

- Tak.

- Może na mnie liczyć.

- Sprawa jest ściśle tajna. - Jasne. Okej.

- Nie wolno ci o tym z nikim rozmawiać. Nigdy.

- Rozumiem.

- Nikt się nie może o tym dowiedzieć. Jeśli puścisz parę z ust, stracisz pieniądze na adwokata, a za molestowanie nieletniej dostaniesz dwadzieścia lat. Wiesz, co to oznacza.

- Oczywiście. - Wytarł ręce o spodnie. - Dotarło.

- Tym razem nie może być żadnej wpadki, Brad.

- Dobrze. Niech mi pani po prostu powie, co mam zrobić.

- Twój ulubiony BioGen zamierza wkrótce opublikować informację o wielkim odkryciu: znaleźli gen leczący z narkomanii. To pierwszy krok na drodze do stworzenia genialnego produktu, który świetnie się sprzeda. Taki raport zwabi wielkie pieniądze. Twój wuj, w tej chwili ważny inwestor BioGenu, boi się, że przyciągnięcie wielkiego kapitału osłabi jego pozycję. Dlatego chce postraszyć potencjalnych inwestorów.

- Czyli?

- Chce, żeby z BioGenu poszły w świat złe wieści.

- Jakie?

- Ich główny produkt komercyjny to linia komórek zwana linią Burneta. Kupili ją od UCLA. Komórki produkują cytokiny, nieocenione w leczeniu raka.

- Aha...

- Skażenie tej linii miałoby katastrofalne skutki. Wyjęła z torebki plastikową buteleczkę po markowych kroplach do oczu. W buteleczce był przezroczysty płyn. Odkręciła ją i kapiała po kropelce cieczy na każdy opuszek palca drugiej dłoni.

- Rozumie pan?

- Tak.

- Po kropki na palec. Niech wyschnie.

- W porządku.

- Pójdzie pan do BioGenu. Pańska karta magnetyczna nadal działa. Sprawdzi pan w bazie danych, gdzie w magazynie i skrytkach w laboratorium znajdują się komórki z linii Burneta. - Podała mu kartkę z kodem: BGOX6178990QD. - Jedne próbki są zamrożone, inne umieszczono w inkubatorach. Znajdzie pan wszystkie i po prostu ich dotknie.

- Dotknę? To wystarczy? - Brad spojrzał podejrzliwie na buteleczkę. - Co to za świństwo?

- Bez obaw, nie zrobi panu krzywdy. Ale komórki nie będą zachwycone.

- Kamery mnie nagrają. A otwieranie drzwi kartą jest rejestrowane w systemie. Dowiedzą się, że to ja.

- Nie, jeśli pójdzie pan tam między pierwszą i drugą w nocy. System jest w tym czasie wyłączany, żeby zrobić kopię zapasową.

- Wcale nie.

- Tak. W tym tygodniu tak.

Brad wziął buteleczkę i obrócił ją w palcach.

- Na pewno wiecie o tym, że mają te komórki również w magazynie poza firmą

- Niech pan zrobi to, o co prosi wuj. Resztą sam się zajmie. - Zamknęła torebkę.

Jeszcze jedno. Proszę nie dzwonić do wuja w tej, ani w żadnej innej sprawie, w ogóle nie próbować z nim rozmawiać. Nie życzy sobie, żeby pozostał jakiś ślad kontaktu między wami. Jasne?

- Jasne.

- Powodzenia. I dziękuję w imieniu wuja. Uścisnęła mu rękę i wyszła. BLONDYNI JEDNAK NIE WYGINĄ

Kaczka dziennikarska w BBC: nikt nie sprawdził faktów Nie było raportu WHO, nie było niemieckich badań Kiepski żart

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zaprzeczyła w dniu dzisiejszym, jakoby kiedykolwiek przeprowadziła badania nad genem jasnych włosów i opublikowała wyniki, które świadczyłyby o tym, że gen ten wkrótce całkowicie zaniknie. Rzecznik organizacji powiedział: „Nie wiemy, skąd pochodzą te doniesienia, chcielibyśmy jednak podkreślić, że WHO nie ma określonego poglądu w kwestii przyszłości osób o jasnych włosach”.

Jak twierdzi „Washington Post”, rewelacje BBC pochodzą z niemieckiej agencji prasowej. Ona z kolei opierała się na artykule wydrukowanym przed dwoma laty w niemieckim piśmie kobiecym „Allegra” i na powołującym się na nie pewnym antropologu z WHO. Nikt jednak o takim antropologu nie słyszał.

Len Euler, specjalista od rynku mediów z Georgetown, twierdzi, że gdyby agencja BBC zadała sobie choć minimum trudu i spróbowała zweryfikować tę informację, na pewno by jej nie opublikowała. Inni obserwatorzy również zwracają uwagę na fakt, że dziennikarze coraz rzadziej sprawdzają wiarygodność swoich informacji.

„Publikujemy depeszę agencyjną i lecimy dalej”, powiedział jeden z reporterów.

Jednak zdaniem jego kolegi po fachu anonimowość źródeł ma swoje zalety:

„Spójrzmy prawdzie w oczy: to dobry news. Rzetelność by mu tylko zaszkodziła”.

Nieformalne dochodzenie, przeprowadzone przez specjalizujący się w takich sprawach portal Snopes.com, [ujawniło wiele różnych wersji informacji o rychłym wyginieciu](#) jasnowłosych: najstarsza pochodzi sprzed stu pięćdziesięciu lat, a więc z czasów Abrahama Lincolna. Za każdym razem dziennikarze powoływali się na autorytety naukowe, aby przydać sobie wiarygodności. Oto typowy przykład takiej kaczki dziennikarskiej z roku 1906:

BLONDYNKI SKAZANE NA WYMARCIE *Major Woodruff, opierając się na naukowych przesłankach, wieszczy im zagładę*

Dziewczynek ze złotymi loczkami nie ma przyszłości: w ciągu sześciuset lat ludzie o jasnych włosach znikną z powierzchni Ziemi. Major CE. Woodruff przepowiedział im ten niewesoły los dziś, w wykładzie wygłoszonym na forum Stowarzyszenia Rozwoju Nauki na Uniwersytecie Columbii...

Wygląda na to, jak powiedział profesor Euler, że blondynki nie są zagrożone wyginieciem - ale nie grozi też ono doniesieniom wieszczącym im zagładę, skoro od półtora stulecia wciąż się je bezpodstawnie powiela.

R034

Żona Henry’ego Kendalla, Lynn, zajmowała się zawodowo projektowaniem witryn internetowych, dlatego zwykle była w domu. Tego dnia około trzeciej po południu odebrała dziwny telefon.

- Mówi doktor Marty Roberts ze szpitala Memoriał w Long Beach. Zastąpiłem Henry’ego?- Jest na meczu - odparła. - Coś mu przekazać?

- Dzwoniłem do niego do biura, potem próbowałem go złapać na komórkę, ale nie odbiera.

Ton głosu Roberta wskazywał, że to pilna sprawa.

- Za godzinę tu będzie. Czy coś się stało, panie doktorze?

- Henry’emu? Nie, nic. Absolutnie nic. Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie oddzwonił, dobrze?

Lynn mu to obiecała.

Kiedy Henry wrócił do domu, przyszła do niego do kuchni, gdzie szykował mleko i ciastka dla ich ośmioletniego syna Jamiego.

- Masz jakichś znajomych w szpitalu Memoriał w Long Beach? - zapytała. Henry znieruchomiał.

- Ktoś dzwonił?

- Tak, dziś po południu. Kto to jest?

- Kumpel ze szkoły. Patolog. Co mówił?

- Nic. Prosił, żebyś oddzwonił.

Choć bardzo chciała, nie zapytała jednak, o co chodzi.

- Dobrze. Dzięki.

Henry zerknął na telefon w kuchni, odwrócił się na pięcie i poszedł do ich wspólnej niedużej pracowni. Zamknął drzwi. Słyszała, jak ściszym głosem rozmawia przez telefon, ale nie rozumiała słów.

Jamie zajadał przygotowaną przez ojca przekąskę. Na piętrze, w pokoju trzynastoletniej Trący bardzo głośno grała muzyka.

- Ciszej, proszę!

Trący nie usłyszała. Lynn nie pozostało nic innego, jak pójść na górę i przywołać ją do porządku. Kiedy wróciła, Henry nerwowo kręcił się po salonie.

- Wyjeżdżam.

- Dobrze. Dokąd?

- Muszę jechać do Bethesdy.

- Do NIZ?

Narodowy Instytut Zdrowia miał siedzibę w Bethesdzie. Henry jeździł tam czasem na konferencje. - Tak.

Przyjrzała się mu.

- Powiesz mi, o co chodzi, Henry?

- O badania... Muszę coś sprawdzić. To tylko... Nie jestem pewien.

- Jedziesz do Bethesdy, ale nie wiesz po co?

- No... wiem. To ma związek z... z Bellarmino.

Robert Bellarmino był głównym genetykiem NIZ. On i Henry nie przepadali za sobą.

- Jaki związek?

- Muszę... załatwić sprawę, którą on się wcześniej zajmował. Lynn usiadła.

- Henry... Kocham cię, ale jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć...

- Po prostu nie chcę o tym rozmawiać. Muszę tam pojechać i już. Tylko na jeden dzień.

- Kłopoty?

- Powiedziałem: nie chcę o tym rozmawiać, Lynn.

- No dobrze... Kiedy jedziesz?

- Jutro.

Pokiwała z namysłem głową.

- Dobrze. Mam ci zarezerwować...

- Już to zrobiłem. Wszystko załatwione. - Podszedł do niej. - Tylko się nie zamartwiaj, proszę.

- Wiesz, w tej sytuacji to trochę trudne.

- Nic złego się nie dzieje. Po prostu muszę coś załatwić, raz na zawsze. Ityle.

Byli małżeństwem od piętnastu lat. Mieli dwoje dzieci. Lynn doskonale wiedziała, że Henry to nerwus i że miewa dziwaczne pomysły; ta sama niekonwencjonalna wyobraźnia, która czyniła z niego świetnego naukowca, sprawiała, że czasem zachowywał się jak histeryk. Często rozpoznawał u siebie objawy niebezpiecznych chorób. Co dwa tygodnie biegał do lekarza - a dzwonił jeszcze częściej. Skarżył się na bóle, swędzenie, wysypki i napady lęku, które budziły go w środku nocy. Dramatyzował. Kiedy opowiadał o tym, co mu się przydarzyło, najmniejsze potknięcie przeobrażało się w traumatyczny, groźny dla życia wypadek.

Dlatego mimo że cała ta historia z Bethesdy wydała się jej podejrzana, Lynn była skłonna ją zlekceważyć. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że czas rozmrozić sos do spaghetti. Wolą, żeby

Jamie nie opychał się ciastkami, bo wtedy nie zje obiadu. Trący znów nagłośniła muzykę. I w ten oto sposób zwyciężyła codzienna rutyna. Lynn zapomniała o niespodziewanej podróży męża. Miała inne sprawy na głowie - i się nimi zajęła.

R035

Z lotniska Dulles Henry Kendall pojechał drogą numer 267 na północ, do ośrodka badań nad naczelnymi w Lambertville. Dopiero po prawie godzinie jazdy zobaczył znajome ogrodzenie, podwójną bramę i stróżówkę. Za bramą rozłożyste klony przesłaniały widok na położony w głębi kompleks budynków. Ośrodek w Lambertville należał do największych na świecie, ale nikt się tym nie chwalił; nie podawano nawet jego dokładnego adresu - po części dlatego, że badania nad naczelnymi były tematem drażliwym politycznie, a po części z obawy przed wandalizmem obrońców zwierząt.

Zajechał pod zewnętrzną bramę, wcisnął guzik i powiedział do mikrofonu:

- Henry Kendall.

Podał swój osobisty kod, który - mimo jego czteroletniej tu nieobecności - wciąż działał. Wychylił się z samochodu, żeby kamera mogła objąć jego twarz.

- Dziękuję, doktorze Kendall.

Brama się otworzyła, a kiedy podjechał do drugiej, pierwsza zamknęła się za jego plecami. Strażnik - Henry pamiętał go jak przez mgłę - sprawdził jego tożsamość. Dał mu też tymczasową kartę magnetyczną.

- Nie spodziewaliśmy się pana dzisiaj, doktorze.

- Mam zabrać jakieś rzeczy osobiste z szafki.

- Tak. Panują tu nowe porządki, odkąd... No wie pan.

- Tak, wiem.

Strażnik miał na myśli Bellarmino.

Druga brama się otworzyła i Henry wjechał na teren ośrodka. Minął biuro administracji i skierował się prosto do zabudowań, gdzie trzymano zwierzęta. Dawniej szympansy mieszkały w budynku B. Zakładał, że nadal tam są.

Zewnętrzne drzwi otwierały się same, wewnętrzne otworzył kartą. Przeszedł korytarzem do Pokoju Kontrolnego B, obwieszzonego monitorami, na których śledzono zachowanie wszystkich szympanów na obu kondygnacjach budynku - było ich około osiemdziesięciu, obu płci i w różnym wieku.

Czekali już na niego dyżurny asystent weterynarza, w stroju khaki, oraz Rovak, szef instytutu. Musieli widzieć, jak wjeżdżał. Rovak miał pięćdziesiąt lat, szpakowate włosy i nosił się jak żołnierz - ale był przy tym niezłym naukowcem.

- Zastanawiałem się, kiedy się zjawisz - powiedział. Podali sobie ręce. Rovak uśmiechnął się przyjaźnie. - Masz krew?

Henry kiwnął głową. - Mam.

- Skurczybyk Bellarmino dostał szału. Na razie jeszcze tu nie przyjechał. Chyba wiemy dlaczego.

- To znaczy?

- Chodź, przejdziemy się. Henry spojrzał do dokumentów.

- Interesuje mnie samica F-402.

- Nie. Interesuje cię potomstwo samicy F-402.

Bocznym korytarzem przeszli do części ośrodka, w której prowadzono krótkie doświadczenia związane z uczeniem zwierząt.

- Tu go trzymacie?

- Musimy. Sam zobaczysz.

Weszli do pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka przypominało salę w przedszkolu - niebieski dywan, porozrzucane kolorowe zabawki. Przypadkowy gość nie zwróciłby pewnie uwagi na to, że zabawki wykonano z twardego, odpornego na uszkodzenia plastiku. Jedna ze ścian była przeszklona. Z głośników płynęła muzyka Mozarta.

- Lubi Mozarta - wyjaśnił Rovak, wzruszając ramionami.

Przeszli do sąsiedniego, mniejszego pokoju. Przez świetlik w suficie wpadał snop słonecznego światła. Na środku stała klatka o wymiarach półtora na półtora metra. Siedziała w niej młoda małpa, mniej więcej wzrostu czteroletniego dziecka. Twarz miała może nieco bardziej spłaszczoną niż przeciętny szympan, a skórę jaśniejszą ale bez wątplenia była szympansem.

- Cześć, Dave - powiedział Rovak.

- Cześć - odpowiedział szympan i spojrzał na Henry'ego. - Ty jesteś moją mamą?

Henry zaniemówił. Poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

- Tak, Dave - potwierdził Rovak i zwrócił się Henry'ego: - Ma na imię Dave. Szympan patrzył na Kendalla - po prostu siedział w klatce, trzymał się za palce u stóp i przyglądał mu się w milczeniu.

- To szok, wiem - ciągnął Rovak. - Pomyśl, jak musieli się czuć ludzie tu, w ośrodku, kiedy to odkryli. Weterynarz omal nie zemdlął. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że Dave jest inny, aż tu nagle bach! Negatywny test na kwas sialowy. Powtórzyli, bo wszyscy uznali, że to pomyłka. Ale nie. A potem, jakieś trzy miesiące temu, zaczął mówić.

Henry westchnął.

- I nieźle mu to idzie - dodał Rovak. - Trochę miesza czasy, ale nikt go nie uczy. Co tu dużo gadać, trzymam go w odosobnieniu. Wypuścić go? Henry się zawahał. - Anie jest...

Szympany bywają wredne i agresywne, dlatego nawet młode osobniki są niebezpieczne.

- Nie, jest bardzo potulny. Przecież nie jest szympansem, prawda? - Rovak otworzył klatkę. - Chodź, Dave.

Dave wyszedł na zewnątrz, choć trochę się wahał, jak człowiek właśnie zwolniony z więzienia.

Spojrzał pytająco na Henry'ego. - Zamieszkać z tobą? - Nie wiem.

- Nie lubię klatki. - Wziął Henry'ego za rękę. - Chodź się pobawić. Przeszli do sali zabaw. Dave prowadził.

- Zawsze tak robi? - spytał Henry.

- Tak. Wypuszczamy go, żeby się pobawił przez jakąś godzinkę, każdego dnia. Zwykle jest przy nim weterynarz, a czasem ja.

Dave zaczął przekładać zabawki, robiąc z nich figury geometryczne: najpierw okrąg, potem kwadrat.

- Cieszę się, że wpadłeś go zobaczyć. To ważne.

- Co z nim będzie?

- A jak myślisz? To nielegalne jak diabli. Transgeniczna małpa człekokształtna? Wiesz, że Hitler próbował skrzyżować człowieka z szympansem. Stalin też. Można powiedzieć, że byli pionierami. Jak to wygląda: Hitler, Stalin, a teraz amerykański naukowiec z NIZ? No nie, stary.

- Więc co chcecie...

- To nieautoryzowany eksperyment. Trzeba go przerwać. - Żartujesz?!

- Tu jest Waszyngton. A ten szympan to polityczny dynamit. Rząd przestał już zwiększać budżet NIZ, a obetnie go do jednej dziesiątej, jeśli wiadomość się rozniesie.

- Ta małpa jest niesamowita!

- Ale eksperyment nie został zatwierdzony. A tylko o to będąpytać. - Rovak pokręcił głową. - Nie bądź sentymentalny. Przepisy są jasne: eksperyment, który nie uzyskał pozytywnej oceny komisji eksperckich, musi zostać natychmiast zakończony.

- A co z... no wiesz...

- Morfina w kroplówce. Nic nie poczuje. Nie martw się, zaopiekujemy się nim. A po spaleniu ciała nie zostanie żaden ślad, że w ogóle coś takiego się zdarzyło. - Rovak wskazał Dave'a. - Idź, pobaw się z im. Ucieszy się. My mu się już znudziliśmy.

Zagrali w coś w rodzaju improwizowanych warcabów, używając do tego klocków i przeskakując nad sobą nawzajem. Uwagę Henry'ego przyciągnęły szczegóły: dłonie Dave'a, które miały takie same proporcje jak u człowieka; stopy - nadal chwytny, jak u szympansa; tęczy w oczach upstrzone niebieskimi plamkami; i ten uśmiech - nie całkiem ludzki, ale i nie małpi.

- Fajnie - powiedział Dave.

- Cieszysz się, bo wygrywasz.

Henry nie do końca rozumiał zasady, ale uznał, że lepiej będzie pozwolić Dave'owi wygrać. Tak samo bawił się z własnymi dziećmi. Przecież to też jest moje dziecko, pomyślał.

Miał mętlik w głowie i zdawał sobie z tego sprawę. Reagował instynktownie. Przyglądał się, jak Dave trafia z powrotem do klatki, jak zostaje ona zamknięta na zamek szyfrowy, jak...

- Otwórz - poprosił Rovaka. - Uścisknę mu jeszcze rękę.

- Daj spokój. Nie rób tego ani jemu, ani sobie.

- Chcę mu tylko podać rękę.

Rovak westchnął, ale otworzył zamek. Henry przyjrzał się: 01-05-04. Potem podał Dave'owi rękę i pożegnał się z nim.

- Przyjdiesz jutro? - zapytał Dave.

- Wkrótce.

Szympanś odwrócił się do niego plecami. Nie patrzył, jak Henry z Rovakiem wychodzą i zamykają drzwi.

- Posłuchaj - odezwał się Rovak. - Powinieneś się cieszyć, że nie staniesz przed sądem i nie pójdziesz siedzieć. Nie pękaj. Wszystkim się zajmujemy. A ty wracaj do swoich spraw.

- Dobra. Dzięki.

Poprosił, żeby pozwolili mu zostać w ośrodku do czasu wyjazdu na lotnisko. Oddali mu do dyspozycji pokój z terminalem komputerowym. Przez całe popołudnie siedział tam i czytał akta Dave'a. Wydrukował je sobie. Trochę spacerował, kilka razy poszedł do łazienki chciał, żeby strażnicy przyzwyczaili się do jego widoku na monitorach.

O czwartej Rovak wyszedł do domu. Przedtem zajrzał jeszcze do Henry'ego, żeby się pożegnać. O szóstej zmieniała się ekipa strażników i weterynarzy. Pół godziny wcześniej Henry wszedł do szkoleniowej części budynku i skierował się prosto do klatki Dave'a.

Otworzył ją.

- Cześć, mamó - przywitała go małpa.

- Cześć, Dave. Chcesz pojechać na wycieczkę?

- Tak.

- Dobrze. Rób, co ci każe.

Naukowcy często spacerowali z bardziej oswojonymi szympanśami, czasem nawet trzymając je za rękę. Henry poprowadził Dave'a korytarzem, bez pośpiechu, nie patrząc w kamery. Skręcili w lewo, ku drzwiom wyjściowym. Henry otworzył drzwi kartą wyszedł z Dave'em do przedsionka, otworzył drzwi zewnętrzne. Tak jak się spodziewał, nie było żadnych alarmów.

Ośrodek w Lambertville zaprojektowano w taki sposób, aby utrudnić do niego dostęp intruzom z zewnątrz i zapobiec ucieczce zwierząt, nikt jednak nie starał się uniemożliwić naukowcom wywożenia zwierząt poza jego obręb - przeciwnie, z różnych powodów dobrze było móc czasem

wyprowadzić podopiecznego poza mury placówki, bez szczegółowej kontroli. Dlatego właśnie Henry kazał Dave'owi położyć się na podłodze z tyłu samochodu i podjechał do bramy. O tej porze, podczas zmiany strażników i weterynarzy, ruch był spory; jedne samochody przyjeżdżały, inne wyjeżdżały. Henry zwrócił kartę magnetyczną i identyfikator.

- Dziękuję, panie Kendall - powiedział strażnik.

Henry wyjechał na drogę wijącą się wśród falistych, zielonych wzgórz zachodniego Marylandu.

- Wracasz samochodem? - zdziwiła się Lynn. - Dlaczego?

- To długa historia.

- Dlaczego, Henry?

- Nie mogłem postąpić inaczej. Musiałem wziąć samochód.

- Henry, naprawdę dziwnie się zachowujesz.

- To była kwestia wyboru moralnego.

- Jakiego znowu wyboru moralnego?

- Odpowiedzialności.

- Jakiej odpowiedzialności?! Do diabła, Henry...

- Skarbie, to naprawdę długa historia.

- To już słyszałam.

- Uwierz mi, chętnie bym ci wszystko opowiedział. Ale musisz poczekać, aż przyjadę.

- To twoja mama? - zainteresował się Dave.

- Kto jest z tobą w samochodzie? - spytała Lynn.

- Nikogo nie ma.

- Ktoś się odezwał. Takim chrapliwym głosem.

- Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić. Poczekaaj, aż wrócę, wtedy zrozumiesz. - Henry...

- Nie mam czasu, Lynn. Ucałuj dzieciaki. Rozłączył się. Dave przyglądał mu się uważnie.

- To była twoja mama?

- Nie, ktoś inny.

- Złości się?

- Nie, dlaczego? Jesteś głodny, Dave?

- Niedługo będę.

- Znajdziemy jakąś knajpę dla zmotoryzowanych. A na razie zapnij pasy.

Dave zrobił zdziwioną minę. Henry nachylił się nad nim i zapiął mu pas bezpieczeństwa - chociaż nie bardzo pasował na szympansa niewiele większego niż małe dziecko.

- Nie lubię go - poskarżył się Dave. Szarpnął pas. - Ale musisz mieć zapięty.

- Nie.

- Przykro mi.

- Chcę wrócić.

- Nie możesz tam wrócić, Dave.

Szympanś przestał się szarpać. Wyjrzał przez okno.

- Ciemno.

Henry pogłaskał go po głowie, mierzwiąc mu krótką sierść. Poczul, jak Dave rozluźnia się pod jego dotykiem.

- Już dobrze, Dave. Wszystko będzie dobrze. I ruszył na zachód.

R036

Co ty wygadujesz? - Lynn Kendall nie wierzyła własnym uszom. Dave siedział potulnie na sofie w salonie. - To ma być twój syn? Ta małpa?!

- No, niezupełnie...

- Niezupełnie?! - Zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. - Co chcesz przez to powiedzieć, Henry? Jeszcze niedawno było zupełnie zwyczajne niedzielne popołudnie. Trący, ich nastoletnia córka, siedziała na podwórku: opalała się i gadała przez telefon zamiast odrabiać lekcje. Jamie, jej brat, chlapał się w brodziku. Lynn spędziła pół dnia w pracowni, kończąc pilne zlecenie - pracowała nad nim bez wytchnienia przez ostatnie trzy dni. Bardzo się zdziwiła, kiedy w drzwiach wejściowych zobaczyła Henry'ego prowadzącego za rękę szympansa.

- To jak to jest, Henry? On jest twoim synem czy nie?

- W pewnym sensie tak.

- W pewnym sensie. No tak, wszystko jasne. Cieszę się, że mi to wytłumaczyłeś. Spiorunowała go wzrokiem. Nagle przyszła jej do głowy paskudna myśl. - Zaraz... Chwileczkę! Chcesz mi powiedzieć, że uprawiałeś seks z...

- Nie, nie! - Henry złożył dłonie jak do modlitwy. - Nic z tych rzeczy. To był tylko eksperyment.

- Tylko eksperyment! Jezu Chryste... Jaki eksperyment, Henry? Szympanś siedział z podkulonymi nogami, ściskając w jednej dłoni palce obu stóp. Patrzył na nich.

- Nie podnoś tak głosu - poprosił Henry. - On się denerwuje.

- Denerwuje się? On się denerwuje?! Do jasnej cholery, Henry, to jest małpa!

- Szympanś.

- Co za różnica... Co on tu robi? Co robi w naszym domu?- Właściwie... Nie jestem... Chyba z nami zamieszka.

- Zamieszka z nami! Tak zwyczajnie. Masz syna, który jest małpą i o którym wcześniej nie wiedziałeś, a potem się dowiedziałeś i po prostu przywiozłeś go do domu. Fantastycznie. I całkiem rozsądnie. Na pewno każdy to zrozumie. Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Nie, nie mów, już wiem: chciałeś mi zrobić niespodziankę. Wracam do domu z moim małpim synkiem, ale powiem ci o nim, dopiero jak nas zobaczysz. Świetny pomysł, Henry. Bardzo się cieszę, że przydała się na coś ta nasza terapia, to całe gadanie o bliskości i porozumieniu.

- Przepraszam, Lynn...

- Jak zwykle, Henry. Ale co zamierzasz z nim zrobić? Zawieziesz go do zoo? - Nie lubię zoo - odezwał się Dave. Pierwszy raz.

- Ty się nie wtrącaj - warknęła Lynn. I zamarła.

Odwróciła się. Wytrzeszczyła oczy.

- On mówi?

- Mówię. Jesteś moją mamą?

Lynn Kendall wprawdzie nie zemdląła, ale zaczęła się trząść, a kiedy nogi się pod nią ugięły, Henry złapał ją i pomógł jej usiąść na jej ulubionym fotelu, obok sofy, przy niskim stoliku. Dave nawet nie drgnął - przyglądał się tylko szeroko otwartymi oczami. Henry przyniósł Lynn lemoniadę z kuchni.

- Proszę - powiedział. - Wypij.

- Daj mi martini, do diabła!

- To już przeszłość, kochanie. Lynn była AA.

- Ja tam nie wiem, czy to przeszłość, czy przyszłość. - Lynn nie mogła oderwać wzroku od Dave'a. - On mówi. Ta małpa mówi.

- To szympans.

- Przepraszam, że cię zdenerwuję - powiedział Dave.

- Nic się nie stało... eee...

- Ma na imię Dave - podsunął Henry. - Często myślą mu się czasy.

- Denerwuję ludzi - dodał Dave. - Źle im z tym.
- To nie twoja wina, Dave - powiedziała Lynn. - Ty jesteś bardzo miły. Chodzi o niego. - Kciukiem wskazała Henry'ego. - Tego dupka.
- Co to jest dupek?
- Pewnie nikt przy nim nie przeklinał - domyślił się Henry. - Musimy uważać na to, co mówimy.
- Jak chcesz uważać na to, co mówisz? - zdziwił się Dave. - To są dźwięki. Nie da się na nie uważać.
- Nie wiem, co o tym myśleć. - Lynn osunęła się bezwładnie w fotelu.
- To takie wyrażenie - wyjaśnił Henry. - Przenośnia.
- Rozumiem - odparł Dave.
Zapadła cisza. Lynn westchnęła. Henry pogłaskał japo rękę.
- Macie tu drzewa? - zainteresował się Dave. - Lubię wspinać się na drzewa.
Jamie wszedł do domu.
- Mamo? Potrzebuję ręczni...
Urwał w pół słowa i zagapił się na szympansa.
- Cześć - powiedział Dave.
Jamiego zamurowało, ale szybko się otrząsnął.
- Wow, super! Cześć, jestem Jamie.
- A ja Dave. Macie tu drzewa, na które można by się powspinać?
- Pewnie! Jedno jest ogromne. Chodź!
Jamie pobiegł do drzwi. Dave spojrzał pytająco na Lynn i Henry'ego.
- Możesz iść - powiedział Henry.
Dave zeskoczył z sofy i pognał za Jamiem.
- Przecież może uciec - zauważyła Lynn.
- Wątpię.
- Dlatego, że jest twoim synem... Trzasnęły drzwi. Usłyszeli wrzask i pisk córki. - Co to jest?!
- Szympans - wyjaśnił Jamie. - Idziemy połączyć po drzewach.
- Skąd się tu wziął, Jamie?
- Tata go przywiózł.
- Nie gryzie?
Nie zrozumieli, co odpowiedział Jamie, ale widoczne przez okno gałęzie drzewa zaczęły się chybotać. Rozległy się śmiechy.
- Co z nim zrobisz? - zapytała Lynn.
- Nie mam pojęcia.
- Tu nie może zostać.
- Wiem.
- Nie chciałam mieć psa, więc tym bardziej nie zgodzę się na małpę.
- Wiem.
- Poza tym tu i tak jest już ciasno.
- Wiem.
- Ale się porobiło... Henry tylko pokiwał głową.
- Jak to się mogło stać, Henry?
- To długa historia.
- Zamieniam się w słuch.- Kiedy odczytano cały ludzki genom - zaczął Henry naukowcy stwierdzili, że prawie nie różni się od genomu szympansa. Różne mamy tylko pięćset genów.
Sama ta liczba jest trochę myląca, ponieważ człowiek ma wiele genów wspólnych także z jeźowcem.

Ba, wszystkie istoty żywe na Ziemi mają dziesiątki tysięcy takich samych genów. Można by powiedzieć, że z genetycznego punktu widzenia życie jest jedną wielką całością.

Dlatego najbardziej interesujące stały się rozważania nad przyczynami zróżnicowania gatunków. Pięćset genów - niby niewiele, a przecież ludzi i szympansy dzieli przepaść.

Istnieje całkiem sporo gatunków, które mogą się krzyżować, tworząc hybrydy: lwy i tygrysy, lamparty i jaguary, delfiny i wieloryby, bizona i bydło domowe, zebry i konie, wielbłądy i lamy. Grizzlie i niedźwiedzie polarne w stanie dzikim też czasem się krzyżują. Powstało więc pytanie: czy można skrzyżować człowieka z szympansem? Chyba nie.

- Ktoś próbował?

- Wielokrotnie. Pierwszy raz w latach dwudziestych.

Jednak nawet jeśli nie mogła powstać ludzko-szympania hybryda, nic nie stało na przeszkodzie, żeby wprowadzić ludzkie geny do zarodka szympansa i stworzyć osobnika transgenicznego. Przed czterema laty, kiedy Henry wziął w NIZ urlop naukowy, zajmował się badaniem autyzmu. Zainteresowało go, które geny u ludzi i małp odpowiadają za różnice w zdolnościach porozumiewania się.

- Bo szympansy potrafią się porozumiewać - powiedział. - Pokrzykują na dziesiątki sposobów, wykonują różne gesty. Na polowaniu tworzą bardzo skuteczne zespoły. Porozumiewają się więc, ale nie mają własnego języka, tak jak ludzie z zaawansowanym autyzmem. To zwróciło moją uwagę.

- I co zrobiłeś?

- W laboratorium, pod mikroskopem, wprowadziłem ludzkie geny do embrionu szympansa. Moje własne geny.

- Geny mowy też?

- Wszystkie.

- Wszystkie swoje...

- Zrozum, nie sądziłem, że ten szympanś się urodzi. Potrzebny mi był tylko płód.

- Płód? Dlaczego nie dorosły osobnik?

Gdyby transgeniczny płód przetrwał pierwszych osiem czy dziewięć tygodni rozwoju, do momentu samorzutnego poronienia, zróżnicowanie komórek byłoby wystarczające, aby dało się dokonać sekcji i dowiedzieć czegoś o mowie małp.

- Zakładałeś, że płód tak czy inaczej umrze?

- Oczywiście. Miałem tylko nadzieję, że zdąży się rozwinąć na tyle...

- A potem zamierzałeś pociąć go na kawałki?

- No... Przeprowadzić sekcję.

- Miał twoje geny, a ty zrobiłeś to tylko po to, żeby mieć obiekt do sekcji? - Lynn patrzyła na Henry'ego jak na potwora.

- To był eksperyment naukowy, Lynn. Takie rzeczy robi się bez... - Nie, nie było sensu dalej w to brnąć. - Posłuchaj. Swoje geny miałem pod ręką. Nie musiałem nikogo prosić o zgodę na ich użycie. To był tylko eksperyment. Nie miał nic wspólnego ze mną.

- Teraz już ma.

Pytanie, na które Henry szukał odpowiedzi, było natury fundamentalnej. Człowiek i szympanś oddzielili się od wspólnego przodka przed sześcioma milionami lat. Dawno już zaobserwowano, że szympansy są najbardziej podobne do ludzi w płodowym okresie rozwoju organizmu. Sugerowało to, że przynajmniej w części znaczne różnice między postaciami dorosłymi obu gatunków wynikają z odmiennego przebiegu dorastania w łonie matki. Człowiek rozwija się w łożysku w mniejszym stopniu niż szympanś, natomiast po urodzeniu jego mózg w ciągu roku podwaja swoje rozmiary.

Henry'ego interesowała przede wszystkim umiejętność mówienia, która wymaga cofnięcia strun głosowych w głąb tchawicy, gdzie tworzą głośnie. U ludzi proces ten następuje w fazie płodowej, u małp nie. Sprawa jest więc dość skomplikowana.

Henry chciał zbadać transgeniczny płód i na jego przykładzie dowiedzieć się, co powoduje u ludzi zmiany, które umożliwiają wykształcenie ludzkich narządów mowy. Takie przynajmniej było założenie.

- No to dlaczego nie zbadałeś tego płodu? - spytała Lynn.

Dlatego że tamtego lata kilka szympanów zaraziło się wirusowym zapaleniem opon mózgowych i zdrowe okazy poddano kwarantannie w różnych innych laboratoriach, rozrzuconych na wschodzie kraju.

- Nie miałem żadnych wiadomości o tym moim embrionie. Zakładałem, że samica podczas kwarantanny po prostu poroniła, a płód wyrzucono. Nie chciałem być zbyt wścibski...

- Bo to, co zrobiłeś, jest karalne.

- Hm... Mocne słowo. Myślałem, że eksperyment zakończył się niepowodzeniem.

- Ale chyba się myliłeś.

- Na to wygląda.

Tymczasem samica urodziła zdrowe młode, w terminie, i oboje wrócili do Bethesdy. Mały szympan na pozór niczym nie różnił się od rówieśników - miał może nieco jaśniejszą skórę, zwłaszcza w okolicach twarzy, gdzie nie porasta jej sierść, ale szympany często różnią się pigmentacją nawet dość znacznie, więc nikt się tym nie zainteresował. W miarę jak młody szympan dorastał, wyglądał coraz mniej zwyczajnie. Spłaszczona twarz wcale się nie rozwijała i zachowała dziecięce rysy. Nadal jednak nikogo nie dziwił wygląd malucha dopóki w rutynowym badaniu nie wyszło na jaw, że jego krew nie zawiera kwasu sialowego, postaci Gc. Enzym ten występuje u wszystkich małp, uznano więc, że zaszła pomyłka i badanie krwi powtórzono. Z takim samym rezultatem. Mały szympan nie miał we krwi kwasu sialowego.

- Jego brak to cecha ludzka - wyjaśnił Henry. - Kwas sialowy to rodzaj cukru. Postaci Gc nie znaleziono u żadnego człowieka, występuje za to u wszystkich małp.

- Oprócz tej jednej.

- No właśnie. Zrobili testy DNA i przekonali się, że różnica między małym szympanem a człowiekiem to znacznie mniej niż standardowe półtora procenta. Klocki zaczęły im się układać.

- I porównali jego DNA z DNA wszystkich pracowników laboratorium.

- Mhm.

- Stwierdzili, że pasuje do twojego.

- Bellarmino parę tygodni temu przysłał mi próbkę. Domyślam się, że chciał mnie zaalarmować.

- Co zrobiłeś?

- Dałem ją do zbadania koledze po fachu.

- Koledze z Long Beach?

- Tak.

- Co z Bellarmino?

- Jemu chodzi tylko o to, żeby, gdy wiadomość się rozniesie, nie był umoczony. Henry pokręcił głową. - Dojeżdżałem do Chicago, kiedy zadzwonił do mnie ten Rovak z laboratorium. I potwierdził to, czego się spodziewałem. Jestem zdany na siebie. Takie zajęli stanowisko; teraz to mój problem, nie ich.

Lynn zmarszczyła brwi.

- Dlaczego tego nie ogłosicie? To przełom! Powinieneś być sławny na całym świecie. Udało ci się

stworzyć pierwszą transgeniczną małpę.

- Sęk w tym, że grozi mi za to nagana, a w skrajnym przypadku nawet więzienie. Po pierwsze: nie miałem pozwolenia stosownych komisji na prowadzenie badań z naczelnymi. Po drugie: NIZ pozwala wykonywać eksperymenty transgeniczne wyłącznie na szczurach. Po trzecie: przeciwnicy modyfikacji genetycznych i miłośnicy zdrowej żywności zaplują się ze złości. Po czwarte: NIZ nie chce mieć nic wspólnego z tymi badaniami i wszystkiego się wyprze.

- Czyli co? Nie możesz nikomu powiedzieć, skąd się wziął Dave? To będzie problem, Henry. Tego nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Wiem - przyznał Henry przygnębiony.

- Trący właśnie rozpowiada wszystkim przez telefon, jaką ma fajną małpkę w domu.

- Uhm...

- Jej koleżanki zlecą się lada chwila. Co im powiesz? Następni przybiegną dziennikarze. - Lynn spojrzała na zegarek. - Za godzinę, najdalej dwie. Jak im to wyjaśnisz?

- Nie wiem. Może... Może powiem, że doświadczenia prowadzono gdzieś za granicą w Chinach. Albo w Korei Południowej. I nam go przysłano.

- A co powie Dave, kiedy dziennikarze zrobią z nim wywiad?

- Poproszę go, żeby z nimi nie rozmawiał.

- Oni tak łatwo nie odpuszczą. Będą koczować pod domem z teleobiektywami, wynajmą śmigłowce, najbliższym samolotem polecą do Chin albo Korei, żeby pogadać z tamtejszymi naukowcami. A kiedy się okaże, że tam nikt się tym nie zajmował... to co?

Popatrzyła na Henry'ego i podeszła do drzwi. Wyjrzała na podwórko, gdzie Jamie bawił się z Dave'em: wrzeszczeli i skakali po drzewach.

- Wiesz co? - powiedziała po chwili milczenia. - On ma naprawdę jasną skórę. - No.

- I taką spłaszczoną twarz... Prawie jak człowiek. Może by go ostrzyć?

Zespół Gandlera-Kreukheima to rzadko spotykana wada genetyczna, objawiająca się niskim wzrostem, nadmiernym owłosieniem ciała i deformacją twarzy w sposób upodabniający ją do małpiego pyska. Choroba ta jest tak rzadka, że w minionym stuleciu odnotowano tylko cztery jej przypadki. Najpierw w Budapeszcie, w arystokratycznej rodzinie węgierskiej, w 1923 roku, przyszło na świat dwoje takich dzieci. Austriak, doktor Emil Kreukheim, opisał ich historię w literaturze. Drugą ofiarą było eskimoskie dziecko z Alaski, urodzone w roku 1944. Trzecią - dziewczynka z Sao Paulo, z 1957 roku, która jednak zmarła wskutek infekcji zaledwie kilka tygodni po porodzie. O czwartym dziecku - z belgijskiej Brugii - mówiło się w telewizji i w gazetach w 1988 roku, ale niedługo potem słuch o nim zaginął.

- To mi się podoba - stwierdziła Lynn, pisząc na laptopie. - Jak to się nazywa? Dziedziczne nadmierne owłosienie ciała?

- Hirsutyzm. Albo hipertrychoza.

- No tak. Zespół Gandlera-Kreukheima ma z nią sporo wspólnego... Wrodzona *hypertrichosis laniginosa*. W ciągu ostatnich czterystu lat stwierdzono zaledwie pięćdziesiąt przypadków.

- Piszesz to czy czytasz?

- Jedno i drugie. - Lynn odsunęła laptop. - No, to mi na razie wystarczy. Idź, powiedz Dave'owi.

- Co mam mu powiedzieć?

- Że jest człowiekiem. Pewnie i tak jest o tym przekonany. - No dobrze. - Henry wstał i ruszył do drzwi. - Myślisz, że się uda?

- Tak. W Kalifornii prawo dobrze chroni prywatność dzieci specjalnej troski. Wiele z nich ma poważnie zdeformowane ciało. Dorastanie i szkoła to dla nich wystarczająco trudny czas;

niepotrzebne im zainteresowanie mediów. Dziennikarze zapłaciliby sporą karę. Dadzą mu spokój.

- Oby.

- Nic lepszego na razie nie wymyślimy. - Lynn znów zaczęła coś pisać. Henry zatrzymał się w progu.

- Jeżeli Dave jest człowiekiem, to... nie możemy go raczej sprzedać do cyrku.

- Oczywiście, że nie. Zamieszka z nami. Dzięki tobie jest członkiem rodziny. Nie mamy wyboru.

Henry wyszedł. Trący i jej przyjaciółki stały pod drzewem, pokazując Dave'a palcami.

- Patrzcie, tam jest! Widzę małpę!

- Nie - powiedział Henry. - To nie małpa. Zawstydzacie go. Dave ma rzadko spotykaną wadę genetyczną...

Wszystko im wyjaśnił. Słuchały z zapartym tchem.

Jamie miał materac na kółkach, na którym czasem spali u niego koledzy. Lynn wyciągnęła go teraz spod łóżka i ułożyła na nim Dave'a.

- Bardzo miękki - powiedział i natychmiast zasnął. Lynn pogłaskała go po głowie.

- Super, mamo - cieszył się Jamie. - Zupełnie jakbym miał brata.

- Prawda?

Zgasiła światło i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Kiedy później zajrzała do pokoju, zauważyła, że Dave określił się pościelą jakby mościł sobie gniazdko.

- Nie! - Trący oparła ręce na biodrach. - Nie zgadzam się. On nie może z nami mieszkać. Jak mogłeś mi to zrobić, tato?

- Co zrobić?

- Wiesz, co powiedzą inne dzieci. Że to małpa, która tylko wygląda jak człowiek. Poza tym kiedy mówi, to jakbym słyszała ciebie, tylko zakatarzonego. - Oczy jej się zaszklily. Jesteście spokrewnieni, prawda? Ma twoje geny?

- Posłuchaj, Trący...

- Tak mi wstyd. - Rozplakała się. - Miałam szansę zostać cheerleaderką już teraz, w pierwszej klasie.

- Trący, na pewno...

- To miał być mój rok, tato!

- Nadal może być.

- Nie, bo mieszkam z małpą!

Wzięła sobie colę z lodówki. Pociągnęła nosem.

- Dave nie jest małpą - stwierdziła stanowczo Lynn, wchodząc do kuchni. - To nieszczęśliwe, poważnie chore dziecko.

- Jaaasne.

- Sama sprawdź. W Google'ach. - A żebyś wiedziała, że sprawdzę!

Trący usiadła przy komputerze. Henry zerknął na żonę i stanął za plecami córki.

HIPERTRYCHOZA NA WĘGRZECH (1923)

Zespół Gandlera-Kreukheima Poniedziałek 01/Sty/06@5:05pm Hirsutyzm jest bez wątpienia wtórny wobec QT/TD. Węgierskie przypadki z roku 1923 nie wykazywały stwardnienia tkanek, co...

Dot.gks.org/9872767/9877676/490056 - 22K - Kopia - Podobne strony

ZESPÓŁ GANDLER-KREUKHEIMA - PROCES ESKIMOSA (1944) W nerwowych dniach drugiej wojny światowej eskimoski chłopiec z miasteczka Sanduk na północy Alaski, cierpiący na zespół Gandlera-Kreukheima, trafił do miejscowego... Dot.gks.org/FAQ_G-K_S/7844908Inuit_41_K

[- Kopia - Podobne strony](#)

W PEKINIE PROSTYTUTKA URODZIŁA MAŁPĘ „New China Post” donosi, że w Pekinie przyszło na świat dziecko o nieproporcjonalnie dużych dłoniach i małpim owłosieniu. Matka dziecka,

mongolska prostytutka, twierdzi, że za pieniądze współżyła z rosyjską małpą. Pojawiło się pytanie, czy nie jest to zespół Gandlera-Kreukheima, niezwykle rzadkie schorzenie...

Dot.gks.org/4577878/9877676/490056 - 66K - Kopia - Podobne strony

„CZŁOWIEK-MALPA” Z DELHI - NOWY PRZYPADEK GANDLERAKREUKHEIMA?

„Hindustan Times” pisze o człowieku, który wyglądem i zwinnością przypomina małpę, biega po dachach i straszy okolicznych mieszkańców. Trzy tysiące policjantów wezwanych...

Dot.gks.org/4577878/9877676/490056 - 66K - Kopia - Podobne strony

ZESPÓŁ GANDLERA-KREUKHEIMA - BELGIA Zdjęcie chłopca do złudzenia przypominającego małpę obiegało wszystkie brukselskie gazety, a jego sława sięgnęła aż do Bonn i Paryża. Po 1989 roku Gilles, bo tak miał na imię chłopiec, przestał pokazywać się publicznie... (Tłumaczenie)

Dot.gks.org/4577878/9877676/490056 - 52K - Kopia - Podobne strony

SYNDROME GANDLER-KREUKHEIM - DE LA BELGICUE Ressemblant a un singe, l'image du jeune garçon est apparue partout dans la presse de Bruxelles comme les publications dispersées a Paris et a Bonn. Apres 1989, l'enfant dont le nom etait Gilles, est disparu de la vue publique...

Dot.gks.fr/4577878/77676/0056/9923.shtml - 36 K - Kopia - Podobne strony - Nie wiedziałam... -

Trący nie wierzyła własnym oczom. - Odnotali tylko cztery czy pięć przypadków przez tyle lat... Biedne dziecko.

- To wyjątkowy chłopak - przyznał Henry. - Mam nadzieję, że teraz będziesz go lepiej traktować. - Położył córce dłoń na ramieniu i spojrzał na żonę. - Wystarczyły ci dwie godziny? - spytał szeptem. - Nie objąłem się.

R037

W sali konferencyjnej hotelu Hua Ting w Szanghaju czekało pięćdziesięciu dziennikarzy; siedzieli w rzędach za przykrytymi zielonym sukniem stołami. Kamerzyści ze sprzętem ustawili się z tyłu, pod ścianą a na samym przodzie, na podłodze, miejsca zajęli fotoreporterzy uzbrojeni w potężne teleobiektywy.

Błysnęły flesze. Profesor Shen Zhihong, kierownik Instytutu Biochemii i Biologii Komórkowej w Szanghaju, stanął przy pulpicie. W czarnym garniturze prezentował się nadzwyczaj elegancko i doskonale mówił po angielsku - zanim objął kierownictwo IBBK, przez dziesięć lat wykładał w MIT biologię komórkową.

- Nie wiem, czy mam dla państwa dobrą czy złą nowinę - zaczął. - Przypuszczam jednak, że tak czy inaczej będziecie państwo rozczarowani. Ale przynajmniej raz na zawsze położę kres pewnym plotkom.

Z niewiadomych przyczyn, mówił dalej Zhihong, pogłoski o nieetycznym podejściu do badań w Chinach obiegały świat nauki po XII Wschodnioazjatyckim Sympozjum Nauk Biomedycznych w Shaoxing, w prowincji Zheijang.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało - ciągnął. - To była zupełnie zwyczajna konferencja, bardzo techniczna.

Tymczasem już przy okazji następnego sympozjum, w Seulu, dziennikarze z Tajwanu i Tokio zaczęli zadawać podchwytliwe pytania.

- Byeong Jae Lee, szef katedry biologii molekularnej na uniwersytecie w Seulu, poradził mi wtedy, abym odniósł się do sprawy bezpośrednio. Kto jak kto, ale Lee wie, jaka potrafi być siła plotki.

Odpowiedział mu chichot słuchaczy. Shen nawiązywał do światowego skandalu, jaki wybuchł w związku z osobą wybitnego koreańskiego genetyka Hwanga Woo-Suka.

- Dlatego też przejdę od razu do rzeczy. Od lat mówi się o tym, jakoby chińscy naukowcy usiłowali stworzyć hybrydę człowieka z szympansem. Podobno w 1967 roku chirurg Ji Yongxiang zapłodnił

samicę szympansa ludzkim nasieniem. Szympanstica była w trzecim miesiącu ciąży, kiedy rozwścieczeni obywatele wdarli się do ośrodka, zdemolowali laboratorium i przerwali eksperyment. Szympanstica niedługo potem zdechła, ale specjaliści z Chińskiej Akademii Nauk mieli jakoby zapowiedzieć, że będą kontynuować badania. - Shen zrobił krótką przerwę. - To pierwsza historyjka, kompletnie nieprawdziwa. Ani doktor Yongxiang, ani nikt inny w Chinach nie zapłodnił samicy szympansa ludzkim nasieniem. Nie tylko w Chinach zresztą; nie dokonał tego nikt na świecie. Gdyby było inaczej, wiedzielibyśmy o tym. W 1980 roku pojawiły się nowe plotki: włoscy naukowcy rzekomo widzieli w pekińskim laboratorium embriony będące krzyżówką człowieka z szympansem. Wykładałem wtedy w MIT. Poprosiłem o spotkanie z tymi Włochami, ale jakoś nie udało się do nich dotrzeć. Zawsze okazywało się, że to znajomi znajomych.

Shen odczekał chwilę. Znowu błysnęły flesze. Drażnili go czołgający mu się pod nogami fotoreporterzy.

- Kilka lat temu poszła fama o mongolskiej prostytutce, która rzekomo urodziła dziecko niezwykle podobne do szympansa. Hybryda wyglądała jak człowiek, była jednak nadmiernie owłosiona i miała nieproporcjonalnie duże dłonie i stopy. Piła whisky i mówiła pełnymi zdaniami. Dziś jest przetrzymywana w siedzibie Chińskiej Agencji Kosmicznej w dystrykcie Chao Yang. Czasem można ją zobaczyć przez okno, jak czyta gazetę albo pali cygaro. Jest przygotowywana do podróży na Księżyc, ponieważ taki lot uważa się za zbyt niebezpieczny dla człowieka. To również bajka, tak jak wszystkie poprzednie historie. Zdaję sobie sprawę, że brzmią one ekscytująco i zabawnie, ale nie są prawdziwe. Nie wiem, dlaczego biorą początek w Chinach, zwłaszcza że najbardziej pobłażliwe prawo w dziedzinie genetyki obowiązuje w Stanach Zjednoczonych. Tam niemal wszystko jest dozwolone. To w USA udało się skrzyżować gibona z siamangiem, a te dwa gatunki bardziej różnią się od siebie pod względem genetycznym niż człowiek i szympan. Urodziło się kilka żywych krzyżówek. Stało się to na uniwersytecie stanowym w Georgii, prawie trzydzieści lat temu.

Na tym Shen skończył swoje wystąpienie i poprosił o pytania.

PYTANIE: Doktorze Shen, czy w Stanach Zjednoczonych prowadzi się prace nad uzyskaniem hybrydy szympansa z człowiekiem?

DR SHEN: Nie mam żadnych podstaw, aby tak sądzić. Powiedziałem tylko, że w USA obowiązują najmniej restrykcyjne przepisy.

PYTANIE: Czy możliwe jest zapłodnienie samicy szympansa ludzkim nasieniem?

DR SHEN: Moim zdaniem nie. Takie próby podejmuje się już od blisko stu lat. W latach dwudziestych XX wieku Stalin zlecił to zadanie Iwanowowi, najsłynniejszemu z radzieckich hodowców zwierząt, licząc na stworzenie nowego rodzaju żołnierza. Hodowcy temu się nie powiodło i skończył w więzieniu. Niewiele później usiłowali tego dokonać naukowcy Hitlera, ale i im się nie udało. Dziś wiemy, że genomy człowieka i szympansa są bardzo podobne, natomiast warunki rozwoju płodowego skrajnie różne. Dlatego odpowiedź brzmi: nie. PYTANIE: A czy można uzyskać hybrydę za pomocą inżynierii genetycznej? DR SHEN: Trudno powiedzieć... To niezwykle skomplikowane już choćby z czysto technicznego punktu widzenia. A z punktu widzenia etyki wręcz niemożliwe.

PYTANIE: Ale jeden z amerykańskich naukowców zgłosił już wniosek o objęcie takiej hybrydy ochroną patentową.

DR SHEN: Wniosek profesora Stewarta Newmana z Nowego Jorku o opatentowanie ludzkiej hybrydy został odrzucony, lecz Newman w ogóle takiej hybrydy nie uzyskał. Twierdzi, że postanowił ubiegać się o patent, aby zwrócić uwagę na związane z tą sprawą kwestie natury etycznej. Te zaś do dziś pozostają nierozstrzygnięte.

PYTANIE: Czy uważa pan, że taka hybryda w końcu jednak powstanie?

DR SHEN: Zwołałem tę konferencję prasową po to, by położyć kres spekulacjom, a nie po to, by dać początek nowym. Ale jeżeli interesuje pana moja prywatna opinia na ten temat, to odpowiedź jest twierdząca. Myślę, że wcześniej czy później uda się to osiągnąć.

R038

Wspomnienie nie dawało Markowi Sangerowi spokoju. Obraz wypalił mu się w pamięci na trwałe: biedna samica, uwięziona jak w potrzasku na kostarykańskiej plaży, bezradna ofiara jaguara, który skoczył, odgryzł jej głowę i zaczął ją pożerać, gdy jej łapy wciąż drżały. I ten chrzęst miażdżonej zębami drapieżnika czaszki.

Mark nie spodziewał się takiego horroru. Przyjechał na plażę Tortuguero, bo chciał zobaczyć, jak olbrzymie żółwie wychodzą z morza, żeby złożyć w piasku jaja. Był biologiem; wiedział, że migracja żółwi trwa niezmiennie od tysiącleci. Samice okazywały niezwykłą wręcz macierzyńską troskę: wpełzały wysoko na plażę, z dala od fal, składały jaja głęboko w ziemi, przysypywały je - mimo wyczerpania - piaskiem, a następnie starannie zacierały wszelki po nich ślad. Była to powolna ceremonia, dyktowana przez geny, które przetrwały tysiące lat.

Niespodziewanie pojawił się jaguar - czarna, rozmazana plama w mroku. I nagle, w tę letnią noc, świat się zmienił dla Marka Sangera. Okrucieństwo napaści, jej bestialstwo wstrząsnęły nim do głębi. Potwierdziły jego podejrzenia, że w naturze źle się dzieje. Człowiek zakłócił kruchą naturalną równowagę: zanieczyszczenie środowiska, uprzemysłowienie na wielką skalę, wypieranie zwierząt z ich legowisk... A te, zapędzone w kozi róg, zaczynały się rozpaczliwie bronić. I zachowywać okrutnie.

To wyjaśniało ten makabryczny atak. Przyroda znalazła się na krawędzi zagłady. Powiedział o tym Ramonowi Valdezowi, przyrodnikowi, który mu towarzyszył.

Valdez pokręcił głową.

- Wcale nie, senior Sanger. To zawsze tak się odbywało, za czasów mojego ojca, dziadka, a wcześniej i pradziadka. Wszyscy opowiadali o nocnych atakach jaguarów. To jeden z elementów cyklu życia i śmierci.

- Ale teraz ataki są częstsze - zauważył Sanger. - Przez to zanieczyszczenie...

- Nie, senior. Nic się nie zmienia. Miesięcznie jaguary zabijają dwa do czterech żółwi. Odnotowujemy to od lat.

- Przemoc, której jesteśmy świadkami, z pewnością nie jest normalna. Jaguar spokojnie pożerał żółwicę. Kości cały czas chrzęściły.

- Przeciwnie, senior. Taki jest świat.

Sanger nie miał ochoty dłużej o tym rozmawiać. Valdez najwyraźniej wolał wybielać przemysł i największych szkodników - wielkie firmy amerykańskie, które zdominowały Kostarykę i inne kraje Ameryki Łacińskiej. Właściwie nie powinien się dziwić, że trafił na kogoś takiego: przecież CIA przez całe dziesięciolecie pociągała w Kostaryce za sznurki. To nie był niepodległy kraj, tylko spółka-córka amerykańskiego biznesu. A amerykański biznes miał w nosie środowisko naturalne.

- Jaguary też muszą jeść - dodał Valdez. - Chyba lepiej, żeby pożerały żółwie niż małe dzieci.

Ciekawy punkt widzenia, pomyślał Mark Sanger.

Wrócił do swojego studia na poddaszu w Berkeley i zaczął się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Podawał się wprawdzie za biologa, ale nie miał wykształcenia przyrodniczego. Rok studiował na uniwersytecie, ale przerwał naukę i przez krótki okres pracował w firmie Cather and Holly, zajmującej się architekturą krajobrazu. Jego kontakt z biologią ograniczał się do lekcji w liceum. Jako syn bankiera dysponował własnym funduszem powierniczym, przynoszącym całkiem przyzwoite

dochody, i nie musiał zarabiać na swoje utrzymanie. Co nie znaczy, że nie potrzebował celu w życiu. Z doświadczenia wiedział, że majątek utrudnia poszukiwanie swojego miejsca na ziemi, a z wiekiem coraz bardziej niechętnie myślał o powrocie na studia.

Ostatnio lubił o sobie myśleć jako o artyście - a przecież artysta nie potrzebuje formalnego wykształcenia. Ba, wykształcenie wręcz utrudnia interakcję z duchem czasu, uniemożliwia nadążanie za zmianami, które jak fale przetaczają się przez społeczeństwo, nie pozwala odpowiednio na nie reagować. Był tego pewny: czytywał lokalne gazety, sięgał po magazyny w rodzaju „Mother Jones”, po różne pisemka ekologiczne - niezbyt regularnie, ale jednak. Zgoda, czasem tylko oglądał ilustracje, kartkując pismo, ale to przecież wystarczy, żeby być na czasie.

Bo w sztuce liczy się przede wszystkim odczuwanie. Trzeba wiedzieć, jakie to uczucie żyć w tym materialistycznym świecie, gdzie na każdym kroku czyhają na człowieka tandetne luksusy, fałszywe obietnice i głębokie rozczarowania. Współcześni popełniają wielki błąd, zapominając o swoich uczuciach. Rolą sztuki jest ich ożywianie; powinna wstrząsnąć ludźmi i przywrócić im świadomość. To dlatego tylu młodych artystów sięga po techniki genetyczne i żywe tworzywo. Nazywają swoje dzieła „mokrą sztuką”. Sztuką tkanki. Wielu pracuje w laboratoriach; ich sztuka nierozzerwalnie łączy się z nauką. Jeden z nich wyhodował steki w szalce Petriego, a następnie - w ramach performance'u - zjadł je w miejscu publicznym. (Podobno smakowały paskudnie. Poza tym były przecież genetycznie zmodyfikowane. Ohyda). Pewien Francuz stworzył świecącego królika, wszczepiając do zarodka geny świetlika czy coś w tym rodzaju. Inni artyści zmieniali kolor sierści u zwierząt, nadając im wszystkie barwy tęczy, a jeden wyhodował ślicznego szczeniaczka z kolcami jeżozwierza na łebku.

Taka sztuka wzbudza gwałtowne emocje. Najczęściej odrazę - ale to dobrze, pomyślał Sanger. Niech czują takie obrzydzenie, jakie on czuł, patrząc, jak na kostarykańskiej plaży jaguar pożera żółwicę; tę samą chorą perwersję natury, odrażające okrucieństwo, o którym nie potrafił zapomnieć.

A to już bardzo dobry powód, aby zostać artystą.

Nie będzie uprawiał sztuki dla sztuki - będzie tworzył dla dobra świata, dla dobra środowiska. Taki właśnie cel wyznaczył sobie Mark Sanger - i niezwłocznie przystąpił do jego realizacji.

MIEJSCOWY LEKARZ ARESZTOWANY ZA KRADZIEŻ ORGANÓW *Pracownik szpitala Memorial w Long Beach zatrzymany; złodzieje handlowali kośćmi, krwią, organami*

Znany lekarz z Long Beach został aresztowany pod zarzutem sprzedawania organów nielegalnie pobranych ze zwłok w prosektorium szpitala Memorial. Doktora Martina Robertsa, szefa laboratorium patologii, które na zlecenie szpitala przeprowadza sekcje zwłok, oskarżono o to, że sto czterdzieści trzy razy nielegalnie pobrał organy z ciał zmarłych i sprzedał je bankom tkanek.

„To historia jak z taniego horroru”, twierdzi Barbara Bates, prokurator okręgowy z Long Beach.

W akcie oskarżenia prokurator zarzuca doktorowi Robertsowi także fałszowanie świadectw zgonu i wyników badań laboratoryjnych oraz współpracę z miejscowymi domami pogrzebowymi i cmentarzami, która pozwalała mu skutecznie ukrywać tę działalność.

Cała sprawa to zaledwie jeden z wielu epizodów w ogólnokrajowej epidemii. Inne znane przypadki to między innymi: „doktor Mike” Mastromarino, dentysta-milioner z Brooklynu, o którym mówi się, że przez pięć lat pobrał organy z tysięcy zwłok - między innymi kości z ciała dziewięćdziesięcioletniego Alastaira Cookea; Fort Lee, firma biomedyczna z New Jersey, która sprzedawała uzyskane od Mastromarino organy do banków tkanki w całym kraju; krematorium w San Diego, którego pracownicy kradli części przeznaczonych do spalenia ciał; krematorium w Lake Elsinore, gdzie masowo mrożono pobrane ze zwłok organy w oczekiwaniu na klientów; ośrodek medyczny UCLA, gdzie pięćset ciał pokrojono na kawałki i sprzedano - między innymi koncernowi Johnson & Johnson - za łączną sumę siedmiuset tysięcy dolarów.

„To problem globalny - mówi prokurator Bates. - Mieliśmy sygnały o kradzieży organów w Anglii, Kanadzie, Australii, Rosji, Niemczech i Francji. Przypuszczamy, że podobny proceder kwitnie dosłownie wszędzie. Pacjenci są bardzo zaniepokojeni”.

Doktor Roberts nie przyznaje się do winy. Sąd zwolnił go po wpłaceniu kaucji w wysokości miliona dolarów. Zatrzymano również czworo innych pracowników Memoriał, w tym Marilee Hunter, kierowniczkę szpitalnego laboratorium genetycznego.

Administrator szpitala, Kevin McCormick, poruszony aresztowaniami, powiedział:

„Postępowanie doktora Roberta stoi w całkowitej sprzeczności z wartościami, które nam, pracownikom szpitala Memoriał, są drogie”.

McCormick oświadczył również, że zlecił już gruntowną rewizję procedur stosowanych w szpitalu i wkrótce opublikuje raport w tej sprawie.

Prokuratorzy twierdzą, że informację o aferze uzyskali od Razy Rashada, studenta pierwszego roku medycyny z San Francisco, który wcześniej pracował w laboratorium doktora Roberta i był świadkiem licznych sprzecznych z prawem działań jego pracowników.

„Zeznanie pana Rashada miało kluczowe znaczenie przy tworzeniu aktu oskarżenia”, przyznaje Bates.

R039

Josh Winkler wpadł do zwierzętarni jak po ogniu.

- Co mówiłeś? - spytał Toma Wellera.

- Ile szczurów zdechło?

- Dziewięć.

Widok sztywnych ciałek dziewięciu szczurów w dziewięciu kolejnych klatkach zmroził Joshowi krew w żyłach.

- Musimy zrobić sekcję. Kiedy zdechły?

- Pewnie w nocy. O szóstej było karmienie... - Tom zerknął do notatnika. - Ani słowa o jakichś problemach.

- W której grupie były? - spytał Josh. Bał się, że zna odpowiedź.

- A-7. Badanie genu dojrzałości. Jezus Maria...

- W jakim wieku? - zapytał, usiłując zachować spokój.

- Już patrzę... Miały trzydzieści osiem tygodni i cztery dni. Mój Boże. Szczur laboratoryjny żyje przeciętnie sto sześćdziesiąt tygodni, czyli nieco ponad trzy lata. Te szczury zdechły po niespełna jednej trzeciej tego okresu. Josh wziął głęboki oddech.

- A reszta?

- W sumie było ich dwadzieścia. Wszystkie identyczne, w tym samym wieku. Dwa zdechły parę dni temu: infekcja dróg oddechowych. Wtedy się tym nie przejąłem. Reszta... Sam zobacz.

Tom poprowadził Josha do klatek pozostałych szczurów. Ich stan był oczywisty.

- Wychodząca sierść, brak aktywności, zbyt długi sen, problemy z ustaniem na tylnych łapach, zanik mięśni, u czterech paraliż tylnych łap...

Josh nie wierzył własnym oczom.

- Są stare - powiedział. - Postarzały się.

- Właśnie. Przedwczesne starzenie. Obejrzałem te zdechłe, sprzed dwóch dni. U jednego stwierdziłem gruczolaka przysadki mózgowej, u drugiego degenerację rdzenia kręgowego.

- Objawy starzenia się...

- No właśnie: objawy starzenia się. Może ten gen nie będzie takim cudem medycyny, jak sobie Rick wymarzył. Na pewno nie, jeśli się okaże, że przyspiesza procesy starzenia. Porażka na całej linii.

- Jak się czuję? - powtórzył Adam, kiedy jedli lunch. - Świetnie, Josh. Dzięki tobie. Czasami jestem

trochę zmęczony. I skórę mam jakąś przesuszoną pojawiły się pierwsze zmarszczki. Ale poza tym nie narzekam. Czemu pytasz?

- Z ciekawości - odparł Josh, niby lekkim tonem.

Bardzo się starał nie przyglądać bratu zbyt natrętnie. Adam się zmienił. I to bardzo. Dawniej miał skronie leciutko przyprószone siwizną - teraz był cały szpakowaty. Zaczynał też wyraźnie łysieć. Skóra wokół ust i oczu mocno się pomarszczyła, czoło przecinały bruzdy. Wyglądał staro.

A niedawno skończył trzydzieści dwa lata!

Rany boskie!

- Nic... nie bierzesz?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Chwała Bogu, skończyłem z dragami raz na zawsze. Adam zamówił hamburgera, ale zjadł tylko trochę.

- Nie smakuje ci?

- Ząb mnie boli. Muszę iść do dentysty. - Dotknął policzka. - Nie cierpię tak biadolić. Wiesz, pomyślałem, że może powinienem zacząć ćwiczyć. Miewam zaparcia.

- Chcesz wrócić do chłopaków i znów grać w kosza?

Josh się rozpromienił. Kiedyś Adam grywał w koszykówkę dwa razy w tygodniu, z bankowcami.

- Nie, myślałem raczej o tenisie, deblu. Albo o golfie.

- Świetny pomysł.

Zapadła cisza. Adam odsunął talerz.

- Wiem, wyglądam starzej - powiedział. - Nie musisz udawać, że niczego nie zauważyłeś. Wszyscy to widzą. Pytałem mamę; mówi, że z tatą było podobnie: po trzydziestce nagle się postarzał. Niemal w ciągu jednej nocy. Może to dziedziczne.

- Może.

- A co? Wiesz coś na ten temat?

- Ja? Nie.

- Co się stało, że tak koniecznie chciałeś zjeść ze mną lunch? Właśnie dzisiaj - No... Jakiś czas się nie widzieliśmy, więc pomyślałem...

- Nie chrzań, Josh. Nigdy nie umiałeś kłamać. Josh westchnął.

- Chyba powinieneś dać się zbadać.

- Na co?

- Gęstość kości, pojemność płuc, rezonans...

- Ale dlaczego? Co to za badania? - Adam spojrzał na brata z ukosa. - Bo się starzeję?

- Tak.

- Starzeję się za szybko? Przez ten spray?

- Musimy to sprawdzić. Zadzwońię do Erniego. Ernie był ich lekarzem rodzinnym.

- Dobrze. Umów mnie.

R040

W Waszyngtonie na lunchu dla kongresmanów profesor William Garfield z Uniwersytetu Minnesoty powiedział:

- Wbrew powszechnemu mniemaniu nikt nigdy nie udowodnił, że jeden konkretny gen odpowiada u człowieka za jedną konkretną cechę charakteru. Niektórzy moi koledzy po fachu przypuszczają że w przyszłości takie związki mogą zostać odkryte, inni w to wątpią: uważają że interakcja genów i wpływów środowiska jest procesem zbyt złożonym. Co nie zmienia faktu, że codziennie czytamy o genie tego czy tamtego, ale na razie żadne z tych rewelacji się nie potwierdziły.

- Co pan wygaduje? - zdziwił się asystent senatora Wilsona. - A gen gejowski? Powodujący

homoseksualizm?

- To tylko korelacja, nie związek przyczynowo-skutkowy. Nie ma genu, który samodzielnie determinuje orientację seksualną.- A co z genem przemocy?

- Dalsze badania nie potwierdziły jego wpływu.

- Czytałem o genie snu...

- U szczurów.

- Gen alkoholizmu?

- Zweryfikowany. Negatywnie.

- Gen cukrzycy?

- Do tej pory odkryliśmy dziewięćdziesiąt sześć genów mających związek z zachorowaniem na cukrzycę. Z pewnością znajdziemy kolejne. Zapadła pełna niedowierzania cisza.

- Skoro nie udało się wykazać, że geny determinują zachowanie, o co tyle hałasu? zapytał w końcu jeden z asystentów.

Garfield wzruszył ramionami.

- Można to nazwać pogłoską albo kaczką dziennikarską; możemy obwiniać system edukacji o braki w wykształceniu ścisłym naszych obywateli. W każdym razie opinia publiczna jest przekonana, że geny wpływają na nasze zachowanie. Wydaje się to sensowne. Tymczasem w rzeczywistości nawet wzrost i kolor włosów nie są zakodowane w pojedynczych genach, co dopiero mówić o przypadłościach tak skomplikowanych jak alkoholizm.

- Zaraz, chwileczkę... To znaczy, że wzrost nie jest dziedziczny?

- U pojedynczych osobników owszem. Jeżeli pan jest wyższy niż pana kolega, to prawdopodobnie pańscy rodzice są wyżsi niż jego. Ale w całej populacji wzrost jest funkcją środowiska. Przez ostatnich pięćdziesiąt lat Europejczycy rosną o dwa i pół centymetra co dekadę. Japończycy również. To za szybko jak na zmiany genetyczne. Jest to wyłącznie wpływ środowiska: lepszej opieki nad matką w ciąży, odżywiania, opieki zdrowotnej i tak dalej. Nawiasem mówiąc, Amerykanie w ogóle przez tych pięćdziesiąt lat nie urosli, a nawet odrobinę się skurczyli, zapewne z powodu kiepskiej opieki prenatalnej i fatalnej diety fastfoodowej. Zmierzam do tego, że faktyczny związek genów i środowiska to sprawa ogromnie złożona. Naukowcy nie w pełni rozumieją jak gen funkcjonuje. Właściwie nie ma nawet powszechnej zgody w kwestii tego, czym właściwie jest gen.

- Słucham?

- Nie istnieje jednoznaczna, przyjęta przez naukowców definicja genu. Zamiast jednej mamy cztery albo pięć.

- Wydawało mi się, że gen to po prostu część genomu - powiedział ktoś z sali. Sekwencja par zasad, ATGC, kodująca białko.

- Zgadza się, to jedna z definicji. Ale niewystarczająca, ponieważ jedna sekwencja ATGC może kodować różne białka. Pewne odcinki kodu to tylko przełączniki, odpowiedzialne za włączenie lub wyłączenie niektórych jego fragmentów; inne pozostają w ogóle nieaktywne, dopóki nie pojawią się odpowiednie bodźce środowiskowe. Jedne działają tylko na konkretnym etapie rozwoju, po czym wyłączają się na zawsze; inne na przemian włączają się i wyłączają przez całe życie osobnika. Tak jak powiedziałem, to skomplikowane.

Ktoś podniósł rękę - asystent senatora Mooneya, uzyskującego pokaźne fundusze od koncernów farmaceutycznych.

- Jeśli dobrze rozumiem, panie profesorze, jest pan przedstawicielem mniejszości w swoim zawodzie. Większość specjalistów nie zgodziłaby się z pańskim poglądem na geny.

- Obecnie większość specjalistów się ze mną zgadza. I nie bez powodu.

Kiedy udało się zdekodować ludzki genom, naukowcy ze zdumieniem stwierdzili, że zawiera on tylko około trzydziestu pięciu tysięcy genów. Spodziewali się, że znacznie więcej. No bo choćby zwykły nicień: ma dwadzieścia tysięcy, czyli od człowieka różni go zaledwie piętnaście tysięcy. Czym zatem wyjaśnić nieporównywalnie większą złożoność organizmu ludzkiego?

Problem zniknął, gdy zaczęto badać interakcje pomiędzy genami. Okazało się na przykład, że jeden gen może kodować białko, a drugi - enzym, który obcina część tego białka i w ten sposób je zmienia. Niektóre geny zawierają wiele sekwencji kodujących, poprzedzielanych segmentami pozbawionymi znaczenia. Mogą wykorzystać dowolną sekwencję do produkcji białka. Inne geny uaktywniają się dopiero wówczas, gdy wcześniej zadziałają inne, albo gdy zaszły określone zmiany w środowisku. Wniosek? Geny są znacznie bardziej podatne na wpływ środowiska (zarówno w organizmie, jak i na zewnątrz), niż wcześniej zakładano. Poza tym możliwość interakcji wielu genów jednocześnie sprawia, że ostatecznie kombinacji są miliardy.

- Nic więc dziwnego - ciągnął Garfield - że naukowcy coraz chętniej zajmują się tak zwaną epigenetyką czyli związkiem między genami, środowiskiem i osobnikiem, który jest produktem ich interakcji. W tej dziedzinie ostatnio dzieje się najwięcej.

Zaczął wyluszczać złożoność kolejnych problemów.

Asystenci kongresmanów jeden po drugim kończyli jeść i wychodzili z sali. Pozostała tylko garstka, a i ci byli zajęci głównie czytaniem i pisaniem esemesów.

PIERWSI BLONDYNI BYLI WŚRÓD NEANDERTALCZYKÓW *Silniejsi, mądrzejsi, z większymi mózgami niż my*

Mutacje genetyczne warunkujące kolor włosów dowodzą, że pierwsi blondyni byli już wśród neandertalczyków, a nie dopiero u *homo sapiens*. Gen jasnych włosów pojawił się w okresie ostatniego zlodowacenia, prawdopodobnie w reakcji na niedostatek światła słonecznego, i rozpowszechnił wśród neandertalczyków, w większości - jak uważają naukowcy - blondynów."Neandertalczyki mieli mózgi o jedną piątą większe niż my. Byli też od nas wyżsi, silniejsi i bez wątpienia mądrzejsi - twierdzi Marco Svabo z Instytutu Genetyki w Helsinkach.

- Można wręcz powiedzieć, że człowiek to taki udomowiony neandertalczyk, podobnie jak pies domowy to udomowiona odmiana silniejszego i inteligentniejszego wilka. Człowiek współczesny jest istotą gorszą, podupadłą; neandertalczyki górowali nad nami zarówno intelektem, jak i urodą: blond włosy, wydatne kości policzkowe, wyraziste rysy twarzy

- musieli wyglądać jak modele. A chudszy i brzydszy *homo sapiens* imponowały piękno, siła i inteligencja jasnowłosych. Prawdopodobnie jakieś neandertalki ulitowały się nad wątłymi kromanieńczykami i zaczęły się z nimi krzyżować. Z naszego punktu widzenia dobrze się stało: gdyby nie geny neandertalczyków, nasz gatunek stałby się bezdennie głupi, a przecież i tak na każdym kroku dajemy dowody głupoty wręcz niewiarygodnej... Twierdzenie, jakoby blondynki były głupie, to »przejaw uprzedzeń brunetów, którzy chcą odwrócić uwagę od prawdziwego problemu, jakim jest ich własna niedoskonałość Proszę sporządzić listę największych idiotów w dziejach ludzkości. Zobaczycie państwo, że wszyscy mieli ciemne włosy».

Doktor Evar Nilsson, rzecznik Instytutu Marburskiego, w którym prowadzone są badania nad genomem neandertalczyka, przyznaje, że „blond teoria” jest całkiem interesująca. „Moja żona jest blondynką, a ja zawsze robię to, co mi każe. Nasze dzieci też mają jasne włosy i są bardzo inteligentne. Coś w tym musi być”.

R041

Pierwsze dni pobytu Dave'a u Kendallów upłynęły zdumiewająco spokojnie. Wychodząc na dwór, wkładał baseballówkę, i było mu w niej całkiem do twarzy. Ostrzyżony, w dzinsach, adidasach i

koszuli quicksilvera wyglądał jak zwykły chłopak. I szybko się uczył. Miał świetną koordynację ruchową i wkrótce, dzięki staraniom Lynn, już się podpisywał. Czytanie przychodziło mu z większym trudem.

Dobrze też radził sobie na zawodach sportowych w weekendy, chociaż czasami jego zachowanie budziło niepokój. Na rozgrywkach baseballowej Małej Ligi, kiedy po wysokim wybiciu piłka zmierzała w stronę gmachu szkoły, podbiegł do budynku, wdrapał się po ścianie i złapał piłkę w locie, zanim zdążyła strzaskać okno na piętrze. Inne dzieci przyglądały się temu z podziwem i żalem zarazem: pograł nie fair, a poza tym chciały zobaczyć, jak piłka wybija okno. Ale z drugiej strony wszyscy chcieli być z nim w jednej drużynie.

Lynn zdziwiła się więc, kiedy którejś soboty Dave wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Miał smutną minę.

- Co się stało?

- Nie pasuję do nich.

- Każdy się tak czasem czuje. Pokręcił głową.

- Gapią się. Lynn się zawahała.

- Jesteś inny.

- Wiem.

- Śmieją się z ciebie?

- Nieraz.

- Co jeszcze robią?

- Rzucają różnym i rzeczami. Przezywają mnie.

- Jak?

Przygryzł wydatną wargę. Niewiele brakowało, żeby się rozplakał.

- Małpolud.

- Źle ci z tym. Przykro mi. - Zdjęła mu czapeczkę i zaczęła go głaskać, najpierw po głowie, potem po karku. - Dzieci bywają okrutne.

- Ranią moje uczucia.

Odwrócił się do niej tyłem i ściągnął koszulkę. Przeczesała mu palcami sierść na grzbiecie, szukając siniaków albo innych obrażeń. Odprężył się pod jej dotykiem. Wyraźnie się uspokajał, oddychał coraz wolniej.

Dopiero później zdała sobie sprawę, że przypominało to iskanie. Tak zachowują się małpy na wolności: jedna siada plecami do drugiej i daje sobie przeczesać futro.

Postanowiła robić to codziennie, żeby poprawić mu samopoczucie.

Pojawienie się Dave'a zmieniło całe życie Lynn. Mimo że w sposób naturalny związany był z Henrym, niezbyt się nim interesował, natomiast od początku Ignął do niej. W jego wyglądzie, zachowaniu było coś takiego... Oczy, które tyle potrafiły wyrazić? Dziecięca powierzchowność? Coś, co od razu ujęło ją za serce. Zaczęła czytać o szympansach. Dowiedziała się, że ponieważ samice często zmieniają partnerów, nigdy nie mają pewności, który z samców jest ojcem ich potomstwa. Dlatego szympansy nie przywiązują wagi do ojcostwa i związków z ojcem: mają tylko matkę. Dave sprawiał wrażenie, jakby jego prawdziwa matka poskapiła mu opieki. Teraz szukał u Lynn matczynej czułości - i trafił ze swoimi oczekiwaniami na podatny grunt. Połączyła ich głęboka, choć zgoła niespodziewana więź emocjonalna.

- Mamo! On nie jest twoim dzieckiem! - nie wytrzymała Trący. Dzieci w jej wieku rozpaczliwie dopominają się o uwagę rodziców i bywają bardzo zazdrosne.

- Wiem, Tracę. Ale jestem mu potrzebna.

- Mamo! - Dziewczynka rozłożyła ręce w teatralnym geście. - Nic mu nie jesteś winna!

- O tym też wiem.- No to może sobie odpuść?

- Uważasz, że poświęcam mu za dużo uwagi?

- O rany... Pewnie, że tak!

- Przepraszam. - Lynn przytuliła córkę. - Nie zdawałam sobie sprawy. Trący ją odepchnęła.

- Nie traktuj mnie jak małpkę!

Ale przecież też byli naczelnymi. Wszyscy ludzie to małpy. Kontakt z Dave'em uświadamiał Lynn niepokojącą prawdę: człowiek i małpy człekokształtne mają ze sobą bardzo dużo wspólnego. Głaskanie, kontakt fizyczny jako źródło odprężenia; spuszczenie oczu jako oznaka niezadowolenia, strachu albo poddania się (Trący, flirtując z chłopakami, zawsze uciekała wzrokiem w bok); kontakt wzrokowy - oznaka złości lub próba zastraszenia; gęsia skórka jako wyraz lęku lub gniewu - odpowiedniki tych mięśni u małp powodują napuszenie sierści, aby w obliczu zagrożenia zwierzę wydawało się większe; wspólne spanie w czymś na kształt gniazda...

I tak dalej.

Małpy.

Wszyscy ludzie są małpami.

Najbardziej różniło ich owłosienie: ciało Dave'a pokrywała sierść, ciała tych, wśród których się obracał, były nagie. Z lektur Lynn wynikało, że do utraty owłosienia u ludzi doszło już po tym, jak człowiek i szympanś się rozdzielili. Tłumaczono to zwykle tak: ludzie na pewien czas przenieśli się na tereny podmokłe lub wręcz zamieszkali w wodzie. Większość ssaków miała sierść, która pomagała im utrzymać ciepłotę ciała, ale ssaki wodne na przykład delfiny i wieloryby - straciły włosy, aby uzyskać bardziej opływowy kształt. Ludzie również pozbyli się nadmiaru owłosienia.

Najdziwniejsze jednak było poczucie, że Dave jednocześnie jest i nie jest człowiekiem. Lynn nie bardzo umiała sobie z tym poradzić, a w miarę upływu czasu było jej coraz trudniej.

PROCES W SPRAWIE CHOROBY CANAVANA ZAKOŃCZONY *Trwa dyskusja o etyce patentowania genów*

Choroba Canavana to dziedziczna wada genetyczna, śmiertelna dla dzieci we wczesnym okresie życia. W 1987 roku Dan Greenberg z żoną dowiedzieli się, że ich dziewięciomiesięczny synek cierpi na tę chorobę. Nie było wtedy możliwości przeprowadzenia badań genetycznych, a Greenbergowie zdecydowali się na drugie dziecko. Urodziła im się dziewczynka, u której również zdiagnozowano tę chorobę.

Greenbergowie postanowili dołożyć starań, aby innym rodzinom oszczędzić podobnych cierpień, i namówili genetyka Reubena Matalona do opracowania testów prenatalnych pozwalających wykryć chorobę Canavana. Dali mu próbki własnych tkanek, a także tkanek swoich zmarłych dzieci. Nawiązali też kontakt z rodzinami, w których choroba się pojawiła, i sprowadzili od nich tkanki do badań. W 1993 roku zidentyfikowano gen powodujący tę przypadłość i udało się opracować darmowy test prenatalny.

Jednakże Matalon w tajemnicy przed Greenbergami opatentował gen i wkrótce zażądał astronomicznych opłat za dalsze testy. Okazało się, że wiele rodzin, które ofiarowały mu próbki własnych tkanek, nie może sobie pozwolić na przeprowadzenie badania. W roku 2003 Greenbergowie i przedstawiciele innych poszkodowanych rodzin złożyli w sądzie pozew przeciw Matalonowi i Szpitalowi Dziecięcemu nadużywanie dobrowolnej zgody pacjenta, nieuczciwe w Miami, oskarżając ich o wzbogacenie się, oszustwo i zawłaszczenie informacji objętych tajemnicą lekarską. Doszło do pozasądowej ugody, dzięki której test na chorobę Canavana stał się szerzej dostępny, chociaż nie darmowy - Szpital Dziecięcy w Miami nadal pobiera opłaty. Etyczne aspekty

zachowania lekarzy i instytucji zamieszanych w tę sprawę nadal są przedmiotem gorącej dyskusji.

„Psychology News” DOROŚLI PRZESTALI DORASTAĆ *Brytyjski naukowiec obwinia system kształcenia Profesorowie i naukowcy „zdumiewająco niedojrzali”*

Jeżeli uważasz, że otaczający cię dorośli zachowują się jak dzieci, to pewnie masz rację. Zjawisko to - utrzymywanie się dziecinnych zachowań w wieku dojrzałym - nosi naukową nazwę „neotenui psychologicznej” i jest coraz powszechniejsze.

Jak twierdzi doktor Bruce Charlton, specjalista w dziedzinie psychologii rozwojowej z Newcastle upon Tyne, osiągnięcie dojrzałości psychicznej trwa u ludzi coraz dłużej, a niektóre osobniki zatrzymują się już na wczesnym etapie rozwoju. Charlton widzi w tym niepożądany wpływ systemu edukacji, pozostający nawet po ukończeniu dwudziestego roku życia.

„Formalne kształcenie wymaga dziecięcej gotowości do chłonięcia wiedzy - wyjaśnia Charlton. - Odmiennej niż dojrzałość psychiczna, którą powinno się osiągać mniej więcej w wieku dwudziestu lat. Wykładowcy, nauczyciele, naukowcy i przedstawiciele innych zawodów bywają często zdumiewająco niedojrzali”.

Charlton nazywa ich „ludźmi nieprzewidywalnymi, którzy nie umieją należycie wybrać priorytetów w życiu i mają skłonność do popadania w histerię”.

Dawniej - na przykład u naszych przodków w społecznościach zbieracko-łowieckich społeczeństwo było stabilniejsze i ludzie osiąkali dojrzałość wcześniej, przed dwudziatką. Tymczasem dziś, w czasach gwałtownych zmian społecznych i kiedy siła fizyczna odgrywa coraz mniejszą rolę, dojrzałość „odkłada się” na później. Charlton zwraca uwagę, że umowne wyznaczniki dorosłości, takie jak ukończenie studiów, małżeństwo czy narodziny pierwszego dziecka, dawniej następowały w określonym momencie życia, teraz zaś mogą być porozdzielane długimi odstępami czasu.

Z tego właśnie powodu, jak mówi Charlton, „pod pewnymi ważnymi z psychologicznego punktu widzenia względami niektórzy ludzie nigdy nie dorastają”.

Charlton przypuszcza, że taki stan rzeczy może być skutkiem przystosowania. „Dziecięca elastyczność zachowań i wiedzy” bywa zapewne użyteczna, kiedy musimy poruszać się w niestabilnym współczesnym świecie: coraz częściej zmieniamy pracę, nabywamy nowych umiejętności, przenosimy się z miejsca na miejsce. Płacimy za to „osłabieniem koncentracji, rozpaczliwą pogonią za nowinkami, poddaniem się władzy coraz szybciej przemijających mód... wszechobecną pustką emocjonalną i duchową”. Brakuje nam dziś „głębi charakteru, która w przeszłości była powszechna”.

R042

Ellis? - zdziwiła się pani Levine. - Co to za pojemnik?

Jej syn trzymał w ręce srebrny cylinder z plastikową dyszą. Byli w rodzinnym domu w Scarsdale. Robotnicy stukali młotkami w dach garażu: remontowali budynek, przygotowując go do sprzedaży.

- Co to za pojemnik? - powtórzyła.

- Nowe lekarstwo, mamó. Genetyczne.

- Nie potrzebuję go.

- Odmładza skórę. W ogóle odmładza.

- Ojcu powiedziałeś co innego: że poprawi mu się z seksem.

- No...

- To on cię do tego namówił, prawda? - Nie, mamó.

- Posłuchaj. Nie interesuje mnie urozmaicenie w tych sprawach. Jestem szczęśliwa jak nigdy w życiu.

- Śpiszcie w osobnych pokojach.

- Bo on chrapie.

- Mamo, ten spray ci pomoże.
- Nie chcę pomocy.
- Będziesz jeszcze szczęśliwsza, obiecuję... - Nigdy mnie nie słuchałeś, nawet jako dziecko.
- Mamo, bądź rozsądna...
- I widzę, że wprawdzie dorosłeś, jednak w tej kwestii nic się nie zmieniło.
- Mamo, proszę...

Ellis zaczynał się złościć. Nie on powinien się tym zajmować, tylko Aaron, jego brat. Ukochany synek mamusi. Ale Aaron się wyłgał, twierdząc, że ma wyznaczony termin w sądzie. I padło na Ellisa.

Ruszył w stronę matki.

- Nie zbliżaj się do mnie, Ellisie. Szedł dalej.

- Jestem twoją matką!

Nadepnęła mu na nogę. Zawył z bólu, lecz sekundę później złapał ją za szyję, przyłożył jej stożkowatą dyszę do nosa i nacisnął. Wiła się i szarpała. - Nie! Nie chcę! Ale krzycząc, wdychała lek.

- Nie, nie, nie!

Przytrzymał jeszcze chwilę. Miał wrażenie, że ją dusi. Paskudne uczucie. Ten dotyk jej skóry na dłoni, kiedy próbowała mu się wyrwać... i ten zapach pudru. W końcu puścił ją i się odsunął.

- Jak śmiesz! Jak śmiesz!

Klnąc jak szewc, wybiegła z pokoju.

Ellis oparł się o ścianę. Kręciło mu się w głowie. Że też mógł tak napastować własną matkę! Ale nie miał wyboru. Po prostu nie miał wyboru.

R043

Jest źle, pomyślał Rick Diehl, ocierając z twarzy papkę z groszku i czyszcząc okulary. Dochodziła piąta po południu, w kuchni było gorąco jak w piecu. Trójka jego dzieci siedziała przy stole - wrzeszczały, tłukły się nawzajem, obrzucały ketchupem i musztardą. A po musztardzie zostawały plamy.

Dziewczynka, najmłodsza z rodzeństwa, siedząca na wysokim, dzieciennym krzeselku, nie chciała jeść i pluła wszystkim, co jej podsunął. Powinna ją karmić Conchita, ale tego dnia zniknęła bez śladu. Zresztą po odejściu żony Rick i tak nie mógł na niej polegać. Babska solidarność. Chyba będzie musiał znaleźć inną opiekunkę, chociaż tyle z tym zachodu... W dodatku Conchita na pewno pozwie go do sądu. Ale może uda się z nią wcześniej dogadać.

- Chcesz? To masz!

Jason, najstarszy, rzucił Samowi w buzię hot dogiem. Sam kwiknął, udał, że się dławi, a za chwilę obaj tarzali się w uścisku po podłodze.

- Tata! Tata, powiedz mu! On mnie dusi!

- Jason! Nie duś brata.

Jason nie posłuchał. Rick złapał go za kołnierz i odciągnął od Sama.

- Wcale go nie dusiłem. Zmyśla.

- Chcesz mieć wieczorem szlaban na telewizję? Nie? No to jedz swojego hot doga i zostaw brata w spokoju. Rick wziął do ręki łyżkę, którą karmił córeczkę, ale mała zamknęła buzię i wpatrywała się w niego wrogimi oczkami. Westchnął. Co jest z tymi dziećmi na wysokich krzeselkach, że nigdy nie chcą jeść i rozrzucają zabawki po podłodze? Może jednak źle się stało, że Karen odeszła.

W pracy wcale nie układało się lepiej. Jego były szef ochrony już wcześniej posuwał Lisę, a teraz, po zwolnieniu z aresztu, pewnie znów ją bzykał - ta dziewczyna nie ma za grosz gustu. Gdyby Brad

dostał wyrok za pedofilię, ucierpiałaby reputacja całej firmy, ale mimo to Rick miał nadzieję, że tak właśnie się stanie. Cudowny lek Josha Winklera najwyraźniej zabijał. Josh sam był sobie winien - niepotrzebnie ryzykował testy na ludziach bez autoryzacji

- jeśli go jednak skażą to też zaszkodzi wizerunkowi firmy.

Rick wciąż walczył z córeczką kiedy zadzwonił telefon. I okazało się, że może być jeszcze gorzej. Znacznie gorzej.

- To skurwiel! - Rick odwrócił się plecami do monitorów. - Nie mogę w to uwierzyć.

Na ekranach znieawidzony przez niego Brad Gordon otwierał kartą magnetyczną drzwi do kolejnych laboratoriów i dotykał szalek Petriego. Kamery zarejestrowały, jak metodycznie idzie przez wszystkie laboratoria w budynku. Rick zacisnął pięści.

- Wszedł o pierwszej w nocy - powiedział tymczasowy zastępca szefa ochrony. Musiał mieć jakąś kartę, o której nie wiedzieliśmy, bo jego była nieaktywna. Był we wszystkich magazynach i zanieczyścił wszystkie kultury linii Burneta, co do jednej.

- To dureń, ale nie stała się jeszcze tragedia. Próbki przechowujemy też w magazynach w San Jose, Londynie i Singapurze.

- Tylko że... tamte próbki zostały wczoraj usunięte z magazynów. Jacyś ludzie po prostu wynieśli. Mieli autoryzację, znali szyfry...

- Kto wydał tę autoryzację?

- Pan. Wyszła z pańskiego konta.

- Chryste Panie! Jak to możliwe?!

- Sprawdzamy to.

- A te komórki... Mamy je jeszcze w paru innych...

- Niestety, wygląda na to...

- Są klienci, którzy kupili licencję.

- Obawiam się, że nie.

- Jak to?! - Rick teraz już krzyczał. - Chce mi pan powiedzieć, że straciliśmy wszystkie zasrane kultury komórek Burneta?! Wszystkie na świecie?! Nie mamy ani jednej?!

- Na to wygląda.

- To katastrofa!

- Tak.

- To może być koniec firmy! Te komórki, rozsiane po magazynach na całym świecie, to było nasze zabezpieczenie! Kosztowały fortunę. A pan mi mówi, że nic nie zostało? - Rick zmarszczył brwi. Fakty powoli do niego docierały. - To zorganizowany, skoordynowany atak na moją firmę. Ktoś wysłał ludzi do Londynu i Singapuru. Ktoś to wszystko zaaranżował.

- Najprawdopodobniej.

- Żeby zniszczyć moją firmę.

- Możliwe.

- Musimy odzyskać te komórki. Natychmiast.

- Nigdzie ich nie ma. Tylko Frank Burnet...

- No to dorwijmy Burneta.

- Niestety... Pan Burnet przepadł jak kamień w wodę. Nie możemy go znaleźć. - No to pięknie... Po prostu super! - Rick odwrócił się do swojej asystentki.

- Wezwij mi tu adwokatów, kogoś z UCLA...iw ogóle wszystkich! Na ósmą! - Nie wiem, czy...

- Zrób to.

W życie Gail Bond wkradła się rutyna. Noce spędzała z Yoshim, wracała do domu przed szóstą budziła Evana, robiła mu śniadanie i odwoziła go do szkoły. Któregoś ranka otworzyła drzwi i stwierdziła, że Gerard zniknął. W przedpokoju stała jego klatka, odkryta i pusta. Gail zaklęła i wparowała do sypialni. Richard jeszcze spał. Potrząsnęła go za ramię.

- Richard? Gdzie Gerard? Richard ziewnął.

- Co?

- Gerard. Gdzie on jest?

- Niestety doszło do małego wypadku...

- Jakiego wypadku? Co mu zrobiłeś?!

- Podczas czyszczenia klatki wyfrunął przez otwarte okno w kuchni.

- Nie mógł nigdzie wyfrunąć. Ma przycięte skrzydła.

- No tak. - Richard znów ziewnął.

- Nigdzie nie wyfrunął.

- Wiem tylko, że usłyszałem wrzask Nadzieży, a kiedy wpadłem do kuchni, pokazywała za okno. Wyjrzałem. Ptaszysko trzepotało się niezgrabnie przy ziemi. Wybiegłem od razu przed dom, ale Gerard zdążył odlecieć. Łajdak z trudem hamował śmiech.

- Richardzie, to poważna sprawa. Gerard jest zwierzęciem transgenicznym. Na wolności może przekazać swoje geny innym papugom.

- Przecież ci mówię, to był wypadek.

- Gdzie Nadzieżda?

- Przychodzi dopiero o dwunastą. Postanowiłem ograniczyć wydatki.

- Ma komórkę?

- To ty ją zatrudniłaś, kotku.

- Nie nazywaj mnie kotkiem. Nie wiem, co zrobiłeś z tym żako, ale sprawa jest poważna.

Richard wzruszył ramionami.

- Co jeszcze mam ci powiedzieć?

Oczywiście jej plany legły w gruzach. Za miesiąc chcieli opublikować artykuł w internecie, spodziewając się lawiny oskarżeń o fałszerstwo. Naukowcy z całego świata pisaliby o efekcie Sprytnego Hansa, o zwykłym naśladownictwie, Bóg wie, o czym jeszcze. Wszyscy chcieliby zobaczyć papugę - a papuga zniknęła.

- Zabiłabym Richarda - przyznała się Maurice'owi, kierownikowi laboratorium.

- A ja wynajęłbym ci najlepszego *avocad* do obrony - odparł z powagą Maurice. Myślisz, że wie, gdzie jest żako?

- Prawdopodobnie. Ale mi nie powie. Nie cierpi Gerarda.

- Rozstaliście się, a teraz spieracie się o opiekę nad ptakiem.

- Porozmawiam z Nadzieżdą. Choć przypuszczam, że zapłacił jej za milczenie.

- Czy ptak zna twoje imię? Albo nazwę laboratorium? Jakiś numer telefonu?

- Nie, ale nauczył się powtarzać dźwięki tonowego wybierania mojej komórki. Powtarzał je jak melodyjkę.

- No to może kiedyś do nas zadzwoni. Gail westchnęła.

- Może.

R045

Alex Burnet oskarżała właśnie w najtrudniejszym procesie w całej swojej karierze sprawę o gwałt na dwuletnim chłopczyku w Malibu. Oskarżony, trzydziestoletni Mick Crowley, felietonista polityczny z Waszyngtonu, przyjechał w odwiedziny do bratowej i poczuł nieprzepartą ochotę na seks

analny z jej synkiem, który jeszcze biegał w pieluszkach. Crowley - zamożny i zepsuty moralnie absolwent Yale, dziedzic farmaceutycznej fortuny wynajął cieszącego się jak najgorszą sławą Abe'a Ganzlera (znanego jako „Sprawy nie ma”), żeby go bronił.

Okazało się, że specyficzne upodobania Crowleya są w Waszyngtonie tajemnicą poliszynela, ale Ganzler, jak to miał w zwyczaju, już na kilka miesięcy przed procesem rozpoczął intensywną kampanię prasową: regularnie opisywał Alex i matkę chłopca jako „obłąkane feministyczne fundamentalistki”, które wszystko uknuły w „swojej chorej, wynaturzonej wyobraźni” - mimo dobrze udokumentowanej obdukcji (penis Crowleya był wprawdzie niewielkich rozmiarów, ale i tak poważnie pokaleczył odbył dziecka).

W samym środku przygotowań do trzeciego dnia procesu Amy, asystentka Alex, dała jej znać przez interkom, że dzwoni jej ojciec. Alex odebrała.

- Jestem trochę zajęta, tato.

- Powiem krótko: wyjeżdżam na parę tygodni.

- Fajnie. - Inny prawnik z kancelarii rzucił jej na biurko najświeższe gazety. „Star” opublikował zdjęcia zgwałconego chłopca, szpitala w Malibu i nieładne fotografie Alex i matki dziecka, mrużących oczy przed oślepiającym słońcem. - Dokąd?

- Jeszcze nie wiem. Chcę pobyć trochę sam. Może tam nie być zasięgu, ale dam ci znać, jak dojadę. I prześlę trochę rzeczy, które mogą ci się przydać.

- Świetnie, tato. Baw się dobrze.

Rozmawiając z ojcem, kartkowała „L.A. Timesa”. Dziennikarze tej gazety od lat walczyli o prawo do publikowania wszystkich dokumentów sądowych, również tych wstępnych, niepotwierdzonych i całkowicie prywatnych. Niechętni temu sędziowie w Kalifornii blokowali dostęp nawet do takich materiałów, w których znajdowały się adresy molestowanych kobiet czy szczegółowe opisy obrażeń zgwałconych dzieci. Polityka publikowania wszystkiego, co w ręce wpadnie, doprowadziła do tego, że prokuratorzy rzucali bardzo poważne, choć często bezpodstawne oskarżenia jeszcze przed rozpoczęciem procesu, wiedząc, że „Times” je wydrukuje. A „Times” ich nie zawodził. Opinia publiczna ma prawo wiedzieć. Rzeczywiście, opinia publiczna powinna koniecznie się dowiedzieć, jakiej długości była rana szarpana...

- Trzymasz się jakoś? - spytał ojciec.

- Tak, tato. Dam sobie radę.

- Będziesz walczyć?

- Oczywiście. Czekam na wsparcie ze strony obrońców praw dziecka, ale na razie milczą. Nie wydali żadnego oświadczenia. Trochę to dziwne.

- Pewnie cię to ruszyło? Ten gość jest nieźle ustosunkowany. Ma plecy, gnojek. No nic, muszę kończyć, Lexie.

- Cześć, tato.

Czekała na wyniki badań DNA, których wciąż nie było. Udało się pobrać tylko niewielkie próbki. Bała się, co wykażą testy.

R046

Światła powoli gasły w luksusowej sali konferencyjnej w siedzibie Selat, Anney, Koss Ltd., dużej londyńskiej agencji reklamowej. Na ekranie pojawiło się amerykańskie centrum handlowe, rozmazane samochody na pierwszym planie, paskudny zlepek szyldów i billboardów w tle. Gavin Koss wiedział z doświadczenia, że taki obraz natychmiast wywołuje odpowiednie nastawienie u odbiorcy: każda krytyka Stanów Zjednoczonych to samograj.

- W Stanach Zjednoczonych wydatki na reklamę są największe na świecie - zaczął Koss. - Trudno się

temu dziwić, biorąc pod uwagę jakość amerykańskich towarów...

W ciemności rozległy się chichoty.

- Oraz inteligencję amerykańskiego klienta. Stłumiony śmiech.

- Jak niedawno zauważył jeden z naszych felietonistów, większość Amerykanów nie umiałaby namacać własnego tyłka obiema rękami naraz.

Chóralny śmiech. Rozgrzał ich.

- Naród prostaków, pozbawiony kultury, którego przedstawiciele poklepują się dziarsko po plecach, brnąc coraz bardziej w długi. - Tyle powinno wystarczyć, uznał. Zmienił ton głosu. Chciałbym jednak zwrócić waszą uwagę na samą liczbę przekazów komercyjnych, stłoczonych przy autostradzie, tak jak to widzimy na ekranie. A każdy przejeżdżający samochód ma też włączone radio, w którym nadawane są kolejne reklamy. Szacuje się, że przeciętny Amerykanin codziennie słucha nawet do trzech tysięcy komunikatów o charakterze komercyjnym... albo, co bardziej prawdopodobne, wcale ich nie słucha. Psychologowie ustalili, że taki zalew reklam powoduje coś w rodzaju znieczulenia, które z czasem się utrwała. W nasycionym środowisku medialnym wszelki przekaz traci moc.

Na ekranie pojawił się Times Square nocą potem tokijskie Shinjuku, na koniec Piccadilly w Londynie.

- To nasycenie jest zjawiskiem globalnym. Olbrzymie komunikaty, wyświetlane na przykład na gigantycznych ekranach, pojawiają się na placach miejskich, przy autostradach, w metrze, na dworcach kolejowych. Umieszcza się telewizory w sklepach, toaletach, poczekalniach, pubach i restauracjach, w salonach dla VTP-ów na lotniskach i na pokładzie samolotów. Dokonaliśmy także podboju przestrzeni prywatnej. Logo, znaki firmowe i hasła reklamowe znajdują się na nożach, zastawie stołowej, komputerach. Na przedmiotach codziennego użytku. Konsumenci mają markowe metki na ubraniach, torebkach, butach, biżuterii. Właściwie nie widuje się dziś w miejscach publicznych ludzi, którzy nie mieliby chociaż jednego widocznego znaku towarowego. Gdyby przed trzydziestu laty ktoś przewidywał, że cała populacja zmieni się w jedno wielkie stado ruchomych tablic reklamowych, zostałby wyśmiany. A dziś? To się stało na naszych oczach. Skutek? Przesycenie obrazem, przeciążenie zmysłów i zmniejszenie wpływu reklamy. Co może z tym zrobić? Jak sobie radzić w erze nowych technologii? Odpowiedź pewnie wyda się wam bluźniercza, ale... Oto ona.

Obraz na ekranie zmienił się gwałtownie, teraz przedstawiał las: niebosiężne drzewa, cień. Następny slajd: ośnieżony górski szczyt. Kolejny: tropikalna wyspa - łuk piasku, krystalicznie czysta woda, palmy. I rafa koralowa, a wśród gąbek i koralu kolorowe rybki.

- Świat natury jest całkowicie wolny od reklamy. Handel musi go dopiero okiełznać. Skolonizować. Na razie pozostaje dziewiczy.

- I chyba o to chodzi, prawda? - dobiegło z ciemności.

- Takie jest powszechne przekonanie, owszem. Ale powszechne przekonania mają to do siebie, że są nieaktualne. Zanim jakiś pogląd zostanie zaakceptowany i stanie się prawdą w którą wszyscy wierzą musi upłynąć trochę czasu. A świat nie czeka. Powszechne przekonania należą do przeszłości. Tak jest i w tym przypadku.

Nagle krajobraz rafy zaroił się od reklam. Na odnózkach koralu pojawiły się litery układające się w napis CZYSTE BP. Przez kadr przemykała ławica drobnych rybek, z których każda migiała napisem VODAFONE, a za nimi gładkoskóry rekin z reklamą CADBURY na paszczy. Najeżka ozdobiona czarnymi literami LLOYDS TSB GROUP unosiła się nad mózgownikiem z pomarańczowym napisem SCOT-TISH POWER. Murena wysunęła łeb z kryjówki: zielonkawy deseń na jej skórze układał się w nazwę MARKS & SPENCER.

- Pomyślcie, jakie to daje możliwości.

Publika zaniemówiła - zgodnie z jego oczekiwaniami. Kontynuował swój wywód.

Następny slajd przedstawiał pustynny krajobraz: rudoczerwone skalne iglice mierzyły prosto w błękitne, lekko zachmurzone niebo. Po chwili rozproszone obłoki połączyły się jeden większy, który zawisł nad ziemią tworząc napis: BP TO CZYSTA MOC.

- Te litery mają trzysta metrów wysokości i znajdują się czterysta metrów nad ziemią. Widać je gołym okiem, świetnie wychodzą na zdjęciach, a o zachodzie słońca wyglądają naprawdę prześlicznie. - Obraz się zmienił. - Teraz możecie państwo zobaczyć, co się dzieje, gdy słońce powoli się chowa: litery zmieniają barwę z białych na różowe, czerwone, wreszcie intensywnie fioletowe. Ten napis ma wszystkie cechy naturalnego elementu krajobrazu. Koss znów wyświetlił pierwszy slajd z chmurami za dnia. - Litery powstają dzięki mariażowi nanocząsteczek i genetycznie zmodyfikowanych bakterii *clostridium perfringens*. Obraz tonanoskopowy róż, który pozostaje widoczny dłużej lub krócej, w zależności od warunków zewnętrznych, podobnie jak zwyczajna chmura. Raz może przetrwać kilka minut, kiedy indziej godzinę. Można go powielić...

Na ekranie puchate chmurki układały się w hasło reklamowe BP, zwielokrotnione w nieskończoność, aż po horyzont.

- Chyba nie muszę nikogo przekonywać o sile oddziaływania tego nowego medium. Naturalnego medium.

Oczekiwał spontanicznej burzy oklasków już wcześniej, na początku pokazu, ale w ciemnej sali wciąż panowała cisza. Przecież musiało ich to poruszyć. Reklama zawieszona pod niebem i powtarzana w nieskończoność? Nie mogli nie czuć ekscytacji.

- Te chmury to jednak przypadek szczególny - dodał i wrócił do zdjęcia ryb na rafie. Tutaj mamy co innego: nośnikami znaków firmowych i reklam są zmodyfikowane genetycznie żywe istoty. Nazywamy to reklamą genomową. Kto chce przejąć ten nowy nośnik na własność, musi się spieszyć: w wodach uczęszczanych przez turystów żyje ograniczona liczba gatunków ryb; niektóre są bardziej, inne mniej kolorowe; wiele jest zwyczajnie nijakich. A nam zależy na tych najbardziej wyrazistych. Każda modyfikacja genetyczna będzie wymagała opatentowania ryby. Opatentujemy błazenka Cadbury, koral British Petroleum, murenę Marks & Spencer, ustniczka Royal Bank of Scotland i przemykającą bezszelestnie nad ich głowami płaszczkę British Airways. - Koss odchrząknął. Czas ma szczególne znaczenie, ponieważ działamy w warunkach ostrej konkurencji. Cadbury chce opatentować i wypuścić do wody swojego błazenka, zanim Hershey czy McDonald's zrobią to samo. Przy czym potrzebne nam jest silne zwierzę, bo w naturalnym środowisku błazenek Cadbury będzie konkurował z innymi, zwyczajnymi błazenkami. Oby zwyciężył. Im większy sukces odniesie nasza opatentowana rybka, tym częściej będzie widać nasze hasło i tym rzadsze będą okazy pierwotne, pozbawione reklam. Wkraczamy w erę reklamy darwinowskiej. Niech zwycięży najlepszy przekaz!

Kaszlnięcie na widowni.

- Wybacz, Gavin, ale to wygląda na jakiś ekologiczny koszmar. Reklamy na rybach? Hasła na chmurach? Co dalej? Afrykańskie nosorożce z logo land-rovera? Jeżeli zaczniesz oklejać zwierzęta reklamami, ekolodzy zjedzą cię żywcem.

- Nie sędzę - odparł Koss - ponieważ my nie chcemy oklejać zwierząt reklamami, tylko przekonać koncerty do sponsorowania zwierząt. Dla dobra ogółu. - Przerwał. Pomyślcie, ile wystaw w muzeach, trup teatralnych i orkiestr symfonicznych jest całkowicie uzależnionych od sponsorów. Dzisiaj sponsoruje się nawet odcinki autostrad! Może by więc tego samego ducha filantropii skierować do świata natury? Ona z pewnością więcej na tym skorzysta niż nasze drogi. Zwierzęta zagrożone wyginięciem byłyby szczególnie wdzięcznym obiektem sponsoringu. Reputacja firmy zależałaby od przetrwania gatunku, tak jak kiedyś zależała od drętwych programów telewizyjnych.

Podobnie zresztą rzecz się ma z gatunkami, którym na razie nie grozi zagłada. Ze wszystkimi rybami w morzu. Nadchodzi era filantropii na wielką skalę.

- Jak to sobie wyobrażasz? Nosorożca oglądacie państwo dzięki firmie Land-Rover? A jaguara dzięki producentowi jaguarów?

- Nie ująłbym tego w tak prostych słowach, ale rzeczywiście, to właśnie proponujemy. Prawda jest taka, że w tej sytuacji nie ma przegranych. Wszyscy wygrywają: środowisko, firma i rynek reklamowy.

Miał za sobą setki prezentacji, miał też niezawodny instynkt, który pozwalał mu wyczuwać nastroje publiczności. Teraz wiedział, że jej nie przekonał. Przyszedł czas na zapalenie świateł i pytania.

Powiódł wzrokiem po wyrażających powątpiewanie twarzach.

- Przyznaję, że to radykalny pomysł - powiedział. - Ale świat szybko się zmienia, i ktoś w końcu to zrobi. Kolonizacja natury jest nieunikniona, pozostaje tylko pytanie, kto będzie pionierem. Namawiam wszystkich, aby dobrze przemyśleli moją propozycję. Sami zdecydujcie, czy chcecie w tym uczestniczyć.

Siedzący z tyłu Garth Baker, szef Midlands Media Associates Ltd., wstał.

- To nowatorski pomysł, Gavinie. Oświadczam jednak z pełnym przekonaniem, że nie wypali.

- Tak? Dlaczego?

- Bo ktoś już to zrobił.

R047

Noc była bezksiężycowa i cicha. Julio Manarez słyszał tylko huk przyboju i zawodzenie wilgotnego wiatru. Plaża Tortuguero, ciągnąca się na odcinku ponad półtora kilometra wzdłuż poszarpanego wybrzeża Atlantyku, była teraz ciemnym pasem lądu, łączącym się z gwiazdzistym niebem. Julio zatrzymał się i czekał, aż oczy przywykną mu do ciemności. Jeśli dać mu czas, człowiek widzi całkiem nieźle przy świetle gwiazd.

Wkrótce zaczął odróżniać pnie palm, wyrzucone na piasek przedmioty i niskie, kolczaste krzewy, targane wiatrem znad oceanu. Dostrzegł pianę wzburzonych fal. Wiedział, że w wodzie czyhają rekiny. Ten odcinek wybrzeża był wyjątkowo niegościnnie i ponury.

Trzysta metrów dalej wypatrzył Manuela: ciemną sylwetkę przykucniętą wśród mangrowych zarośli, dających osłonę przed wiatrem. Poza nim nikogo nie było na plaży. Ruszył w jego kierunku, omijając głębokie doły w piasku, wykopane przez olbrzymie żółwie morskie; w nocy wychodziły z oceanu i składały w nich jaja. Były wtedy bezbronne dawniej wobec ataków kłusowników, teraz głównie wobec włóczących się w okolicy jaguarów. Julio, niedawno wyznaczony na szefa strażników ochrony przyrody w tym regionie, dobrze wiedział, że żółwie giną tu dosłownie każdej nocy.

Obecność turystów zwiększała szansę przetrwania żółwi: jeśli turyści kręcili się po plaży, jaguary bały się zbliżyć. Często jednak polowały po północy, kiedy goście wrócili już do hoteli.

Można było sobie wyobrazić, że presja ewolucji doprowadzi do wykształcenia mechanizmu obronnego przeciw atakom jaguarów. Na studiach w San Juan Julio z kolegami często sobie z tego żartowali: czy turyści są wysłannikami ewolucji? Cały kraj zmieniał się pod ich wpływem, więc dlaczego nie świat zwierzęcy? Gdyby żółw wykształcił pewną cechę

- na przykład większą tolerancję wobec światła latarek albo zdolność wydawania żalostnego, wyrażającego ból dźwięku rodzącej matki - gdyby, inaczej mówiąc, w jakiś sposób przyciągał turystów i umiał ich zatrzymać na plaży, zwiększałyby swoje szanse przeżycia, a co za tym idzie - szanse przetrwania jaj i wyklucia się potomstwa.

Przetrwanie jako skutek bycia atrakcją turystyczną. Studenci żartowali sobie z tego, ale teoretycznie to możliwe. A jeśli Manuel się nie mylił...

Manuel zobaczył go, pomachał i wstał.

- Chodź - zawołał i ruszył przodem.

- Znalazłeś ich dziś więcej?

- Nie, tylko jednego. Z tych, o których ci mówiłem.

- *Muy bien.*

Szli w milczeniu. Po jakichś stu metrach Julio dostrzegł słabą fioletową poświatę, nisko, przy ziemi.

Pulsowała lekko. - To jest to? - Tak.

Samica musiała ważyć dobre sto kilogramów. Miała sto dwadzieścia centymetrów długości i charakterystyczne płytki na karapakcie, mniej więcej wielkości męskiej dłoni, brązowe z czarnymi pręgami. Na wpół zagrzebana w piasku, tylnymi płetwami wykopywała w nim głęboki dół.

Julio stanął nad nią i patrzył.

- Zapala się i gaśnie - powiedział Manuel.

W tym momencie znów się zaczęło: fioletowa poświata emanowała z poszczególnych płytek pancerza. Niektóre płytki pozostawały ciemne przez cały czas, inne zapalały się sporadycznie, jeszcze inne stale. Impuls światła trwał około sekundy: szybko narastał i powoli słabł.

- Ile takich żółwi widziałeś?

- Ten jest trzeci.

- I mówisz, że światło płoszy jaguary?

Julio obserwował pulsującą łagodnym blaskiem żółwicę. Poświata wydawała mu się dziwnie znajoma, jakby widział ogromnego świetlika. Albo świecące bakterie w falach oceanu. Takie światło coś mu przypominało...

- Tak, nie podchodzą.

- Zaraz! A to co?!

Julio wskazał grzbiet żółwia, na którym jasne i ciemne płytki utworzyły wyraźny wzór.

- Czasem się tak układają.

- Widzisz to, co ja? - Tak.

- Sześciokąt. - No nie wiem...

- Nie sądzisz, że to symbol? Logo firmy?

- Może... Tak, to możliwe.

- A inne żółwie? Też mają taki wzór?

- Nie, każdy świeci inaczej.

- Czyli niewykluczone, że świecące płytki przypadkiem ułożyły się w sześciokąt?

- Tak mi się wydaje, Julio. Tym bardziej że ten rysunek nie jest za dobry, niesymetryczny i w ogóle...

Poświata zbladła. Karapakś żółwicy stał się jednolicie ciemny.

- Można to sfotografować?

- Można, już próbowałem. Trzeba dać długi czas, więc obraz się trochę rozmazuje, ale mam zdjęcia.

- Świetnie. Bo to na pewno zmiana genetyczna. Przejrzemy listę gości; zobaczymy, kto to mógł zrobić.

R048

Josh? - Dzwoniła matka.

- Tak, mam?

- Pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć. Pamiętasz syna Lois Graham, Erica? Tego uzależnionego od heroiny? Stała się tragedia. Nie żyje.

Josh westchnął ciężko, oparł głowę na poduszce fotela i zamknął oczy.

- Powód?

- Miał wypadek. Ale potem zrobili mu autopsję, czy jak to się nazywa. Zmarł na atak serca. Dwudziestodwuletni chłopak, Josh.

- Może to dziedziczne? Jakaś wada wrodzona?

- Nie. Ojciec Erica mieszka w Szwajcarii, ma sześćdziesiąt cztery lata. Jest alpinistą. Lois czuje się świetnie. To znaczy, w tej chwili jest zdruzgotana, jak my wszyscy. Josh milczał.

- A tak już się dobrze układało. Erie przestał brać, dostał pracę, jesienią chciał wrócić na uczelnię... Tylko zaczęły mu wypadać włosy. Ludzie myśleli, że jest po chemioterapii, tak strasznie wyłysiał. I zaczął się garbić. Josh? Jesteś tam?

- Tak, mammo.

- Widziałam go w zeszłym tygodniu. Wyglądał jak starzec. Josh nie odpowiedział.

- Rodzina czuwa przy zwłokach. Powinieneś tam pojechać.

- Postaram się.

- Twój brat też wygląda staro, Josh.

- Wiem.

- Mówiłam mu, że z ojcem było podobnie. Chciałam go pocieszyć. Ale Adam tak okropnie się postarzał...

- Wiem, mammo.

- Co się dzieje? Co ty mu zrobiłaś? - Ja?!

- Tak, Josh. Podałaś im jakiś gen, czy co tam było w tym sprayu. A teraz się starzeją.

- Mammo, Adam sam to sobie zrobił: psiknął sobie sprayem w nos, bo miał nadzieję, że się nawali. Mnie wtedy przy nim nie było. A jeśli chodzi o syna Lois Graham, to ty mnie prosiłaś, żebym mu dostarczył spray.

- Że też coś takiego przychodzi ci w ogóle do głowy!

- Sama do mnie wtedy zadzwoniłaś.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Josh. Po co miałabym dzwonić? Przecież nie znam się na twojej pracy. To ty do mnie zadzwoniłeś i spytałeś o adres Erica. I poprosiłeś, żebym nic nie mówiła jego matce. Dobrze pamiętam.

Josh milczał. Przycisnął zamknięte oczy palcami, aż pod powiekami pojawiły mu się kolorowe wzory. Miał ochotę uciec jak najdalej, wybiec z biura i rzucić tę robotę. Chciał, żeby to wszystko okazało się kłamstwem.

- Mammo, to bardzo poważna sprawa. Zaczynał się martwić: trafi do więzienia?

- Ależ naturalnie! Boję się, Josh. Co się może stać? Stracę syna?

- Nie wiem, mammo. Mam nadzieję, że nie.

- Chyba jest jeszcze nadzieja. Dzwoniłam do Levine'ów, do Scarsdale. Oboje mają swoje lata, są dobrze po sześćdziesiątce. Trzymają się świetnie, zwłaszcza Helen. A George nic, tylko gra w golfa.

- To wspaniale.

- Więc może nic im nie będzie.

- Tak myślę.

- To może i dla Adama jest jeszcze szansa.

- Mam nadzieję, mammo. Naprawdę.

Rozłączył się. Oczywiście, że Levine'owie czuli się doskonale: posłał im roztwór soli fizjologicznej w sprayu. Nie zaaplikowali sobie genu dojrzałości. Nie zamierzał rozsyłać doświadczalnych genów obcym ludziom z Nowego Jorku.

A jeśli dzięki temu matka nie traci nadziei... Tym lepiej. Niech tak zostanie.

Bo on sam nie żywił cienia nadziei na sensowną przyszłość - ani dla brata, ani, koniec końców, dla

siebie samego.

Będzie musiał powiedzieć Diehlowi. Ale nie teraz. Jeszcze nie teraz.

R049

Mąż Gail Bond, Richard, bankier inwestycyjny, często zostawał w pracy do późna; spotykał się z ważnymi klientami. A nikt nie był ważniejszy niż Amerykanin siedzący teraz naprzeciw niego: Barton Williams, słynny inwestor z Cleveland.

- Nie chciałbyś sprawić żonie niespodzianki, Barton? Mam tu coś, co powinno się jej spodobać.

Pochylony nad stołem siedemdziesięciopięcioletek nie okazał wielkiego zainteresowania. Do złudzenia przypominał ropuchę. Miał obwisłe policzki, wielkie pory w skórze, szeroki, płaski nos i wyłupiaste oczy. Opierając się o stół ramionami, z brodą na dłoniach, jeszcze bardziej upodabniał się do ropuchy. Przynosił w ten sposób ulgę zreumatyzowanej szyi, bo nie chciał nosić kołnierza ortopedycznego - twierdził, że kołnierz go postarza.

Richardowi to nie przeszkadzało - dla niego Williams mógł się nawet położyć na blacie: był tak bogaty, że mógł robić, co mu się żywnie podobało, i mieć wszystko, czego zapragnął - a przez całe życie pragnął jednego: kobiet. I mimo swojego wieku i wyglądu miał ich wciąż na pęczki, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Richard tak zorganizował spotkanie, żeby pod koniec kolacji przy stoliku zjawilo się kilka atrakcyjnych dziewczyn: jego pracownic, które przyniosły mu dokumenty do podpisania; dawnych sympatii, które chciały się przywitać i poznać jego gościa; klientek restauracji, oszołomionych obecnością sławnego inwestora i marzących o tym, by mu je przedstawił.

Williams nie dał się wprawdzie nabrać, ale był rozbawiony; lubił, kiedy partnerzy w interesach starali się mu dogodzić. Kiedy jesteś wart dziesięć miliardów dolarów, ludzie będą ci nadskakiwać. Tak już jest. Traktował to jako rodzaj hołdu. Ale w tej akurat chwili myślał tylko o tym, żeby ugłaskać swoją żonę, z którą był od czterdziestu lat. Nie wiedzieć czemu, sześćdziesięcioletnia Evelyn nagle stwierdziła, że ma dość ich związku i niekończących się, jak to ujęła, „eskapad” małżonka. Więc prezent nie zaszkodzi.

- Oby to było coś ciekawego - powiedział. - Bo większość rzeczy już jej spowszedniała: wille we Francji, jachty na Sardynii, biżuteria od Winstona, kucharze z Rzymu sprowadzani z okazji urodzin psa... W tym właśnie problem: nie da się jej łatwo kupić. Ma sześćdziesiąt lat i jest zblazowana.

- Mam dla niej coś absolutnie wyjątkowego. Unikat na skalę światową. Lubi zwierzęta, prawda?

- W naszej posiadłości trzyma całe przekłete zoo!

- Ptaki też?

- Ptaki?! Ze setkę! W salonie astrydy świergocą cały dzień. Ona je hoduje.

- A papugi?

- Wszelkie możliwe. Na szczęście żadna nie mówi. Do papug Evelyn nigdy nie miała szczęścia.

- No to teraz się to zmieni. Williams westchnął.

- Nie zechce kolejnej papugi.

- Tę zechce. Drugiej takiej nie ma na świecie.

- Wylatuję jutro o szóstej rano - burknął Williams.

- Będę czekał w samolocie.

R050

Rob Bellarmino uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedział do uczniów, wskazując kamery.

Zebrał się w szkolnej bibliotece Liceum imienia George'a Washingtona w Silver Spring, w Marylandzie. Krzesła w trzech koncentrycznych, półkolistych rzędach, a pośrodku jeszcze jedno, dla

doktora Bellarmino. Rozmawiał z młodzieżą o etycznych aspektach genetyki.

Ekipa telewizyjna kręciła z trzech kamer jednocześnie: jednej w głębi, z tyłu, drugiej z boku i trzeciej, która filmowała uczniów i fascynację malującą się na ich twarzach, kiedy słuchali sławnego genetyka z NIZ. Producent programu twierdził, że trzeba koniecznie pokazać Bellarmino wśród zwykłych ludzi - a Bellarmino nie mógł mu nie przyklasnąć. Specjalnie wybrali do programu najlepszych i najbystrzej szych uczniów.

Bellarmino uznał, że nieźle to wymyślili.

Zrobił krótkie wprowadzenie o sobie, o swoim wykształceniu i pracy naukowej, po czym poprosił o pytania. Już pierwsze dało mu do myślenia.

- Panie doktorze - zaczęła dziewczyna o azjatyckich rysach. - Co pan sądzi o pomysle tej kobiety z Teksasu, która kazała sklonować swojego kota, kiedy zdechł?

Prawdę mówiąc, uważał, że to jedna wielka bzdura. Klonowanie zdechłych kotów tylko odrywało go i innych specjalistów od poważnych badań. Ale nie mógł tego powiedzieć.

- Sytuacje, w których do głosu dochodzą emocje, zawsze są trudne - odparł. - Wszyscy kochamy nasze zwierzaki, ale... - Zawahał się. - Kota sklonowała kalifornijska firma Genetic Savings and Clone. Kosztowało to podobno pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Uważa pan, że to etyczne: sklonować swojego ulubionego kota?

- Jak wiecie, udało się do tej pory sklonować całkiem sporo zwierząt: owce, myszy, psy, koty... Czyli nie jest to jakieś wielkie osiągnięcie. Należy jednak pamiętać, że zwierzę sklonowane żyje krócej od zwyczajnego.

- A czy to etyczne, płacić pięćdziesiąt tysięcy za sklonowanie kota, kiedy na całym świecie ludzie umierają z głodu? - spytał inny uczeń.

Bellarmino jęknął w duchu. Jak by tu zmienić temat?

- Nie jestem szczególnie entuzjastą tej procedury, ale nie, nie nazwałbym jej nieetyczną.

- A czy nie jest sprzeczna z etyką z tego powodu, że pomaga stworzyć sprzyjający klimat dla klonowania ludzi?

- Nie wydaje mi się, aby klonowanie zwierząt miało jakikolwiek wpływ na kwestie etyczne klonowania ludzi.

- Czy sklonowanie człowieka byłoby według pana etyczne?

- Na szczęście klonowanie człowieka to pieśń przyszłości. Chyba lepiej będzie, jeśli dzisiaj skupimy się na sprawach bliższych nam i bardziej rzeczywistych. Niektórzy nie chcą by modyfikowano genetycznie żywność; albo sprzeciwiają się terapii genowej i wykorzystywaniu komórek macierzystych. To są prawdziwe problemy. Czy wy też macie podobne zastrzeżenia?

Chłopak w tylnym rzędzie podniósł rękę.

- Tak?

- Jak pan uważa, czy sklonowanie człowieka jest w ogóle możliwe?

- Owszem. Jeszcze nie dziś, ale w przyszłości uda się tego dokonać.

- Kiedy?

- Wolałbym nie zgadywać. Są pytania na jakiś inny temat? - Pojawiła się następna ręka. - Słucham?

- Czy pana zdaniem klonowanie ludzi byłoby nieetyczne?

Bellarmino nie odpowiedział od razu. Wiedział, że dzięki telewizji jego słowa pójdą w świat. A nie miał przecież wpływu na to, jak twórcy wiadomości zmontują komentarz pewnie zrobią wszystko, żeby mu zaszkodzić. Dziennikarze są wyraźnie uprzedzeni do ludzi prawdziwej wiary. A jego słowa mają dodatkowy wydźwięk przez to, że kieruje wydziałem NIZ.

- Na pewno dużo słyszeliście o klonowaniu, ale to, co do was dociera, w większości nie jest

prawdą. Jako naukowiec muszę przyznać, że moim zdaniem w samym klonowaniu nie ma niczego złego. Nie dostrzegam w nim problemu natury moralnej. To po prostu jedna z wielu procedur genetycznych, sprawdzona, jak wspomniałem, na zwierzętach. Zdaję sobie jednak sprawę, że w klonowaniu ryzyko porażki jest spore i w przypadku istot ludzkich byłoby nie do przyjęcia. Dlatego na razie problem klonowania ludzi dla mnie nie istnieje.

- Czy klonowanie nie jest zabawą w Boga?

- Ja bym tak nie powiedział. Skoro Bóg stworzył człowieka i cały świat, z pewnością stworzył także narzędzia inżynierii genetycznej. W tym sensie umożliwił nam manipulacje genetyczne. To dzieło Boże, nie ludzkie. A nam, jak zwykle, pozostaje tylko mądrze wykorzystać dane nam przez Boga środki.

Od razu poczuł się lepiej: to była jedna z jego gotowych, uniwersalnych odpowiedzi.

- Ale czy klonowanie to mądre użycie boskich narzędzi?

Wbrew temu, co podpowiadał mu instynkt, otarł czoło rękawem marynarki. Miał nadzieję, że telewizja nie wykorzysta tego kawałka nagrania - i zarazem pewność, że to zrobi. Kierownik z NIZ poci się, odpowiadając na pytania uczniów liceum.

- Niektórym ludziom wydaje się, że wiedzą czego pragnie Bóg. Ja do nich nie należę. Moim zdaniem tylko Bóg to wie. Każdy, kto twierdzi, że przeniknął Jego zamiary, popełnia grzech pychy.

Chciał spojrzeć na zegarek, ale zdołał się powstrzymać. Dzieci były pełne rezerwy, a nie - jak na to liczył - urzeczony jego słowami.

- Czekam na kolejne pytania. Genetyka to rozległa dziedzina.

- Panie doktorze, interesują mnie antyspołeczne zaburzenia osobowości. Czytałem, że jest taki gen, który odpowiada za skłonność do przemocy, przestępstw, zachowań socjopatycznych...

- Tak. Ten gen występuje u około dwóch procent populacji na całym świecie. - A Nowa Zelandia?

Tam ten gen występuje u trzydziestu procent białych i sześćdziesięciu procent Maorysów...

- Rzeczywiście, są takie wyniki badań, ale należy traktować je z...

- Czy to nie znaczy, że skłonność do przemocy jest dziedziczna? I że można by ją wyrugować, tak jak rozwiązaliśmy problem ospy?

Bellarmino się zawahał. Przyszło mu do głowy, że rodzice wielu z tych dzieciaków mogą pracować w Bethesdzie. Powinien był poprosić o listę nazwisk przed spotkaniem. Uczniowie zadawali pytania zbyt fachowe, zbyt dociekliwe. Czyżby któryś z jego przeciwników próbował go w ten sposób zdyskredytować? Czy cały ten program telewizyjny był jedną wielką pułapką próbą przedstawienia go w złym świetle? Pierwszym krokiem na drodze do usunięcia go z NIZ? W epoce informacyjnej takie sprawy załatwia się właśnie tak. Pokazuje się przeciwnika jako człowieka złego i słabego. Zmusza się go, by palnął jakąś głupotę, a potem wszystkie stacje telewizyjne i gazety przez czterdzieści osiem godzin na okrągło powtarzają jego słowa. Kongresmani proszą go o odwołanie kontrowersyjnej tezy, kręcą głowami, cmokają z dezaprobatą... Jak mógł być taki nieostrożny? Może nie nadaje się do swojej roboty? Może jest zbędny?

Wyleci ze stanowiska?

Właśnie tak się to teraz robi.

Zadano mu potencjalnie niebezpieczne pytanie o genetykę Maorysów. Czy powinien odpowiedzieć szczerze, ryzykując oskarżenie o poniżanie dyskryminowanej mniejszości etnicznej? Czy raczej zachować dla siebie własne zdanie, ale narazić się na zarzuty o promowanie eugeniki? Co w ogóle mógł w takiej sytuacji powiedzieć?

Nic, uznał.

- To bardzo ciekawa dziedzina badań, ale na razie nasza skąpa wiedza nie pozwala nam udzielić

dobrej odpowiedzi. Następne pytanie, proszę.

R051

Na południu Sumatry od rana padał deszcz. Poszycie dżungli było mokre, drzewa były mokre, wszystko było mokre. Ekipy telewizyjne z całego świata dawno rozjechały się do nowych zajęć i Hagar został sam, z jednym tylko klientem - niejakim Gorevitchem, sławnym fotografem przyrody, który przyleciał z Tanzanii.

Gorevitch zatrzymał się pod olbrzymim figowcem i z torby na ramieniu wyjął nylonową siatkę, trochę przypominającą hamak. Rozpostarł ją ostrożnie na ziemi, po czym wyciągnął metalową skrzynkę i ze znajdujących się w niej elementów złożył karabinek pneumatyczny.

- Wie pan, że to wbrew prawu - ostrzegł go Hagar. - Jesteśmy w rezerwacie.

- Co z tego?

- Jeżeli nadejdą strażnicy, niech pan to schowa.

- Okej. - Gorevitch otworzył komorę naboju. - Duży jest?

- To młody osobnik, dwa, trzy lata. Waży ze trzydzieści kilo, może mniej. - Aha... Dziesięć mililitrów. - Gorevitch wyjął strzałkę, sprawdził poziom płynu i wsunął ją do komory. Po niej drugą i trzecią. Zatrasnął komorę. - Kiedy ostatnio go pan widział? Dziesięć dni temu.

- Gdzie?

- Niedaleko stąd.

- Wróci tu? To jego rewir?

- Na to wygląda.

Gorevitch spojrzął w lunetkę. Powiódł karabinkiem po zaroślach, wycelował w niebo, opuścił. Zadowolony odłożył broń.

- Nie za duża dawka?

- Proszę się nie martwić.

- Niech pan nie strzela, kiedy będzie wysoko na drzewie, bo...

- Powiedziałem, żeby się pan nie martwił. Wiem, co robię. Dawka jest tak dobrana, żeby tylko go oszołomić. Zejdzie o własnych siłach, dopiero później zaśnie. Pewnie trzeba go będzie jakiś czas tropić.

- Robił to już pan kiedyś? Gorevitch kiwnął głową.

- Z orangutanem?

- Z szympanami.

- Szympany są inne.

- Poważnie? - Głos fotografa ociekał sarkazmem.

Zapadła niezręczna cisza. Gorevitch wyjął kamerę i ustawił ją na statywie. Na kamerze zainstalował paraboliczny mikrofon kierunkowy z trzydziestocentymetrową anteną. Niezgrabne to, ale na pewno skuteczne, pomyślał Hagar.

Gorevitch przykucnął i zapatrzył się w gąszcz. Obaj wsłuchiwali się w szmer deszczu i czekali.

W ostatnich tygodniach gadający orangutan zniknął z czołówek gazet. Jego historia podzieliła los innych niesprawdzonych doniesień o niezwykłych zwierzętach: o dzieciole z Arkansas, którego nigdy więcej nikt nie widział, dwumetrowej małpie z Konga, której nie udało się znaleźć, chociaż tubylcy cały czas o niej opowiadali, czy olbrzymim nietoperzu o skrzydłach rozpiętości trzech i pół metra, którego widziano - podobno - w dżungli na Nowej Gwinei.

Gorevitchowi odpowiadało, że media mniej się interesują tą sprawą. Oznaczało to, że kiedy orangutan się znajdzie, zwrócą na niego uwagę znacznie większą niż gdyby cały czas miały go na celowniku.

Zwłaszcza że Gorevitch nie zamierzał poprzestać na nagraniu: chciał złapać małpę żywcem.

Zapiął się pod szyję dla ochrony przed deszczem. Czekał.

Było późne popołudnie i zapadał zmierzch. Gorevitch drzemał, gdy nagle ze snu wyrwał go niski, chrapliwy głos:

- *Alors. Merde.*

Otworzył oczy. Spojrzał pytająco na siedzącego obok Hagara. Hagar pokręcił głową.

- *Alors. Comment ca va?* Fotograf odwrócił się powoli.

- *Merde. Skurwiel. Espece de eon.* - Głos był basowy i trochę ochryply, jak po alkoholu. - *Fungele a usted.*

Gorevitch włączył kamerę. Nie wiedział, skąd dobiega głos, ale mógł go przynajmniej nagrać. Zaczął obracać kamerę, obserwując wskazania mikrofonu, a ponieważ mikrofon był kierunkowy, udało mu się ustalić, że dźwięk dobiega... z południa.

Przymknął jedno oko, spojrział w lunetkę, wycelował. Nic nie widział. Dżungla ciemniała z każdą chwilą. Hagar stał nieruchomo obok niego i patrzył.

Trzasnęły łamane gałęzie. W lunetce mignął rozmazany cień. Gorevitch podniósł wzrok: cień przesuwał się coraz wyżej i wyżej, huśtał się na gałęziach, zbliżając się do koron drzew. W parę chwil orangutan znalazł się dwadzieścia metrów nad ziemią.

- *Gods vloek het. Dupek wijkje. Vloek.*

Zdjął kamerę ze statywu, wymierzył obiektywem w orangutana, ale zobaczył tylko czerni. Pusto. Przełączył na noktowizor: zielone smugi w miejscach, gdzie małpa pojawiała się i znikła w gąszczu. Oddalała się i wspinała coraz wyżej.

- *Vloek het. Pierdol się.*

- Wyszczekany jest.

Głos dobiegał z coraz większej odległości. Gorevitch zdał sobie sprawę, że musi podjąć decyzję, i to szybko. Odłożył kamerę, wziął do ręki karabinek i wycelował. Obraz w wojskowym noktowizorze był jasnozielony, ostry, wyrazisty. Zobaczył orangutana, zobaczył jego ślepia - dwa pałające białą punkty...

- Nie! - powiedział Hagar.

Małpa skoczyła na następne drzewo. Na ułamek sekundy zawisała w powietrzu.

Gorevitch strzelił.

Usłyszał syknięcie gazu i głuchy stukot strzałki o liście.

- Spudłowałem.

Znów uniósł broń do ramienia.

- Niech pan tego nie robi...

- Zamknij się. Wymierzył. Strzelił.

Trzask gałęzi na chwilę ucichł.

- Trafił go pan - stwierdził Hagar. Gorevitch czekał. Znów zaszeleściły liście, poruszyły się gałęzie.

Orangutan szedł dalej. Teraz znajdował się dokładnie nad ich głowami.

- Nie, nie trafiłem. Trzeci raz uniósł broń.

- Trafił pan. Jeżeli znowu pan strzeli... Gorevitch strzelił.

Syk gazu przy uchu. I cisza. Nie odrywając wzroku od koron drzew, opuścił broń i przykucnął, żeby ją przeładować. Otworzył metalowy pojemnik, namacał strzałki. Cały czas patrzył do góry.

Cisza.

- Trafił go pan.

- Może.

- Ja to wiem.
- Wcale nie. - Trzy nowe naboje weszły do komory. - Nie mamy pewności.
- Nie rusza się. Trafił go pan.

Gorevitch zajął pozycję. Ledwie zdążył podnieść karabinek, gdy z wysokości pięćdziesięciu metrów jak kamień spadł jakiś ciemny kształt. Orangutan.

Runął na ziemię pod nogami Gorevitcha, rozbryzgując błoto. Nie ruszał się. Hagar włączył latarkę. Z ciała zwierzęcia sterczały trzy strzałki: jedna trafiła w nogę, dwie w pierś. Orangutan leżał nieruchomo. Miał otwarte oczy, ślepo wpatrzony w dal.

- Świetnie - powiedział Hagar. - Dobra robota.

Gorevitch przysiadł, przytknął usta do szerokich warg małpy i zaczął jej robić sztuczne oddychanie.

R052

Przy długim stole siedziało sześciu prawników, wszyscy grzebali w papierach. Dokumenty głośno szeleściły. Rick Diehl czekał, niecierpliwie przygryzając wargę. W końcu Albert Rodriguez, jego główny adwokat, podniósł wzrok.

- Sytuacja wygląda następująco - zaczął. - Macie dobre podstawy... No, powiedzmy po prostu: macie podstawy podejrzewać, że Frank Burnet uknuł spisek, którego celem było zniszczenie linii komórek znajdujących się w waszym posiadaniu, żeby móc je sprzedać powtórnie, jakiejś innej firmie.

- Oczywiście. Jasne, kurwa, jak słońce.

- Trzy sądy orzekły, że komórki Burneta są waszą własnością. Macie zatem prawo je zabrać.

- To znaczy, zabrać ponownie.

- Zgadza się.

- Kłopot w tym, że facet się ukrywa.

- Rzeczywiście, jest to pewna komplikacja, ale faktów nie zmienia. Komórki Burneta należą do was. Gdziekolwiek są.

- Czyli...

- Jego dzieci i wnuki najprawdopodobniej mają takie same komórki.

- Chcesz powiedzieć, że mogę pobrać komórki od jego dzieci?

- Należą do was.

- A jeśli dzieci się nie zgodzą?

- To całkiem prawdopodobne, ale w gruncie rzeczy nie mają nic do gadania, bo komórki są wasze, a nie ich.

- Trzeba zrobić biopsję wątroby i śledziony - zauważył Diehl. - To nie są błahе zabiegi.

- Ale i nie bardzo poważne. Mówimy o standardowych procedurach. Musicie zadbać o to, żeby komórki pobrał kompetentny lekarz. To chyba oczywiste.

Diehl zmarszczył brwi.

- Zaraz, żebyśmy się dobrze zrozumieli... Mówisz, że mogę po prostu porwać dzieciaki z ulicy, zawlec je do lekarza i pobrać od nich komórki, tak? Nie pytając ich o zdanie?

- Tak. Tak to właśnie wygląda. - I to będzie legalne?

- Chodzą po mieście z komórkami, które należą do was, czyli z kradzionym mieniem. To przestępstwo. Zgodnie z przepisami świadek przestępstwa ma prawo dokonać zatrzymania obywatelskiego i oddać przestępcę w ręce stosownych władz. Czyli jeżeli zobaczysz dzieci Burneta na ulicy, możesz je aresztować w majestacie prawa.

- Ja?

- Nie, nie, bez przesady. Lepiej skorzystać z usług profesjonalisty, specjalizującego się w ściganiu zbiegów.

- Łowcy nagród, tak?
- Oni nie lubią kiedy się ich tak nazywa. My zresztą też nie. - No dobrze. Znasz takiego specjalistę?
- Owszem.
- No to dzwoń po niego. Migiem!

R053

Vasco Borden zmierzył swoje odbicie w lustrze krytycznym spojrzeniem profesjonalisty. Wtarł tusz do rzęs w siwiejący koniec brody. Był postawny - metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dziesięć kilogramów, góra mięśni, dziewięć procent tkanki tłuszczowej. Ogolona głowa i kozia bródka upodabniały go do diabła. Prawdziwego szatana. Chciał budzić lęk swoim wyglądem - i to mu się udawało.

Odwrócił się do leżącej na łóżku walizki. Spakował do niej starannie złożony kombinezon z logo Con Ed na piersi, sportową marynarkę w kratę, elegancki włoski garnitur, kurtkę motocyklową z napisem DIE IN HELL na plecach, welurowy dres, składany opatrunek gipsowy na nogę, mossberga 590 z krótką lufą i dwie czarne czterdziestki piątki marki Para. Na ten dzień wybrał tweedową sportową marynarkę, płócienne spodnie i brązowe sznurowane półbuty.

Rozłożył na pościeli trzy zdjęcia.

Frank Burnet. Pięćdziesiąt jeden lat, wysportowany, były żołnierz piechoty morskiej.

Alex, jego córka. Około trzydziestki, prawniczka. Jamie, wnuk. Osiem lat.

Burnet zniknął, a Vasco nie widział powodu, dla którego miałby sobie zawracać głowę szukaniem go. Gość mógł być wszędzie: w Meksyku, Kostaryce, Australii... Łatwiej będzie pobrać komórki od członków rodziny.

Spojrzał na fotografię jego córki. Prawniczka. Kiepski cel. Nawet jak człowiek wszystko załatwi perfekcyjnie, i tak pozwą go do sądu. Blondynka, zgrabna, całkiem atrakcyjna, jeśli ktoś lubi takie dziewczyny - dla Vasca była zbyt chuda. I pewnie w weekendy ćwiczyła jakąś izraelską sztukę walki. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Zaczepiać ją to prosić się o kłopoty.

Czyli zostawał dzieciak.

Jamie. Osiem lat, druga klasa, szkoła niedaleko domu. Można by podjechać, zgarnąć go, pobrać próbki i przed wieczorem mieć sprawę z głowy. Byłoby super. Vasco otrzymywał pięćdziesiąt tysięcy dolarów premii, jeśli złapał zbiega w pierwszym tygodniu. Potem coraz mniej, aż po czterech tygodniach zostawało z tego dziesięć kawałków. Miał motywację, żeby się pospieszyć.

Dzieciak. Prosto i konkretnie.

Do pokoju weszła Dolly. Była ubrana w granatową garsonkę, białą bluzkę i płaskie pantofle. W ręce trzymała aktówkę z brązowej skóry. Wyglądała niepozornie, dzięki czemu jak zwykle - nie przyciągała niepotrzebnie uwagi.

- Może być? - Podała mu kartkę.

Vasco przebiegł pismo wzrokiem. Nagłówek: „Do wszystkich zainteresowanych”. Podpisano: Alex Burnet. Okaziciel dokumentu miał odebrać Jamiego ze szkoły i zawieźć go do lekarza na badania.

- Zadzwoiłaś do lekarza?

- Tak. Powiedziała, że Jamie ma gorączkę i boli go gardło. Kazał z nim przyjechać.

- Czyli jeśli ze szkoły zadzwonią do gabinetu...

- Jesteśmy kryci.

- Ty zostałaś przysłana z kancelarii matki, tak?

- Tak.

- Masz wizytówkę?

Pokazała mu wizytówkę z logo kancelarii. - A jeśli będą chcieli zadzwonić do matki?

- Jej numer jest na tym druku.
- I dodzwonią się do Cindy, tak?
- Właśnie.

Cindy była ich sekretarką w Playa del Rey.

- No to do roboty. - Vasco objął Dolly ramieniem. - Na pewno dasz sobie radę?
- Jasne. Czemu by nie?
- Wiesz czemu.

Dolly miała słabość do dzieci: wystarczyło, że spojrzała takiemu w oczy, i natychmiast serce jej miękło. Ścigali kiedyś zbiega w Kanadzie. Wytropili go w Vancouver. Drzwi otworzyła dziewczynka. Dolly spytała, czy ojciec jest w domu. Mała - z osiem lat, nie więcej - odparła, że nie. Dolly podziękowała i sobie poszła. A facet jechał tymczasem do domu. Córeczka zamknęła drzwi za Dolly, zadzwoniła do tatusia i powiedziała mu, żeby nie przyjeżdżał. Miała doświadczenie: odkąd skończyła pięć lat, ciągle uciekali. Potem już nie udało im się gościa podejść.

- To był tylko ten jeden raz. - Nie tylko.
- Vasco... Dziś nie nawalę.
- W porządku.

Dał się jej pocałować w policzek.

Na podjeździe czekała karetka. Tylne drzwi były otwarte na oścież. Vasco poczuł zapach dymu. Obszedł wóz dookoła: na stopniu siedział Nick w białym kitlu. Palił papierosa.

- Rany boskie, Nick... Co ty robisz?!
- Tylko jednego.
- Zgaś go. Jedziemy. Masz sprzęt? - Mam.

Z usług Nicka Ramseya korzystali zawsze, kiedy potrzebowali lekarza. Pracował w pogotowiu, dopóki nie wyleciał za alkohol i narkotyki. Teraz był już wprawdzie po odwyku, ale miał kłopoty ze znalezieniem stałej roboty.

- Planujemy biopsję wątroby i śledziony, trzeba też pobrać krew...
- Czytałem. Potrzebne będą cienkie igły. Jestem gotowy.
- Piłeś? - spytał podejrzliwie Vasco. - Nie. Kurde, naprawdę nie!
- Coś poczułem...

- Vasco, no co ty... Przecież wiesz, że...

- Ja mam dobry węch, Nick.

- Nie piłem.

- Otwórz usta.

Vasco nachylił się i pociągnął nosem.

- Tylko łyka - powiedział Nick. - Dla smaku.

- Butelka.

Nick wyjął spod noszy półlitrowkę jacka danielsa i oddał ją Vascowi.

- Pięknie. - Vasco podszedł tak blisko, że ich nosy prawie się zetknęły. - Posłuchaj no. Jeśli wytniesz mi dziś jeszcze jakiś numer, sam wypchnę cię z karetki na autostradę. Jak chcesz mieć spieprzone życie, to chętnie pomogę ci je spieprzyć. Jasne?

- Jasne.
- Cieszę się, że się rozumiemy. - Vasco się cofnął. - Wyciągnij przed siebie ręce.

- Nic mi nie jest...

- Ręce. - Vasco nigdy nie podnosił głosu. Przeciwnie, zniżał go. Niech nasłuchują. Niech się boją. - Pokaż ręce, Nick.

Nick wyciągnął przed siebie ręce. Nie trzęsły się.

- Dobra. Wskakuj.

- Chciałem...

- Wskakuj, Nick. Mam dość tej gadki.

Vasco i Dolly usiedli z przodu. Vasco prowadził.

- Co z nim? - zainteresowała się Dolly. - W porządku?

- Mniej więcej.

- Ale nie zrobi małemu krzywdy?

- Jasne, że nie. Dwie igły, parę sekund i będzie po krzyku.

- Lepiej, żeby nic się dzieciakowi nie stało.

- Rany... Tak się o niego martwisz?

- Nie, wcale nie.

- No to załatwmy to. Karetka przyspieszyła.

R054

Brad Gordon pełen złych przeczuć wszedł do Border Cafe przy Ventura Boulevard. Rozejrzał się. Była to typowa tania knajpa. W tej chwili kilku aktorów jadło lunch. Z tyłu ktoś do niego zamachał. Brad podszedł bliżej.

Facet w jasnoszarym garniturze, niski, łysiejący i niezbyt pewny siebie, lekko uściśnął mu dłoń.

- Willy Johnson - przedstawił się. - Będę pana adwokatem. - Adwokata miał mi załatwić wuj. Jack Watson.

- Właśnie. Ja go reprezentuję. Specjalizuję się w pederastii.

- W czym?

- W seksie z chłopcami. Ale prowadziłem niejedną sprawę o seks z nieletnimi, chłopcami czy dziewczynkami.

- Nie uprawiałem seksu ani z nieletnią ani w ogóle z nikim.

- Widziałem pańskie akta. Czytałem też raport policyjny. - Johnson wyjął notes. - I widzę kilka potencjalnych linii obrony.

- Co z dziewczyną?

- Pojechała na Filipiny do chorej matki. Ale ma wrócić na proces.

- Myślałem, że nie będzie procesu. - Brad gestem zbył kelnerkę, która podeszła do stolika. - Dlaczego spotkaliśmy się w tej knajpie?

- O dziesiątej muszę być w sądzie w Van Nuys. Uznałem, że tu będzie wygodnie.

- Przecież tutaj jest masa ludzi. Głównie aktorów. A to gaduły.

- Nie będziemy rozmawiali o szczegółach. Chciałem przedstawić panu strategię obrony w zarysie. Proponuję obronę genetyczną.

- Obronę genetyczną? A co to takiego?

- Niektórzy ludzie cierpią z powodu wad genetycznych, uniemożliwiających im tłumienie pewnych impulsów. Formalnie rzecz biorąc, są niewinni. I tak właśnie zamierzamy tłumaczyć pański przypadek.

- Wada genetyczna? Ja nie mam żadnych wad genetycznych!

- Spokojnie, to nie wstyd. Proszę sobie wyobrazić, że to odmiana cukrzycy. To nie pańska wina. Taki się pan urodził. Cierpi pan z powodu trudnej do poskromienia chęci uprawiania seksu z atrakcyjnymi młodymi kobietami. - Johnson się uśmiechnął. - Podobnie jak dziewięć procent dorosłych mężczyzn na świecie.

- To ma być linia obrony?!

- I to bardzo skuteczna. - Johnson przełożył jakieś dokumenty w teczce. - W gazetach ukazało się ostatnio sporo...

- To znaczy, że istnieje gen, który odpowiada za seks z dziewczynkami? Johnson westchnął.

- Żeby to było takie proste. Niestety nie ma takiego genu.

- No to czym chcecie mnie wybronić?

- D4DR. - A to co?

- Gen ciekawości. Tak się nazywa. Odpowiada za żądzę ryzyka, skłonność do zachowań wywołujących dreszczyk emocji. Będziemy twierdzić, że obecność tego genu w pańskim organizmie sprawia, że lubi pan ryzyko.

- To jakaś bzdura.

- Czyżby? Przekonajmy się. Skakał pan ze spadochronem?

- W wojsku. Ale nie cierpiałem tego.

- Nurkował pan?

- Parę razy. Byłem przez jakiś czas z fajną laską która to uwielbiała.

- Wspina się pan? - Nie.

- Naprawdę? A w liceum nie poszliście przypadkiem na Mount Rainier?

- No tak, ale to...

- Zdobył pan wysoki szczyt górski. - Johnson pokiwał głową. - Lubi pan sportowe wozy? Szybką jazdę?

- Niespecjalnie.

- W ciągu trzech lat dostał pan pięć mandatów za przekraczanie prędkości swoim porsche. Zgodnie z obowiązującymi w Kalifornii przepisami mógł pan stracić prawo jazdy.

- Każdemu zdarza się depnąć.

- Nie sądzę. Seks z dziewczyną szefa?

- No...

- Z żoną szefa?

- Tylko raz, w innej firmie. Od tamtej pory dwukrotnie zmieniłem pracę. Ale to ona...

- To jest ryzykowne życie seksualne. Każda ława przysięgłych się ze mną zgodzi. Seks bez zabezpieczenia? Choroby weneryczne?

- Chwileczkę. Nie zamierzam się babrać w...

- Nie wątpię, zwłaszcza że trzykrotnie stwierdzono *pediculosis pubis*, wszawicę łonową. Dwa przypadki rzeżączki, zapalenie cewki moczowej, dwa razy kłykcina, czyli brodawki genitalne, w tym raz... w okolicy odbytu. A to tylko ostatnich pięć lat, jak wynika z dokumentów pańskiego lekarza.

- Skąd pan je ma? Johnson wzruszył ramionami.

- Skoki spadochronowe, nurkowanie, wspinaczka górską, szybka jazda samochodem, ryzykowny dobór partnerek seksualnych, seks bez zabezpieczeń. Jeżeli nie są to typowe zachowania człowieka, który lubi ryzyko, to nie wiem, jak inaczej mogłyby wyglądać.

Brad Gordon milczał. Kurdupel miał dar przekonywania. Nigdy przedtem nie myślał w ten sposób o swoim życiu. Na przykład wtedy, kiedy posuwał żonę prezesa, wuj mu ostro nawrzucał. Co jest, pytał, porąbało cię? Trzymaj fiuta w gaciach, ćwoku! Brad nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Rzeczywiście, gdy wuj spiorunował go wzrokiem, sam musiał przyznać, że zachował się jak idiota. Ta dupa nawet ładna nie była. A teraz? Proszę, wytłumaczyłby sprawę wujowi. Nie umiał się powstrzymać, bo to geny kierowały jego zachowaniem.

Johnson wszystko mu wyjaśnił, ze szczegółami. Wyglądało na to, że Brad jest zdany na łaskę i niełaskę tego D4DR, genu kontrolującego poziom chemikaliów w mózgu. Jakaś dopamina kazała

Bradowi za wszelką cenę zaspokajając ciekawość, podejmować ryzyko, sprawiała, że nie mógł bez niego żyć. Tomografia mózgu i inne badania dowodziły, że tacy ludzie jak Brad nie są w stanie kontrolować tej żądz.

- Gen ciekawości zidentyfikował i nazwał najbardziej znany amerykański genetyk doktor Robert Bellarmino, główny genetyk Narodowego Instytutu Zdrowia. Ma ogromne laboratorium, publikuje pięćdziesiąt prac rocznie. Żaden przysięgły nie pozwoli sobie zignorować jego opinii.

- No dobrze, mam ten gen. Myśli pan, że się uda?

- Tak, ale musimy to jeszcze doszlifować, zanim pójdziemy do sądu.

- To znaczy?

- Na pewno jest pan zmęczony, zaniepokojony, zestresowany przed procesem. - No jestem...

- Niech pan gdzieś się wybierze, odpocznie. Najlepiej gdyby pojeździł pan po kraju i wszędzie zażywał ryzykownych rozrywek.

Johnson powiedział wprost, czego mu trzeba: mandaty za zbyt szybką jazdę, bilety do wesołych miasteczek, na kolejki górskie, udział w bójkach, wspinaczka w parkach narodowych - a przy każdej okazji kłótnia, dyskusja o bezpieczeństwie, pretensje, że sprzęt jest niesprawny. Należało zrobić wszystko, żeby nazwisko Brada pojawiała się w dokumentach, które potem będzie można wykorzystać w sądzie.

- O to właśnie chodzi. Więc niech pan wyrusza w drogę i do zobaczenia za kilka tygodni.

Johnson wręczył Bradowi kartkę. - A to co?

- Spis największych kolejek górskich w Stanach. Trzy z nich koniecznie musi pan zaliczyć.

- Rany... Ohio, Indiana, Teksas...

- Nie chcę słyszeć protestów. Grozi ci dwadzieścia lat odsiadki, przyjacielu. W celi z wytatuowanym bydlakiem, od którego nabawisz się gorszych rzeczy niż brodawki. Lepiej mnie posłuchaj i jeszcze dziś stąd wyjedź. Brad wrócił do domu, do Sherman Oaks, i spakował torbę. Myśl o wielkim, wytatuowanym facecie nie dawała mu spokoju. Przyszło mu do głowy, żeby wziąć pistolet - ma przecież jeździć po całych Stanach, zahaczyć nawet o Ohio; diabli wiedzą co mu się tam może stać. Wrzucił do torby pudełko amunicji, a broń wsunął do kabury na łydce.

Idąc do samochodu, stwierdził, że już czuje się lepiej. Dzień był przepiękny, porsche błyszczało w słońcu - a on miał plan. Jechał na wycieczkę!

R055

Lynn Kendall bez tchu wpadła do gabinetu dyrektorki szkoły w La Jolla.

- Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Co się stało?

- Chodzi o Davida - odparła dyrektorka. Miała czterdzieści lat. - O chłopca, którego uczycie państwo w domu. Pani syn Jamie przyprowadził go dziś do szkoły.

- Wiem. Chcieliśmy zobaczyć, jak...

- Niestety ten pierwszy dzień nie wypadł najlepiej. David ugryzł dziecko. Na boisku.

- Mój Boże...

- Prawie do krwi.

- To straszne!

- U dzieci nieprzyzwyczajonych do szkoły to się zdarza, pani Kendall. Brakuje im umiejętności zachowania się w grupie i samokontroli. Nic nie zastąpi codziennego kontaktu z rówieśnikami.

- Przykro mi...

- Powinna z nim pani porozmawiać. Jest tutaj, obok.

Lynn weszła do małej salki, pełnej zielonych, metalowych szafek na akta, ustawionych w wysokie stopy. Dave kulił się na drewnianym krześle, drobny i bardzo brązowy.

- Dave? Co się stało?
- On bił Jamiego.
- Kto?
- Nie wiem, jak się nazywa. Z szóstej klasy.
Z szóstej klasy? - pomyślała Lynn. Duży dzieciak.
- Jak to dokładnie było, Dave?
- Pchnął Jamiego do ziemi. Chciał mu bić.
- A co ty wtedy zrobiłeś?
- Skoczyłem mu do pleców.
- Żeby bronić Jamiego? Dave kiwnął głową.
- Ale nie powinieneś był go gryźć, Dave.
- On ugryzł pierwszy.
- Naprawdę cię ugryzł? Gdzie?
- O, tu. - Dave pokazał krótki, muskularny palec. Na jasnej, grubej skórze może i było widać ślady zębów, ale Lynn nie miała pewności.
- Powiedziałaś o tym pani dyrektor?
- Ona nie jest z moją mamą.
Lynn wiedziała, że w ten sposób Dave chce jej powiedzieć, że dyrektorka go nie lubi. Młode szympansy wychowują się w społeczeństwie matriarchalnym, w którym sojusze między samicami mają ogromne znaczenie i trzeba się w nich orientować.
- Pokazałaś jej palec?
Dave pokręcił głową.
- Porozmawiam z nią.
- Tak powiedział? - spytała dyrektorka. - Nie dziwię się. Skoczył drugiemu chłopcu na plecy. Co tamten miał zrobić?
- Czyli ugryzł Dave'a, tak?
- Gryzienie jest niedopuszczalne, pani Kendall.
- Czy tamten chłopiec go ugryzł?
- Mówi, że nie.
- Jest z szóstej klasy?
- Tak. Z klasy panny Fromkin.
- Chciałabym z nim porozmawiać.
- Nie mogę się na to zgodzić. To nie pani dziecko.
- Ale on oskarża Dave'a. To poważna sprawa. Jeżeli mam odpowiednio zareagować, muszę się dowiedzieć, co między nimi zaszło.
- Już pani wyjaśniłam.
- Widziała to pani?
- Nie, ale poinformował mnie o tym pan Arthur, opiekun boiska. Jest bardzo skrupulatny. Chodzi głównie o to, że gryzienie innych dzieci jest niedopuszczalne.
Lynn czuła się tak, jakby jakaś olbrzymia, niewidzialna dłoń przyciskała ją do ziemi. Rozmowa wyraźnie się nie kleiła.
- Może powinnam porozmawiać z Jamiem, moim synem.
- Na pewno potwierdzi słowa Dave'a. Rzecz w tym, że pan Arthur inaczej to opisuje.
- To znaczy? Ten szóstoklasista nie zaatakował Jamiego? Dyrektorka zeszywniała.
- Pani Kendall...! Takie spory można rozstrzygnąć, przeglądając zapis z kamery zainstalowanej na

boisku, i jeżeli zajdzie taka potrzeba, zrobimy to. Chciałabym jednak, żebyśmy skupiły się w tej chwili na sprawie najważniejszej, czyli pogryzieniu. A winnym jest tu David, chociaż rozumiem, że trudno się pani z tym pogodzić.

Sytuacja była więc jasna.

- Dobrze, załatwię to z nim, kiedy wróci ze szkoły.

- Wydaje mi się, że najlepiej by było, gdyby od razu go pani zabrała.

- Wolalabym, żeby został do końca dnia i wrócił z Jamiem. - To nie...

- Sama pani powiedziała, że Dave z trudem integruje się z klasą. Jeżeli go teraz zabiorę, raczej mu nie pomogę. Załatwię tę sprawę, kiedy wróci do domu.

Dyrektorka niechętnie kiwnęła głową. - No cóż...

- A teraz jeszcze z nim porozmawiam. Powiem mu, że zostaje.

R056

Alex Burnet wyskoczyła z taksówki i pobiegła w stronę szkoły. Na widok karetki serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

Jeszcze przed chwilą siedziała z rozszlochaną klientką kiedy recepcjonistka dała jej znać przez interkom, że dzwoniła wychowawczyni Jamiego: chodziło o jakąś wizytę lekarską. Historia była jakaś pokręcona i Alex wolała nie czekać: podała klientce pudełko chusteczek i wybiegła z biura. Złapała taksówkę i kazała kierowcy gnać na złamanie karku, nie zważając na światła.

Przy krawężniku stała karetka. W jej tylnej części, przy otwartych drzwiach, czekał lekarz w białym fartuchu. Chciało jej się wyć. Nigdy jeszcze się tak nie czuła. Ze strachu zbierało jej się na wymioty; cały świat zrobił się zielonkawo-biały. Minęła karetkę i wpadła na dziedziniec szkoły.

- W czym mogę... - zaczęła nauczycielka dyżurująca przy wejściu.

Alex wiedziała, gdzie jest klasa Jamiego: parter, przy drugim dziedzińcu. Pobiegła.

Zabuczała jej komórka: dzwoniła wychowawczyni Jamiego, panna Holloway.

- Ta kobieta czeka pod klasą - wyszeptwała. - Dała mi pismo z pani numerem telefonu, ale wolałam z niego nie skorzystać. Zadzwoiłam pod numer, który mamy w dokumentach...

- Świetnie. Już tu jestem.

- Ona stoi przed klasą.

Alex wybiegła zza rogu i zobaczyła pod drzwiami kobietę w granatowej garsonce. Podeszła prosto do niej.

- Kim pani jest, do diabła?!

Kobieta uśmiechnęła się spokojnie i podała jej rękę na powitanie.

- Casey Rogers. Witam, pani Burnet. Przykro mi, że musiała się pani fatygować.

Była tak opanowana, tak naturalna, że kompletnie rozbroiła Alex, która oparła ręce na biodrach i usiłowała złapać oddech.

- Co się dzieje, Casey?

- Nic, pani Burnet.

- Pracuje pani w mojej kancelarii?

- Jejku, nie! Pracuję u doktora Hughesa. Prosił mnie, żebym przywiozła Jamiego na szczepienie. Przeciw tężcowi. Sprawa nie jest pilna, ale trzeba by to załatwić. W zeszłym tygodniu otarł sobie kostkę, prawda?

- Nie...

- Nie? Czyżbym jednak... Może wysłano mnie po inne dziecko? Pozwoli pani, że zadzwonię do doktora...

Casey sięgnęła po telefon.

- Tak, bardzo proszę.

Siedzące w klasie dzieci przyglądały im się przez oszklone drzwi. Alex pomachała do Jamiego. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Chodźmy dalej - zaproponowała Casey. - Żeby im nie przeszkadzać. - Z doktorem Hughesem proszę - powiedziała do telefonu. - Tak, mówi Casey.

Ruszyły w stronę wyjścia. Przez otwartą bramę było widać zaparkowaną przy krawężniku karetkę.

- To pani ją wezwała? - spytała Alex.

- Jejku, nie. Nie mam pojęcia, po co przyjechała. - Casey wskazała coś za szybą. Kierowca chyba je drugie śniadanie.

Za kierownicą Alex dostrzegła barczystego mężczyznę z kocią bródką. Wcinał ogromną kanapkę. Dlaczego zatrzymał się akurat pod szkołą żeby zjeść? Coś tu nie grało, chociaż nie wiedziała jeszcze co.

- Doktor Hughes? Casey z tej strony. Tak, jest tu koło mnie pani Burnet. Mówi, że Jamie, jej syn, wcale nie otarł sobie kostki.

- Bo to prawda - wtrąciła się Alex.

Wyszły na dwór, zbliżając się do samochodu. Kierowca odłożył kanapkę na deskę rozdzielczą i otworzył drzwi. Wsiadł.

- Tak, panie doktorze, właśnie wychodzimy ze szkoły. - Casey podała telefon Alex. Porozmawia z nim pani?

- Chętnie.

Kiedy Alex podniosła telefon do ucha, usłyszała przeszywający elektroniczny pisk. Zdezorientowana upuściła aparat. Casey Rogers złapała ją od tyłu za łokcie i pociągnęła jej obie ręce za plecy. Kierowca karetki się zbliżał.

- Dzieciak nie będzie nam potrzebny - powiedział. - Wystarczy ona. Chwilę trwało, zanim Alex złożyła elementy układanki w całość: próbują ją porwać! Dalej działała już instynktownie. Szarpnęła głową w tył, trafiając Casey w nos. Trysnęła krew. Casey krzyknęła i puściła Alex, która złapała ją za rękę i pchnęła do przodu, prosto na kierowcę. Ten jednak zwinnie uskokzył. Casey upadła na beton, przetoczyła się i zawyła z bólu. Alex sięgnęła do kieszeni.

- Nie podchodź - ostrzegła mężczyznę.

- Nie chcemy pani skrzywdzić, pani Burnet - powiedział. Był od niej o półtorej głowy wyższy, potężny, umięśniony. Kiedy wyciągnął ręce w jej stronę, udało jej się namacać przycisk. Prysnęła mu sprayem pieprzowym w twarz.

- Kurwa! Szlag by to...

Zasłonił oczy ramieniem i obrócił się do niej bokiem. Wiedziała, że drugiej szansy nie będzie: kopnęła - szybko, mocno, wysoko. Trafiła go obcasem w szyję. Krzyknął z bólu, a ona straciła równowagę i się przewróciła. „Casey” powoli wstała; wciąż broczyła krwią. Nie zwracając uwagi na Alex, podeszła do kumpla, który zgięty wpół opierał się o karetkę, trzymał się za gardło i jęczał. Usłyszała w oddali wycie syren: ktoś wezwał policję. „Casey” pomogła mężczyźnie wsiąść do wozu, na fotel pasażera. Działali błyskawicznie. Alex zaczęła się bać, że zdążą uciec przed przybyciem policji, ale niewiele mogła na to poradzić.

- Jeszcze cię aresztujemy! - pogroziła jej na pożegnanie kobieta, wskakując za kierownicę.

- Że co? - Alex oniemiała. - Coś ty powiedziała?!

- Wrócimy po ciebie, suko! - Uruchomiła silnik. - Nie uciekniesz nam. W ulicę wjechał pierwszy wóz policyjny. „Casey” wrzuciła bieg.

- Czego ode mnie chcecie?!

Zaszła jakaś makabryczna pomyłka, pomyślała. Ale Vern Hughes naprawdę był jej lekarzem rodzinnym. Zнали jego nazwisko, jej nazwisko, przyjechali po Jamiego...

To nie była żadna pomyłka. Aresztujemy cię.

Co to mogło znaczyć? Obróciła się na pięcie i pobiegła do szkoły. Do Jamiego.

Zaczęła się przerwa śniadaniowa. Dzieci siedziały w ławkach i jadły pokrojone owoce, kilkoro popijało jogurt. Zachowywały się dość hałaśliwie. Panna Holloway podała Alex papier, którym posłużyła się „Casey”: wyglądał na ksero papieru firmowego z jej kancelarii, z podpisem Alex. Na pewno nie był to dokument z gabinetu lekarza.

A to oznaczało, że „Casey” miała nerwy ze stali. Świetnie improwizowała: natychmiast zmyśliła bajeczkę, przedstawiła się, podała jej rękę, obmyśliła pretekst, żeby wyszły na dwór, dała jej telefon...

Dzieciak nie będzie nam potrzebny. Wystarczy ona.

Chcieli porwać Jamiego, ale byli skłonni zadowolić się nią. Dlaczego? Okup? Nie opływała w bogactwa. Może chodziło o jakiś proces z jej udziałem? Kiedyś zdarzało jej się prowadzić niebezpieczne sprawy, ale w tej chwili w niczym takim nie uczestniczyła.

Wystarczy ona.

Albo ona, albo jej syn.

- Czy powinnam o czymś wiedzieć? - zainteresowała się panna Holloway. - Ja albo szkoła?

- Nie. Ale zabieram Jamiego do domu.

- Niech zje do końca. Niedużo mu zostało.

Alex kiwnęła na chłopca, żeby podszedł. Posłuchał, choć bez entuzjazmu.

- Co jest, mamó?

- Musimy iść.

- Ja chcę zostać.

Alex westchnęła. Jak zwykle robił jej na przekór. - Jamie...

- Opuściłem dużo lekcji, kiedy byłem chory. Zapytaj pannę Holloway. Poza tym dawno się nie widziałem z kolegami i chcę zostać. Na obiad będą hot dogi.

- Przykro mi, ale nic z tego. Zabierz rzeczy z szafki. Musimy iść.

Przed szkołą stały dwa radiowozy. Czterech policjantów oglądało ślady na chodniku.

- Pani Burnet? - zapytał jeden z nich.

- Tak, to ja.

- Mieliśmy zgłoszenie od jednej pani z biura dyrektora. Widziała całe zajście. Wskazał jedno z okien szkoły. - Strasznie dużo tu krwi, pani Burnet.

- Rzeczywiście. Tamta kobieta rozbiła sobie nos, kiedy upadła.

- Jest pani rozwiedziona, pani Burnet? - Tak.

- Od dawna?

- Pięć lat.

- Czyli to stare dzieje.

- Bardzo.

- A jak się pani układa z eks...

- Świetnie.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Jamie się niecierpliwił. Alex nie mogła się oprzeć wrażeniu, że policja nie bardzo chce się zająć sprawą: zachowywali wyraźny dystans i chyba czuli się niezręcznie, jakby wtykali nos w nie swoje sprawy, na przykład w czyjąś sprzeczkę.

- Złóż pani skargę?

- Chciałabym, ale teraz muszę odwieźć syna.
- Możemy pani dać papiery do wypełnienia w domu.
- Dobrze.

Jeden z policjantów dał jej wizytówkę i poprosił o telefon, gdyby jeszcze czegoś potrzebowała. Powiedziała, że zadzwoni.

Świat wokół niej całkowicie się zmienił. Choć słońce jak zawsze świeciło nad Beverly Hills, Alex wszędzie widziała teraz niebezpieczeństwo. Nie rozumiała, skąd bierze się to poczucie zagrożenia. Wzięła Jamiego za rękę.

- Chcesz wracać na piechotę? - westchnął chłopiec.
- Tak.

Ale zaczęła się zastanawiać, czy to dobry pomysł. Mieszkali wprawdzie tylko kilka przecznic od szkoły, czy to jednak bezpieczne iść pieszo do domu? A jeśli ta karetka znów na nich czeka? Chociaż pewnie nie, pewnie następnym razem lepiej się schowają.

- To strasznie daleko - marudził Jamie. - I tak mi gorąco...
- Idziemy. Bez dyskusji.

Wyjęła komórkę i wybrała numer kancelarii. Odebrała Amy, jej asystentka. Posłuchaj, mam prośbę: sprawdź rejestr spraw w sądach hrabstwa. Zobacz, czy gdzieś występuję jako oskarżona.

- Jest coś, o czym powinnam wiedzieć? - Amy zaśmiała się nerwowo. Wykroczenie prawnika mogło się skończyć więzieniem także dla jego asystenta. Ostatnio zdarzyło się tak kilka razy.

- Nie - uspokoiła ją Alex. - Ale mam wrażenie, że ścigają mnie łowcy nagród.
- Może zapomniałaś gdzieś wpłacić kaucję?
- Nie, właśnie o to chodzi, że nie. Nie wiem, czego ode mnie chcą. Amy obiecała, że sprawdzi.

- Co to jest owca nagród? - spytał Jamie. - I dlaczego cię ta owca ściga?

- Próbuję się tego dowiedzieć, Jamie. To musi być jakaś pomyłka.

- Chcieli ci zrobić krzywdę?

- Nie, nic z tych rzeczy.

Nie było sensu straszyć dziecka. Amy oddzwoniła.

- Zgadza się, mam tu jedną skargę na ciebie. Sąd drugiej instancji, Yentura.

Co najmniej godzina jazdy od Los Angeles, za Oxnard.

- Jaki zarzut?

- Pozew złożyła firma BioGen Research Incorporated z Westview Village. Treść zarzutu nie jest dostępna w sieci, ale podają tu, że nie stawiałaś się w sądzie. - Kiedy? Wczoraj.

- A dostałam zawiadomienie?

- Piszą że tak.

- Ale to nieprawda.

- W aktach jest co innego.

- Zarzucają mi obrazę sądu? Jest nakaz aresztowania mnie?

- Nie widzę, ale akta online są aktualizowane z opóźnieniem, więc nie można tego wykluczyć.

Alex się rozłączyła.

- Aresztują cię, mam? - spytał Jamie.

- Nie, synku. Nikt mnie nie aresztuje.

- To będę mógł wrócić do szkoły po obiedzie?

- Zobaczymy.

Kamienica, w której mieszkali, na północ od Roxbury Park, wydawała się cicha i spokojna. Alex przystanęła po drugiej stronie skweru i obserwowała dom.

- Na co czekamy? - zdziwił się Jamie.

- Tylko minutkę.

- Minutka już minęła. - Nie, jeszcze nie.

Śledziła wzrokiem mężczyznę w kombinezonie. Wyglądał jak inkasent, który przyszedł spisać liczniki - tyle że był wielkim facetem, miał źle dobraną perukę i dziwnie znajomą kozią bródkę. Poza tym inkasenci nigdy nie wchodzili frontowymi drzwiami, tylko zawsze od tyłu.

Jeżeli ten człowiek jest łowcą nagród, może wejść do niej do domu bez uprzedzenia i bez nakazu, a nawet wyważyć drzwi. Ma prawo przeszukać jej mieszkanie, przekopać szafę, zabrać komputer i sprawdzić zawartość twardego dysku. Może podjąć wszelkie działania mające na celu ujęcie zbiega. Ale ona nie jest...

- Chodźmy, mamó - marudził Jamie. - Proszę.

W jednej kwestii musiała się z nim zgodzić: nie mogli tak stać w nieskończoność. Na skwerku była piaskownica, w niej kilkoro dzieci, opiekunki, mamy...

- Pobaw się w piaskownicy.

- Nie chcę.

- Pobaw się.

- Piaskownica jest dla maluchów. - Tylko przez chwilę, James.

Tupnął ze złości i przysiadł na murku piaskownicy. Kopał piasek, kiedy Alex znów dzwoniła do biura.

- Wiesz, Amy, myślę o tym BioGenie. To oni kupili komórki mojego ojca. Nie składamy w najbliższym czasie żadnych wniosków?

- Nie. Rozprawa w sądzie będzie za rok. No to co się dzieje? Czego od niej chcą?

- Zadzwoń do kancelarii sądu w Ventura. Sprawdź, o co chodzi.

- Okej.

- Mój ojciec się nie odzywał?

- Od jakiegoś czasu nie.

- Dobrze.

Wcale nie było dobrze, bo Alex czuła, że całe to zamieszanie ma bezpośredni związek z ojcem - a przynajmniej z jego komórkami. Łowcy nagród ściągnęli karetkę, z lekarzem, czyli chcieli pobrać próbkę albo wykonać jakieś badania. Mieli długie igły: widziała, jak słońce zaśniło na zapakowanych w folię igłach, kiedy lekarz porządkował ułożone w ambulansie rzeczy.

Nagle zrozumiała: chodziło im o ich komórki!

Chcieli je pobrać albo od niej, albo od jej syna. Nie wiedziała po co, ale najwyraźniej uważali, że mają prawo to zrobić. Może powinna zadzwonić na policję? Nie, jeszcze nie. Jeżeli za niestawienie się w sądzie wydano nakaz aresztowania, policjanci po prostu ją przytkną. Co się wtedy stanie z Jamiem?

Pokręciła głową.

Przede wszystkim potrzebowała czasu, żeby ochłonać. Jakoś to sobie poukłada. Co mogła zrobić? Zadzwoiłaby do ojca, ale długo już nie dawał znaku życia. A skoro ci ludzie wiedzieli, gdzie ona mieszka, musieli też wiedzieć, jakim samochodem jeździ i...

- Amy? Nie zamieniłabyś się ze mną samochodem na parę dni?

- Mogłabym wziąć twoje bmw? Jasne. Ale...

- Ja pojeżdżę twoim. Tylko musisz po mnie przyjechać. Przestań, Jamie. Nie syp piaskiem.

- Na pewno tego chcesz? Ja mam zdezelowaną toyotę.

- Tym lepiej. Przyjedź do Roxbury Park, od południowego zachodu. Zaparkuj przed białą kolonialną

kamienicą z kutą żelazną bramą.

Ani temperament, ani kwalifikacje nie predestynowały jej do mierzenia się z takimi sytuacjami. Zawsze żyła praworządnie. Przestrzegała przepisów. Szła z prądem. Nie przejeżdżała na żółtym świetle, nie parkowała na kopertach, nie oszukiwała w zeznaniach podatkowych. W swojej kancelarii prawniczej uchodziła za nudną formalistkę.

- Zasady są po to, żeby ich przestrzegać, nie żeby je naginać - powtarzała klientom.

Kiedy przed pięcioma laty dowiedziała się, że mąż ją zdradza, w ciągu godziny wyrzuciła go z domu. Spakowała mu walizkę, wystawiła ją za próg i zmieniła zamki. Kiedy wrócił z „ryb”, porozmawiała z nim przez drzwi i kazała mu spadać. Mart bzykał jedną z jej najlepszych przyjaciółek - to było w jego stylu. Alex się do niej więcej nie odezwała.

Jamie musiał, rzecz jasna, widywać ojca, więc mu to umożliwiła. Przywoziła syna Mattowi o umówionej godzinie, punktualnie. Nie znaczy to, oczywiście, że Mart równie punktualnie go odwoził, ale ona uważała, że świat stabilizuje się pomału, po jednej osobie, nie wszyscy naraz. I jeśli ona będzie postępować właściwie, może z czasem inni wezmą z niej przykład.

W firmie nazywano ją idealistką zarzucano jej brak realizmu i zmysłu praktycznego. Odpowiadała na to, że w języku prawników „realizm” to po prostu inne określenie „nieuczciwości”. Twardo obstawała przy swoim.

Chwilami miała jednak wrażenie, że wybiera tylko takie sprawy, które nie grożą jej utratą złudzeń. Prezes kancelarii, Robert A. Koch, powiedział to wprost: „Jesteś jak pacyfistka, która zasłania się przekonaniem religijnym, żeby nie służyć w wojsku. Wolisz, kiedy inni walczą za ciebie. Ale czasem każdy musi walczyć. Czasem nie da się uniknąć konfliktu”.

Koch - tak jak jej ojciec - służył kiedyś w piechocie morskiej. I tak jak on miał bezpośredni sposób bycia, co zresztą go cieszyło. A ona po prostu puszczała jego słowa mimo uszu.

Teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Nie wiedziała, co się dzieje, ale czuła, że tym razem łatwo się nie wykpi.

Była też pewna, że nie da pokłuć żadnymi igłami ani siebie, ani Jamiego - i zrobi wszystko, żeby temu zapobiec.

Wszystko.

Odtworzyła w pamięci wydarzenia ze szkoły. Nie miała przy sobie broni - w ogóle nie miała broni, i teraz tego żałowała.

Zabiłabym, gdyby chcieli skrzywdzić mojego syna? - zapytała się w duchu. I zaraz sobie odpowiedziała: Tak. Mogłabym zabić. Naprawdę.

Biała toyota highlander z powgniatanym przednim zderzakiem zjechała do krawężnika. Za kierownicą siedziała Amy.

- Jamie? Chodź.

- No nareszcie!

Jamie ruszył prosto w stronę domu. Musiała go złapać i pociągnąć w przeciwnym kierunku.

- Dokąd idziemy? - Pojedziemy na wycieczkę.

- Dokąd? - spytał podejrzliwie. - Nie chcę jechać na wycieczkę.

- Kupię ci PSP - zaproponowała bez namysłu.

Od roku stanowczo odmawiała kupienia mu przenośnej konsoli do gier, ale teraz powiedziała to, co jej ślina na język przyniosła.

- Naprawdę? Super! A z jakimi grami? - Jamie znów zmarszczył brwi. - Boja bym chciał Tony Hawka trójkę i Shreka...

- Jakie sobie wybierzesz. Wsiadaj. Odwieziemy Amy do pracy.

- A potem? Gdzie potem pojedziemy?

- Do Legolandu.

To był pierwszy pomysł, jaki przyszedł jej do głowy.

- Przywiozłam ci paczkę od ojca - powiedziała Amy, kiedy jechali do kancelarii. Pomyślałam, że chciałybyś ją odebrać.

- Jaką paczkę?

- Przyszła do biura w zeszłym tygodniu. Nie otworzyłaś jej. Byłaś w sądzie w sprawie Micka Crowleya. Pamiętasz? To ten dziennikarz, co lubi małych chłopców.

Alex otworzyła wysłaną FedExem niedużą paczkę i wysypała sobie zawartość na kolana.

Tani telefon komórkowy, na kartę. Dwie karty do telefonu.

Zawinięty w folię aluminiową plik banknotów: pięć tysięcy dolarów w setkach.

I tajemnicza notka: „Na wypadek kłopotów. Nie używaj kart kredytowych. Wyłącz swoją komórkę. Nie mów nikomu, dokąd jedziesz. Pożycz od kogoś samochód. Daj znać, kiedy zamieszkacie w jakimś motelu. Zabierz Jamiego”.

Alex westchnęła.

- Sukinsyn...

- Co się stało?

- Ojciec mnie czasem wkurza. Nie musiała wtajemniczać Amy w szczegóły. Posłuchaj, dziś jest czwartek... Co powiesz na długi weekend?

- Mój facet się ucieszy. Chciał pojechać do Pebble Beach na paradę starych samochodów.

- Świetnie. Weź mój wóz.

- Mówisz poważnie? Sama nie wiem... A jak coś się stanie? Będę miała wypadek czy coś...

- Nie martw się. Po prostu go weź.

Amy zmarszczyła brwi. Milczenie się przeciągało.

- To bezpieczne?

- Oczywiście.

- Nie wiem, w co się wpakowałam.

- W nic poważnego. Jedna wielka pomyłka. Obiecuję, że do poniedziałku będzie po sprawie. Odstaw mi samochód w niedzielę wieczorem, a w poniedziałek spotkamy się w biurze.

- Na pewno? - Na pewno.

- A mogę dać poprowadzić mojemu chłopakowi?

- Jasne.

R057

Georgia Bellarmino nigdy by się nie dowiedziała, gdyby nie pudełko z płatkami.

Rozmawiała przez telefon z klientem z Nowego Jorku - bankierem inwestycyjnym, który niedawno objął posadę w Departamencie Energii i zamierzał kupić dom w Rockville, w Marylandzie. Georgia - laureatka Nagrody dla Najlepszego Agenta Nieruchomości w Rockville po raz trzeci z rzędu - przedstawiała mu szczegółowo warunki zakupu, gdy z kuchni dobiegło ją wołanie Jennifer, jej szesnastoletniej córki:

- Mamo, spóźnię się do szkoły! Gdzie są płatki?

- Na stole.

- Nie ma ich.

- Sprawdź jeszcze raz.

- Mamo, nie ma ich na stole! Jimmy musiał wszystko zjeść. Pani Bellarmino zakryła dłonią mikrofon w słuchawce.

- To otwórz sobie nowe pudełko, Jen. Masz szesnaście lat. Jesteś dużą dziewczynką.

- A gdzie jest?

Trzask otwieranych i zamykanych szafek.

- Zobacz nad kuchenką.

- Patrzyłam. Nie ma.

Pani Bellarmino powiedziała klientowi, że oddzwoni, i poszła do kuchni. Jej córka miała na sobie biodrówki i skąpy top, który nadawałby się na roboczy strój prostytutki. Co za czasy: nawet w gimnazjum dzieciaki tak się ubierają. Westchnęła.

- Sprawdź nad kuchenką Jen.

- Mówiłam ci, że sprawdziłam.

- Sprawdź jeszcze raz.- Możesz mi je dać, mamó? Spóźnię się. Pani Bellarmino nie zamierzała ustąpić.

- Nad kuchenką.

Jennifer podniosła rękę, otworzyła szafkę i wspięła się na palce, żeby dosięgnąć pudełka z płatkami - które, oczywiście, było na swoim miejscu. Ale pani Bellarmino nie patrzyła na pudełko. Wpatrywała się w odsłonięty brzuch córki.

- Jen... Znowu masz siniaki.

Jennifer postawiła płatki na stole, obciągnęła bluzeczkę i zasłoniła brzuch.

- To nic takiego.

- Przedwczoraj też je widziałam. Dziewczyna usiadła do śniadania.

- Nie mam czasu, mamó.

- Jennifer? Pokaż mi je.

Jennifer westchnęła, zniecierpliwiona, wstała i zadarła top, odsłaniając brzuch. Duży siniak przecinał skórę poziomo tuż nad linią bikini. Jeszcze jeden, bledszy, widniał po drugiej stronie brzucha.

- To nic takiego, mamó. Stale obijam się o biurko.

- Ale nie powinnaś mieć takich siniaków...

- Nie bolą.

- Bierzesz witaminy?

- Mamó? Mogłabym wreszcie zjeść?

- Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć. Wiesz, prawda?

- Mamó, przez ciebie naprawdę się spóźnię! A dziś mam test z francuskiego!

Nie było sensu ciągnąć tego dłużej - tym bardziej że telefon znów się rozdzwonił: to pewnie ten klient z Nowego Jorku. Klienci bywają niecierpliwi; oczekują że obsługujący ich agent będzie do ich dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Georgia przeszła do gabinetu, odebrała telefon i sięgnęła po dokumenty.

Pięć minut później usłyszała: - Pa, mamó!

I trzask drzwi wejściowych.

Ale nie przestała się martwić. Miała złe przecucia. Zadzwoiła do Bethesdy, do męża. Chociaż raz jej się udało: Rob chwilowo nie uczestniczył w żadnym zebraniu i od razu ją do niego przełączyli. Powiedziała mu o wszystkim.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? - zapytała.

- Przeszukaj jej pokój - odparł bez namysłu. - To nasz obowiązek.

- Dobrze. Zadzwoię tylko do firmy i powiem, że przyjdę później.

- Wkrótce wylatuję, ale daj znać, co i jak.

Boeing 737 Bartona Williamsa podkolewał na miejsce postojowe przy prywatnym terminalu Hopkinsa w Cleveland. Gwizd silników ścichł. Samolot miał luksusowe wnętrze: dwie sypialnie, dwie łazienki z prysznicami, jadalnia na osiem osób. Ale najchętniej Barton spędzał czas w głównej sypialni, bliżej ogona, zajmującej jedną trzecią długości kabiny, z ogromnym łóżem. Wystarczyłaby mu jedna stewardesa - mimo to zawsze zabierał w podróż trzy. Lubił towarzystwo. Lubił śmiech i flirt; młode, gładkie ciała na futrach, w przyćmionym świetle - ciepłym, czerwonym, zmysłowym. No i samolot lecący na wysokości dwunastu tysięcy metrów był jedynym bezpiecznym schronieniem przed żoną.

Myśl o żonie zepsuła mu humor. Spojrzał na papugę, siedzącą na swojej żerdzi. Klatka stała w salonie.

- Porwałś mnie - powiedziała papuga.

- Jak się nazywasz? Bo zapomniałem...

- Riley - odparł ptak dziwnym głosem. - Doghouse Riley.

- Nie cwaniakuj.

- Mam na imię Gerard.

- No tak, rzeczywiście. Gerard... Nie podoba mi się. Jest takie nieamerykańskie. Może nazwę cię Jeny? Pasuje ci? - Nie. Nie pasuje.

- Dlaczego?

- Bo to głupi pomysł. Zapadła niezręczna cisza.

- Naprawdę? - spytał Williams z nutą groźby w głosie.

Zdawał sobie sprawę, że rozmawia ze zwierzęciem, ale nie przywykł do tego, by ktoś

- zwłaszcza jakiś ptak - nazywał go głupim. Od wielu, wielu lat mu się to nie zdarzyło. Entuzjazm, z jakim przyjął prezent dla żony, wyraźnie osłabł.

- Wiesz, Jeny, powinieneś być dla mnie miły. Jestem twoim właścicielem.

- Nie można kupić człowieka.

- Nie jesteś człowiekiem, Jeny, tylko pieprzonym ptakiem! - Williams podszedł do klatki. - Posłuchaj, powiem ci, jak to będzie wyglądało. Dam cię w prezencie żonie. Chcę, żebyś był grzeczny i zabawny, żebyś mówił jej komplementy, schlebiał jej i w ogóle był dla niej miły. Rozumiemy się?

- Wszyscy tak robią - powiedział Gerard, naśladowując głos pilota który, słysząc to, obrócił się zaskoczony w fotelu. - Chryste Panie, czasem mam dość tego starego pryka.

Williams zmarszczył gniewnie brwi.

Rozległ się dźwięk do złudzenia przypominający buczenie silników w locie i nałożony na nie głos jednej ze stewardes: - Jenny? Kto mu dziś robi loda: ja czy ty?

- Twoja kolej. Westchnienie. - No dobrze...

- I podaj mu drinka. Nie zapomnij. Szczęk otwieranych i zamykanych drzwi. Williams poczerwieniał, a papuga gadała dalej:

- Och, Barton! Daj mi go, no daj! Jesteś taki duży... Och, tak, kotku, tak, tak! Taki duuuży... Uwielbiam go! Jesteś ogromny, o, tak!

- Wydaje mi się, że nie będziesz mile widzianym gościem w moim domu - stwierdził lodowato Williams.

- To przez ciebie mamy brzydkie dzieci, kochanie.

- Dość tego! - Williams odwrócił się plecami do ptaka.

- Och, Barton! Daj mi go, no daj! Jesteś taki duży... Och... Williams narzucił zasłonę na klatkę.

- Jenny, skarbie, masz rodzinę w Dayton, prawda?

- Tak, panie Williams.

- Jak myślisz, spodobałaby im się gadająca papuga?

- Eee... no... Właściwie... tak, panie Williams. Na pewno.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Mogłabyś jeszcze dziś im ją podesłać?

- Oczywiście.

- A gdyby się okazało, że twoja rodzina nie przepada za pierzastym towarzystwem, niech jej przywiążą jakieś ciężkie kamienie do łap i wrzucą do rzeki. Ja w każdym razie nie chcę jej więcej widzieć.

- Rozumiem, panie Williams.

- Wszystko słyszałem - oznajmił ptak.

- To świetnie - powiedział Williams.

Limuzyna Williamsa odjechała, a Jenny stała na pasie startowym, trzymając w ręce zasłoniętą klatkę.

- I co ja mam z nią zrobić? Mój ojciec nie cierpi ptaków. Poluje na nie.

- Zanieś ją do sklepu zoologicznego - poradził jej pilot. - Albo podaruj komuś, kto wyśle ją do Utah, Meksyku albo w inne takie miejsce.

Refreshing Paws był drogim sklepem zoologicznym w Shaker Heights. Sprzedawano w nim głównie szczeniaki. Młody chłopak za ladą - może ciut młodszy od Jenny - był całkiem fajny. I świetnie zbudowany.

- Macie papugi? - spytała.

- Nie, tylko psy. - Uśmiechnął się do niej. STAN MILLIGRAM, przeczytała na jego plakietce. - Jestem Stan. Co tam masz?

- Cześć, Stan. Jestem Jenny, a to jest Gerard. Żako z Afryki.

- No zobaczmy... Chcesz go sprzedać? - Albo oddać za darmo.

- Dlaczego? Coś z nim nie tak?

- Właściciel go nie polubił.

Jenny zdjęła zasłonę z klatki. Gerard zamrugał i zatrzepotał skrzydłami.

- Zostałem uprowadzony - oznajmił.

- Rany! - zdziwił się Stan. - Nieźle mówi.

- To prawda, wygadany jest.

- To prawda, wygadany jest - powtórzył Gerard, naśladując Jenny. - Przestań mnie traktować tak protekcyjnie.

Stan zmarszczył brwi.

- O co mu chodzi?

- Otaczają mnie głupcy - oświadczyła papuga.

- O nic. - Jenny wzruszyła ramionami. - Po prostu dużo gada.

- Wszystko z nim w porządku? - Jak najbardziej.

Gerard spojrzał na Staną.

- Przecież ci mówiłem: zostałem uprowadzony. Ona jest w to zamieszana, porywaczka jedna.

- Ukradłaś go? - spytał Stan.

- Nie ukradła, tylko porwała - poprawił go Gerard.

- Co to za akcent? - Stan uśmiechnął się do Jenny, która ustawiła się bokiem, żeby mógł podziwiać jej biust.

- Francuski.

- Brzmi jak brytyjski.

- Słyszałam, że przywieźli ją z Francji.

- O la, la... - mruknął Gerard. - Może byś wysłuchał, co ja mam do powiedzenia?

- Myśli, że jest prawdziwą żywą osobą - dodała Jenny.
 - Bo jestem, kretynko. Jeśli lecisz na tego gościa, to idźcie się pobzykać i już. Nie każ mi patrzeć, jak go wabisz swoimi walorami.
- Jenny poczerwieniała. Stan spuścił wzrok, ale po chwili znów się uśmiechnął.
- Ma niewyparzony język - westchnęła Jenny.
 - Przeklina?
 - Nie, nigdy nie słyszałam, żeby klęła.
 - Znam kogoś, komu mogłaby się spodobać. Pod warunkiem że nie przeklina.
 - Kogo?
 - Pomyślałem o mojej ciotce w Kalifornii, w Mission Viejo. To w hrabstwie Orange. Owdowiała i jest teraz sama. Lubi zwierzęta.
 - Fajnie. Brzmi nieźle.- Chcesz mnie oddać?! - spytał ze zgrozą Gerard. - To niewolnictwo! Nie jestem czymś, co można tak po prostu oddać.
 - I tak tam jadę - powiedział Stan. - Jutro albo pojutrze. Mógłbym go wziąć ze sobą. Ciotka się ucieszy. Posłuchaj... Co robisz dziś wieczorem?
 - Mogę mieć wolne.

R059

Magazyn znajdował się niedaleko lotniska w Medanie. W dachu miał świetlik, więc w środku było całkiem jasno; młody orangutan w klatce wyglądał zdrowo i żwawo. Oczy mu błyszczały. Otrząsnął się już z wpływu środka nasennego.

Sfrustrowany Gorevitch krążył po magazynie, co chwila zerkając na zegarek. Na stole leżała uszkodzona kamera - wyciekała z niej brudna, błotnista woda. Chętnie by ją rozmontował i wysuszył, ale nie miał odpowiednich narzędzi. Nie miał... Nie miał...

Zanger, przedstawiciel telewizji, stał przy stole.

- Co teraz? - spytał.
- Czekamy na nową kamerę, psiakrew! - Gorevitch spojrział pytająco na agenta DHL, młodego Malajczyka w jaskrawożółtym uniformie. - Długo jeszcze?
- Powiedzieli, że dostarczą w ciągu godziny, proszę pana. Gorevitch prychnął.
- Powiedzieli to dwie godziny temu!
- Tak, proszę pana, ale samolot wystartował już z Bekasi i leci tutaj.

Bekasi leży na północnym wybrzeżu Jawy. Półtora tysiąca kilometrów od Medanu.

- Kamera jest w tym samolocie, tak?

- Powinna być, proszę pana.

Gorevitch znów zaczął krążyć po magazynie, unikając oskarżycielskich spojrzeń Zangera. Cała sprawa była jedną wielką komedią omyłek. Wtedy, w dżungli, reanimował orangutana niemal przez godzinę, zanim zwierzę zaczęło wykazywać oznaki życia. Potem nieźle się namęczył, żeby spętać małpę i ponownie ją uspić, tym razem nie za dużą dawką a później cały czas się nią opiekował, żeby podczas transportu do Medanu - najbliższego miasta z lotniskiem - nie doznała wstrząsu.

Orangutan miał się świetnie, kiedy wreszcie trafił do magazynu, gdzie zaczął kląć jak holenderski marynarz. Gorevitch zawiadomił Zangera, który natychmiast wsiadł w Nowym Jorku do samolotu. Zanim jednak dotarł do Indonezji, małpa nabawiła się zapalenia krtani i ledwie mówiła ochryplym szeptem.

- No i co nam po nim? W ogóle nie słyhać, co mówi - denerwował się Zanger.

- Nie szkodzi - uspokajał Gorevitch. - Nagramy go na wideo, a głos podłoży się później. No wiesz, zrobimy postsynchrony.

- Chcesz mu podłożyć głos?
- Nikt się nie zorientuje.
- Czyś ty zwariował?! Wszyscy się zorientują! Wszystkie laboratoria na świecie będą chciały przyjrzeć się temu nagraniu, i to na najlepszym sprzęcie. W pięć minut się połąpią.
- No dobrze - zgodził się niechętnie Gorevitch. - W takim razie czekamy, aż mu się polepszy.
Zanger wciąż miał obiekcje.

- A polepszy się? Wygląda na chorego. Myślisz, że się zaziębił?

- Możliwe - przyznał Gorevitch.

W rzeczywistości był prawie pewien, że sam zaraził orangutana, robiąc mu sztuczne oddychanie. Dla niego to było lekkie przeziębienie, ale małpa - zgięta właśnie w pół w ataku kaszlu - zносиła je o wiele gorzej.

- Sprowadźmy weterynarza.

- Nie. To gatunek chroniony, a my ten okaz ukradliśmy. Zapomniałeś już?

- Ty go ukradłeś. A teraz, jeśli nie będziesz ostrożny, możesz go jeszcze zabić.

- Młody jest, wyzdrowieje.

I faktycznie, dzień później orangutan znów zaczął mówić, chociaż kaszłał przy tym spazmatycznie i pluł paskudną żółtozieloną wydzieliną. Gorevitch uznał, że nie ma co zwlekać z filmowaniem. Poszedł więc do samochodu po kamerę, ale wracając, potknął się i upuścił ją do błotnistego rowu. Obudowa pękła. A wszystko to pięć metrów od magazynu.

Potem oczywiście okazało się, że w całym Medanie nie można kupić przyzwoitej kamery i trzeba sprowadzić nową z Jawy. Właśnie teraz na nią czekali. Zamknięty w klatce orangutan kłął, kaszłał, rzeził i pluł na nich flegmą.

Zanger stał tuż poza jego zasięgiem i kręcił głową.

- Rany boskie, co za burdel.

Gorevitch znów zwrócił się do młodego agenta DHL:

- Długo jeszcze?

Małajczyk wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Orangutan zaklął i zakaszłał.

R060

Georgia Bellarmino weszła do pokoju córki i rozpoczęła szybką rewizję. Bałagan był trudny do opisanego: okruchy w fałdach wymiętej narzuty na łóżku, porysowane kompakty na podłodze, puszkę po coca-coli walające się pod łóżkiem wraz z brudną szczotką do włosów, lokówką i tubką po samoopalaczu. W szufladach nocnej szafki znalazła papierki po gumie do żucia, zwiniętą w kłębek bieliznę, miętusy, tusz do rzęs, zdjęcia z ubiegłorocznego balu absolwentów, zapalniczki, kalkulator, brudne skarpetki, stare numery „Teen Vogue” i „People”.

I paczkę papierosów, co wcale jej nie ucieszyło.

Teraz komoda. Błyskawicznie przekopała szuflady, sięgając ręką w głąb, pod tylną ściankę. Następna była szafa, trochę trwało jej przeszukania. Na dnie odkryła prawdziwe kłębowisko butów.

Szafka pod umywalką w łazience. Kosz na pranie.

Nie znalazła nic, co tłumaczyłoby siniaki.

Nie było sensu trzymać w pokoju kosza na brudy, skoro Jennifer rozrzuciła je po całej podłodze w łazience. Georgia schyliła się i zaczęła je odruchowo zbierać. I wtedy zobaczyła ślady na posadzce: słabe, równoległe. Otarta guma.

Wiedziała, że to ślady po drabince.

Podniosła wzrok: w suficie znajdowała się kłapa na strych. Było na niej widać rozmazane odciski palców. Przyniosła sobie drabinkę.

Kiedy otworzyła kłapę, z góry posypały się igły i strzykawki. Zagrzechotały o posadzkę. O mój Boże. Sięgnęła ręką głębiej. Namacała podłużne tekturowe pudełka, jak od pasty do zębów. Wyjęła je. Wszystkie miały specjalistyczne, medyczne nazwy: lupron, gonalf, follestim.

Leki na bezpłodność.

Co jej córka wyrabia?

Postanowiła nie zawiadamić męża, żeby nie denerwować go bez potrzeby. Wzięła telefon i zadzwoniła do szkoły.

R061

Interkom buczał jak opętany, ale doktor Bennett nie zwracał na niego uwagi.

Wyniki biopsji były gorsze, niż myślał. O wiele gorsze. Przesunął palcem po papierze. Zastanawiał się, jak powiedzieć pacjentce prawdę.

Martin Bennett z Chicago miał pięćdziesiąt pięć lat. Przez blisko trzy dekady był praktykującym internistą i wielu pacjentom przekazywał złe wieści, ale jakoś z czasem wcale nie przychodziło mu to łatwiej. Zwłaszcza w przypadku ludzi młodych, z małymi dziećmi. Spojrzał na stojące na biurku zdjęcia synów. Obaj już studiowali: Tad kończył Uniwersytet Stanforda, Bill wybrał Columbię - i medycynę.

Rozległo się pukanie do drzwi i Beverly, jego pielęgniarka, wetknęła głowę do środka.

- Przepraszam, doktorze, ale nie odpowiadał pan na interkom. A ja pomyślałam, że to może być ważne.

- Masz rację, tylko... Zastanawiam się, jak jej to powiedzieć. - Wstał. - Poproś Andreę.

Beverly pokręciła głową.

- Andrei jeszcze nie ma. Mówię o tej drugiej kobiecie.

- Jakiej drugiej kobiecie?

Beverly wśliznęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Pańskiej córce.

- Co ty wygadujesz? Ja nie mam córki.

- W poczekalni siedzi młoda kobieta, która twierdzi, że jest pana córką.

- To niemożliwe. Jak się nazywa? Beverly spojrzała na kartkę.

- Murphy. Mieszka w Seattle. Jej matka pracuje na uniwersytecie. Na oko ma jakieś dwadzieścia osiem lat. Przyszła z dzieckiem, półtoraroczną dziewczynką.

- Murphy? Seattle? - Bennett się zamyślił. - Dwadzieścia osiem, mówisz? Nie, nie, wykluczone.

Owszem, na studiach zdarzało mu się romansować, ale odkąd prawie trzydzieści lat temu ożenił się z Emily, zdradzał ją wyłącznie podczas wyjazdów na konferencje - całkiem często, bo co najmniej dwa razy w roku. W Cancun, w Szwajcarii, zawsze w jakimś egzotycznym miejscu, zaczęło się to jednak dopiero dziesięć, piętnaście lat temu, nie więcej. Nie mógł mieć dziecka w wieku tej kobiety.

- Człowiek chyba nigdy nie jest pewny... - zasugerowała Emily. - Przyjmie ją pan? Nie.

- Powiem jej. - Beverly zniżyła głos do szeptu. - Ale byłoby źle, gdyby zrobiła scenę przy pacjentach. Bo wie pan, wygląda na trochę... niezrównoważoną. Jeśli nie jest pańską córką może powinien jej pan wszystko wyjaśnić na osobności.

Bennett z namysłem pokiwał głową i usiadł. - Dobrze. Poproś ją.

- Niespodzianka, co? - W drzwiach stanęła niezbyt atrakcyjna blondynka średniego wzrostu, w tanich dżinsach i koszulce. Na rękę trzymała dziecko. Było brudne, kapało mu z nosa. - Przepraszam, że w takim stroju, ale wie pan, jak jest.

Bennett wstał.

- Proszę wejść, panno... mmm...

- Murphy. Elizabeth Murphy. A to jest Bess. - Głową wskazała dziecko.

- Doktor Bennett.

Poprosił, żeby usiadła na krześle po drugiej stronie biurka. Przyjrzał się jej uważnie. Nie widział podobieństwa. Ani śladu. On miał ciemne włosy, jasną karnację i lekką nadwagę, ona była chuda jak szczapa, krucha i śniada. I spięta.

- Wiem, o czym pan myśli: nie przypominam pana. Ale gdybym nie farbowała włosów i trochę przytyła, zobaczyłby pan rodzinne podobieństwo.

- Przykro mi, ale szczerze mówiąc, nie widzę go.

- Trudno. - Wzruszyła ramionami. - To pewnie dla pana szok, że się tak nagle pojawiaam u pana w gabinecie, znikąd.

- Co najmniej niespodzianka.

- Chciałam zadzwonić i uprzedzić, ale potem pomyślałam, że po prostu przyjdę. Bo mógłby pan nie chcieć się ze mną spotkać.

- No tak. Panno Murphy, skąd ten pomysł, że jestem pani ojcem?

- To nie pomysł, tylko pewność - odparła z niepokojącym przekonaniem.

- Pani matka powiedziała pani, że mnie zna?

- Nie.

- A ja ją znam?

- Nie, skądże. Bennett odetchnął z ulgą.

- W takim razie nie rozumiem...

- Już wyjaśniam. Odbywał pan staż w szpitalu Southern Memorial w Dallas. Zmarszczył brwi.

- To prawda...

- Od stażystów pobiera się krew i ustala grupę krwi, żeby w awaryjnej sytuacji mogli być dawcami.

- To było dawno temu.

Ze trzydzieści lat, pomyślał.

- Fakt. Ale oni dalej przechowują tę krew, tato. Znów to samo: ta pewność siebie w głosie.

- Co z tego wynika?

Panna Murphy usiadła wygodniej.

- Chcesz wziąć wnuczkę na ręce?

- Nie, dziękuję. Nie w tej chwili. Uśmiechnęła się kąśliwie.

- Jesteś inny, niż myślałam. Spodziewałam się, że lekarz będzie bardziej... współczujący. W klinice metadonowej w Bellevue mają fajnych lekarzy.

- Panno Murphy, czy mogę...

- Kiedy skończyłam z narkotykami i urodziłam śliczną córeczkę, postanowiłam nadać swojemu życiu jakiś sens. Chciałam, żeby mała poznała dziadków. No i chciałam wreszcie poznać ciebie.

Bennett uznał, że czas zakończyć tę szopkę. Wstał.

- Panno Murphy, zdaje sobie pani sprawę, że mogę zlecić wykonanie badań genetycznych, które wykażą...

- Owszem, zdaję sobie z tego sprawę.

Rzuciła mu na biurko kartkę. Wziął ją i powoli rozłożył. Były to wyniki badań z laboratorium genetycznego w Dallas. Przejrzał je szybko. I nogi się pod nim ugięły.

- Wynika z tego, że jesteś moim ojcem, jak nic. Prawdopodobieństwo, że nie, szacujana jeden do czterech miliardów. Pobrali materiał genetyczny ode mnie i porównali go z DNA twojej krwi.

Bennett osunął się na krzesło. - To jakiś obłąd...

- Myślałam, że mi pogratulujesz. Nie było łatwo to wszystko wykombinować. Dwadzieścia osiem lat temu mama mieszkała w Saint Louis. Miała męża...

Bennett studiował w Saint Louis.

- Ale mnie nie zna?

- Sztuczne zapłodnienie, anonimowy dawca. Byłeś nim ty. Bennettowi kręciło się w głowie.

- Domyśliłam się, że dawcą mógł być student medycyny, bo mama zrobiła zabieg w klinice akademii medycznej. Mieli tam własny bank nasienia. Studenci oddawali spermę, żeby sobie dorobić, prawda?

- Tak. Dwadzieścia pięć dolarów za jeden raz.

- No właśnie. Wtedy to było przyzwoite kieszonkowe. Wystarczyło pewnie z raz w tygodniu pójść tam i zrobić, co trzeba. - Mniej więcej.

- Piętnaście lat temu klinika spłonęła, spaliły się wszystkie akta. Ale dotarłam do spisów studentów z poszczególnych roczników i przekopałam się przez nie. Co roku przyjmowano sto dwadzieścia osób, kobiet i mężczyzn po równo. Sześćdziesięciu mężczyzn. Po odrzuceniu Azjatów i dawców z innych mniejszości zostawało około trzydziestu pięciu. Nasienie przechowywano wtedy nie dłużej niż rok. W ten sposób ograniczyłam liczbę nazwisk do około stu czterdziestu. Poszło szybciej, niż się spodziewałam.

Bennett zupełnie oklapł na krzesło.

- Ale wiesz co? Jak tylko zobaczyłam twoje zdjęcie w księdze pamiątkowej, wiedziałam, że to ty. Te włosy, układ brwi... - Wzruszyła ramionami. - No, więc przyjechałam.

- To nie powinno nigdy się zdarzyć. Byliśmy anonimowi. Nie do wytropienia. Gwarantowano nam, że nikt się nie dowie, czy mamy dzieci, czy nie. Wtedy anonimowość była dla nas czymś.

- Wtedy tak. Ale tamte czasy minęły.

- Chodzi mi o to, że nie wyraziłem zgody na to, żeby być twoim ojcem. Znowu wzruszyła ramionami.

- Nic na to nie poradzę.

- Ja nie chciałem mieć dziecka, tylko pomóc bezpłodnym parom. - Ale stało się. Jestem twoją córką.

- Masz przecież rodziców...

- Jestem pańską córką doktorze Bennett. I mogę to udowodnić przed sądem. Zapadła cisza. Przyglądali się sobie nawzajem. Dziecko śliniło się i wierciło w objęciach matki.

- Po co pani przyjechała? - spytał w końcu Bennett.

- Chciałam poznać mojego biologicznego ojca...

- No to go pani poznała.

- I chciałam, żeby wypełnił swój obowiązek. Jest mi pan coś winien. Więc to tak. Kawa na ławę. Nareszcie.

- Panno Murphy... - zaczął z namysłem. - Nic pani ode mnie nie dostanie. Wstał. Ona również.

- To przez pańskie geny jestem narkomanką.

- To jakiś absurd.

- Pański ojciec był alkoholikiem, pan sam miał kłopoty z narkotykami. Jest pan nosicielem genów, które powodują uzależnienie.

- Jakich genów?

- AGS3: uzależnienie od heroiny. DAT1: uzależnienie od kokainy. Pan je ma, i ja je mam. Odziedziczyłam je po panu. Nie powinien był pan oddawać wadliwego nasienia do banku.

- Co pani wygaduje?! - zdenerwował się Bennett. Ta kobieta realizowała dobrze wyuczony scenariusz. Nagle poczuł się zagrożony. - Wtedy, trzydzieści lat temu, nie było jeszcze testów, więc teraz nie może być mowy o odpowiedzialności...

- Ale pan wiedział! - warknęła. - Miał pan problem z kokainą i wiedział pan, że w rodzinie zdarzały się uzależnienia. Mimo to oddał pan spermę. Wadliwe, niepełnowartościowe nasienie trafiło na rynek, a pan nie dbał o to, że może komuś zaszkodzić.

- Zaszkozić?

- Nie powinien był pan tego robić. Pohańbił pan zawód lekarza, obarczając innych swoimi wadami genetycznymi i się tym nie przejmując.

Jakimś cudem udało mu się zachować zimną krew. Podeszedł do drzwi.

- Panno Murphy, nie mam pani nic więcej do powiedzenia.

- Wyrzuca mnie pan? Jeszcze pan pożałuje. I to bardzo. Wybiegła z gabinetu.

Wyczerpany Bennett opadł ciężko na krzesło. Był w szoku. Wpatrywał się tępo w blat biurka, w przygotowane karty pacjentów - ale w tej chwili nic nie miało znaczenia. Zadzwoił do swojego adwokata i w krótkich słowach opisał mu sytuację.

- Chce pieniędzy? - zapytał prawnik.

- Tak przypuszczam.

- Powiedziała ile?

- Jeff... Nie traktujesz jej chyba poważnie?

- Muszę. Niestety. To się wydarzyło w Missouri, a w tamtych czasach Missouri nie miało jednoznacznych przepisów regulujących kwestię ojcostwa przy sztucznym zapłodnieniu. Do niedawna takie sprawy jak twoja w ogóle nie stanowiły problemu. Ale w sprawach o ojcostwo sądy rutynowo orzekają obowiązek alimentacyjny.

- Ona ma dwadzieścia osiem lat.

- To prawda, ma również rodziców. To jednak nie znaczy, że nie pójdzie z tym do sądu. Opierając się na tych badaniach genetycznych, może ci zarzucić wystawienie na szwank jej zdrowia, maltretowanie dziecka albo wyciągnąć jakiś inny zarzut z kapelusza. Albo przekona sędziego, albo nie. Nie zapominaj, że w takich sprawach mężczyźni są dyskryminowani. Powiedzmy, na przykład, że kobieta zaszła z tobą w ciążę. Jeżeli zechce usunąć dziecko, może to zrobić, nie pytając cię o zdanie. Ale jeśli postanowi je urodzić, będziesz płacił alimenty, nawet jeśli nie wyraziłeś zgody na bycie ojcem. Sąd ciebie obarczy odpowiedzialnością. Weźmy inną sytuację: robisz testy genetyczne swoim dzieciom i okazuje się, że nie jesteś ich ojcem. Żona cię zdradziła. A sąd i tak każe ci płacić na dzieci, które nie są twoje.

- Ale ona ma dwadzieścia osiem lat, nie jest dzieckiem...

- Pytanie brzmi: czy ogólnie poważany lekarz będzie w sądzie dochodził swojego prawa do niepłacenia alimentów na córkę?

- Nie.

- No właśnie. I ona o tym wie. Domyślam się, że zna również prawo stanowe Missouri. Poczekaj, aż zadzwoni, umów się z nią i daj mi znać. Jeśli będzie chciała przyjść z adwokatem, tym lepiej. Niech przyjdzie. A na razie przefaksuj mi wyniki badań genetycznych, które ci przyniosła.

- Będę ją musiał spłacić?

- Masz to jak w banku.

Dyżur na posterunku policji w Rockville pełniła ładna, dwudziestopięcioletnia Murzynka o gładkiej skórze. Mundur miała zaprasowany w kant. Georgia Bellarmino zerknęła na tabliczka na biurku: oficer J. LOWRY.

Szturchnęła córkę i stanęły po drugiej stronie biurka. Położyła na blacie papierową torbę ze strzykawkami i powiedziała:

- Pani Lowry, próbuję się dowiedzieć, po co mojej córce te lekarstwa, ale ona nie chce mi

powiedzieć.

Jennifer spojrzała na nią ze złością.

- Jesteś beznadziejna, mamó.

J. Lowry nie wyglądała na zaskoczoną. Spojrzała na strzykawkę, a potem na dziewczynę.

- Przepisał ci je lekarz?

- Tak.

- Czy stosowanie tych leków wpływa na płodność?

- Tak.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Mogę zobaczyć jakiś dokument?

- Tak, ma szesnaście lat. - Georgia Bellarmino oparła się o biurko. - A ja się chcę dowiedzieć...

- Przykro mi, proszę pani, ale jeżeli córka ma szesnaście lat, a kuracja wpływa na płodność, nie ma pani prawa do takich informacji.

- Jak to: nie mam prawa. To moja córka. Ma szesnaście lat!

- Takie są przepisy, proszę pani.

- Te przepisy stosuje się w przypadku aborcji, a tu nie chodzi o aborcję. Ja po prostu nie wiem, co ona wyrabia! To leki na bezpłodność. Moja córka szprycuje się lekami na bezpłodność!

- Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc.

- Chce mi pani powiedzieć, że moja córka może sobie wstrzykiwać jakieś świństwa, a ja nie mam prawa dowiedzieć się po co?!

- Może się pani tego dowiedzieć tylko od niej.

- A jeśli zapytam jej lekarza?

J. Lowry pokręciła głową.

- On też nie udzielił pani takich informacji. Tajemnica lekarska. Georgia Bellarmino zgarnęła strzykawkę do torby.

- To jakiś absurd!

- Ja nie ustanawiam praw, proszę pani. Ja tylko pilnuję ich przestrzegania.

Wracały z posterunku.

- Kochanie - zaczęła Georgia. - Chcesz zajść w ciążę?

- Nie.

Jennifer siedziała obok niej ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Wściekła.

- Masz dopiero szesnaście lat, nie powinnaś mieć z tym problemu... O co chodzi?

- Przez ciebie czuję się jak idiotka.

- Ja się po prostu o ciebie martwię, kochanie.

- Wcale nie. Jesteś wredną wścibską suką. Nienawidzę cię i nienawidzę tego samochodu.

Trwało to jeszcze chwilę, dopóki nie zatrzymały się pod szkołą. Jennifer wysiadła z auta i trzasnęła drzwiami.

- W dodatku przez ciebie spóźnię się na francuski!

Poranek miała męczący, odwołała dwa spotkania, a teraz będzie musiała zmienić harmonogram przyjęć klientów. Weszła do biura, postawiła torbę z lekarstwami na podłodze i sięgnęła po telefon.

Florence, jej sekretarka, zaciekawiona zerknęła do torby.

- No, no... Nie za stara jesteś na takie rzeczy?

- To nie moje - odparła zirytowana Georgia. - A czyje? Chyba nie twojej córki? Georgia pokiwała głową.

- To ten doktor Vandickien.
 - Kto?
 - Lekarz z Miami. Nastolatki biorą hormony, pompują jajniki, sprzedają mu jajeczka i zgarniają kasę.
 - Po co?
 - Na operacje powiększenia biustu. Georgia westchnęła.
 - Pięknie. Po prostu pięknie.
- Chciała, żeby Rob porozmawiał z Jennifer, ale właśnie leciał do Ohio, gdzie miał wziąć udział w jakimś programie telewizyjnym. Ta dyskusja - z całą pewnością bardzo ostra musi poczekać.

R063

Jadąc kolejką podziemną z gmachu Biura Senatu do senackiej jadalni, senator Robert Wilson (Vermont, demokrat) zwrócił się do senator Dianne Feinstein (Kalifornia, demokratka):- Wydaje mi się, że w sprawach genetycznych powinniśmy być bardziej aktywni. Na przykład rozważyć ustawę zabraniającą młodym kobietom sprzedawania komórek jajowych dla zysku.

- Dziewczyny już to robią Bob. Sprzedają jajeczka.
 - Po co? Żeby opłacić studia?
 - Niektóre pewnie tak, ale niewiele. Większość chce zarobić na nowy samochód dla chłopaka albo na operację plastyczną dla siebie.
- Senator Wilson nie krył zdumienia.
- Od jak dawna tak się dzieje?
 - Ze dwa lata.
 - Chyba w Kalifornii...
 - Wszędzie, Bob. Nastolatka w New Hampshire zdobyła w ten sposób pieniądze na kaucję za chłopaka.
 - Nie niepokoi cię to?
 - Nie podoba mi się. Uważam, że postępują nierozważnie. Przypuszczam, że z punktu widzenia medycyny procedura może być niebezpieczna; obawiam się, że te dziewczyny kładą na szali swoją zdolność do rozrodu. Ale na jakiej podstawie chciałbyś im tego zabronić? Ich ciała, ich jajeczka. - Feinstein wzruszyła ramionami. - Zresztą co się stało, to się nie odstanie, Bob. Spóźniłeś się.

R064

Tylko nie to!

Ellis Levine znalazł matkę na piętrze firmowego sklepu Ralpho Laurena na rogu Madison i Siedemdziesiątej Drugiej. Stała przed lustrem w kremowej płóciennej garsonce i zielonym szalu. Obracała się to w jedną stronę, to w drugą.

- Cześć, kochanie - powiedziała na jego widok. - Znów mi urządzisz scenę?
- Mamo. Co ty robisz?
- Przyszłam kupić parę rzeczy na lato.
- Przecież rozmawialiśmy o tym.
- To tylko kilka drobiazgów. Podobają ci się mankiety spodni?
- Mamo, znowu to samo?

Zmarszczyła brwi i odruchowo poprawiła siwe włosy.

- A szalik? Nie mogę sprawić sobie nawet szalika?
- Musimy porozmawiać.
- Pójdziemy na lunch?
- Spray nie podziałał.
- Tak myślisz? - Dotknęła policzka. - Skórę miałam trochę nawilżoną przez jakiś tydzień... Ale nie za

bardzo.

- I cały czas chodziłaś po sklepach.

- Cały czas? Prawie wcale!

- W zeszłym tygodniu wydałaś trzy tysiące dolarów.

- Nie martw się. Większość tamtych rzeczy zwróciłam. - Pociągnęła za koniec szala. Niedobrze mi w tej zieleni. Wyglądam, jakbym była chora. Różowy byłby lepszy. Ciekawe, czy mają różowe.

Ellis przyglądał się jej uważnie, pełen złych przeczuc. Coś było z nianie w porządku. Stała przed lustrem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym znalazł ją przed kilkoma tygodniami. Wtedy kompletnie ignorowała jego obecność, jego słowa, problemy rodzinne i swoją sytuację finansową. Zachowywała się bardzo niestosownie.

Przerażali go - jako zawodowego księgowego - ludzie, którzy nie umieli obchodzić się z pieniędzmi. Pieniądze są prawdziwe, namacalne; należą do królestwa suchych faktów i liczb w arkuszach kalkulacyjnych. A fakty i liczby nie podlegają dyskusji. Nie zmieniają się w zależności od punktu widzenia. Jego matka nie dostrzegała okrutnych realiów swoich tarapatów finansowych.

Patrzył, jak się uśmiecha i pyta sprzedawczynię, czy mają różowe szale. Nie, odparła dziewczyna, w tym roku różowych nie produkują są tylko zielone i białe. Matka powiedziała, że chciałyby zobaczyć siebie w białym i - kiedy sprzedawczyni poszła po niego - uśmiechnęła się do Ellisa.

Bardzo niestosowne. Prawie jakby...

Może to początki demencji, pomyślał. Pierwsze oznaki.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Jak, mam?

- Nie jestem wariatką. Nie dam się zamknąć.

- Co ci przyszło do głowy?

- Wiem, że wy, chłopcy, potrzebujecie pieniędzy. To dlatego sprzedajecie mieszkania w Vail i na Wyspach Dziewiczych. Dla pieniędzy. Jesteście chciwi, wszyscy co do jednego. Jak sępy, tylko czekacie, aż rodzice pomrą. A jeśli nie będziemy szybko umierać, to nam pomożecie. Oddacie nas do domu opieki. Pozbędziecie się nas. Powiecie, że jesteśmy obłąkani. Taki macie plan, prawda?

Sprzedawczyni wróciła z białym szalem. Matka udrapowała go sobie wokół szyi i zamaszystym gestem odrzuciła na plecy.

- Więc powtarzam panu, panie Cwaniak, nie dam się zamknąć w domu wariatów. Wbij to sobie do głowy. - Odwróciła się do sprzedawczyni. - Wezmę go.

Cały czas się uśmiechała.

Bracia spotkali się tego samego wieczoru. Jeff - przystojny bywalec większości restauracji w mieście - zarezerwował stolik przy wodospadzie w Sushi Hana. Mimo wczesnej pory pełno już tu było aktorów i modelek. Jeff cały czas się rozglądał.

- Jak leci? - spytał w końcu rozdrażniony Ellis. Jeff wzruszył ramionami.

- W porządku. Tylko czasem muszę zostać w pracy do późna. Wiesz, jak jest.

- Nie, nie wiem. Nie wiem, ponieważ nie jestem sławnym bankierem i dziewczyny nie oglądają się za mną na każdym kroku.

Aaron - najmłodszy z braci, prawnik - długo rozmawiał przez komórkę. Wreszcie skończył i zamknął klapkę.

- Dajcie spokój. Kłóćcie się tak od liceum. Co u mamy?

- Mówiłem wam przez telefon: to straszne - odparł Ellis. - Uśmiecha się, jest cała w skowronkach. Nic jej nie obchodzi.

- Trzy tysiące w tydzień.

- Nie robi to na niej wrażenia. Kupuje jak szalona.

- To niby jak działa ten spray? A właściwie to skąd go wytrzasnąłeś?

- Od gościa z Kalifornii, z BioGenu.

Jeff, który dłuższą chwilę siedział prawie tyłem do stolika, odwrócił się teraz do nich.

- Ej, słyszałem o tym BioGenie. Mają kłopoty.

- To znaczy? - zainteresował się Aaron.

- Jakiś produkt, którym się chwalili, został zanieczyszczony. Zyski spadły. Coś schrzaniłi, dokładnie nie pamiętam. Chcieli wejść na giełdę, ale teraz czarno to widzę.

- Jak myślisz, ten spray działa na mamę? - Aaron spytał Ellisa.

- Raczej nie. Chyba cholera nie poskutkowało.

- Wiesz, jeśli doszło do zanieczyszczenia...

- Przestań zgrywać adwokata. Spray przysłał nam jakiś daleki krewny mamy. Chciał nam wyświadczyć przysługę.

- Terapia genowa jest niebezpieczna. Ludzie umierają Całkiem często.

- Nikogo nie będziemy ciągać po sądach, Aaronie. Moim zdaniem to po prostu początki... No wiesz, starości. Alzheimer albo coś w tym rodzaju.

- Mama ma dopiero sześćdziesiąt dwa lata.

- Czasem choroba zaczyna się wcześniej.

- Daj spokój, Ellie. - Aaron pokręcił głową. - Mama zawsze miała końskie zdrowie i intelekt jak żyłeta. A ty teraz mówisz, że jest dziwna. To może być ten spray.

- Zanieczyszczenie - przypomniał im Jeff. Uśmiechał się do jakiejś dziewczyny.

- Psia mać, Jeff, może byś nas posłuchał dla odmiany?!

- Słucham. Zobaczcie, jakie ma bufory.

- Plastik.

- Wszystko musisz zepsuć?

- Nos też ma zrobiony.

- Jest piękna.

- Ma paranoję - powiedział Ellis.

- Tego nie wiesz.

- Mówię o mamie. Boi się, że oddamy ją do domu opieki.

- Może będzie trzeba - przyznał Aaron. - Chociaż to kosztuje majątek. Ale jeśli okaże się, że to konieczne, winny będzie BioGen. Dobrze wiemy, że ludzie nie przepadają za firmami biotechnologicznymi. Uważają je za pijawki bez serca i sumienia, obojętne na ich los. Modyfikowana żywność: zagłada dla środowiska. Patentowanie genów: zawłaszczanie naszego wspólnego dziedzictwa. Żądają tysięcy dolców za lekarstwa warte grosze. Pozorują prace badawcze, a w rzeczywistości kupują osiągnięcia innych ludzi. Twierdzą że wydają fortunę na badania naukowe, gdy tak naprawdę większość pieniędzy idzie na reklamę, w dodatku kłamliwą. Zdradzieckie, podstępne, nierzetelne, chciwe dranie. Wygraną mielibyśmy w kieszeni.

- Nie spotkaliśmy się, żeby rozmawiać o pozwie, tylko o mamie - przypomniał Ellis.

- Ojciec ma się doskonale - zauważył Jeff. - Niech on się o nią martwi. Wstał i przysiadł się do trzech długonogich dziewczyn w kusych spódniczkach.

Ellis się skrzywił.

- Przecież to małolaty.

- Mają drinki - zauważył Aaron. - A on ma dwójkę dzieci w szkole.

- Co u ciebie?

- Wal się.
- Odbiegliśmy od tematu. Może mama zaczyna świrować, a może nie. Ale jeśli okaże się, że trzeba ją oddać do domu opieki, będziemy potrzebowali góry pieniędzy. W tej chwili chyba nas na to nie stać.
- No to co radzisz?
- Chcę się dowiedzieć czegoś o BioGenie i tym ich sprayu. Jak najwięcej.
- Już układasz sobie w głowie pozew czy tylko mi się wydaje?
- Po prostu jestem przewidujący.
- To jest to, stary!

Billy Cleever, porywczy szóstoklasista, zjechał z boiska oldskulowym aerialem, obrócił się w powietrzu o trzysta sześćdziesiąt stopni i heelflipem wskoczył na chodnik. Całą akrobację wykonał bezbłędnie, co go ucieszyło, bo miał wrażenie, że dziś stracił prestiż. Jadące za nim cztery młodziaki nie pokrzykiwały jak zwykle, chociaż znajdowali się na długim zjeździe do Market Street w San Diego. A one nic: cisza. Tak jakby przestały w niego wierzyć.

Billy Cleever został dziś upokorzony. Ręka bolała go jak wszyscy diabli. Mówił tej głupiej pigule, żeby tylko przykleiła plaster, ale nie: uparła się, żeby mu założyć to białe, głupie, wielkie paskudztwo. Oczywiście zaraz po szkole je ściągnął, ale stało się. Wyglądał jak debil. Jak inwalida. Jak nienormalny.

Takie upokorzenie.

Billy miał jedenaście lat i metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, a ważył pięćdziesiąt pięć kilogramów, więc jak na dzieciaka w tym wieku był całkiem muskularny i sporo wyższy od każdego chłopaka w szkole. Nawet od niektórych nauczycieli. Wszyscy bali się mu podskoczyć.

A ten gnojek Jamie, niedorobiony wypłosz z zębami jak u chomika, nie powinien był mu wchodzić w drogę. Markie Lester rzucił mu piłkę. Kiedy Billy się cofał, żeby ją złapać, zderzył się z Chomikiem i obaj się przewrócili. Billy był wściekły i zawstydzony - żeby tak się wywalić na oczach publiki; Sarah Hardy i jej kumpele miały ubaw. Chomik ciągle leżał, więc Billy go kopnął, tak lekko, ostrzegawczo, a kiedy gówniarz wstał, dostał jeszcze po ryju. No, nie tak na serio.

A potem ani się obejrzał, jak Małpolud wskoczył mu na plecy, zaczął go szarpać za włosy i warczeć mu do ucha jak jakaś pieprzona małpa. Sięgnął do tyłu, złapał gnoja, a wtedy Małpolud jak go nie dziabnie... Jezu! Ale bolało. Billy'emu gwiazdy stanęły w oczach.

Opiekun, pan Smark, oczywiście nic nie zrobił. Jęczał tylko:

- Chłopcy, przestańcie. Chłopcy, przestańcie.

W końcu wsadził małpoluda do kozy i zadzwonił po jego matkę, żeby zabrała go do domu - a nie zabrała. I to był błąd. Billy właśnie zobaczył ich u stóp pagórka. Weszli na boisko do baseballu.

Jamie i małpolud.

Zaraz się zacznie!

Billy wpada na nich z impetem. Fruną na boki jak roztrącone kulą kręgle. Lądują na skraju boiska, przy wykopie dla rezerwowych. Jamie przejeżdża brodą po ziemi, wzniesając tuman kurzu, a małpolud wpada na ogrodzenie za bazą domową. Stojący z boku kumple Billy'ego pokrzykują:

- Chcemy krwi! Chce-my krwi!

Mały - Jamie - leży i kwiczy, więc Billy rzuca się od razu na małpoluda. Szarżuje, bierze zamach deską uderza z całej siły i trafia gnoja za uchem. To go nauczy. Nogi uginają się pod małpoludem, osuwa się na ziemię jak szmaciana lalka. Billy sprzedaje mu solidnego kopa, prosto w podbródek - uch, aż go z ziemi poderwało. Ale Billy nie chce sobie pobrudzić nowych butów krwią więc znów wali deską mierząc prosto w ryj małpoluda. Może uda mu się złamać nos albo szczękę. Będzie jeszcze brzydszy.

Tamten jednak robi unik i deska zgrzyta o ogrodzenie z siatki. Małpolud zatapia zęby w nadgarstku Billy'ego i gryzie. Kurwa, ale mocno! Billy wrzeszczy. Wypuszcza deskę z rak. Małpolud gryzie i gryzie. Billy czuje, jak dłoń mu drętwieje, krew spływa na brodę małpoluda, który warczy jak pies i wytrzeszcza na niego gały. Billy'emu - trudno powiedzieć, może dlatego, że małpolud ma nastroszone wszystkie kudły - przez głowę przebiega straszna myśl: ten skurwiel zaraz mnie pożre!

Na szczęście wtedy jego kumple zaczynają okładać deskami małpizona. Obrywa cztery razy w łeb, na odlew. Billy drze się wniebogłosy, małpa warczy - trwa to całą wieczność, zanim w końcu puszcza rękę, rzuca się na Markiego Lestera, uderza go w pierś i Lester pada. Zaczyna się ogólna kotłowanina. Billy nie bierze w niej udziału; tuli do piersi okaleczoną dłoń.

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy ból trochę słabnie, podnosi wzrok i widzi, że małpolud wdrapał się na ogrodzenie i spogląda na nich z wysokości pięciu metrów. Koledzy Billy'ego stoją na dole, wrzeszczą i wymachują deskorolkami.

Billy chwije się na nogach.

- Wyglądacie jak stado małp - krzyczy. - Niech zejdzcie!

- Nie. Nie jest głupi. Wie, że jak zejdzcie, to go skopiemy. Przynajmniej ja.

- No to jak go ściągnąć?

Billy jest wściekły. Ślepa furia każe mu szukać nowej ofiary. Podchodzi do Jamiego i zaczyna go kopać. Celuje w te jego mikroskopijne jądra, ale gówniarz turla się po ziemi i wrzeszczy o pomoc, ciota jedna. Kumple Billy'ego nie są zachwyceni.

- Ej! Zostaw go, to przecież dziecko. Billy jest jednak zawzięty.

Pierdolę. Jak ta małpa tu nie zejdzcie, to go zajebię.

Wie, że w ten sposób osiągnie swój cel. Kopniak. Jeszcze jeden. Dzieciak się drze...

Nagle słyszy krzyki chłopaków:

- O rany! - Kurde!

- Co za syf!

Uciekają. Coś miękkiego i ciepłego trafia Billy'ego w kark. Dziwnie pachnie. Billy sięga ręką... Jezus Maria... Nie wierzy własnym oczom.

- To gówno! On rzuca gównem!

Małpolud ściągnął spodnie i rzuca w nich odchodami! I to celnie. Nie chybia ani razu. Tamci są już cali umazani gównem, a następna pecyna trafia Billy'ego prosto w twarz i rozdziawione usta.

- Blee! - Pluje i pluje, ociera wargi, znów pluje. Nie może się pozbyć tego ohydneho smaku z ust.

To małpie gówno! Wygraża małpoludowi pięścią. - Ty zwierzaku pieprzony!

Następny pocisk trafia go w czoło. Plask!

Billy łapie deskę i ucieka. Dogania kumpli, którzy też plują z obrzydzeniem. Mają umazane odchodami ubrania i twarze. Patrzą na niego z pretensją: to przez ciebie. Ty nas w to wpakowałeś.

Trzeba im pokazać, kto tu rządzi. Billy wie, jak to zrobić.

- To zwierzę - mówi. - A wiadomo, co się robi ze zwierzętami. Mój tata ma rewolwer. Wiem, gdzie go trzyma.

- Mocny w gębie jesteś - mówi Markie.

- Pieprzysz - wtóruje mu Hurley.

- Tak? No to zobaczymy. Małpoluda jutro nie będzie w szkole. Przekonacie się. Billy wlecze się do domu, niosąc deskę w ręku. Reszta idzie za nim. Cholera, Billy klnie w duchu, co ja wymyśliłem?

R066

Stan Milgram wyruszył w długą drogę do ciotki mieszkającej w Kalifornii, ale nie minęła godzina, gdy Gerard zaczął marudzić.

- Śmierdzi - powiedział z tylnego siedzenia. - Śmierdzi jak w kiblu. - Wyrztał przez okno. - Co to za dziura?

- Columbus - odparł Stan. - Jesteśmy w Ohio.

- Obrzydlistwo.

- Ludzie mówią: Columbus to takie Cleveland, tylko bez pozłotki. Ptak nie odpowiedział.

- Wiesz, co to jest pozłotka?

- Wiem. Stul dziób i jedź.

Gerard wyglądał na zirytowanego. Niewdzięcznik, pomyślał Stan. Przez ostatnie dwa dni opływał w luksusy. Stan sprawdził w internecie, co jedzą żako, i specjalnie dla niego kupił jabłka i pyszną zieleninę. W nocy zostawiał włączony telewizor w sklepie, żeby Gerard się nie nudził. Na drugi dzień Gerard przestał go dziobać po palcach, a potem nawet przysiadł mu na ramieniu, nie skubiąc go od razu w ucho.

- Daleko jeszcze?

- Daleko. Jedziemy dopiero godzinę.

- Jak daleko?

- Trzy dni jazdy, Gerardzie.

- Trzy dni. Trzy razy dwadzieścia cztery, to daje siedemdziesiąt dwie godziny. Stan zmarszczył podejrzliwie brwi. Nie słyszał jeszcze o ptaku, który umie rachować.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Jestem człowiekiem wszechstronnie utalentowanym.

- Ty w ogóle nie jesteś człowiekiem. - Stan parsknął śmiechem. - To z jakiegoś filmu?

Był pewien, że czasem papuga powtarza kwestie zasłyszane w filmach.

- Dave? - odezwał się Gerard monotonnym głosem. - Dalsza rozmowa niczemu nie służy. Żegnaj.

- Zaraz, znam to! To z *Gwiazdnych Wbjeń!*

- Proszę zapiąć pasy. - Kobięcy głos. - To będzie ostra jazda.

- Jakiś dramat lotniczy...

- Tu go szukają tam go szukają Francuziki go nie mają...

- Wiem, to nie z filmu, tylko z wiersza.

- A niech mnie kule biją! - Tym razem brzmiał jak rodowity Anglik.

- Poddaję się.

- Ja też - westchnął teatralnie Gerard. - Daleko jeszcze?

- Trzy dni.

Papuga wyrzła przez okno.

- No, przynajmniej oszczędzono im błogosławieństw cywilizacji - stwierdziła z przeciągłym, kowbojskim akcentem, po czym zaczęła wydawać dźwięki przypominające melodię graną na banjo.

Później zaczęła śpiewać francuskie piosenki - a może arabskie, Stan nie był pewien. W każdym razie nie po angielsku. Musiała chyba znać je z jakiegoś koncertu - albo na nim była, albo wysłuchała jego nagrania, bo naśladowała odgłosy publiczności, strojenie instrumentów, oklaski, którymi przywitano wykonawców, w końcu sama zaśpiewała. Brzmiało to jak *Didi*, w każdym razie podobnie.

Przez jakiś czas było to nawet całkiem ciekawe, tak jakby słuchało się zagranicznej stacji radiowej, ale potem Gerard zaczął się powtarzać. Droga się zwęziła, a oni utknęli za wolno jadącą kobietą. Stan dwa razy próbował ją wyprzedzić, ale bez powodzenia. - *Le soleil c'est beau* - powiedział po chwili Gerard.

Po czym wydał głośny odgłos imitujący wystrzał z pistoletu.

- To po francusku? - zapytał Stan. Kolejne strzały.

- *Le soleil c 'est beau.* - Bum! *Le soleil c 'est beau.* Bum! *Le soleil c 'est beau.* Bum!

- Gerard...

- *Les femmes au volant c 'est la lachete personifiee.* - Dudnienie, jakby odległy grzmot. - *Pourquoi elle ne depassepas?... Oh, oui, merde, des travaux.*

Kobieta przed nimi skręciła w końcu w prawo, ale zrobiła to tak wolno, że Stan musiał przyhamować, mijając ją.

-// *ne faut jamais freiner... Comme disait le vieux pere Bugatti, les voitures sont faites pour rouler, pas pour s 'arreter.*

Stan westchnął.

- Nie rozumiem ani słowa, Gerardzie.

- *Merde, les flics arrivent*

Gerard zaczął wyć jak syrena policyjna.

- Wystarczy.

Stan włączył radio. Było późne popołudnie. Przejechali przez Maryville i zbliżali się do Saint Louis.

Na drodze robił się coraz większy ruch.

- Daleko jeszcze? - zapytał Gerard.

- Nieważne.

Zapowiadała się nużąca jazda.

R067

Siedząc na krawędzi wanny, Lynn ręcznikiem delikatnie przemywała mu rozcięcie za uchem.

- Dave? Powiedz mi, co się stało.

Rana była głęboka, ale Dave nie skarżył się na ból.

- Zaatakowali nas, mamó! - Podekscytowany Jamie wymachiwał rękami. Był brudny jak nieszczęście, miał siniaki na brzuchu i rękach, wielka krzywda mu się jednak nie stała. Nic im nie zrobiliśmy! Szóstoklasiści! Oni są bardzo źli.

- Jamie, chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia Dave. Skąd ta rana?

- Billy walnął go deskorolką. Nic nie zrobiliśmy!

- Nic? - Lynn z niedowierzaniem uniosła brwi. - Sugerujesz, że pobili was zupełnie bez powodu?

- Tak, mamó, przysięgam! Wracaliśmy sobie do domu, a oni nas zaatakowali!

- Dzwoniła pani Lester. Jej syn przyszedł ze szkoły cały wybrudzony ekskrementami.

- Nie, to była kupa. - Ale jak...

- To Dave rzucał! Był świetny! Oni nas bili, więc rzucał w nich kupami i uciekli! Trafiał za każdym razem!

Lynn delikatnie czyściła ranę.

- To prawda, Dave?

- Bili Jamiego. I kopali.

- Dlatego rzucałeś w nich... kupami?

- Bili Jamiego - powtórzył Dave, tak jakby to było wystarczające usprawiedliwienie.

- Nie żartuj - powiedział Henry, kiedy wrócił do domu. - Obrzucił ich odchodami? Klasyczna szympansia reakcja.

- Może i klasyczna, ale mamy problem. Nauczyciele twierdzą że Dave przeszkadza na lekcjach. Na boisku wdaje się w bójkę. Gryzie dzieci. A teraz jeszcze to... - Lynn pokręciła głową. - Nie umiem być matką szympansa.

- Półszympansa.

- Nawet gdyby był tylko ćwierćszympansem, nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że nie może się tak

zachowywać.

- Ale przecież to oni zaczęli, prawda? I to kto: szóstoklasiści! Skejci. Co chwila lądują w szkole specjalnej. Poza tym dlaczego czepiają się drugoklasistów?

- Jamie mówi, że dzieci śmieją się z Dave'a. Przezywają go małpoludem.

- Myślisz, że go sprowokowali?

- Nie wiem. Ale wiem, że jest agresywny.

- To się zdarzyło na boisku, tak? Na pewno mają tam kamerę.

- Henry, chyba nie rozumiesz, co do ciebie mówię.

- Rozumiem. Podejrzewasz, że to вина Dave'a. A mnie się wydaje, że jakiś szkolny byczek...

W tej właśnie chwili z podwórka dobiegł odgłos strzału.

R068

Samochody ledwie się poruszały. Czteryście pięćka była rzeką czerwonego światła w ciemnościach. Alex Burnet westchnęła ciężko.

- Daleko jeszcze? - zapytał siedzący obok niej Jamie.

- No trochę, synku. - Jestem zmęczony.

- Spróbuj się położyć i przespać.

- Nie mogę. Nudzę się.

- Odrobinę cierpliwości.

Otworzyła swój nowy telefon i odszukała numer dawnej szkolnej koleżanki. Nie wiedziała, do kogo innego mogłaby zadzwonić. Na Lynn zawsze mogła liczyć. Kiedy rozstała się z mężem, pojechała do Lynn i Henry'ego. Ich synowie - mieli tak samo na imię - świetnie się razem bawili.

Mieszkała u nich przez tydzień.

Ale teraz nie mogła się do Lynn dodzwonić. Z początku myślała, że źle zapisała numer. Potem doszła do wniosku, że to jakaś wada jej taniego aparatu. W końcu jednak połączyła się z automatyczną sekretarką i...

- Halo? Halo!

- Lynn? Tu Alex. Posłuchaj, muszę...

- Alex! Strasznie cię przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać...

- Co?

- Nie teraz. Zadzwoń później. Przepraszam. - Ale co...

W słuchawce rozległ się sygnał. Lynn się rozłączyła.

Alex wpatrzyła się w czerwone światła samochodów pełzających autostradą.

- Do kogo dzwoniłaś? - zainteresował się Jamie.

- Do cioci Lynn. Powiedziała, że nie może rozmawiać. Pewnie są czymś zajęci.

- Ale jedziemy do nich?

- Może jutro.

Zjechała z autostrady w San Clemente i zaczęła się rozglądać za jakimś motelem. Była rozczarowana, że nie może się spotkać z Lynn. Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo na to liczyła.

- Dokąd jedziemy, mamu?

- Przenocujemy w motelu.

- Jakim motelu?

- Zobaczymy.

- Znasz jakiś motel? - Jamie spojrzał na nią pytająco. - Nie, synku. Szukam.

Minęli Holiday Inn, uznała jednak, że jest za duży i za bardzo rzuca się w oczy. Znalazła skromny Best Western przy Camino Real i zatrzymała się przed nim. Kazała Jamiemu zaczekać w

samochodzie, a sama poszła się rozejrzeć.

W recepcji dyżurował chudy, pryszczaty chłopak. Nucił pod nosem, palcami wystukując rytm na granitowym kontuarze. Wyglądał na podenerwowanego.

- Dobry wieczór. Znalazłby się wolny pokój?

- Tak, proszę pani. Jest pani sama?

- Nie, z synem.

Chłopak wyjrzał przez oszklone drzwi i zobaczył Jamiego.

- Ma mniej niż dwanaście lat?

- Tak, a co?

- Gdyby chciał iść na basen, musi pani iść z nim.

- Dobrze.

Alex podała recepcjoniście kartę kredytową. Przeciągnął ją przez czytnik, drugą ręką wystukując cały czas ten sam rytm. Zaczynał ją drażnić.

- Mogę zapytać, czemu pan tak stuka? Chłopak zaczął podśpiewywać.

- Kłopoty tam, gdzie jadę, kłopoty tam, gdzie byłem. - Zabębnił w kontuar. - Kłopot to moje drugie imię. Kłopot to mój grzech. - Uśmiechnął się. - To taka piosenka.

- Nie znam jej.

- Mój tata zawsze ją śpiewał.

- Ach tak.

- Nie żyje.

- Przykro mi.

- Popełnił samobójstwo.

- Współczuję.

- Zastrzelił się.

- Mój Boże.

- Chce pani zobaczyć tę strzelbę? Alex zamurowało.

- Może kiedy indziej.

- Mam ją tutaj. - Ruchem głowy wskazał pod blat. - Nie naładowaną oczywiście. Stuk, stuk. - Kłopoty tam, gdzie byłem...

- Mogłabym się zameldować?

Zwrócił jej kartę. Wypełniła druczek. Zastanawiała się, czy nie poszukać innego motelu, ale padała z nóg. No i była z Jamiem. Musiała kupić mu coś do jedzenia, nowe ubranie, szczoteczkę do zębów i inne drobiazgi.

- Proszę bardzo. - Recepcjonista dał jej klucze.

Dopiero kiedy przestawiała samochód na miejsce parkingowe bliżej pokoju, przypomniała sobie, że miała nie używać karty kredytowej. Za późno.

- Mamo, jestem głodny.

- Wiem, kochanie. Zaraz coś zjemy.

- Ja chcę hamburgera.

- Dobrze. Dostaniesz hamburgera.

Wyjechała więc z parkingu znów na ulicę. Powinni coś zjeść, zanim zamkną się w pokoju.

R069

Zanim Lynn wybiegła na podwórko, rozległy się jeszcze dwa strzały. Trący wrzeszczała wniebogłosy, Dave siedział na drzewie, pokrzykiwał i potrząsał gałęziami, a Jamie leżał na ziemi. Wokół jego głowy powstała kałuża krwi.

Żołądek podszedł jej do gardła. Zaczęła biec w stronę syna, ale powstrzymał ją okrzyk Trący:

- Mamo! Padnij!

Odgłos strzałów dobiegał z ulicy: ktoś przestrzeliwał sztachety płotu. W oddali Lynn słyszała wycie syren. Nie odrywając wzroku od Jamiego, zaczęła się czołgać w jego kierunku.

Znowu strzały. Łopot przeszywanych kulami liści: strzelali do Dave'a, który wściekle hałasował:

- Nie żyjesz! Już nie żyjesz!

- Cicho, Dave! - zawołała Lynn.

Trący krzyczała do słuchawki telefonu, podając policji adres. Jamie jęczał. Lynn widziała tylko jego. Miała nadzieję, że Henry wybiegnie od frontu, zobaczy, kto strzelał, i nie da sobie zrobić krzywdy. Było oczywiste, że ktoś próbował skrzywdzić Dave'a.

Skowyt syren narastał, od strony ulicy usłyszała tupot stóp i krzyki. Jakiś samochód zatrzymał się tuż za ogrodzeniem, światło reflektorów sączyło się przez szpary między sztachetami, rzucającymi smugi cienia.

Dave wydał okrzyk wojenny i gdzieś przepadł. Trący wciąż krzyczała. Lynn doczołgała się do Jamiego. Krew przy jego głowie zgęstniała.

- Jamie, Jamie...

Uklękła i ostrożnie go obróciła. Z dużej rany na czole krew lała mu się po skroni i policzku. Uśmiechnął się słabo.

- Cześć, mamo.

- Jamie! Gdzie cię trafili?! - Nie...

- Gdzie, Jamie?!

- Ja... spadłem. Z drzewa.

Rąbkiem spódnicy delikatnie zaczęła ocierać krew. To nie rana po kuli, tylko duże, krwawiące otarcie.

- Nie postrzelili cię, synku?

- Nie, mamo. - Jamie pokręcił głową. - Nie do mnie celował, a do Dave'a. - Kto?

- Billy.

Lynn spojrzała na koronę drzewa. Gałęzie kołysały się łagodnie w świetle ulicznych lamp. Dave'a nie było nigdzie widać.

Po pierwszym skoku wylądował na chodniku i zaczął gonić uciekającego Billy'ego Cleevera, który biegł ulicą prosto do domu. Dave umiał się poruszać całkiem szybko, jeśli tylko chciał, na czterech łapach. Teraz pędził równoległe do chodnika po trawie, żeby nie ocierać sobie knykci o beton. Powarkiwał gniewnie. I skracał dystans.

Na skrzyżowaniu Billy się odwrócił. Widząc Dave'a, trzęsącymi się rękami podniósł rewolwer i strzelił dwa razy. Dave dalej biegł. Ludzie wyglądali przez okna, niebieskie od poświaty telewizorów.

Billy znów rzucił się do ucieczki, ale Dave dopadł go, przewrócił i wyrznął jego głowę w słupek znaku drogowego, aż zadźwięczało. Przerażony Billy próbował się bronić, ale Dave trzymał go mocno i tłukł jego głową o beton. I byłby go zabił, gdyby nie zaniepokoił go jazgot policyjnych syren. Billy kopnął rozpaczliwie, poderwał się na nogi i podbiegł do najbliższego domu. Schował się w stojącym na podjeździe samochodzie i w ostatniej chwili zatrzasnął drzwi. Goniący go Dave wylądował na przedniej szybie i zaglądał do środka.

Wycelował do małpoluda, był jednak zbyt przerażony i roztrzęsiony, żeby strzelić. Dave zeskokczył na ziemię po stronie pasażera i zaczął szarpać za drzwi. Billy dyszał ciężko, obserwując go.

A potem Dave schylił się i zniknął mu z oczu.

Syreny wyły już gdzieś blisko.

Do Billy'ego powoli docierało, w jakich znalazł się tarapatach. Nadjeżdżała policja, a on siedział zamknięty w samochodzie, z rewolwerem, na którym była jego krew i odciski palców. Na dłoni miał ślady prochu i krwiak w miejscu, gdzie uderzył go kurek. Tak naprawdę to wcale nie potrafił strzelać, chciał ich tylko postraszyć.

Policjanci go tu znajdują. Tkwił w tym wozie jak w potrzasku.

Wyrzał ostrożnie przez okno po stronie pasażera. Szukał Dave'a.

Czarny, wrzeszczący cień rzucił się na niego i rozpląszczył na szybie. Billy z krzykiem odskoczył. Rewolwer wypalił. Kula trafiła w deskę rozdzielczą wewnątrz auta wypełniło się dymem. Plastikowe drzazgi poraniły mu rękę. Cisnął broń na ziemię i wciśnięty w fotel spazmatycznie łąpał oddech.

Syreny. Coraz bliżej.

Trudno, znajdują go tutaj. Ale przecież zobaczą że działał w samoobronie. Policjanci od razu się zorientują że tylko się bronił przed tym groźnym zwierzęciem. Nie miał wyboru. Małpolud to brutal. Wygląda jak małpa i zachowuje się jak małpa. Jest niebezpieczny. Powinno się go zamknąć w zoo...

Błyski czerwonego światła omiotły wóz. Syreny umilkły.

- Tu policja - usłyszał wzmocniony megafonem głos. - Wyjdź z samochodu, powoli. Trzymaj ręce na widoku.

- Nie mogę! - krzyknął Billy. - On tu jest!

- Natychmiast wyjdź z samochodu! Ręce do góry!

Billy odczekał jeszcze chwilę, w końcu wysiadł, podnosząc ręce i mrugając w oślepiającym blasku policyjnych reflektorów. Jeden z policjantów podszedł do niego, pchnął go na ziemię i skuł mu ręce kajdankami.

- To nie moja wina - tłumaczył Billy z twarzą wciśniętą w trawę. - Wszystko przez Dave'a. Schował się pod samochodem.

- Nikogo tam nie ma, synu - odparł policjant, pomagając mu wstać. - Jesteś tylko ty. Powiesz nam teraz, o co tu chodzi?

Przybiegł ojciec. Billy wiedział, że czeka go lanie, ale na razie nic na to nie wskazywało. Ojciec kazał mu oddać rewolwer i zapytał, co się stało z nabojami. Billy wyjaśnił, że strzelał do niebezpiecznego chłopaka, który go zaatakował.

Ojciec tylko pokiwał głową. Miał nieprzeniknioną twarz. Powiedział, że przyjedzie na posterunek - policjanci zabierali Billy'ego, żeby go spisać.

- Chyba musimy się pogodzić z tym, że nam nie wyszło - westchnął Henry.

- Jak to? - Lynn pogłaskała Dave'a po głowie. - Sam mówiłeś, że to nie jego wina.

- Wiem, ale z nim ciągle są kłopoty. Gryzie, bije się... A teraz jeszcze ta strzelanina. Na miłość boską on naraża nas wszystkich!

- To nie jego wina, Henry.

- Boję się, co będzie dalej.

- Trzeba było o tym myśleć wcześniej. - Lynn poczuła, jak wzbiera w niej złość. - Na przykład cztery lata temu, kiedy postanowiłeś przeprowadzić eksperyment. Nie wydaje ci się, że teraz już za późno na żale? Jesteśmy za niego odpowiedzialni. Zostaje z nami.

- Ale...

- Jesteśmy jego rodziną.

- Strzelano do Jamiego!

- Jamiemu nic się nie stało.

- Ale strzelali do niego...

- Szurnięty dzieciak. Szóstoklasista. Policja go złapała.
- Ty mnie nie słuchasz, Lynn. Spiorunowała go wzrokiem.
- Co ty sobie myślisz? Że możesz się go tak po prostu pozbyć, jak bezwartościowej kolonii komórek z szalki Petriego? Nie można go wyrzucić do pojemnika na bioodpady. To ty nie słuchasz. Dave jest żywą świadomą istotą. Ty go stworzyłeś. To dzięki tobie przyszedł na świat. Nie masz prawa się go pozbywać tylko dlatego, że niewygodnie ci się z nim mieszka albo dlatego że sprawia kłopoty w szkole. - Przerwała, by złapać oddech. Była wściekła. - Ja go na pewno nie oddam. I nie chcę więcej do tego wracać.

- Ale...

- Nie teraz, Henry.

Znał ten ton. Wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju.

- Dziękuję - powiedział Dave, podstawiając się Lynn do głaskania. - Dziękuję, mamó.

R070

Pojechali do restauracji dla zmotoryzowanych In-N-Out i zamówili hamburgery, frytki i koktajle truskawkowe. Ściemniło się już. Alex miała ochotę spróbować znów zadzwonić do Lynn, mimo że za pierwszym razem przyjaciółka nie miała czasu z nią porozmawiać. Postanowiła dać sobie spokój. Zapłaciła gotówką. Pojechali do Walstona - jednego z tych zajmujących cały kwartał sklepów, w których jest dosłownie wszystko. Kupiła sobie i Jamiemu bieliznę i ubrania na zmianę, dwie szczoteczki i pastę do zębów.

Szła do kasy, kiedy jej wzrok przyciągnęło stoisko z bronią za fotograficznym, obok zegarków. Chodziła czasem z ojcem na strzelnicę. Umiąca posługiwać się bronią. Powiedziała Jamiemu, żeby obejrzał sobie zabawki, a sama podeszła do stoiska.

- W czym mogę pomóc? - zapytał nieśmiały chłopak z wąsami.

- Chciałabym zobaczyć tego samopowtarzalnego mossberga - ruchem głowy wskazała wiszący na ścianie pistolet.

- To model 590, kaliber 12, doskonały do obrony. W tym tygodniu jest na niego promocja.

Zważyła broń w rękę.

- Wezmę go.

- Proszę o dokument tożsamości i depozyt.

- Nie, nie o to mi chodziło. Chcę go od razu kupić.

- Przykro mi, w Kalifornii obowiązuje dziesięciodniowa karencja.

Oddała pistolet.

- Jeszcze się zastanowię.

Znalazła Jamiego, kupiła mu Spidermana, którym się bawił, i wyszli na parking.

Przy jej samochodzie, z tyłu, stał jakiś starszy mężczyzna i pochylony spisywał numer rejestracyjny. Był w mundurze i wyglądał na sklepowego ochroniarza. Uciekaj, pomyślała. Uciekaj natychmiast.

Nie, to bez sensu. Potrzebowała samochodu. Musiała więc szybko coś wymyślić. Kazała Jamiemu wsiąść do auta, a sama podeszła do mężczyzny.

- Chyba pan wie, że to kłamstwo - powiedziała.

- Niby co?

- To, co nagadał panu mój eks. Uważa, że to jego samochód, ale to nieprawda. Po prostu mnie prześladowuje. Mam już nakaz sądowy, który zabrania mu się do mnie zbliżać. Wygrałam też w sądzie z ochroniarzem z Wal-Marta.

- Co pani mówi?

- Niech się pannie wygłupia, wiem, że do pana dzwonił. Podaje się za adwokata, kuratora albo

wysłannika sądu i każe sprawdzić, czy mój samochód nie stoi czasem na parkingu. Zawsze twierdzi, że jestem zamieszana w jakieś dochodzenie.

- No tak...

- On pana okłamał, a pan się teraz naraża. Powiedział panu, że jestem prawniczką?

- Nie, tylko...

- No to ja panu mówię. W tej chwili jest pan jego współnikiem w próbie złamania nakazu sądowego. Można pana pozwać o odszkodowanie za naruszenie prywatności i szykanowanie. - Wyjęła z torebki notes. - Pana nazwisko...

Mrużąc oczy, spojrzała na identyfikator strażnika i zaczęła pisać.

- Ja tam nie chcę żadnych kłopotów, psze pani...

- W takim razie proszę mi oddać tę kartkę, na której zapisał pan numer rejestracyjny mojego wozu i się odsunąć. A kiedy mój mąż znowu zadzwoni, to albo mu pan powie, że nie widział mnie pan na oczy, albo spotkamy się w sądzie. Będzie się pan mógł uważać za szczęściarza, jeśli skończy się na wyrzuceniu pana z pracy.

Kiwnął głową i drżącymi rękami oddał jej kartkę. Alex wsiadła do samochodu i odjechała. Wyjeżdżając z parkingu, zastanawiała się, czy jej fortel poskutkuje. Może tak, a może nie, była jednak wstrząśnięta tym, jak szybko łowca nagród ją namierzył.

Na pewno z początku śledził jej samochód, dopóki nie zorientował się, że zamieniła się z asystentką na auta. Znając nazwisko Amy, ustalili numer rejestracyjny jej wozu i od tej pory wiedzieli, czym jeździ Alex.

Później, w motelu, zapłaciła kartą. Łowca błyskawicznie dowiedział się o transakcji i ustalił, że doszło do niej w motelu w San Juan Capistrano. Domyślając się, że będzie musiała zrobić zakupy, obdzwonił wszystkie większe sklepy w promieniu dziesięciu kilometrów i opowiedział ochroniarzom swoją bajeczkę: uważajcie na białą toyotę na takich i takich numerach.

I ten przy Walstonie ją znalazł.

Prawie od razu.

Jeśli miała rację, łowca nagród wyruszył już do Capistrano. Jazda samochodem zajęłaby mu trzy godziny, ale jeżeli miał do dyspozycji śmigłowiec, może już być na miejscu.

Już.

- Mamo? A będę mógł pooglądać telewizję, jak wrócimy do motelu?

- Oczywiście, kochanie.

Tylko że wcale nie wracali do motelu.

Zaparkowała przecnicę od motelu, w miejscu, z którego miała widok na przeszkloną recepcję i pracującego w niej chłopaka. Rozmawiał właśnie przez telefon.

Włączyła swoją starą komórkę i zadzwoniła do motelu. Chłopak poprosił tamtego rozmówcę, żeby poczekał, i odebrał telefon.

- Best Western, słucham.

- Tu Colson. Niedawno się zameldowałam.

- Pamiętam, pani Colson.

Chłopak był wyraźnie podekscytowany. Zaczął się rozglądać na wszystkie strony.

- Dał mi pan pokój numer 204.

- Zgadza się.

- Tam ktoś jest. W środku.

- Pani Colson, nie bardzo wiem, jak...

- Mógłby pan tu przyjść i otworzyć mi drzwi?

- To pewnie pokojówka...
- Obawiam się, że to jakiś mężczyzna.
- Nie, niemożliwe...
- Proszę przyjść i otworzyć drzwi. Bo wezwę policję.
- Nie ma potrzeby, na pewno... Już idę.
- Dziękuję.

Recepcjonista złapał drugą słuchawkę, powiedział coś do tamtego rozmówcy i poszedł szybko w stronę pokoiów przy parkingu.

Alex wysiadła, przebiegła przez ulicę i wpadła do recepcji. Znalazła strzelbę za kontuarem, zabrała ją i wyszła na dwór. To był obrzyn, remington, dwunastka. Nie przepadała za taką bronią ale nie miała wyboru. Później kupi naboje.

Wróciła do samochodu.

- Po co ci strzelba, mamó? - zapytał Jamie.
- Na wszelki wypadek.

Ruszyli. Skręciła w Camino Real. W lusterku wstecznym widziała, jak chłopak, zdumiony, wraca do recepcji.

- Chcę obejrzeć telewizję - oświadczył Jamie.
- Nie dziś. Dziś czeka nas przygoda.
- Jaka przygoda?
- Zobaczysz.

Pojechali na wschód, w głąb ciemnych gór, jak najdalej od świateł miasta.

R071

Stan Milgram tonął w bezkresnej ciemności. Droga przed samochodem była jasną smugą światła, ale po bokach nie widział żadnych oznak życia, bo wszędzie po horyzont ciągnęła się smoliście czarna pustynia. Na północy rysowała się górską grań - ledwie widoczna linia czerni na czarnym tle. Poza nią - dosłownie nic: żadnych świateł, miasteczek, domów. Nic.

I tak już od godziny.

Co to za miejsce, do cholery?

Siedzący z tyłu ptak zaskrzeczał przeraźliwie. Stan aż podskoczył; rozbolały go bębenki w uszach. Jeśli kiedyś jeszcze postanowisz pojechać na zachód, nie bierz ze sobą żadnego cholernego ptaszyska, pomyślał. Przykrywał klatkę kawałkiem materiału, ale z czasem przestało to przynosić pożądany skutek. Z Saint Louis przez całe Missouri, do Gallup w Nowym Meksyku ptakowi dziób się nie zamykał. Zatrzymali się w motelu w Gallup. O północy papuga zaczęła skrzeczeć ogłuszająco.

Kiedy wszyscy pozostali goście zaczęli mieć do niego o to pretensje, nie pozostało mu nic innego, jak się wymeldować i ruszyć w dalszą drogę. Dopóki jechali, żako siedziała cicho, ale wystarczyło, żeby w ciągu dnia Stan zatrzymał się na poboczu, chcąc się zdrzemnąć, a od razu zaczynała swój koncert. Podobnie było na postoju we Flagstaff, w Arizonie - papuga nie zaczekała nawet, aż rozgoszczą się w motelu.

Jechali więc dalej. Winona, Kingman, Barstow - cały czas w stronę San Bernardino albo, jak mawiała jego ciotka, San Berroo - a Stan myślał tylko o tym, żeby ta podróż wreszcie się skończyła.

Proszę Cię, Panie Boże, dojedźmy, zanim zabiję to ptaszysko.

Był wyczerpany i - po przejechaniu trzech tysięcy kilometrów - dziwnie rozkojarzony. Albo przegapił zjazd do San Berdoo, albo... Sam już nie wiedział.

Zabłądził.

A papuga wciąż zdzierła sobie gardło: - Pocisz się, cały drzysz, całusa ci trzeba...

Zatrzymał się, wysiadł, otworzył tylne drzwi wozu i zdjął zasłonę z klatki.

- Gerardzie, czemu to robisz?
- Nie możesz spać, nie możesz jeść...
- Przestań. Czemu to robisz?
- Boję się.
- Czego?
- Daleko od domu. - Gerard zamrugał, wyglądając na dwór. - A co to za diabelstwo?
- Pustynia.
- Zimno tu.
- W nocy na pustyni jest zimno.
- Po co tu przyjechaliśmy?
- Wiozę cię do twojego nowego domu. Będziesz cicho, jak zdejmę tę szmatę z klatki?
- Tak.
- Nie piśniesz słówka?
- Nie pisnę.
- Obiecujesz?
- Tak.
- Dobrze. Potrzebuję chwili spokoju, żeby się zorientować, gdzie jesteśmy.
- Sam nie wiem czemu, ale uwielbiam cię, mimo tych wszystkich zmian...
- Pomóż mi, Gerardzie. Proszę.

Stan usiadł za kierownicą i ruszył. Papuga siedziała cicho. Pokonywali kolejne kilometry, aż w końcu minęli drogowy znak: Earp, pięć kilometrów.

- Pozdrowionka, wujciu. Stan westchnął.

Pędził przez noc.

- Kogoś mi przypominasz - powiedział Gerard.

- Obiecałeś - przypomniał mu Stan.

- Nie, to nie tak. Powinieneś zapytać: kogo?

- Zamknij się.

- Kogoś mi przypominasz.

- Kogo?

- Jednego faceta.

- Jakiego faceta?

- On by wiedział.

- Kto?

- Ty.

- Co ja?

- Kogoś mi przypominasz.

- Ale kogo?

- Jednego faceta.

- Jakiego... - Stan zorientował się, co jest grane. - Zamknij dziób, Gerardzie, albo wyrzucę cię z samochodu.

- Aj aj aj, ale z ciebie łobuz.

Stan spojrział na zegarek.

Godzina, pomyślał. Za godzinę go wyrzucę.

R072

Ellis usiadł naprzeciw Aaronowi. W kancelarii Aaronowi, w jego gabinecie. Okno wychodziło na południe, było z niego widać ładny kawałek miasta i Empire State Building. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, ale panorama i tak zapierała dech w piersi.

- Rozmawiałem z tym gościem z Kalifornii - zaczął Ellis. - Z Joshem Winklerem.

- Aha.

- Twierdzi, że nic mamie nie dawał. - Aha.

- Mówi, że w pojemniku była zwykła woda.

- A co ma powiedzieć?

- Mama dostała wodę, Aaronie. Winkler zapewnił, że nie wysłałby żadnego specyfiku poza granice stanu. Jego matka uparła się, żeby coś zrobić, więc przysłał naszej mamie czystą wodę, żeby zbadać efekt placebo.

- A ty mu uwierzyłeś. - Aaron pokręcił głową

- Przypuszczam, że ma dokumentację.

- Oczywiście.

- Sprawozdania z laboratorium, raporty magazynowe i tak dalej. Firma na pewno trzyma masę takich papierów.

- Sfalszowane.

- FDA wymaga prowadzenia pełnej dokumentacji. Falszerstwo to przestępstwo federalne.

- Podobnie jak poddawanie znajomych terapii genowej. - Aaron sięgnął po plik papierów. - Co wiesz o rozwoju terapii genowych? Cała ich historia to jakiś horror. Wszystko zaczęło się w latach osiemdziesiątych, kiedy podnieceni biochemicy wyrwali się przed orkiestrę i ludzie zaczęli im umierać na rękach. Udokumentowano co najmniej sześćset wypadków śmiertelnych, a o wielu innych nikt się nigdy nie dowiedział. Wiesz dlaczego?

- Nie. Dlaczego?

- Otóż biochemicy twierdzili, uważaj, że nie można zgłaszać zgonów, ponieważ to informacje zastrzeżone. Rozumiesz? Śmierć pacjentów była objęta tajemnicą zawodową.

- Naprawdę tak twierdzili?

- A co, sądzisz, że ja to wymyśliłem? A na koniec wyciągają z ubezpieczenia kasę za kurację, która doprowadziła do śmierci pacjenta. Oni zabijają my płacimy. A kiedy ktoś zgłosi się z pretensjami do uczelni, ta go zbywa, oświadczając, że nie musi mieć zgody pacjenta na leczenie, bo jest instytucją niekomercyjną. Duke, Penn, Minnesota, nawet największe uniwersytety miały takie wpadki. I nic. Naukowcom się wydaje, że stoją ponad prawem. Sześćset ofiar!

- Nie widzę związku...

- Wiesz, jak terapia genowa uśmierca ludzi? Na dziesiątki sposobów. Ci goście nie wiedzą co się może stać. Szprycują pacjentów genami i już. Jeśli ich geny uaktywnią geny raka, człowiek umiera na raka. Albo dostaje potężnej alergii i umiera. Debile nie mają zielonego pojęcia o tym, co robią. Są nieodpowiedzialni i łamią przepisy. Ale my im się dobierzemy do tyłków.

Ellis poruszył się niespokojnie na krześle.

- A jeśli Winkler mówi prawdę? Jeśli to my się mylimy?

- My nie złamaliśmy prawa. A oni owszem. Teraz mama ma alzheimera, a oni tkwią po uszy w gównie.

R073

Kiedy Brad Gordon wszczynął bójkę w Lucky Lucy Saloon przy Pearl Street w Jackson Hole w Wyomingu, nawet nie pomyślał o tym, że może wylądować w szpitalu. Ci dwaj goście w obcisłych kraciastych koszulach, z kieszonkami zapinanymi na spiczaste guziki z masy perłowej wyglądali jak

cioty, więc stwierdził, że bez trudu sobie z nimi poradzi. Skąd miał wiedzieć, że są braćmi, nie kochankami, i nie spodobają im się jego docinki? Nie mógł też wiedzieć, że niższy jest trenerem karate na uniwersytecie i że ma na koncie jakiś tam tytuł mistrzowski w turnieju imienia Bruce'a Lee w Hongkongu.

Kick-boxing w kowbojskich butach z okutymi noskami. Brad wytrzymał całe trzydzieści sekund. Większość zębów mu się poluzowała. Leżał w izbie przyjęć trzy godziny, a oni próbowali mu powtykać zęby na swoje miejsca. Cały czas dzwonili do jakiegoś protetyka, ale nie odbierał telefonu, może dlatego - jak tłumaczył Bradowi stażysta - że wyjechał na weekend na polowanie. Podobno lubił strzelać do łosi. Smaczne mięso. Łosie! A Brad mało z bólu nie ocipiał!

Obłożyli mu szczękę lodem, nafaszerowali go nowokainą i zostawili, a on jakimś cudem zdołał zasnąć. Rano, kiedy opuchlizna zeszła mu na tyle, żeby mógł rozmawiać przez telefon, trzymając wizytówkę w posiniaczonych palcach, zadzwonił do Los Angeles, do swojego adwokata Willy'ego Johnsona.

- Johnson, Baker i Halloran, dzień dobry - zaszcebiotała wesoło recepcjonistka.

- Z Willym Johnsonem proszę.

- Chwileczkę. - W telefonie coś pstryknęło, ale recepcjonistka wcale nie zaczęła go przełączać. Usłyszał za to: - Faber, Ellis i Condon.

Spojrzał na wizytówkę. Widniał na niej adres biurowca w Encino. Znał to miejsce: budynek biurowy, w którym prawnicy działający w pojedynkę mogą wynająć klitkę i mieć wspólną recepcjonistkę; odbiera telefony jak w jakiejś poważnej kancelarii, aby klienci nie domyślili się, że ich adwokaci pracują sami. Biura mają tam najgorsi prawnicy. Tacy, których klientami są drobni dilerzy narkotyków. Albo tacy, którzy sami spędzili trochę czasu w więzieniu.

- Halo - powiedział.

- Proszę poczekać, szukam pana Johnsona. - Recepcjonistka zasłoniła mikrofon dłonią. - Widział ktoś Willy'ego Johnsona?

Brad usłyszał stłumioną odpowiedź:

- Willy Johnson to kutas!

Kiedy tak siedział przy wejściu do izby przyjęć, słaby i obolały, wcale nie podobało mu się to, co słyszał.

- Znalazła go pani?

- Chwileczkę, proszę pana, cały czas szukamy. Rozłączył się.

Chciało mu się płakać.

Poszedł na śniadanie, ale z bólu nie mógł jeść, a w dodatku ludzie w stołówce dziwnie na niego patrzyli. Dopiero kiedy ujrzał swoje odbicie w szybie, zobaczył, że szczękę ma całą spuchniętą i siną. Ale i tak było lepiej niż poprzedniego wieczoru. Właściwie martwił się tylko adwokatem: potwierdziły się jego podejrzenia. Spotkali się w restauracji zamiast u niego w kancelarii. Dlaczego? Dlatego, że Johnson nie miał żadnej kancelarii.

Nie pozostało mu nic innego, jak zadzwonić do wuja Jacka.

- Grupa Inwestycyjna Johna B. Watsona.

- Chciałbym rozmawiać z panem Watsonem. Przełączyli go do sekretarki, która połączyła go z wujem.

- Cześć, wujku.

- Gdzie jesteś, dupku? - Głos Watsona brzmiał wyjątkowo niesympatycznie.

- W Wyoming.

- Mam nadzieję, że w nic się nie wpakowałeś.

- Adwokat kazał mi tu przyjechać. Ale to właśnie z jego powodu dzwonię, bo widzisz, on nie...
- Posłuchaj. Jesteś oskarżony o molestowanie, dostałeś eksperta od molestowania. Nie musisz go lubić. Ja na przykład uważam, że to kawał gnoja.
- Ale...
- Ale wygrywa. Więc go słuchaj. A w ogóle masz jakiś dziwny głos. Co się stało?
- Nic...

- Jestem zajęty, Brad. A prosiłem, żebyś do mnie nie dzwonił. Pstryk.
Jeszcze nigdy nie czuł się tak paskudnie. Wrócił do motelu, gdzie usłyszał od recepcjonisty, że szukała go policja. Mówili coś o dyskryminacji. Brad stwierdził, że czas opuścić piękne Jackson Hole.

Poszedł do pokoju. Pakując się, oglądał jakiś program kryminalny. Pokazywali, jak policja złapała groźnego przestępcę, aranżując z nim sfingowany wywiad dla telewizji. Kiedy facet odprężył się przed kamerami, skuli go kajdankami. Teraz czekał na wykonanie wyroku śmierci. Policja potrafi być podstępna. Brad szybko powrzucał ostatnie rzeczy do torby, zapłacił za pokój i wybiegł do samochodu.

R074

Mark Sanger, samozwańczy artysta-ekolog, który niedawno wrócił z wycieczki do Kostaryki, podniósł wzrok znad klawiatury i ze zdumieniem patrzył, jak czterech ludzi wyważa drzwi i wparowuje do jego mieszkania w Berkeley. Mieli na sobie ochronne kombinezony, gumowe hełmy z ogromnymi wizjerami, gumowe rękawice i buty. Byli uzbrojeni w paskudnie wyglądające pistolety i karabiny.

Nie zdążył zareagować, kiedy rzucili się na niego i odciągnęli go od komputera.

- Świnie! - wrzasnął. - Faszyci! - Miał wrażenie, że wszyscy krzyczą jednocześnie. To bezprawie! Faszystowskie świnie! - wymyślał im, kiedy zakładali mu kajdanki. Widział ich twarze za maskami: bali się. - Rany boskie, co wy myślicie, że co ja tu robię?

- Dobrze wiemy, co pan robi, panie Sanger - odpowiedział jeden z nich i odwrócił go tyłem.

- Hej! Zaraz!

Wywlekli go - brutalnie - po schodach na ulicę. Miał nadzieję, że przed drzwiami czekają już dziennikarze i kamerzyści, gotowi udokumentować ten rozbój w biały dzień.

Owszem, czekali, ale odgradzeni barierkami, po drugiej stronie ulicy. Słyszeli krzyki Sangera, filmowali go, ale z tej odległości nie mogli przecież zrobić zbliżeń, które pozwalałyby uzyskać prawdziwy, bezpośredni kontakt z widzem. Sanger nagle zdał sobie sprawę, jak cała ta scena musi wyglądać przez obiektyw: policjanci w przerażających kombinezonach ochronnych aresztują trzydziestolatka w koszulce z Che Guevarą i dżinsach, który szarpie się, klnie i wrzeszczy.

Jak szaleniec, jak jeden z Tedów - Ted Bundy, Ted Kaczyński, ktoś w tym rodzaju. Gliniarze powiedzą że trzymał w domu aparaturę mikrobiologiczną miał narzędzia do inżynierii genetycznej i pracował nad stworzeniem wirusa, nad wywołaniem epidemii, że chciał doprowadzić do tragedii. Wariat.

Przestał się szarpać.

- Zostawcie mnie. Pójdę sam. Puśćcie mnie.

- Dobrze. Puścili.

Sanger wyprostował się, usiłując iść z godnością. Pokręcił głową. Podprowadzili go do czekającego w pobliżu samochodu - oczywiście nie oznakowanego. Tego mógł się spodziewać. Pieprzone FBI, CIA albo inna rządowa franca. Supertajna, dyskretna, przed nikim nieodpowiedzialna. Czarne helikoptery. Cholerni naziści wśród zwykłych ludzi.

Był wściekły - i kompletnie nieprzygotowany na spotkanie z panią Malouf, Murzynką mieszkającą na piętrze jego domu, która wyszła na dwór z dwójką swoich dzieci. Przepchnęła się przez tłumek gapiów i zaczęła się na niego wydzierać:

- Ty łajdaku! Zagrozasz mojej rodzinie! Moim dzieciom! Ty Frankensteinie! Frankenstein!

Sanger oczami wyobraźni widział już, jak ten moment będzie wyglądał w wieczornych wiadomościach. Czarna kobieta krzyczy na niego, wyzywa go od Frankensteinów; obok stoją zapłakane dzieci, przerażone całym zamieszaniem.

Jeden z policjantów kazał mu się schylić, nacisnął mu głowę dłonią w gumowej rękawiczce i lekko pchnął go na siedzenie nie oznakowanego wozu. Trzasnęły drzwi.

Wdepnąłem w niezłe gówno, pomyślał Sanger.

Siedział w celi i oglądał wystawiony na korytarz telewizor, usiłując wyłapać coś z komentarza zagłuszanego głosami kłócących się współwięźniów. Starał się również nie zwracać uwagi na lekki odór wymiocin i ignorować coraz silniejsze poczucie beznadziei.

Najpierw pokazali jego zdjęcia - długie włosy, ubrany jak lump, prowadzony przez dwóch policjantów w kombinezonach ochronnych. Wyglądał jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Spiker - globalistyczny lizus - użył wszystkich chwytliwych słówek:

Sanger jest fanatykiem bez wykształcenia. Mieszka sam. Nie pracuje. W brudnym, zagraconym mieszkaniu trzyma aparaturę do badań genetycznych. Uznany za zagrożenie dla społeczeństwa, ponieważ doskonale pasuje do modelu bioterrorysty.

Potem przed kamerą stanął brodaty adwokat z San Francisco, z jakiejś organizacji ekologicznej, który twierdził, że Sangera należy ukarać z całą dopuszczalną przez prawo surowością. Wyrządził nieodwracalną szkodę gatunkowi zagrożonemu wymarciem, ba swoimi poczynaniami spotęgował wręcz to zagrożenie.

Sanger zmarszczył brwi. Co ten gość wygaduje?

Na ekranie pojawił się obraz żółwia i mapa Kostaryki. Wyglądało na to, że policja zainteresowała się nim po tym, jak odwiedził Tortuguero na wybrzeżu Atlantyku. Stwierdzono, że jego działania stanowią poważne zagrożenie dla środowiska żółwi skórzastych.

Nic z tego nie rozumiał. Nigdy nikomu nie zagrażał. Chciał tylko pomóc. Co więcej, po powrocie do domu przekonał się, że nie jest w stanie zrealizować swoich planów. Nakupował sobie książek o genetyce, ale sprawa okazała się strasznie skomplikowana. Otworzył najcieńszą z nich i przejrzał podpisy pod rysunkami: „Plazmid zawierający normalną sekwencję LoxP ma małe szanse pozostania w genomie w podobnym miejscu LoxP, ponieważ rekombinacja Cre-LoxP eliminuje zintegrowany segment DNA...” „Wektory lentiwirusowe wprowadzone do jednokomórkowych zarodków albo inkubowane z embrionami, których warstwa przejrzysta została odsłonięta, były szczególnie...” „Inny, skuteczniejszy sposób wymiany genu polega na wykorzystaniu zmutowanych komórek macierzystych pozbawionych genu HPRT (transferazy fosforybozylo-hipoksantynowej). Te komórki nie przetrwają w środowisku HAT, złożonym z hipoksantyny, aminopteryny i tymidyny. Gen HPRT wprowadza się w wybrane miejsce przez podwójną rekombinację homologiczną...”

Przestał czytać.

W telewizji pokazywali właśnie żółwie wychodzące nocą na plażę; emanowały niezwykle fioletową poświatą...

Czy oni myślą że to jego sprawka? Co za niedorzeczny pomysł! Ale faszystowskie państwo domaga się krwi za każdą przewinę - rzeczywistą lub wymaginowaną. Już widział się za kratkami: trafi do więzienia za przestępstwo, którego nie tylko nie popełnił, ale nawet nie umiał popełnić.

JEST NADZIEJA NA NOWE TRANSGENICZNE ZWIERZĘTA DOMOWE *Olbrzymie karaluchy*

wieczne szczenięta Artyści - produkcja idzie pełną parą

Lisa Hensley, artystka i absolwentka Yale, współpracowała z genetycznym gigantem Borger and Snodd Ltd. w stworzeniu olbrzymich karaluchów, które miałyby trafić na rynek jako zwierzątka domowe. Genetycznie zmodyfikowane karaluchy mają mieć metr długości i trzydzieści centymetrów wysokości.

„Będą wielkości dużych jamników - mówi Hensley. - Ale, oczywiście, nie będą szczekać”.

Hensley uważa te nowe zwierzęta za dzieła sztuki. Wiemy, że dzięki nim ludzie uświadomią sobie znaczenie świata owadów.

„Zdecydowana większość żywej materii na naszej planecie to owady. Tymczasem my jesteśmy pełni irracjonalnych uprzedzeń wobec nich. Powinniśmy przygarnąć naszych owadzich braci. Ucałować ich. Pokochać”.

Hensley dodała również, że „najgorszą konsekwencją globalnego ocieplenia będzie zagłada wielu gatunków owadów”. Przyznała, że zainspirowały ją prace Catherine Chalmers (inżynier z Uniwersytetu Stanforda), której projekt *Amerykański karaluch* pierwszy wyniósł karaluchy do rangi poważnego tematu sztuki współczesnej.

Tymczasem w Kumnick Genomics z New Jersey trwają wyłożone prace nad stworzeniem zwierzęcia, które - jak twierdzą przedstawiciele firmy - zachwyci właścicieli psów: wiecznego szczeniaka.

„Wieczne szczenięta z Kumnick Genomics nigdy nie dorosną - powiedziała rzecznik firmy, Lyn Kumnick. - PermaPuppy na zawsze pozostanie szczeniakiem”.

Firma pracuje nad wyeliminowaniem niepożądanych przejawów niedojrzałego zachowania, takich jak gryzienie butów, które denerwuje właścicieli.

„Kiedy psu wyrosną zęby, przestaje gryźć sprzęty i buty - mówi Kumnick. - Niestety, wprowadzone przez nas modyfikacje genetyczne chwilowo w ogóle uniemożliwiają wykształcenie zębów, ale na pewno rozwiążemy ten problem”.

Rzecznik podkreśliła również, że nieprawdziwe są pogłoski, jakoby firma Kumnick Genomics zamierzała wprowadzić na rynek bezzębne zwierzę o handlowej nazwie Piesek bez Zębów.

Zauważyła również, że ponieważ u ludzi dojrzałość ustępuje przed wieczną młodością, nie należy się dziwić pragnieniu, aby w życiu towarzyszyły nam równie młode psy. „Jesteśmy jak Piotruś Pan: nie chcemy dorosnąć. A genetyka nam to umożliwia”.

R075

Jadąc przez góry, Stan Milgram nadal nie wiedział, gdzie jest, ale wyężając wzrok, odczytał napis na drogowskazie: PALOMAR MOUNTAIN 37. Gdzie to jest, do diabła? Nie miał pojęcia, że Kalifornia jest taka wielka. Jakiś czas temu minął ze dwa miasteczka, ale o trzeciej rano wszystko było pozamykane, nawet stacje benzynowe. A potem znów wjechał w ciemną pustą dzicz. Szkoda, że nie wziął jakiejś mapy.

Zmęczony i zirytowany, chciał się zatrzymać i zdrzemnąć - ale gdy tylko zjeżdżał na pobocze, ten przeklęty ptak zaczął się drzeć wniebogłosy.

Od godziny papuga siedziała cicho, teraz jednak zaczęła - nie wiadomo dlaczego wydawać dźwięki telefonu. Jakby do kogoś dzwoniła.

- Przestań, Gerardzie - powiedział Stan.

Ptak umilkł i przynajmniej przez chwilę jechali w ciszy. Ale ta chwila, oczywiście, nie mogła trwać wiecznie.

- Jestem głodny - poskarżył się Gerard.

- Ja też.

- Masz chipsy?

- Skończyły się. - Ostatnie zjedli w Earp, czyli... Przed godziną? Przed dwoma?

- Nikt nie wie, co widziały moje oczy... - zanucił Gerard.

- Przestań.

- Tylko Jezus...

- Gerardzie... Cisza.

Stan pomyślał, że przypomina to podróżowanie z małym dzieckiem: Gerard potrafił być równie uparty i nieprzewidywalny. A to męczące. Przecięli tory kolejowe.

Gerard zaczął udawać lokomotywę - najpierw posapywał, a potem zagwizdał żałośnie.

- Nie widziałem słońca, nie wiem jak długo już...

Stan postanowił nic nie mówić. Ścisnął mocniej kierownicę i mknął przez mrok. Za jego plecami niebo powoli jaśniało - czyli jechał na zachód. To dobrze, tam właśnie chciał jechać. Mniej więcej.

Pełne napięcia milczenie znów przerwał Gerard:

- Panie i panowie, ladies and gentlemen, mesdames et messieurs, Damen und Herren, z bezładnej masy martwej tkanki powstał kulturalny, wyrafinowany bywalec salonów. Oto on!

- Nie przeginaj - warknął Stan. - Ostrzegam cię.

- To moje życie! Nie zapominaj! - zaśpiewał ptak ile sił w płucach, aż cały samochód zawibrował.

Stan miał wrażenie, że szyby zaraz popękają. Skulił się i zacisnął dłonie na kierownicy. Wrzask nagle ucichł.

- Ogromnie się cieszymy, że tyle tu was przyszło - powiedział Gerard głosem konferansjera.

Stan pokręcił głową. - Mój Boże...

- Bądźmy szczęśliwi! Szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi! Zawołajmy to razem! Szczęśliwi! Szczęśliwi! Spróbujmy być szczęśliwi...- Przestań.

Gerard udał, że go nie słyszy.

- Szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi, o tak, szczęśliwi...

- Dość! - zawył Stan. Zjechał na pobocze, zatrzymał się, wysiadł i trzasnął drzwiami.

- Nie nastraszyś mnie, koleś - powiedział Gerard. Stan zaklął i otworzył tylne drzwi.

Gerard znowu zaczął śpiewać:

- Mam dla ciebie wiadomość, zobaczysz, to szczerą prawdą. I sam będziesz musiał zjeść lunch...

- I dobrze. Ale ciebie, bracie, na pewno już tu nie będzie! Chwycił papugę - mocno, brutalnie; Gerard próbował się bronić, dziobał z całej siły, Stan jednak na to nie zważał posadził go na poboczu.

- Coś mi się widzi, że chcesz odejść. Jeśli to nie żarty, to nie chciałbym...

- Nie, to nie żarty.

Gerard zamachał skrzydłami.

- Nie możesz mi tego zrobić.

- Taaak? No to patrz.

Obszedł samochód dookoła i otworzył drzwi po stronie kierowcy.

- Chcę dostać moją żerdkę - zawołał Gerard. - Chociaż tyle mógłbyś...

- Pieprzę twoją żerdkę.

- Nie odchodź taki wściekły, nie może być aż tak źle, nie odchodź...

- Żegnaj, Gerardzie.

Stan trzasnął drzwiami i wcisnął gaz do dechy. Ruszył ostro, wzniecając chmurę kurzu. Kiedy spojrział w lusterko, nie zobaczył w nim papugi - doskonale widział za to masę ptasich odchodów na tylnej kanapie. Jezu, ile dni będzie musiał to sprzątać.

Ale przynajmniej jest cicho.

Jak pięknie.

Nareszcie.

Przygody Gerarda dobiegły końca.

Kiedy w samochodzie zrobiło się cicho, Staną dopadło nawarstwiające się od dawna zmęczenie. Oczy mu się kleiły. Włączył radio, uchylił okno, wystawił głowę, na zimny podmuch. Nic nie pomagało. Zrozumiał, że wcześniej czy później i tak zaśnie, więc lepiej zjechać z drogi.

Papuga nie pozwalała mu zasnąć. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że pozbył się jej w taki sposób. Równie dobrze mógł ją po prostu zabić. Taki ptak długo na pustyni nie pożyje: grzechotnik albo kojot szybko się z nim rozprawi. Może nawet już tak się stało. Nie było sensu zawracać.

Zjechał w głąb sosnowego zagajnika, zgasił silnik i zaciągnął się zapachem drzew. Zasnął natychmiast.

Gerard przez chwilę dreptał w ciemnościach. Chciał wzbić się w powietrze, kilka razy wskoczył nawet na kolczaste krzewy, ale liche gałązki nie utrzymywały jego ciężaru i zawsze spadał. W końcu podskakując i rozpaczliwie wymachując skrzydłami, podfrunął i przysiadł na jałowcu, prawie metr nad ziemią. Na takiej prowizorycznej żerdce mógłby właściwie pospać, ale jak dla ptaka urodzonego w tropikach było stanowczo za zimno. W dodatku poszczekiwanie włączających się stadami kojotów go rozbudzało.

Zbliżało się.

Zaniepokojony, nastroszył pióra. Spojrzał tam, skąd dobiegał dźwięk: wśród krzewów przemykały jakieś sylwetki. Błysnęły zielone oczy. Znów się nastroszył.

Patrzył, jak sfora kojotów podkrada się coraz bliżej.

R076

Śmigłowiec robinson R44 wylądował, wzbijając tumany kurzu. Vasco Borden wysiadł, schylił się pod łopatomy wirnika i przebiegł do czekającego czarnego hummera.

- Mów - powiedział do siedzącej za kierownicą Dolly.

Dolly przyleciała wcześniej, kiedy Vasco szukał wiatru w polu w Pebble Beach.

- O dziewiętnastej trzydzieści zameldowała się w Best Western. Podjechała do Walstona, gdzie ochroniarz rozpoznał wóz. Spławiła go bajeczką o złym eks.

- Kiedy to było?

- Przed ósmą. Wróciła do motelu i zbajerowała dzieciaka w recepcji historyjką o tym, że ktoś zaczął się w jej pokoju. On poszedł to sprawdzić, a ona w tym czasie podprowadziła mu obrzyn spod lady i zwiąła.

- Poważnie? Ma kobieta jaja...

- Pewnie próbowała kupić pistolet w sklepie, ale nacięła się na dziesięciodniową karencję.

- Co teraz?

- Namierzaliśmy jej komórkę, ale ją wyłączyła. Zanim to zrobiła, jechała na wschód, w stronę Ortega Highway.

- Na pustynię. - Vasco pokiwał głową. - Prześpią się w samochodzie i rano pojedą dalej.

- Najwcześniej o ósmej rano możemy mieć zdjęcia satelitarne. - Do tego czasu zniknie.

- Vasco wyciągnął się w wygodnym fotelu. - Wyruszy o świcie. No dobrze... - Zamyślił się. Przez pół dnia jechała prawie dokładnie na południe. Ledwie coś się zaczyna dziać, nasza panna zwiawa na południe.

- Meksyk? - zasugerowała Dolly.

- Nie. Nie chce zostawiać śladów. Nie przekroczy granicy.

- Może kiedy pojedzie na wschód, spróbuje ją przekroczyć w Brown Field albo Calxico.

- Może. - Vasco potarł skronie. Zauważył, że farba z włosów brudzi mu palce, ale było już za późno.

Psiakrew, powinien o tym pamiętać. - Boi się. Pojedzie tam, gdzie może liczyć na pomoc. Może spotka się z ojcem. Albo z kimś znajomym. Byłym chłopakiem? Psiapsiółką ze szkoły? Kumpelą z bractwa na uczelni? Dawną nauczycielką? Dawnym współnikiem? Z kimś takim...

- Od dwóch godzin przeszukujemy wszystkie internetowe bazy danych. Na razie nic nie znaleźliśmy.

- Macie jej stare billingi telefoniczne?

- Nie dzwoniła w okolice San Diego.

- Jak daleko wstecz sprawdzaliście?

- Rok. Więcej nie można bez nakazu.

- Czyli jedzie do kogoś, do kogo przynajmniej od roku nie dzwoniła. - Vasco westchnął. - Chyba musimy poczekać. - Spojrzał na Dolly. - Jedźmy do Best Western. Chciałbym się dowiedzieć, jaką spluwę ma teraz nasza panna. Przy okazji prześpimy się parę godzin, do świtu. Coś mi mówi, że jutro ją dopadniemy. - Postukał się w pierś. - Mam przeczucie. A przeczucia nigdy mnie nie mylą.

- Skarbie... Ubrudziłeś sobie koszulę farbą.

- Cholera jasna...

- Zejdzie. Wyczyszczę ci ją.

R077

Gerard śledził wzrokiem zbliżające się sylwetki. Czaiły się nisko przy ziemi, poruszały susami, prychały, węszyły głośno, pomiaukiwały. Ledwie je widział wśród krzewów. Zataczały koła, podkradały się, cofały.

Z pewnością jednak go zwęszyły, bo zbliżały się systematycznie. Było ich sześć. Gerard nastroszył pióra - także po to, żeby lepiej chroniły przed zimnem.

Zwierzęta miały wydłużone pyski, jarzące się zielono ślepia i długie, futrzaste ogony. Wydzielały wyraźną nieprzyjemną woń piżma. Nie były całkiem czarne, raczej szarobure.

Podchodziły coraz bliżej.

- Cały drzę, ca-ca-cały teraz drzę - zaśpiewał Gerard. Jeszcze bliżej. Właściwie już całkiem blisko. Największy stwór zatrzymał się dwa metry od Gerarda. Ptak zamarł. Minęło parę sekund. Zwierzę znów się poruszyło. - Ani kroku dalej, bracie!

Zwierzę przystanęło, po czym nawet cofnęło się o parę kroków. A z nim cała sfora. Ludzki głos trochę ją przestraszył.

Ale nie na długo. Przywódca stada dał susa do przodu.

- Stać!

Tym razem znieruchomiał tylko na moment. I ruszył dalej.

- Myślisz, że masz fart, śmieciu? Tak myślisz? Ha?

Przywódca skradał się bardzo wolno, węsząc nieustannie - krok w przód, niuch, niuch... Śmierdział paskudnie. A jego nos znajdował się dosłownie na wyciągnięcie...

Gerard wychylił się ze swojej grzędy i z całej siły dziobnął w miękki nos. Zwierzę zaskomlało i szarpnęło się w tył, omal nie zrzucając go z gałęzi. Z trudem złapał równowagę.

- Gdziekolwiek spojrzysz, ja mogę tam być. Któregoś razu obrócisz się, a ja będę już na ciebie czekał. I zabiję cię, Mart.

Napastnik leżał na ziemi i przednimi łapami tarł obolały nos. Trwało to jakiś czas, ale w końcu wstał, warcząc groźnie.

- Życie jest ciężkie, zwłaszcza dla głupców.

Reszta sfory zawtórowała mu warczeniem. Zwierzęta rozproszyły się w pół-okrąg, jakby ktoś tak właśnie im nakazywał. Gerard nastroszył pióra - raz, drugi. Nawet zamachał skrzydłami, udając większego i bardziej ruchliwego niż w rzeczywistości. Ale nie zrobił wrażenia na wrogu.

- Nie widzicie, durnie, że grozi wam niebezpieczeństwo?! Ścigają was. Wszystkich nas ścigają! Ludzki głos najwyraźniej stracił już swoją moc. Zwierzęta otaczały Gerarda coraz ciaśniejszym półkolem, jedno nawet zaszło go od tyłu. Odwrócił łeppek. Niedobrze, niedobrze...

- Wracaj, skąd przyszedłeś!

Zatrzepotał nerwowo skrzydłami. Strach najwyraźniej dodał mu siłę, bo prawie pofrunął. Powarkujące potwory znów się zbliżyły...

Zamachał skrzydłami najmocniej jak umiał - i poczuł, że podrywa się w powietrze. A to dzięki temu, że od ostatniego przycinania skrzydeł minęło już kilka ładnych tygodni i pióra mu odrosły. Mógł latać! Podfrunął wyżej i stwierdził, że może szybować na krótkim dystansie. Krótkim, ale zawsze. Śmierzące zwierzęta zostały daleko w dole, szczeptały i zawodziły. A on skierował się na zachód, wzdłuż drogi, którą jechali ze Stanem. Oddalał się od wschodzącego słońca. Leciał prosto w mrok. Wyczulony zmysł węchu informował go, że tam znajdzie pożywienie.

R078

Śpiąca za kierownicą Alex Burnet otworzyła oczy i zobaczyła, że samochód otaczają jacyś mężczyźni. Trzech zaglądało do środka. Na głowach mieli kowbojskie kapelusze, a w rękach długie kije zakończone pętlą ze sznura.

Usiadła. Jeden z mężczyzn pokazał jej na migi, żeby się nie ruszała.

Spojrzała na Jamiego. Spał smacznie w fotelu pasażera. Nie obudził się. Zawsze miał twardy sen.

Popatrzyła przez szybę - i zamarła. Jeden z kowbojów podniósł kij: olbrzymi grzechotnik - graby jak męskie ramię i długi na co najmniej półtora metra - wił się, schwyty w pętlę. Jego grzechotka wydawała skwierczące dźwięki.

- Jeśli pani chce, może pani teraz wysiąść. Alex ostrożnie otworzyła drzwi.

- Ciepło silnika przyciąga węże - wyjaśnił kowboj. - Zwłaszcza nad ranem. Było ich sześciu. Każdy miał kij i spory worek z wijącą się zawartością.

- Co panowie robicie?

- Łapiemy grzechotniki.

- Po co?

- Za tydzień w Yumie jest Zjazd Grzechotników.

- Aha...

- Jak co roku. Urządzają konkurs: kto najwięcej nałapie.

- Rozumiem.

- Ale liczą na wagę, nie na sztuki, więc najbardziej opłaca się łapać duże. Nie chcieliśmy pani przestraszyć.

- Dziękuję.

Odeszli, tylko ten, który z nią rozmawiał, jeszcze został.

- Nie powinna pani tak sama się tu kręcić - powiedział. Ruchem głowy wskazał na tylne siedzenie auta. - Chociaż widzę, że ma pani broń.

- Tak, ale bez amunicji.

- Czyli na nic się pani nie przyda. - Podeszedł do swojego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie drogi. - Co to jest? Dwunastka?

- Tak.

Przyniósł jej garść naboju w czerwonych łuskach.

- Powinno wystarczyć. Alex schowała je do kieszeni.

- Dzięki. Ile jestem panu winna? Pokręcił głową.

- Proszę na siebie uważać. Jakaś godzinę temu przejeżdżał tędy czarny hummer. Jechał nim taki

wielki gość, mówił, że szuka kobiety z synkiem, że jest jej wujem i niepokoi się, bo zaginęli.

- Aha... Co mu powiedzieliście?

- Nic. Wtedy jeszcze pani nie spotkaliśmy.

- Dokąd pojechał?

- W stronę Elsinore. Ale tak sobie myślę, że niedługo pewnie zawróci.

- Dzięki.

Pomachał jej na pożegnanie.

- Niech pani unika stacji benzynowych. Powodzenia.

ZAPIS PROGRAMU CBS 5 Z SAN FRANCISCO *Rzekomy bioterrorysta zwolniony z aresztu*

(CBS 5) Podejrzany o terroryzm Mark Sanger został dziś warunkowo zwolniony z aresztu w Alamedzie. Oskarżonemu o posiadanie niebezpiecznych substancji biochemicznych Sangerowi wymierzono karę grzywny i wyznaczono dwuletni okres zwolnienia warunkowego. Z dobrze poinformowanych źródeł dowiadujemy się, że złożoność pozwu przeciw Sangerowi każe prokuratorom przypuszczać, że i tak nie udałoby się go osadzić w więzieniu - szczególnie po tym, jak zarzut, że dokonał modyfikacji genetycznej kostarykańskich żółwi skórzastych, stracił swoją wagę. Oto, co powiedział nam Julio Manarez z Kostaryki.

(Manarez) Prawdą jest, że atlantyckie żółwie morskie zostały poddane modyfikacji genetycznej, która powoduje, że ich karapaks świeci. Na razie nie wyjaśniono tego zjawiska, jednakże wiek żółwi, u których je obserwowano, wskazuje, że zmian dokonano od pięciu do dziesięciu lat temu.

(CBS 5) Wkrótce po aresztowaniu Sangera dochodzenie wykazało, że podejrzany wprawdzie odwiedził Kostarykę, ale dopiero w ubiegłym roku, a nie tak dawno, by być odpowiedzialnym za te zmiany genetyczne. Dlatego też Mark Sanger, domniemany bioterrorysta, został zwolniony po zapłaceniu pięciuset dolarów grzywny.

R079

W pokoju numer 443, sali przesłuchań Kongresu, czekający na rozpoczęcie obrad kongresman Marvin Minkowski (Wisconsin, demokrat) zwrócił się do kongresmana Henry'ego Wexlera (Kalifornia, demokrat):

- Czy nie powinniśmy pomyśleć o nowych przepisach, ograniczających dostęp do technologii rekombinacji DNA?

- Chodzi panu o Sangera? - To najświeższy przypadek. Wie pan, skąd on wzięł ten cały sprzęt i odczynniki?

- Z internetu. W New Jersey i Karolinie Północnej można kupić gotowe zestawy do rekombinacji DNA. Kosztują kilkaset dolarów.

- Czyli co, sami prosimy się o kłopoty?

- Proszę pana... Moja żona uprawia ogródek. Pańska też?

- Odkąd dzieci się wyprowadziły, zwariowała na punkcie swoich róż.

- Należy do miejscowego klubu ogrodnika...

- Naturalnie.

- Otóż to. Wielu ogrodników, którzy dawniej tworzyli nowe hybrydy, szczepiąc jedne krzaki na innych, dziś używa narzędzi do manipulacji DNA. Dzięki nim mogą posunąć się o krok dalej. Na całym świecie ludzie produkują genetycznie zmodyfikowane róże. Podobno jakiejś japońskiej firmie udało się stworzyć niebieski kwiat; błękitna róża to odwieczne marzenie hodowców. Rzecz w tym, że ta technologia jest powszechnie dostępna, Marv. W dużych firmach i w małych szklarniach. Wszędzie.

- Co z tym zrobimy?

- Nic. Nie chcę złościć pańskiej żony. Ani swojej. - Oparł brodę na dłoni; lubił tę pozę, w niej zawsze wypadł inteligentnie w telewizji. - Ale może... Może czas wygłosić mowę, w której wyraziłbym mój niepokój z powodu zagrożenia, jakie niesie ta nowa technologia.

- Świetny pomysł. Ja też powiem coś od siebie.

„Liposuction News”

TŁUSZCZ PREMIERA SPRZEDANY ZA OSIEMNAŚCIE TYSIĘCY DOLARÓW *Wkrótce sławni ludzie będą ofiarowywać swój tłuszcz na aukcje dobroczynne*

BBC NEWS. Prywatny kolekcjoner kupił kostkę mydła wyprodukowanego z tłuszczu odessanego z ciała premiera Włoch Silvio Berlusconi. Mydło - kosztowało osiemnaście tysięcy dolarów - wyprodukował szwajcarski artysta Gianni Motti; nazwał swoje dzieło Mani Pulite (czyste ręce). Tłuszcz odkupił od kliniki w Lugarno - Berlusconi poddał się tam zabiegowi liposukcji - i zużył go do zrobienia kostki mydła. Następnie sprzedał ją na targach dzieł sztuki w Genewie prywatnemu szwajcarskiemu kolekcjonerowi, który „może od tej pory myć ręce Berlusconiem”.

Powszechnie wiadomo, że Berlusconi jest niezbyt popularny w Europie, co mogło obniżyć cenę jego tłuszczu. Tłuszcz gwiazd filmowych może być zatem wart wielokrotnie więcej. Jak twierdzi jeden z komentatorów: „Tłuszcz Brada Pitta albo Pamelii Anderson może osiągać zawrotne ceny”.

Ale czy sławy będą w ogóle zainteresowane sprzedawaniem swojego tłuszczu?

„A dlaczego nie? - dziwi się chirurg plastyczny z Beverly Hills. - Pieniądze mogłyby iść na cele dobroczynne. W końcu oni już i tak odsysają sobie tłuszcz, który na razie trafia na śmietnik. A przecież mogliby dzięki niemu wspierać słuszne sprawy”.

MIŁOŚNIK MOTORÓWEK TYM RAZEM POPŁYNIE... *Na własnym tyłku*

WIRED NEWS SERVICE. Zamożny Nowozelandczyk Peter Bethune podejmie próbę ustanowienia rekordu szybkości na łodzi motorowej napędzanej tłuszczem z jego własnych pośladków. Jego ekologiczny trimaran „Earthrace” ma dwadzieścia trzy metry długości i jest napędzany paliwem biologicznym otrzymanym z oleju roślinnego i innych tłuszczów. Prawdę mówiąc, tłuszcz Bethune’a będzie stanowił niewielki procent paliwa w tej podróży dookoła świata: z jego pośladków uzyskano zaledwie litr paliwa. Bethune podkreśla jednak, że to „tankowanie” było wielkim aktem osobistego poświęcenia, który w dodatku opłacił paskudnymi siniakami.

ARTYSTA GOTUJE I ZJADA WŁASNY TŁUSZCZ *Protest przeciw „rozrzutności” zachodniego świata*

REUTERS. Nowojorski conceptualista Ricardo Vega poddał się liposukcji, a następnie ugotował i zjadł własny tłuszcz. Jak powiedział, chciał w ten sposób zwrócić uwagę na powszechne dla cywilizacji świata Zachodu marnotrawstwo. Część tłuszczu przeznaczył na sprzedaż, aby, jak wyjaśnia, inni mogli posmakować ludzkiego mięsa i doświadczyć kanibalizmu. Vega nie ustalił ceny na swój tłuszcz, ale jeden z handlarzy dzieł sztuki twierdzi, że będzie on znacznie tańszy od tłuszczu Berlusconiego.

„Berlusconi jest premierem - podkreśla. - A Vegi nikt nie zna. Poza tym nie on pierwszy zrobił coś takiego: Marcos Evarista już wcześniej przyrządzał klopsiki ze swojego tłuszczu”.

Marcos Evarista to chilijski artysta mieszkający na stałe w Danii. Doniesień o tym, jakoby klopsiki z jego tłuszczu miały być sprzedawane na aukcji Christies w Nowym Jorku, nie udało się potwierdzić. Przedstawiciele domu aukcyjnego odmówili komentarzy.

R080

Karetka pędziła autostradą na południe. Dolly prowadziła. Włożyła nową słuchawkę bluetooth i rozmawiała z Vaskiem. Był wściekły, ale nic nie mogła na to poradzić. Drugi raz pojechał w niewłaściwym kierunku i mógł mieć pretensje tylko do siebie.- Posłuchaj powiedziała. - Właśnie

dostaliśmy jej billingi z ostatnich pięciu lat. W tym rejonie Alex dzwoniła do niejakich państwa Kendallów, Henry'ego i Lynn. On jest biochemikiem; nie wiemy, czym ona się zajmuje, ale jest rówieśniczką Alex. Może razem się wychowywały.

- Gdzie mieszkają? Ci Kendallowie.

- W La Jolla. To na północ...

- Wiem, gdzie to jest, do cholery.

- Gdzie teraz jesteś?

- Jakaś godzinę od La Jolla. Wracam z Elsinore. Strasznie kręta droga. Psiakrew, wiem, że ona gdzieś tu nocowała!

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Mam nosa.

- W porządku. Teraz pewnie jedzie do La Jolla. Może nawet już dojechała.

- A wy gdzie jesteście?

- Dwadzieścia minut jazdy od domu Kendallów. Mamy zgarnąć tych dwoje?

- A jak doktorek?

- Trzeźwy.

- Na pewno?

- Wystarczająco, by pracować. Popija kawę z termosu.

- Sprawdziłaś ten termos?

- No jasne. Więc jak, zgarniamy ich czy czekamy na ciebie?

- Alex zostawcie w spokoju. Ale jak zobaczycie dzieciaka, bierzcie go.

- Zrobi się.

R081

Alex przycisnęła telefon do ucha.

- Bob?

Ze słuchawki dobiegł jęk.

- Która godzina?

- Siódma rano.

- Rany boskie... - Głowa z głuchym łomotem opadła na poduszkę. - Oby to było coś ważnego, Alex.

- Byłeś na degustacji wina?

Robert A. Koch, szanowany prezes kancelarii, dużo czasu i uwagi poświęcał winom. Miał okazałą ich kolekcję, w piwniczkach rozsianych po całym mieście. Kupował je na aukcjach albo przywoził z Napa, Australii, Francji. Zdaniem Alex znalazł sobie po prostu dobry pretekst, żeby regularnie się upijać.

- Czekam. I powtarzam: oby to było coś ważnego.

- W porządku. Przez ostatnią dobę przypiął się do mnie łowca nagród. Facet wielki jak szafa, wygląda jak chodząca cegłówka, ściga mnie i Jamiego, próbuje nam zrobić biopsję i pobrać nasze komórki.

- Bardzo śmieszne. Nadal czekam.

- Ja nie żartuję, Bob. Łowca nagród ściga mnie i mojego syna.

- Tak bez powodu?

- Niezupełnie. Myślę, że to ma jakiś związek z BioGenem.

- Słyszałem, że w BioGenie dzieje się nie najlepiej. Chcą pobrać wasze komórki? Chyba nie mogą.

- „Chyba” to nie jest to słowo, które chciałam usłyszeć.

- Sama wiesz, że przepisy są niejasne.

- Posłuchaj. Jest tu ze mną mój ośmioletni synek. Polują na niego. Jeśli im się uda, zawloką go do karetki i skłują igłami do biopsji. Nie interesuje mnie żadne „chyba”. Chcę usłyszeć „Załatwimy to”.

- Na pewno spróbujemy. To ma coś wspólnego ze sprawą twojego ojca?

- Tak.

- Dzwoniłaś do niego?

- Nie odbiera. - A na policję?

- Wydali nakaz aresztowania mnie. W Oxnard. Termin rozprawy wyznaczono na dzisiaj. Ktoś mnie musi zastąpić. Ktoś dobry.

- Wyślę Dennisa.

- Powiedziałaś: dobry.

- Dennis jest dobry.

- Tak, pod warunkiem że da mu się miesiąc na przygotowanie. A to będzie dzisiaj, Bob.

- No to kogo byś chciała?

- Ciebie.

- Chryste Panie... Oxnard, tak? Diabelnie daleko. A ja już dawno nie...

- Słuchaj, Bob, na tylnym siedzeniu wożę od wczoraj obrzyna. To nie żarty. Nic mnie nie obchodzi, jak daleko musisz jechać.

- Dobrze, już dobrze, wyluzuj. Muszę ustawić tu parę spraw...

- Ale pojedziesz?

- Tak, pojedę. Powiesz mi, o co chodzi?

- Wszystko jest w aktach sprawy Burneta. Domyślam się, że chcą pozyskać komórki, najpewniej przez przymusowe wywłaszczenie.

- Chcą pobrać wasze komórki?

- Twierdzą że należą do nich.

- Jak to możliwe? Są właścicielami komórek twojego ojca... No tak. To są takie same komórki. Ale to jakaś bzdura, Alex.

- Powiedz to sędziemu.- Nie mogą naruszyć integralności twojego ciała ani ciała twojego syna tylko po to, żeby...

- Przekonaj o tym sędziemu. Zadzwoń później, dowiem się, jak ci poszło. Rozłączyła się. Spojrzała na Jamiego: spał jak aniołek.

Jeżeli Koch dotrze do Oxnard przed południem, może uda mu się umówić na przesłuchanie na popołudnie. W takim razie powinna zadzwonić dopiero koło czwartej. Kupa czasu.

Ruszyła do La Jolla.

R082

Tego nam tylko brakowało! - pomyślał Henry Kendall. Goście!

Z przerażeniem patrzył, jak Lynn rzuca się na szyję Alex Burnet, a potem schyla i przytula jej synka Jamiego. Alex i Jamie przyjechali do nich bez uprzedzenia, jakby nigdy nic. Kobiety już szczebiotały wesoło i gestykulując z ożywieniem, szły do kuchni zrobić Jamiemu coś do jedzenia. Mały Jamie Kendall grał z Dave'em w *Drive or Die!* na konsoli. Zgrzyt metalu i pisk opon niósł się po domu.

Henry miał mętlik w głowie. Poszedł do sypialni, żeby pomyśleć w spokoju. Dopiero wrócił z posterunku policji, gdzie obejrzał zapis z poprzedniego dnia z kamery na szkolnym boisku. Obraz był kiepskiej jakości - i chwała Bogu, bo trudno mu było bez emocji patrzeć, jak ten dryblas Billy bije i kopie jego syna. A musiał obejrzeć nagranie kilkakrotnie. Ci wszyscy skejci z gangu powinni siedzieć za kratkami, a tymczasem przy odrobinie szczęścia może wylecą ze szkoły.

Wiedział, że na tym się nie skończyło, bo takie sprawy nigdy łatwo się nie kończą. Nastąpiły takie

czas, że wszyscy wszystkich ciągną po sądach, więc rodzice skejtów na pewno wytoczą szkole proces i zażądają ponownego przyjęcia dzieci. Pozwą jego i Lynn, osobno pozwą Jamiego i Dave'a, a wtedy wyjdzie na jaw, że Dave nie ma żadnego zespołu GandalfaCrikeya, czy jak to tam Lynn nazwała. Wszyscy się dowiedzą że jest transgenicznym szympansem.

Co będzie dalej? Niesamowity cyrk medialny. Dziennikarze koczujący całymi tygodniami na trawniku przed domem; reporterzy chodzący za nimi krok w krok; kamery pracujące dniem i nocą. Zniszczą im życie. A kiedy media się znudzą zaczną się pielgrzymki ekologów i fanatyków religijnych, którzy będą ich wyzywać od bezbożników, bandytów, terrorystów; ogłoszą wszem wobec, że są nieamerykańscy i niebezpieczni dla biosfery. Oczami wyobraźni już widział spikerów wszystkich stacji telewizyjnych na świecie angielskich, francuskich, niemieckich, japońskich. W tle przewijały się zdjęcia: jego, jego rodziny, Dave'a.

A to będzie dopiero początek.

Zabiorą Dave'a. On, Henry, może nawet trafić do więzienia - chociaż w to akurat wątpił: naukowcy od dwudziestu lat łamali przepisy regulujące kwestię badań genetycznych i żaden nie poszedł siedzieć, nawet jeśli jego pacjenci poumierali. Na pewno jednak odsuną go od dalszych badań, na rok albo i dłużej dostanie zakaz wstępu do laboratorium. Z czego utrzyma rodzinę? Lynn sama nie da sobie rady, zwłaszcza że zamówienia na strony internetowe przestaną spływać. Co będzie z Dave'em? Z Jamieem? Z Trący? Co powiedzą sąsiedzi? La Jolla jest wprawdzie stosunkowo liberalna - przynajmniej niektóre jej okolice ale ludziom raczej nie spodoba się pomysł, żeby półszympan, półczłowiek chodził do szkoły z ich dziećmi. Na taką radykalną zmianę ludzie nie są gotowi. Liberalizm ma swoje granice.

Może więc będą musieli się przeprowadzić; sprzedać dom i przenieść się na jakieś odludzie, na przykład do Montany. Chociaż tam ludzie pewnie okażą się jeszcze mniej tolerancyjni.

Takie i podobne myśli kłębiły mu się w głowie przy wtórze jazgotu zderzających się samochodów i śmiechu Lynn i jej przyjaciółki. Nie wiedział, co robić. A, co najgorsze, dręczyły go potężne wyrzuty sumienia.

Jedno było jasne: musi zacząć pilnować dzieci. Musi wiedzieć, co się z nimi dzieje. Takie incydenty jak wczorajszy są niedopuszczalne. Lynn przetrzymała syna i córkę dzisiaj dłużej w domu, żeby do szkoły poszli na późniejszą godzinę i w ten sposób uniknęli spotkania z uczniami ze starszych klas. Cleever jest niebezpieczny, a nie zanosi się na to, że trafi za kratki. Pewnie go tylko postraszą i oddadzą pod opiekę ojca. A jego ojciec to specjalista od obrony w lokalnym zespole analityków i zajadły fanatyk broni palnej. Prawdziwy męski intelekt. Nie sposób przewidzieć, co się może wydarzyć.

Wziął do ręki paczkę, którą przyniósł z laboratorium. Przesłano ją z Track Tech Industries w Chibie, w Japonii. Zawierała pięć błyszczących, srebrnych, długich na dwa centymetry cylindrów, nieco cieńszych niż słoniki do napojów. Wyjął je i obejrzał. Każde z tych arcydzieł miniaturyzacji zawierało nadajnik GPS, termometr, miernik temperatury, szybkości oddechu i ciśnienia krwi. Aktywowało się przez przyłożenie magnesu: czubek rozbłyskał wtedy niebieskim światłem, a potem gasł.

Miały umożliwić tropienie laboratoryjnych naczelnych, małp. W tym celu za pomocą urządzenia przypominającego wielką strzykawkę wszczepiano je w skórę szyi, tuż nad obojczykiem. Oczywiście Henry nie mógł tego zrobić swoim dzieciom, powstawało więc pytanie: gdzie je umieścić?

Wrócił do salonu. Podrzucić nadajniki do tornistrów? Nie. Wrzucić za koszulę? Pokręcił głową. Zorientowałyby się.

No to gdzie? Strzykawka zadziałała bez zarzutu. Nadajnik gładko wszedł w podeszwę buta, pod piętą.

Najpierw umieścił go w bucie Dave'a, potem Jamiego, a potem, pod wpływem impulsu, poprosił o but Jamiego, syna Alex.

- Po co ci on? - zainteresował się Jamie.

- Muszę coś zmierzyć. Zaraz ci oddam. Zainstalował nadajnik w trzecim bucie.

Zostały mu jeszcze dwa. Kiedy się zastanawiał, co z nimi zrobić, zaświtało mu w głowie kilka pomysłów.

R083

Hummer zatrzymał się za karetką. Vasco wysiadł i podszedł do ambulansu. Dolly przesiadła się na fotel pasażera.

- Co masz? - zapytał Vasco, wskazując do wozu. Dolly wskazała dom przy końcu ulicy.

- To dom Kendallów. Samochód Burnet od godziny stoi na podjeździe. Zmarszczył brwi.

- Co tam się dzieje? Pokręciła głową.

- Mogłabym ustawić mikrofon kierunkowy, ale musielibyśmy stanąć na wprost okien. A ty pewnie wolałbyś bliżej nie podjeżdżać.

- Fakt.

Vasco wyciągnął się w fotelu, westchnął przeciągle i spojrzął na zegarek.

- Nie możemy tam wejść. - Łowca nagród ma prawo wkroczyć na teren zbiega nawet bez nakazu sądowego, ale nie może wejść na teren należący do osób trzecich, nawet jeśli wie, że ścigany się tam ukrywa. - Wcześniej czy później wyjdą. A my będziemy na nich czekać.

R084

Gerard był zmęczony. Od ostatniego przystanku leciał przez godzinę bez przerwy. A przystanek okazał się niebezpieczny.

Niedługo po świcie wylądował w kompleksie zabudowań, bo poczuł zapach jedzenia. Budynek były drewniane i pomalowane farbą która teraz obrażała z nich płatami. Obok stały stare samochody, zarośnięte wysoką trawą. Gerard słyszał prychnięcia jakichś dużych zwierząt za płotem. Przysiadł na nim i patrzył, jak chłopiec w niebieskich ogrodniczkach idzie przez podwórko z kubłem w ręce. Znow zapachniało jedzeniem.

- Jestem głodny - oznajmił.

Chłopiec zatrzymał się, odwrócił, porozglądał i poszedł dalej.

- Chcę jeść. Jestem głodny - powtórzył Gerard. Chłopiec znow przystanął. Obejrzał się.

- No co! Mowę ci odjęło? - zniecierpliwiał się Gerard.

- Nie. Gdzie jesteś?

- Tutaj.

Mrużąc oczy, dzieciak podszedł do płotu.

- Nazywam się Gerard.

- Rany! Ty mówisz!

- Ależ to ekscytujące.

Woń dobywająca się z kubła była teraz o wiele silniejsza. Gerard czuł zapach kukurydzy, jakichś innych ziaren, ale też czegoś, co pachniało ohydnie. Ale głód wziął górę nad obrzydzeniem.

- Chcę jeść.

- Co byś zjadł? - Chłopak wygarnął z kubła garść pokarmu. - Może być? Gerard schylił się, dziobnął - i natychmiast splunął.

- Faj!

- To karma dla kur. Dobra. Lubią ją. - Nie masz jakichś świeżych jarzyn?

- Zabawny jesteś. - Chłopiec parsknął śmiechem. - Gadasz jak Angol. Jak się nazywasz?

- Gerard. Może pomarańcze? Masz pomarańcze? - Zniecierpliwiony Gerard przestępował z nogi na nogę. - Zjadłbym pomarańczę.
- Gdzie się nauczyłeś tak dobrze mówić?
- Mógłbym zapytać o to samo ciebie.
- Wiesz co? Pokażę cię tacie. - Chłopiec wyciągnął rękę. - Jesteś oswojony, prawda?
- A niech mnie kule biją!

Gerard przeskoczył na dłoń chłopca, a ten posadził go sobie na ramieniu i ruszył w stronę domu.

- Na pewno można by za ciebie dostać sporo pieniędzy. Gerard zaskrzeczał i podfrunął na najbliższy dach.

- Hej! Wracaj!
- Jared? Do roboty! - krzyknął ktoś.

Gerard patrzył, jak chłopiec z ociąganiem wraca do swoich zajęć. Wyszedł na podwórko i sypnął jedzenie ptakom, które gdakały i odskakiwały, gdy ziarenka trafiały je w skrzydła. Wyglądały na bezdennie głupie. Gerard namyślił się i zdecydował, że jednak zje to, co one. Sfrunął na dół, skrzeknął ostrzegawczo, żeby przepłoszyć głupie ptaszyska, i zaczął jeść. Ziarno mu nie smakowało, ale coś jeść musiał. Dzieciak rzucił się na niego z wyciągniętymi przed siebie rękami. Gerard podfrunął, dziobnął go z całej siły w nos chłopiec wrzasnął - i opadł na ziemię kawałek dalej, żeby spokojnie jeść dalej. Duże, żółte ptaki otaczały go ze wszystkich stron.

- Odsuńcie się! No już!

Nie zwracały na niego uwagi. Gerard zaczął wyc jak syrena policyjna. Chłopak znów na niego skoczył - i znów nie udało mu się go złapać. Musiał być okropnie głupi.

- Trzepotanie! Mamy trzepotanie na sześciu tysiącach metrów! Pchnę drażek...

Rozległa się ogłuszająca eksplozja. Kury wreszcie się rozbiegły i Gerard choć przez chwilę mógł spokojnie pojeść.

Tymczasem chłopiec przyniósł skądś siatkę i właśnie brał nią zamach. Tego już było za wiele dla Gerarda. Poza tym zrobiło mu się niedobrze od ohydnych żarcia, więc wzbił się w powietrze, frunąc, pacnął dzieciaka prosto w czoło i odleciał.

Po dwudziestu minutach dotarł nad ocean. Ruszył wzdłuż brzegu, gdzie leciało się lżej, bo wykorzystywał prądy wznoszące. Znużone skrzydła mogły trochę odpocząć: wprawdzie nie dał rady szybować cały czas, ale lepsze to niż nic. Powoli się uspokajał.

Spokój trwał do chwili, gdy jakiś olbrzymi - wręcz gigantyczny! - biały ptak przeleciał bezszelestnie tuż obok; powietrze zawirowało i Gerard się zachwiał. Zanim wyrównał lot, monstrualne ptaszysko z wielkimi skrzydłami było już daleko. Miało tylko jedno oko, błyszczące w słońcu i umieszczone dokładnie pośrodku głowy. W ogóle nie poruszało skrzydłami: cały czas były idealnie płaskie i wyprostowane.

Gerard cieszył się w duchu, że nie napotkał całego stada takich ptaków. Patrzył, jak olbrzym zatacza koło i siada na ziemi - i w tej samej chwili dostrzegł zieloną oazę przy pustynnym brzegu. Prawdziwą oazę! Palmy otaczały skupisko olbrzymich głazów, dalej ciągnął się wypielęgnowany ogród i przycupnięte w nim śliczne domki. Tam na pewno znajdzie coś do jedzenia. Zaczął obniżać lot.

Wyglądało to trochę jak scena ze snu. Piękni ludzie w białych szatach spacerowali po ukwieconym ogrodzie albo przystawali w cieniu palm. Wszędzie roiło się od ptaków. Gerard na razie nie czuł zapachu jedzenia, ale w takim miejscu coś przecież musiał znaleźć.

Aż w końcu poczuł: pomarańcze. Krojone pomarańcze!

W sekundę wypatrzył niebiesko-czerwonego ptaka - siedział na żerdce, a pod nim, na tacy, leżały kawałki pomarańczy, awokado i liści sałaty. Gerard ostrożnie usiadł obok niego.

- Chcę, żebyś mnie pragnął - powiedział.
- Wi-taj - odparł niebiesko-czerwony.
- Żebyś mnie potrzebował.
- Wi-taj.
- Ładne miejsce. Jestem Gerard.
- Aha. Co jest, doktoru?
- Mogę się poczęstować pomarańczą?
- Wi-taj. Co jest, doktoru?
- Pytałem, czy mogę wziąć kawałek pomarańczy.
- Wi-taj.

Gerard stracił cierpliwość i sięgnął po owoc. Niebiesko-czerwony dziobnął go ze złością. Gerard uchylił się i odfrunął ze swoją zdobyczą. Przysiadł na gałęzi - i dopiero teraz zobaczył, że tamten ptak jest przypięty do żerdki łańcuszkiem. Powoli zjadł pomarańczę i wrócił po jeszcze. Podfrunął do niebiesko-czerwonego od tyłu, potem, następnym razem, z boku. Nadlatywał zniecka i robił unik, a więzień mógł mu tylko powiedzieć: „Wi-taj”.

Po pół godzinie nasycił głód.

Kątem oka obserwował mijające ich postaci w bieli, pogrążone w dyskusjach o NyQuil i Jell-O.

- Jell-O to smaczny deser dla całej rodziny - powiedział. - Teraz ma jeszcze więcej wapnia.

Dwoje odzianych na biało ludzi spojrzało na niego, któreś się roześmiało i poszli dalej. Okolica tchnęła spokojem. Strumyki płynące wzdłuż ścieżek gulgotały radośnie. Gerard uznał, że zostanie tu na dłużej. Dużo dłużej.

R085

Dobra, zaczynamy - powiedział Vasco.

Z domu Kendallów wyszło dwoje dzieci. Jedno, śniade, w baseballówce, miało trochę krzywe nogi.

Drugie, w podobnej czapce, ubrane było w spodnie khaki i sportową koszulkę.

- To chyba Jamie - stwierdził Vasco i wrzucił bieg. Samochód potoczył się wolno naprzód.

- Czy ja wiem? - Głos Dolly był pełen powątpiewania. - Nie wygląda...

- To przez tę czapkę. Zawołaj go. Dolly otworzyła okno. - Jamie, kochanie...

Chłopiec spojrzał na nią.

- Tak?

Wyskoczyła z samochodu.

Henry Kendall siedział przy komputerze i namierzał TrackTechy, kiedy od strony ulicy dobiegł go piskliwy krzyk. Rozpoznał głos Dave'a. Zerwał się i rzucił do drzwi. Lynn wybiegła z kuchni i deptała mu po piętach. Alex została w kuchni. Przerazona, tuliła swojego syna.

Dave nie rozumiał, co się dzieje. Jamie zaczął rozmawiać z kobietą w tym dużym białym samochodzie, a potem ona nagle wyskoczyła i go złapała. Dave nie umiał zaatakować samicy, przyglądał się więc biernie, jak ta kobieta chwyta Jamiego, wlecze go na tył wozu i otwiera dwuskrzydłowe drzwi. W środku siedział mężczyzna w białym kitlu. Dave zobaczył również mnóstwo błyszczących narzędzi i się przeraził.

Jamie też chyba się wystraszył, bo nagle zaczął krzyczeć. Kobieta zatrzaskała drzwi.

Nim samochód ruszył, Dave z wrzaskiem skoczył do tylnych drzwi i uczepił się klamek. Auto zaczęło błyskawicznie przyspieszać. Dave trzymał się mocno, usiłując nie stracić równowagi, a gdy poprawił chwyt, podciągnął się i zajrzał do środka przez okno. Kobieta i mężczyzna w białym kitlu próbowali położyć Jamiego na łóżku i przywiązać. Chłopiec wyrywał się i krzyczał.

Dave oszalał. Warknął, uderzył pięścią w drzwi. Zaniepokojona kobieta podniosła wzrok. Zobaczyła

go, wytrzeszczyła oczy i krzyknęła coś do kierowcy.

Samochodem szarpnęło w bok. Dave omal nie puścił klamek. Kiedy karetka skręciła ostro w przeciwną stronę, podciągnął się i chwycił światel nad drzwiami. Wdrapał się na dach i centymetr po centymetrze posuwał po gładkiej powierzchni do przodu. Samochód zwolnił i jechał już spokojnie. Ze środka dobiegał krzyk chłopca.

Dave pełzł naprzód.

- Zgubiliśmy go! - krzyknęła Dolly, patrząc przez okno.

- Co to było?

- Nie wiem, wyglądało jak małpa.

- To nie żadna małpa, tylko mój przyjaciel! - zawołał Jamie. - Chodzi ze mną do szkoły.

Spadła mu czapka i Dolly zobaczyła, że chłopiec ma ciemne włosy.

- Jak się nazywasz?

- Jamie. Jamie Kendall. - Och, nie...

- Jasny gwint! Złapałaś nie to dziecko, co trzeba? - warknął Vasco.

- Ma na imię Jamie!

- Ale to nie ten. Mój Boże, ależ z ciebie kretyńka, Dolly. To kidnaping.

- To nie moja wina, że...

- A czyja?

- Też go widziałeś.

- Nie widziałem, że...

- Wyjrzałeś przez okno.

- Zamknij się! Nie kłóć się ze mną. Musimy go odwieźć.

- Jak to?!

- Normalnie. Trzeba go odstawić do domu, bo inaczej to będzie porwanie. Vasco zaklął i zawył.

Dave leżał na dachu szoferki, wciśnięty między szeroką listwę z migającymi światłami i dach tylnej części. Zwiesił głowę i tułów po stronie kierowcy. W dużym lusterku wstecznym zobaczył odbicie paskudnego człowieka z czarną brodą który siedział za kierownicą i krzyczał na kogoś. Na pewno chciał skrzywdzić Jamiego, bo w grymasie wściekłości szczyrzył zęby.

Dave wychylił się bardziej, oparł na lusterku i sięgnął ręką do szoferki. Silnymi palcami złapał brodacza za nos. Mężczyzna krzyknął i się szarpnął. Dave puścił go, ale wsadził do środka głowę i wgryzł mu się w ucho. Brodacz się darł; Dave wyczuwał jego złość, ale sam też był wściekły. Pociągnął mocno, gwałtownie - i ucho oderwało się od głowy. Trysnęła fontanna krwi.

Mężczyzna zawył z bólu i zakręcił ostro kierownicą.

Karetka przechyliła się na zakręcie, lewe koła oderwały się od ziemi i samochód runął na prawy bok. Zgrzyt metalu był ogłuszający. Dave jechał na szoferce do ostatniej chwili, ale w końcu spadł z dachu. Stopami uderzył brodacza prosto w twarz; jeden z jego butów utkwiał w ustach mężczyzny, który zakrztusił się i rozkaszłał. Kobieta darła się jak opętana. Dave wyciągnął stopę z buta, zostawiając go w ustach zakrwawionego kierowcy.

Zrzucił też drugi but, przebiegł na tył karetki i po chwili szarpaniny otworzył drzwi. Człowiek w kitlu leżał na boku, krwawiąc z ust. Jamie leżał pod nim i płakał. Dave wyciągnął mężczyznę z auta, na jezdnię. Potem wskoczył po Jamiego, przerzucił go sobie przez grzbiet i pognał z nim w stronę domu.

- Nic ci się nie stało? - spytał Jamie. Dave wypluł ucho na dłoń.

- Nie.

- Co tam masz? - Ucho. - Fuj!- Odgryzłem mu ucho. To zły człowiek. Skrzywdził cię.

- O rany...

Henry, Lynn i ci nowi ludzie stali na trawniku przed domem. Dave zsunął Jamiego z grzbietu. Chłopiec popędził do rodziców. Dave czekał, aż matka go pogłaszcze, ale dla Lynn istniał teraz tylko Jamie. Nie podobało mu się to. Wszyscy biegali dookoła niego, ale nikt nie chciał go dotknąć, nikt pieszczotliwie nie wsuwał mu palców w futro.

Posmutniał.

Nagle zobaczył pędzący w ich stronę czarny, kanciasty samochód. Był ogromny, wysoki i wjechał prosto na trawnik.

R086

Sala sądu w Oxnard była mała i tak lodowata, że Bob Koch zaczął się bać, że nabawi się zapalenia płuc - a i bez tego czuł się fatalnie. Miał kaca i paskudną zgagę. Sędzia, dość młody, około czterdziestki, też wyglądał na skacowanego. Ale pozory często mylą. - Koch odchrząknął.

- Wysoki sędzie, reprezentuję Alexandrę Burnet, która nie mogła przybyć osobiście.

- Sąd wydał jej nakaz stawienia się na rozprawę.

- Wiem o tym, wysoki sędzie, ale panią Burnet ściga łowca nagród, który zamierza pobrać próbki tkanki z jej ciała lub z ciała jej syna. Została zmuszona do ucieczki, aby do tego nie dopuścić.

- Jaki łowca nagród? - zdziwił się sędzia. - Skąd się wziął?

- My również chcielibyśmy się tego dowiedzieć, wysoki sędzie. Sędzia spojrzał pytająco na adwokata drugiej strony.

- Panie Rodriguez?

- Wysoki sędzie. - Rodriguez wstał. - Żaden łowca nagród jako taki nie został w tę sprawę wciągnięty.

- O kim wobec tego mówimy?

- O poszukiwaczu zbiegów, zawodowcy.

- Na czyje zlecenie działa?

- Nie ma autoryzacji jako takiej, wysoki sędzie. Próbuje dokonać zatrzymania obywatelskiego.

- Kogo chce zatrzymać?

- Panią Burnet i jej syna.

- Pod jakim zarzutem?

- Posiadania skradzionej własności.

- Osoba dokonująca zatrzymania obywatelskiego musi być w takim przypadku świadkiem posiadania tejże.

- Zgadza się, wysoki sędzie.

- Czego dokładnie świadkiem był ten łowca nagród?

- Posiadania własności, o której mowa, wysoki sędzie.

- Ma pan na myśli linię komórek Burneta.

- Tak, wysoki sędzie. Jak już wykazaliśmy przed tym sądem, właścicielem tej linii komórek jest UCLA, który sprzedał licencję firmie BioGen z Wesrview. Prawo własności jest zresztą potwierdzone kilkoma innymi decyzjami sądów.

- Jak wobec tego doszło do kradzieży?

- Wysoki sędzie, zdobyliśmy dowody na to, że pan Burnet brał udział w pozbawieniu BioGenu zgromadzonych zapasów komórek. Ale nawet jeśli nie jest to prawda, BioGen ma prawo odzyskać komórki, których jest właścicielem.

- Może je pozyskać od pana Burneta.

- Istotnie, wysoki sędzie. Ponieważ sąd orzekł, że komórki pana Burneta są własnością BioGenu, firma może w każdej chwili uzupełnić ich zapas. I bez znaczenia jest, czy komórki znajdują się w

ciele pana Burneta, czy poza nim. Należą do BioGenu.

- Odmawia pan panu Burnetowi prawa do własnego ciała? - Sędzia uniósł pytająco brwi.

- Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, to prawo nie ma zastosowania. Przypuśćmy, że ktoś ukradł należący do żony wysokiego sądu pierścionek z brylantem i go połknął. Pierścionek nie zmieni przez to właściciela.

- To prawda, ale musiałbym zapewne cierpliwie czekać na zwrot pierścionka.

- Zgoda, wysoki sędzie. Załóżmy jednak, że pierścionek z pewnych przyczyn utknął we wnętrzościach. Czy wysoki sąd miałby prawo go wydobyć? Oczywiście, że tak. Nie można odebrać wysokiemu sądowi prawa własności, bez względu na to, gdzie przedmiot tego prawa się znajduje. Ten, kto połknął pierścionek, musi się liczyć z tym, że właściciel będzie chciał go odzyskać.

Koch uznał, że najwyższa pora zabrać głos.

- Wysoki sędzie. O ile dobrze pamiętam szkolne lekcje biologii, połknięty przedmiot znajduje się w ciele najwyżej w takim sensie, jak przedmiot umieszczony w dziurce pączka wiedeńskiego znajduje się w tymże pączku. Pierścionek nie staje się częścią ciała tego, kto go połknie.

- Ależ wysoki sędzie... - prychnął Rodriguez.

- Wysoki sędzie! - Koch podniósł głos. - Wszyscy chyba zgadzamy się, że w tym wypadku nie chodzi o skradziony pierścionek z brylantem. Mówimy o komórkach w ludzkim ciele. Sam pomyśl, że takie komórki mogą stać się własnością kogoś innego, nawet jeśli sąd apelacyjny podtrzymał orzeczenie przysięgłych, prowadzi do niedorzecznych wniosków, co doskonale widać na tym przykładzie. Jeżeli dziś BioGen nie ma komórek pana Burneta, to dlatego że stracił je przez własną głupotę. Nie ma prawa żądać więcej. Gdyby wysoki sąd stracił pierścionek z brylantem, nie otrzymałby nowego za darmo.

- Ta analogia jest niedokładna - wtrącił Rodriguez.

- Taka jest natura analogii.

- W tym przypadku prosiłbym wysoki sąd, aby trzymać się ściśle meritum sprawy, uwzględniając poprzednie decyzje sądowe, wśród nich i tę, że to BioGen jest właścicielem tych komórek. Owszem, pochodzą od pana Burneta, ale są własnością BioGenu. I uważamy, że mamy prawo w dowolnym momencie je pozyskać.

- Wysoki sędzie, taka argumentacja stoi w bezpośredniej sprzeczności z Trzynastą Poprawką dotyczącą niewolnictwa. BioGen może być właścicielem komórek pana Burneta, ale nie samego pana Burneta. To po prostu niemożliwe.

- Nigdy nie twierdziłmy, że jesteśmy właścicielami pana Burneta. Ale jego komórki należą do nas.

- Co w praktyce oznacza, że pan Burnet jest waszą własnością ponieważ żądacie dostępu do jego ciała w dowolnym momencie...

- Panowie - sędzia sprawiał wrażenie skołowanego. - Rozumiem istotę sporu, co to wszystko jednak ma wspólnego z panią Burnet i jej synem?

Bob Koch wrócił na miejsce. Niech Rodriguez sam się pograży, próbując przekonać sąd, by wyciągnął wprost niewiarygodne wnioski.

- Wysoki sędzie - zaczął Rodriguez. - Jeżeli sąd zgadza się z tym, że komórki pana Burneta są własnością mojego klienta, a moim zdaniem nie może się z tym nie zgodzić, wówczas naturalne jest, że te komórki pozostają własnością mojego klienta bez względu na ich lokalizację. Gdyby na przykład pan Burnet oddał krew bankowi krwi, zawierałaby ona komórki, które są naszą własnością. Moglibyśmy zażądać wyekstrahowania ich z krwi, ponieważ prawo zabrania panu Burnetowi oddania ich komukolwiek innemu. Należą do nas. Podobnie rzecz się ma w tym przypadku: komórki będące naszą własnością identyczne z tymi, które pobraliśmy od pana Burneta, znajdują się także w

organizmach jego potomków. One również należą do nas i tak samo mamy prawo je pobrać.

- To o co chodzi z tym łowcą nagród?

- Poszukiwacz zbiegów, zawodowiec, próbuje dokonać zatrzymania obywatelskiego. Jeżeli zobaczy potomków pana Burneta, to, biorąc pod uwagę, że z definicji są posiadaczami naszej własności, ma prawo ich aresztować.

Sędzia westchnął.

- Konkluzja ta może się z pozoru wydawać nielogiczna, ale faktem jest, że świat wkroczył w nową erę i to, co dziś wydaje nam się dziwne, za parę lat nie będzie dziwić nikogo. Już dziś znaczna część ludzkiego genomu jest własnością prywatną podobnie jak informacja genetyczna o wielu chorobotwórczych mikroorganizmach. Pomysł, że struktury biologiczne są prywatną własnością wydaje nam się niezwykły tylko dlatego, że jest nowatorski. Sąd jednak powinien orzekać, opierając się na poprzednich decyzjach. Komórki Burneta należą do nas.

- Ale w przypadku jego potomków mamy do czynienia nie konkretnie z jego komórkami, lecz z ich kopiami - zauważył sędzia.

- Istotnie, wysoki sędzie, jednak nie w tym rzecz. Jeżeli jestem właścicielem instrukcji na stworzenie czegoś i ktoś tę instrukcję skseruje, nie zyska do niej prawa własności. Instrukcja jest moja bez względu na to, kto i jak ją skopiuje. Mam również prawo zabrać mu tę kopię.

- Panie Koch? - Sędzia spojrzał na Kocha pytająco.

- Wysoki sędzie, pan Rodriguez prosił o zawężenie orzeczenia. Ja również o to proszę. Poprzednie sądy orzekły, że kiedy komórki pana Burneta znajdują się poza jego organizmem, przestaną być jego własnością. Nie twierdziły, że pan Burnet jest chodzącą kopalnią złota, którą BioGen może dowolnie eksploatować. A już z całą pewnością nie twierdziły, że BioGen ma prawo fizycznie pobrać te komórki od każdego, kto je nosi. Taka supozycja dalece wykracza poza wszelkie dotychczasowe orzeczenia w tej sprawie. Mówiąc wprost, jest to całkiem nowa konkluzja oparta wyłącznie na pobożnych życzeniach BioGenu. W imieniu mojej klientki proszę sąd o nakazanie Miogenu, by odwołał tego łowcę nagród.

- Nie rozumiem jednego, panie Rodriguez - przyznał sędzia. - Co dało BioGenowi podstawę do samowolnego działania? Postępowanie pana klienta wydaje mi się pochopte i nieuzasadnione. Z pewnością mogliście państwo poczekać do czasu, gdy pani Burnet stawi się przed sądem.

- Niestety, wysoki sędzie, było to niemożliwe. Mój klient znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji biznesowej. Jak wspominałem, wszystko wskazuje na to, że padł ofiarą spisku mającego na celu pozbawienie go jego prawowitej własności. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale od szybkiego odzyskania tych komórek zależy przyszłość mojego klienta. Jeżeli skutkiem decyzji sądu będzie dalsza zwłoka, mój klient może ponieść niepowetowane straty, a co za tym idzie, całkowicie wypaść z rynku. Dlatego pokusiliśmy się o próbę natychmiastowego rozwiązania palącego problemu.

Bob widział, że argumenty Rodrigueza trafiają sędziemu do przekonania. Cała ta gadka o pośpiechu zrobiła na nim wrażenie - nie chciał być odpowiedzialny za bankructwo kalifornijskiej firmy. Obrócił się w fotelu, spojrzał na zegar, a potem na adwokatów.

Bob musiał coś z tym zrobić. I to już.

- Wysoki sędzie, jest coś jeszcze, coś, co może mieć wpływ na ostateczną decyzję. Chciałbym zwrócić uwagę wysokiego sądu na następujące zeznanie złożone w dniu dzisiejszym w Centrum Medycznym Uniwersytetu Duke'a. - Podał jeden egzemplarz Rodriguezowi. - Jeśli wysoki sąd pozwoli, pokrótce streszczę oświadczenie i wyjaśnię, jaki ma związek z naszą sprawą.

Zaczął od tego, że linia komórek Burneta wytwarza duże ilości substancji zwanej cytotoksycznym TLA7D o potencjalnie bardzo silnym działaniu przeciwrakowym. Ten właśnie fakt decydował o

ogromnej wartości tej linii.

- Tymczasem w zeszłym tygodniu Amerykański Urząd Patentowy wydał patent na gen TLA4A. To gen regulatorowy kodujący enzym, który wycina grupę hydroksylową ze środka białka 4B związanego z cytotoksycznym limfocytom T. Białko to jest prekursorem cytotoksycznego TLA7D, który powstaje z niej po usunięciu grupy hydroksylowej. Do czasu jej wycięcia białko nie wykazuje żadnej aktywności. Tak więc gen sterujący wytwarzaniem produktu należącego do BioGenu jest własnością Duke'a, co potwierdza ten dokument.

Rodriguez poczerwieniał.

- Wysoki sędzie, to próba zamącenia klarownego obrazu sprawy, która w swej istocie jest zupełnie prosta. Chciałbym prosić, aby...

- Rzeczywiście, to prosta sprawa - przytaknął Bob. - Dopóki BioGen nie wykupi od Duke'a licencji, nie będzie mógł korzystać z enzymu produkowanego przez należący do Duke'a gen. Zarówno sam gen, jak i jego produkt są własnością Duke'a.

- Ale to...

- BioGen jest właścicielem komórki, wysoki sędzie, nie czyni go to jednak właścicielem wszystkich genów w tej komórce.

Sędzia znów spojrzał na zegar.

- Wezmę to pod uwagę. Jutro poznacie panowie moją decyzję.

- Wysoki sędzie...

- Dziękuję panom. Zamykam posiedzenie.

- Ale wysoki sędzie, ta kobieta i jej syn są w dalszym ciągu prześladowani...

- Rozumiem już problem, teraz muszę zrozumieć prawo. Do zobaczenia jutro, panowie.

R087

Kendallowie podnieśli wrzask, widzącego pędzącego na nich hummera, ale Vasco Borden - szczerząc obolałe zęby i przyciskając opatrunek do krwawiącego kikuta ucha wiedział, co robi. Wjechał na trawnik, zatrzymał się, porwał syna Alex, pchnął zaskoczoną matkę na ziemię, wskoczył do wozu i odjechał przy wtórze ryku silnika. A tamci tylko stali i patrzyli.

- Tak to się robi, malutki! - zawołał triumfalnie. - Wyszedłeś z domu? Jesteś mój! Przyspieszył.

- Straciliśmy karetkę, więc realizujemy plan B. - Obejrzał się przez ramię.

- Dolly, skarbie, zawiadom salę operacyjną. Będziemy za dwadzieścia minut. Za godzinę będzie po wszystkim.

Henry Kendall był wstrząśnięty. Na trawniku przed jego domem właśnie doszło do porwania, a on nie zareagował. Jego syn popłakiwał, tuląc się do matki. Dave rzucił na trawę czyjeś ucho! Alex poderwała się i wzywała policję, ale hummer już przemknął ulicą skręcił na skrzyżowaniu i znikł.

Czuł się słaby i bezradny, jakby zrobił coś niewłaściwego. Obecność przyjaciółki Lynn nagle wydała mu się krępująca, wrócił więc do domu i usiadł przy komputerze - w tym samym miejscu, w którym siedział przed pięcioma minutami, kiedy Dave krzyknął i wszystko się zaczęło.

Nadal był połączony z witryną TrackTech, gdzie wprowadzał imiona dzieci i numery seryjne nadajników. Podał już dane Dave'a i swojego syna, teraz pozostało mu wpisać namiary na drugiego Jamiego. Zrobił to. Czuł się paskudnie.

Na ekranie wyświetliła się pusta mapa z okienkiem na wpisanie oznaczenia poszukiwanego nadajnika. Henry podał dane nadajnika Jamiego Burneta - jeżeli czujnik działał, powinien zobaczyć, jak przemieszcza się ulicami La Jolla, ale niebieski punkt się nie poruszał. Program wskazywał jego położenie: Marbury Madison Drive 348, czyli dom Kendallów.

Henry rozejrzał się po pokoju: białe adidas Jamiego Burneta stały w kącie, obok jego torby

podróżnej. Chłopiec nie zdążył ich włożyć.

Wpisał dane sensora, który wszczepił w but syna. Ten sam wynik: niebieski punkt tkwił nieruchomo w położeniu: dom Kendallów. Nagle trochę się przesunął

- i Jamie Kendall wszedł do pokoju.

- Tata? Co robisz? Przyjechała policja. Chcą z wszystkimi porozmawiać.

- Zaraz przyjdę.

- Mama jest roztrzęsiona.

- Minutkę.

- Płacze. Prosiła, żebyś przyniósł jej chusteczkę.

- Zaraz.

Szybko wpisał trzeci numer seryjny, z nadajnika Dave'a. Ekran pociemniał. Henry czekał, a program na bieżąco odtwarzał mapę: przedstawiała drogi wylotowe na północ od miasta, w okolicy Torrey Pines.

Niebieski punkcik się poruszał.

Torrey Pines Road, kierunek ENE, 91 km/h.

Kropka skręciła w Gaylord Road i ruszyła w głąb łądu, oddalając się od wybrzeża. Nadajnik Dave'a musiał zostać w hummerze: albo wypadł z podeszwy, albo Dave zostawił swój but w samochodzie, w każdym razie czujnik tam był i działał bez zarzutu.

- Jamie, idź po Alex. Niech na chwilę przyjdzie.

- Ale tato...

- Rób, co mówię. I ani słowa policjantom. Alex spojrzała na ekran.

- Dorwę sukinsyna i odstrzelę mu łeb - powiedziała. - Tknął mojego syna? Już nie żyje.

Głos miała spokojny, wyprany z emocji. Nie żartowała. Henry'emu ciarki przeszły po plecach.

- Dokąd on jedzie? - spytała Alex.

- W głąb łądu, ale może tylko po to, żeby uniknąć korków w Del Mar. Zaraz się dowiemy, czy wróci nad ocean.

- Daleko jest?

- Dziesięć minut.

- Jedziemy. Ty weź laptop, ja wezmę broń.

Henry wyrztał przez frontowe okno. Przy krawężniku stały trzy radiowozy, sześciu policjantów kręciło się po trawniku.

- To nie będzie takie łatwe.

- Będzie. Zaparkowałam za rogiem.

- Chcą ze mną porozmawiać.

- To ich spław. Wymyśl coś. Czekam w samochodzie.

Powiedział policjantom, że Dave wymaga opieki lekarskiej, więc zabierze go do szpitala. Jego żona Lynn wszystko widziała i opowie im, co się stało, a on złoży zeznanie, gdy tylko wróci. Ale na razie musi jechać. To pilne.

Widząc zakrwawione dłonie Dave'a, policjanci nie protestowali. Lynn dziwnie spojrzała na męża.

- Zaraz wrócimy - obiecał.

Obszedł dom, przeciął sąsiednią parcelę. Dave za nim.

- Dokąd idziemy? - zapytał Dave.

- Poszukamy tamtego człowieka z brodą.

- On skrzywdził Jamiego.

- Wiem.

- Ja go też skrzywdziłem.
- To też wiem.
- Ucha mu odpadły.
- Mhm.
- Następny nos.
- Dave, powinniśmy okazać umiar.
- A co to jest umiar?

Jak mu wyjaśnić? To zbyt skomplikowane. Henry widział już białą toyotę Alex. Wsiadli - on z przodu, Dave na tylną kanapę.

- Co to? - zdziwił się Dave, wskazując leżący obok niego przedmiot.
 - Nie dotykaj tego, Dave - ostrzegła Alex. - To broń. Ruszyli w pościg.
- Zadzwoiła do Boba Kocha, licząc na to, że może będzie miał jakieś nowiny.

- Mam - przyznał. - Ale nie najlepsze.
- Sędzia przyznał im rację?
- Odłożył sprawę do jutra.
- Aprobowałeś...
- Próbowałem. Jest skołowany. Sędziowie z Oxnard zwykle nie zajmują się takimi sprawami. Pewnie dlatego Rodriguez właśnie tam złożył pozew.
- Czyli czekamy do jutra?
- Na to wygląda.
- Dzięki.

Nie było sensu tłumaczyć mu, co zamierza, zwłaszcza że sama jeszcze nie wiedziała, co robi. Chociaż zamierzała zrobić wszystko, co konieczne.

Henry obserwował ekran komputera. W samochodzie chwilami tracili łączność, nawet na dłuższą chwilę - na minutę, dwie, i zaczynał się martwić, że kontakt całkiem się urwie. Obejrzał się na Dave'a i zobaczył, że ten siedzi bez butów.

- Gdzie masz buty?
- Spadły mi.
- Gdzie?
- W białym samochodzie. W karetce.
- Jak to się stało?
- Miał go w buzi, ten człowiek. Mój but. A potem samochód się przewrócił.
- I buty ci spadły?
- Tak. Opadły.

Alex musiała pomyśleć to samo, co Henry.

- Jego but jest w karetce, nie w hummerze. Jedziemy za niewłaściwym samochodem.
- Ale ambulans się rozbił. Nigdzie nie jedzie.
- To skąd sygnał...- Może nadajnik wypadł z buta i zaplątał się w ubranie tego mężczyzny? Nie wiem, jak to się stało, ale mogło tak być.
- To znaczy, że znów może wypaść.
- Właśnie.
- Albo mogą go znaleźć.
- To też.

Na tym rozmowa się zakończyła.

Henry wciąż wpatrywał się w ekran. Niebieska kropka przesuwała się na północ, potem na wschód,

znów na północ - i znowu na wschód. Minęła Rancho Santa Fe i podążyła w głąb pustyni, po czym zatoczyła łuk i dotarła do Highland Drive.

- Dobra - powiedział. - Wiem, dokąd jadą. - Solana Canyon.

- Co to jest?

- Ośrodek wypoczynkowy. Bardzo duży i bardzo elegancki.

- Mają tam lekarzy?

- Na pewno, może nawet całą klinikę. Na pewno robią liftingi, liposukcje, takie rzeczy.

- Czyli mają salę operacyjną. Alex zacisnęła zęby i dodała gazu.

Dziesięć hektarów terenu - obecnie Solana Canyon - było dowodem triumfu marketingu nad rzeczywistością. Zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej cały ten obszar był znany tylko pod swoją pierwotną nazwą: Hellhole Palms, Piekielny Gaj Palmowy. Okolica płaska, pustynna, usiana głazami i nigdzie nawet śladu kanionu. Ośrodek nie miał więc kanionu, nic go nie łączyło z nadmorskim miasteczkiem Solana Beach, ale uznano, że Solana Canyon brzmi lepiej niż inne propozycje nazwy: Angel Springs, Zen Mountain View, Cedar Springs i Silver Hill Ashram. Z nich wszystkich właśnie Solana Canyon najbardziej kojarzyła się z dyskretną obsługą na najwyższym poziomie: ośrodek liczył sobie tysiące dolarów za odmładzanie ciał, umysłów i dusz klientów. Cel ten osiągnęto poprzez ćwiczenie jogi, medytację, porady duchowe i dietę, a wszystko to serwował personel witający gości gestem złożonych jak do modlitwy dłoni i serdecznym *namaste*.

Solana Canyon był też ulubionym schronieniem sławnych i bogatych, którzy musieli iść na odwyk.

Minęli główną bramę, imitację budowli z suszonej na słońcu gliny, zmyślnie ukrytą w cieniu olbrzymich palm. Podążali śladem sygnału z nadajnika - przemieszczał się drogą na tyły ośrodka.

- Jedzie do wejścia służbowego - domyślił się Henry.

- Byłeś tu już?

- Raz. Wygłaszałem wykład z genetyki.

- Ico?

- Więcej mnie nie zaprosili. Nie spodobało się im. Znasz to stare powiedzenie: inteligencję studentów profesor tłumaczy wpływem środowiska, inteligencję swoich dzieci wpływem genów. Tak samo jest z bogatymi. Jak ktoś ma pieniądze albo jest przystojny, to chce słyszeć, że zawdzięcza to genom. Dzięki temu może czuć wyższość nad innymi, bo to oznacza, że zasłużenie odniósł sukces. I może innych traktować jak... Zaczekaj. Zatrzymali się. Zwolnij.

- Gdzie teraz?

Jechali boczną drogą zbliżając się do bocznej bramy.

- Chyba są na parkingu.

- No to co? Jedziemy?

- Nie. - Henry pokręcił głową. - Na parkingu na pewno są ochroniarze. Zorientują się, że masz broń, i będzie kłopot. - Spojrzał na ekran. - Stoi... Nie, poruszył się. Staął.

Zmarszczył brwi.

- Jeśli są tam ochroniarze, to zobaczą że Jamie się szarpie, kiedy tamci będą go wyciągać z samochodu - zauważyła Alex.

- O ile go nie uspili. Albo... Sam nie wiem - dodał pospiesznie Henry, widząc cierpienie na jej twarzy. - Czeka, znów się poruszył. Jadą dalej.

Alex wrzuciła bieg i podjechała do otwartej bramy. Nikt jej nie pilnował. Wjechali na parking. Po jego przeciwnej stronie była wąska droga.

- Co robimy? Jedziemy za nimi?

- Lepiej nie. Zobaczą nas. Zostawmy samochód tutaj. - Henry otworzył drzwi. Przespacerujemy się

po pięknym Solana Canyon. Ale zostawisz strzelbę, prawda?

- Nie. - Alex wyjęła z bagażnika ręcznik i owinęła nim broń. - Jestem gotowa.

- No to chodźmy.

- Niech to szlag! - Vasco wdusił pedał hamulca. Chciał objechać ośrodek od tyłu i zaparkować za kliniką chirurgiczną. Doktor Manuel Cajal miał wyjść z kliniki, wsiąść do hummera, zrobić biopsję i wrócić do swoich zajęć. Nikt by nic nie widział.

Ale droga była zablokowana: dwie koparki ryły rów. Innej drogi nie było. Od kliniki dzieliło ich sto metrów.

- Cholera, cholera, cholera!

- Spokojnie - powiedziała Dolly. - To żadna tragedia. Nie możemy przejechać, więc po prostu pójdziemy do kliniki pieszo. Wejdziemy tylnym wejściem i już.

- Zobaczą nas.

- No i co z tego? Przyjechaliśmy z wizytą. Poza tym tutaj wszyscy są zaabsorbowani wyłącznie sobą i nie będą mieli czasu, żeby się nami interesować. A gdyby nawet nas zauważyli i postanowili kogoś wezwać, załatwimy, co mamy załatwić, zanim ten ktoś się zjawi. Manuel robi biopsje szybciej u siebie w klinice niż tu, w samochodzie.

- Nie podoba mi się to. - Vasco się rozejrzał, powiódł wzrokiem wzdłuż drogi, popatrzył na teren ośrodka. Dolly miała rację: szybko przejdą przez ogród. Odwrócił się do chłopca. - Posłuchaj, przejdziemy się. Będiesz cicho, to nic ci się nie stanie.

- Co wy mi chcecie zrobić?

- Nic. Pobierzemy tylko krew do badań.

- Będą igły?

- Tylko jedna, jak u pana doktora. - Vasco spojrział na Dolly. - Dobra, dzwoń do Manuela. Powiedz mu, że idziemy.

Alex kładła Jamiemu do głowy, że ma wrzeszczeć wniebogłosy, gryźć i kopać, gdyby ktoś próbował go porwać. Tak właśnie się zachował na początku, kiedy go złapali, teraz jednak był przestraszony i bał się, że ci ludzie zrobią mu krzywdę, jeśli będzie im sprawiał kłopoty. Maszerował więc bez słowa skargi ścieżką. Z jednej strony szła kobieta, trzymając mu rękę na ramieniu, z drugiej ten okropny facet w kowbojskim kapeluszu, żeby nie było widać, że stracił ucho.

Mijali ludzi w szlafrokach - głównie kobiety, roześmiane lub pogrążone w rozmowach

- ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Przeszli do drugiego ogrodu, gdy nagle rozległ się głos:

- Posłuchaj no, nie pomóc ci czasem w lekcjach? Jamie stanął jak wryty. Spojrział do góry. Zaczepił go ptak. Szary ptak.

- Jesteś kolegą Evana? - zapytał ptak.

- Nie.

- Jesteście podobnego wzrostu. Ile to jest jednaście zabrać dziewięć? Jamie nie odrywał od niego wzroku.

- Chodź, skarbie - ponagliła Dolly. - To zwykły ptak.

- Zwykły ptak! - zachnął się ptak. - Kogo nazywasz ptakiem?

- Dużo mówisz - powiedział Jamie.

- A ty nie. Co to za ludzie? Dlaczego cię trzymają?

- Wcale go nie trzymamy - odparła Dolly.

- Nie chcecie chyba zabić mojego syna? - spytał ptak.

- O rany - sapnął Vasco.

- O rany - powtórzył ptak, idealnie naśladowując jego głos. - Jak się nazywasz?

- Chodźmy już - powiedział Vasco.
- Nazywam się Jamie.
- Cześć, Jamie. Jestem Gerard.
- Cześć, Gerardzie.
- Dość tego - zniecierpliwził się Vasco.
- To zależy, kto tu rządzi - zauważył Gerard.
- Dolly, nie mamy czasu.
- Najlepszym przyjacielem chłopca jest jego matka - powiedział zmienionym głosem ptak.
- Znasz moją mamę? - zainteresował się Jamie.
- Nie, nie zna - odparła Dolly. - Po prostu powtarza to, co słyszał wcześniej.
- Twoja historia mnie nie przekonuje - stwierdził Gerard, po czym, znów zmieniając głos, odpowiedział sam sobie: - To fatalnie. Masz lepszą?
Oboje dorośli poszturchiwali Jamiego, żeby szedł dalej. Nie chciał robić scen.
- Cześć, Gerard.
- Cześć, Jamie. Odeszli.
- Fajny był - westchnął Jamie.
- Fajny - zgodziła się Dolly, trzymając mu rękę na ramieniu.
Weszli do ogrodu i minęli basen - najdziwniejszy, jaki Alex w życiu widziała: nikt nie hałasował, nikt się w nim nie chlapał, ludzie leżeli na słońcu nieruchomo jak trupy. Wyjęła z szafki szlafrok i przerzuciła go sobie przez ramię, zasłaniając zawiniętą w ręcznik broń.
- Gdzie się tego nauczyłaś? - zdumiał się Henry.
Denerwował się. Nie podobało mu się, że Alex ma strzelbę i jest gotowa jej użyć. Nie wiedział, czy tamten facet z brodajest uzbrojony, ale zakładał, że tak.
- Na studiach prawniczych - roześmiała się Alex. Henry odwrócił się do idącego za nimi Dave'a.
- Nie zgub się.
- Dobrze.
Skręcili za róg, przeszli pod glinianym łukiem i znaleźli się w drugim cichym ogrodzie. Powietrze było chłodne, ścieżka ocieniona, wzdłuż niej płynął strumyk.
- Pozdrowionka, wujciu - usłyszeli. Henry spojrzał w górę.
- Co to było?
- Ja.
- Jakiś ptak.
- Bardzo przepraszam - powiedział ptak. - Mam na imię Gerard.
- Gadająca papuga - stwierdziła Alex.
- Nazywam się Jamie. Cześć, Jamie. Jestem Gerard. Cześć, Gerardzie. Alex zamarła.
- To był głos Jamiego!
- Znasz moją mamę? - spytała papuga, idealnie naśladowując głos Jamiego.
- Jamie! - zaczęła krzyżeć Alex. - Jamie! Jamie!
- Mamo?! - usłyszała z oddali.
Dave popędził w tamtym kierunku. Henry spojrzał na Alex. Odrzuciła szlafrok i ręcznik i metodycznie ładowała strzelbę. Przeładowała z głośnym szcękaniem i odwróciła się do niego.
- Chodźmy. - Była zupełnie spokojna. Obrzyn trzymała pod pachą. - Trzymaj się z tyłu.
- Eee... Dobrze. Ruszyła naprzód. - Jamie!
- Mamo! Przyspieszyła.
Od drzwi kliniki dzieliło ich najwyżej pięć metrów - trzy, cztery dłuższe kroki, nie więcej - kiedy

wybuchło zamieszanie.

Vasco Borden był wściekły. Jego zaufana asystentka rozklejała się na jego oczach. Dzieciak wrzeszczy „Mamo!”, a ona już go puszcza. I stoi jak skamieniała.

- Trzymaj go, do cholery! Co ty wyrabiasz? Nie odpowiedziała.

- Mamo! Mamo!

Tego się właśnie obawiałem, pomyślał: ośmiolatka wydzierającego się ile sił w płucach w obecności tylu kobiet w szlafrokach. Nawet jeśli wcześniej się im nie przyglądały, to teraz gapiły się wszystkie, wytykały ich palcami, coś tam gadały. Vasco kompletnie nie pasował do tego miejsca: wysoki, z brodą ubrany na czarno, w czarnym kowbojskim kapeluszu, który w dodatku musiał nasuwać głęboko na czoło, żeby nie było widać, że nie ma ucha. Zdawał sobie sprawę, że wygląda jak czarny charakter z kiepskiego westernu. A Dolly wcale mu nie pomagała. Mogła próbować uspokoić gówniarza albo po prostu zaprowadzić go do kliniki, a tak chłopak w każdej chwili mógł się rzucić do ucieczki.

Trzeba opanować sytuację. Vasco już sięgał po broń, ale kobiet w szlafrokach przybywało, wychodziły z pokojów, otaczały ich ze wszystkich stron. Rany, cała jedna klasa jogi wysypała się do ogrodu, zaciekawiona, co się dzieje i dlaczego jakieś dziecko woła matkę.

Kogo zobaczyły? Jego. Faceta w czerni.

Miał przechlapane.

- Dolly! - warknął. - Weź się w garść, do cholery! Musimy zabrać młodego człowieka do kliniki...

Nie dokończył, bo jakaś ciemna sylwetka pomknęła w jego stronę, skoczyła w powietrze, chwyciła się gałęzi na wysokości dwóch i pół metra, rozhuściła się i - w tej samej chwili, gdy Vasco rozpoznał w niej tamtego śniadego, kudłatego dzieciaka, który odgryzł mu ucho - puściła się i spadła na niego, uderzając go w pierś z impetem lecącego dużego kamienia. Vasco zatoczył się do tyłu, wpadł na krzaki róż i runął na wznak.

Dzieciak rzucił się do ucieczki, rozpaczliwie wołając matkę. A Dolly zaczęła się zachowywać tak, jakby w życiu nie widziała Vasca na oczy - on tu gramoli się z tych róż, pokłuty i podrapany, a ona mu nawet nie pomoże wstać. Trudno zachowywać się z godnością kiedy człowiek ma cały tyłek poraniony, a przygląda mu się ze setka ludzi. W dodatku zaraz zlecą się ochroniarze.

A ten czarny chłopak, podobny do małpy, gdzieś zniknął. Nigdzie go nie widać.

Vasco zaczyna rozumieć, że czas się zmywać. To koniec. Porażka. Dolly stoi nieruchomo jak Statua Wolności, więc szturcha ją krzyczy, żeby się ruszyła, że muszą wiać. Kobiety w ogrodzie zaczynają syczeć i pokrzykiwać na niego. Jakaś stara baba w panterce wrzeszczy:

- Testosteronowe bydlę! Inne jej wtórują:

- Zostaw ją! Łajdak! Molestuje kobietę!

Vasco ma ochotę krzyknąć: „Ona u mnie pracuje!”, ale to już oczywiście nieprawda. Dolly ani drgnie, jest kompletnie oszołomiona. A panterki drą gębę i wzywają policję.

Dzieje się coraz gorzej.

Dolly porusza się w zwolnionym tempie, jakby lunatykowała. Vasco musi uciekać. Odpycha ją i truchtem rusza przez ogród. Myśli tylko o tym, żeby się stąd wydostać, żeby zwiać jak najdalej. W następnej części ogrodu dostrzega dzieciaka, który im uciekł: stoi obok jakiegoś faceta, a przed nimi oboma ta babka, Alex, trzyma obrzyna, pieprzoną dwunastkę z oberżniętą lufą i najwyraźniej wie, jak się z nią obchodzić: jedna ręka na kolbie, druga od spodu na lufie. I mówi do niego:

- Jeśli jeszcze kiedyś zobaczę twój ryj, to ci go odstrzelę, skunksie.

Vasco nie odpowiada. Wymijają - i wtedy... wybuch. Krzewy przy drodze eksplodują chmurą płatków kwiatów, liści i ziemi. Vasco, oczywiście, staje jak wryty. Powoli odwraca się, trzymając

ręce z dala od ciała.

- Słyszałeś, co mówiłam?

- Tak, psze pani. - Zawsze jest uprzejmy dla kobiet z bronią zwłaszcza jeśli są wkurzone.

Tłum zgęstniał, otacza ich potrójnym albo poczwórnym kordonem. Świergoczą jak stado ptaków, wyciągają szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ale ta jędza nie zamierza mu łatwo odpuścić.

- Co ci powiedziałam?!- Że jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy, zabije mnie pani.

- No właśnie. Nie żartuję. Spróbuj tknąć mnie albo mojego syna, a naprawdę cię zabiję.

- Rozumiem, psze pani.

Czuje, że się czerwieni. Złość, upokorzenie, wściekłość.

- Idź już. - Lekki ruch lufy.

Baba zna się na rzeczy. Prawniczka, który ćwiczy na strzelnicy. Takie są najgorsze.

Vasco kiwa głową i oddala się najszybciej jak może. Chce zejść jej z oczu i schować się przed tymi kobietami. To jakiś koszmar: tabuny bab w szlafrokach patrzą jak inna baba go upokarza. Zaczyna biec - do hummera, jak najdalej od tego miejsca.

I wtedy dostrzegł tego czarnego dzieciaka, podobnego do małpy. Nie, on nie był po prostu podobny: to była małpa. Wystarczyło popatrzeć, jak się porusza. Małpa przebrana za ludzkie dziecko. Kręciła się po ogrodzie. Na jej widok rana po odgryzionym uchu zaczęła mu pulsować bólem. Niewiele myśląc, wyszarpnął pistolet z kabury i zaczął strzelać. Nie liczył na to, że z tak dużej odległości trafi skurczybyka, ale coś musiał zrobić. Małpa z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki, przesadziła susem mur i zniknęła.

Vasco pobiegł za nią - prosto do damskiej szatni. Na szczęście w środku nikogo nie było. W łazience też nie. Dalej widział basen, ale i on świecił pustkami. A to znaczyło, że w przebieralni są tylko on i ta małpa. Ruszył przed siebie, trzymając pistolet w wyciągniętej ręce.

Szczęk-szczęk.

Znieruchomiał. Znał ten odgłos: przeładowywany półautomat śrutowy. Kiedy słyszy się taki dźwięk, nie wchodzi się tam, skąd dobiega. Czekał.

- Myślisz, że masz fart, śmieciu? Tak myślisz? Chrapliwy głos brzmiał znajomo.

Vasco stał przez chwilę w drzwiach damskiej szatni, wściekły i przestraszony, w końcu jednak zrobiło mu się głupio. W dodatku czuł się zdany na pastwę losu.

- Pieprzyć to! - mruknął.

Wyszedł i skierował się do samochodu. Co go obchodzi jakaś małpa?

- Jejku, jejku - usłyszał za plecami. - Tyle broni w taki małym miasteczku, i tak niewiele rozumu.

Okręcił się na pięcie - ale zobaczył tylko szarego ptaka, siedzącego na drzwiach do łazienki. Nie miał pojęcia, kto to powiedział.

Pobiegł do hummera, myśląc już o tym, jak to wyjaśni adwokatowi i ludziom z BioGenu. Fakt był faktem: nie udało się. Kobieta wiedziała, co się święci, miała broń - ktoś jej musiał dać cynk. Nic nie mógł na to poradzić. Znał się na swojej robocie, ale nie był cudotwórcą. Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem: powinni najpierw poszukać wśród swoich, kto puścił farbę. Mają kreta w firmie. Tak się będzie tłumaczył.

R088

Adam Winkler leżał w szpitalnym łóżku, słaby i kruchy. Był blady. Wyłysiał. Zacisnął kościste palce na dłoni Josha.

- To nie twoja wina - powiedział. - I tak próbowałem się zabić. Wcześniej czy później i tak bym umarł. A czas, który mi podarowałaś... Wyświadczyłaś mi wielką przysługę. Spójrz na mnie. Nie chcę, żebyś miał wyrzuty sumienia.

Josh czuł ucisk w gardle. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Obiecay mi, że nie będziesz się tym zadręczał. Josh kiwnął głową.

- Kłamczuch. - Adam uśmiechnął się słabo. - O co chodzi z tym procesem?

- Nic wielkiego. Goście z Nowego Jorku twierdzą że przez nas ich matka zachorowała na alzheimera. A my podaliśmy jej roztwór soli.

- To znaczy, że wygrasz?

- Pewnie. Adam westchnął.

- Znów kłamiesz. - Jego dłoń zwiotczała. - Trzymaj się, bracie. Zamknął oczy.

Josh wpadł w panikę, otarł łzy - ale Adam jeszcze oddychał. Zapadł w spokojny sen.

R089

Sędzia z Oxnard pokastywał, wręczając kopie wyroku zgromadzonym w zimnej sali sądowej prawnikom: oprócz Boba Kocha i Alberta Rodrigueza tym razem przybyła także Alex Burnet.

- Jak państwo widzicie, uznałem, że prawo BioGenu do komórek pana Burneta nie upoważnia firmy do swobodnego ich pobierania od dowolnego człowieka, żywego lub martwego, w tym także od samego pana Burneta. Z całą pewnością nie wolno pobierać tych komórek od członków jego najbliższej i dalszej rodziny. Inne orzeczenie stałoby w rażącej sprzeczności z Trzynastą Poprawką która zakazuje niewolnictwa. W uzasadnieniu decyzji podkreślam, że sporna sytuacja wyniknęła z wcześniejszych niejasnych decyzji sądów, rozstrzygających kwestię własności w kontekście biologicznym. Pierwszą z nich jest uznanie, że materia usunięta z organizmu właściciela automatycznie kwalifikuje się do kategorii „odpadów”, a zatem staje się kompletnie nieistotna dla dotychczasowego właściciela. To błędny pogląd. Rozpatrzmy, na przykład, przypadek dziecka, które rodzi się martwe. Mimo że znajduje się już poza organizmem matki, można śmiało domniemywać, że albo ona sama, albo inni krewni dziecka mogą odczuwać silną więź emocjonalną z martwym płodem i chcieć decydować o tym, co się z nim stanie - czy go pogrzebią czy skremują czy prześlą jego organy do banku przeszczepów. Pomysł, że lekarz albo szpital mogliby dowolnie rozporządzać martwym płodem tylko dlatego, że znalazł się poza ciałem matki i może być traktowany jako „odpad”, jest w sposób oczywisty sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem, jak również zwyczajnie nieludzki. Podobna logika znajduje zastosowanie w przypadku komórek pana Burneta: mimo że zostały pobrane z jego ciała, pan Burnet ma pełne prawo czuć, że w dalszym ciągu do niego należą. To zupełnie naturalne i powszechne odczucie, które nie przestaje istnieć tylko dlatego, że sąd zdecyduje inaczej, opierając się na wąsko rozumianej analogii z jakimś konceptem prawnym. Nie można wyłączyć ludzkich uczuć dekretem, a to właśnie usiłowały uczynić poprzednie sądy.

Niektóre decyzje podejmowano, twierdząc, że pobrane od człowieka tkanki to odpadki. Inne sądy przyrównywały te tkanki do ogólnodostępnych pomocy naukowych, takich jak książki w bibliotece. Jeszcze inne uznawały je za własność porzuconą której w pewnych okolicznościach można się automatycznie pozbyć - podobnie jak można po upływie określonego czasu otworzyć nieopłaconą skrytkę w banku lub na poczcie i sprzedać jej zawartość. Sądy usiłowały również porównywać wagę sprzecznych argumentów i dochodziły do wniosku, że prawo społeczności ma pierwszeństwo przed prawem jednostki.

Wszystkie te analogie stoją w sprzeczności z prostymi faktami charakteryzującymi naturę człowieka. Nasze ciała należą do nas. Można powiedzieć, że prawo do własnego ciała jest najbardziej fundamentalnym ze wszystkich naszych praw własności. Jest kluczowym elementem naszej tożsamości. Jeśli sąd tego nie uwzględni, jego decyzja będzie błędna, choćby nawet nie uchybiała logice prawa.

Dlatego też podarowanie własnej tkanki lekarzowi do badań różni się od podarowania książki

bibliotece. Tych dwóch aktów nie można porównywać. Jeżeli lekarz - albo instytut naukowy, w którym jest zatrudniony - chce wykorzystać tkankę do innych celów, powinien uzyskać stosowną zgodę od darczyńcy, za każdym razem, kiedy taki inny cel się pojawi. Skoro gazeta może zawiadomić klienta, że jego prenumerata wkrótce wygaśnie, uniwersytet z pewnością może zawiadomić właściciela tkanki o zamiarze jej użycia do innych celów.

Tłumaczono mi, że taki tryb postępowania utrudniałby badania naukowe w medycynie, ale prawdziwe jest przede wszystkim twierdzenie odwrotne: jeżeli placówki naukowe nie pogodzą się z faktem, że człowiek czuje całkiem zrozumiały emocjonalny związek ze swoimi tkankami, który nie ustaje z czasem, ludzie przestaną ofiarowywać swoje organy i komórki do badań, a zaczną po prostu sprzedawać je bogatym koncernom. A ich adwokaci dopracują w najdrobniejszych szczegółach dokumenty zakazujące uniwersytetom wykorzystywania krwi, pobranej po prostu do analizy, do innych badań bez uprzedniego odszkodowania. Bo ani pacjenci, ani - tym bardziej - ich prawnicy, nie są naiwni.

Jeśli więc lekarze i uniwersytety nie przestaną traktować pacjentów po macoszemu, koszty badań naukowych wzrosną niebotycznie. Dlatego w interesie społecznym leży ustanawianie takiego prawa, które pozwoli każdemu z nas zawsze rozporządzać swoimi tkankami.

Mówiono mi również, że zainteresowanie pacjenta własnymi tkankami i prawo do prywatności ustają z chwilą jego zgonu. Jest to kolejny przejaw myślenia, które dziś nie ma już racji bytu. Biorąc pod uwagę, że potomkowie zmarłego odziedziczyli jego geny, badania nad genami zmarłego albo opublikowanie jego profilu genetycznego będą naruszały ich prywatność. Dzieci zmarłego mogą stracić ubezpieczenie zdrowotne tylko dlatego, że prawo nie jest dostosowane do rzeczywistości.

Wracając do sprawy Burneta, należy zauważyć, że skomplikowała się wyłącznie z powodu poważnych, niewybaczalnych błędów sądów. Kwestie własności zawsze muszą być złożone, skoro substancje produkuje organizm jednego człowieka, a sąd decyduje, że są one własnością innej osoby lub instytucji. Dotyczy to linii komórek, genów, a także niektórych białek. Nie można w ich przypadku mówić o „własności” w żadnym racjonalnym rozumieniu tego słowa. Jedną z nadrzędnych zasad prawa stanowi, że nasze wspólne dziedzictwo nie może być własnością pojedynczych ludzi - tak jak nie mogą nią być fakty obserwowane w naturze. A jednak od dwóch dziesięcioleci sądy wydają orzeczenia sprzeczne z tą regułą. Podobnie postępuje Urząd Patentowy. Upływ czasu i postęp w nauce dodatkowo komplikują te kwestie. Zawłaszczanie genomu i zjawisk naturalnych będzie nastęrczać coraz większych kłopotów nam wszystkim. Sądy były w błędzie - i trzeba ten błąd naprawić. Im szybciej, tym lepiej.

Alex spojrzała na Boba Kocha.

- Coś mi się wydaje, że sędziemu ktoś pomagał.

- Tak, to możliwe - przyznał Bob.

R090

Mimo starań Ricka Diehla wszystko wymykało mu się z rąk. Sprawa genu dojrzałości skończyła się katastrofą. Co gorsza, pewien cwany i pozbawiony skrupułów prawnik z Nowego Jorku pozwał BioGen do sądu. Adwokaci Ricka doradzali mu zawarcie ugody, ale takie porozumienie groziło bankructwem firmy - która, nawiasem mówiąc, i tak pewnie upadnie. Stracili linię Burneta, nie udało im się pozyskać nowych komórek od jego wnuka, a teraz jeszcze okazało się, że nowy patent uniemożliwia im wykorzystanie tego produktu.

Poprosił żonę, żeby przestała się ukrywać i wróciła do miasta. Dzieci wyjechały na lato do domu jego teściów w Martha's Vineyard. Zanosiło się na to, że sąd odda je Karen na stałe - adwokat Ricka, Barry Sindler, miał dość kłopotów z własnym rozwodem i nie mógł znaleźć czasu dla klienta.

Wokół wykorzystywania testów genetycznych w sprawach rozwodowych powstało spore zamieszanie i Sindler został powszechnie potępiony jako pionier tych nieetycznych działań.

Chodziły słuchy, że Kongres zamierza uchwalić prawa ograniczające możliwości badań genetycznych. Komentatorzy powątpiewali jednak, czy Kongres w ogóle coś zrobi, ponieważ firmy ubezpieczeniowe nalegały na dopuszczalność testów - co całkiem zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że głównym celem ich działalności jest niewypłacanie odszkodowań.

Brad Gordon wyjechał; podobno krążył teraz po zachodniej części kraju i regularnie pakował się w kłopoty.

Kancelaria Rodrigueza opiewający na ponad milion wystawiła BioGenowi pierwszy, częściowy rachunek, dolarów. Żądała jeszcze następnych dwóch milionów honorarium z tytułu czekających firmę procesów, które miała obsługiwać.

Zahuczał interkom.

- Panie Diehl? Przyszła pani z BDG, chce się z panem widzieć.

Usiadł prosto. Dobrze pamiętał Jacqueline Maurer. Była elektryzująca, emanowała elegancją i seksapilem. Przy niej wyraźnie się ożywił. A nie widział jej już od kilku tygodni.

- Poproś ją.

Wstał, szybko upchnął koszulę do spodni i odwrócił się w stronę drzwi.

Do gabinetu weszła młoda, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w zupełnie zwyczajnym granatowym żakiecie, z teczką w ręce. Miała pucułowatą twarz, miły uśmiech i ciemne włosy do ramion.

- Pan Diehl? Andrea Woodman z BDG. Przepraszam, że wcześniej się nie spotkaliśmy, ale ostatnio jesteśmy bardzo zapracowani i dziś mam pierwszy wolny termin. Bardzo się cieszę, że wreszcie możemy się poznać.

Podła mu rękę.

Rick stał jak skamieniały.

JASKINIOWCY WOLELI BLONDYNKI *Antropolog zwraca uwagę na szybki rozwój genu jasnych włosów Czy blondynki naprawdę są bardziej seksowne?*

Nowe badania kanadyjskiego antropologa Petera Frosta dowodzą, że jasne włosy i niebieskie oczy pojawiły się u Europejki pod koniec ostatniego zlodowacenia jako sposób na wabienie mężczyzn. Jedenaście tysięcy lat temu gen MC1R, odpowiedzialny za kolor włosów, wykształcił siedem różnych odmian, przy czym w ewolucyjnej skali czasu proces ten przebiegał bardzo szybko: zwykle taka zmiana wymaga około miliona lat.

Okazuje się jednak, że dobór seksualny może przyspieszyć zmiany genetyczne. Konkurencja wśród kobiet i starania o pozyskanie mężczyzn, którzy w tamtych brutalnych czasach żyli krótko, doprowadziły do wykształcenia się nowych kolorów włosów i oczu. Wnioski Frosta znajdują poparcie w pracach trzech japońskich uniwersytetów, które podobnie datują moment mutacji genetycznej odpowiedzialnej za pojawienie się blondynek, Frost przypuszcza, że blondynki wydają się atrakcyjne seksualnie, ponieważ jasne włosy i oczy są u kobiety oznaką wysokiego poziomu estrogenu, który z kolei przekłada się na wyższą płodność. Nie wszyscy podzielają ten punkt widzenia.

„Nie wydaje mi się, żeby sam fakt posiadania blond włosów czynił kobietę bardziej atrakcyjną seksualnie - mówi Jodie Kidd, dwudziestosiemioletnia modelka, blondynka. Piękno to coś więcej niż kolor oczu”.

Profesor Frost opublikował swoją teorię w branżowym piśmie „Evolution and Human Behavior”. Znalazła ona potwierdzenie w badaniach WHO, z których wynika, że do roku 2202 osoby jasnowłose

wyginą całkowicie. Panel naukowców powołany przy ONZ zakwestionował jednak te wyniki. Od tamtej pory pojawiło się więcej prac, które również je podważają.

R091

Tuż po dwunastej Frank Burnet wszedł do supernowoczesnego biura Jacka Watsona. Od jego poprzedniej wizyty nic się nie zmieniło: meble od Mięsa, sztuka nowoczesna - portret Aleksandra Wielkiego Warhola, balonowa rzeźba Koonsa, obraz Tanseya przedstawiający alpinistów. Wyciszone telefony, beżowe dywany - i mnóstwo pięknych kobiet, cichych, dyskretnych, wykwalifikowanych. Jedna z nich stała teraz za Watsonem, trzymając mu dłoń na ramieniu.

- Cześć, Frank. - Watson nie wstał. - To jest Jacqueline Maurer. Znacie się?

- Chyba nie.

Podali sobie ręce. Spokojna, bezpośrednia.

- Miło mi, panie Burnet.

- Ale Jimmy'ego Maxwella, naszego dyżurnego specja od elektroniki, znasz.

W głębi pokoju siedział dwudziestokilkuletni mężczyzna w okularach w rogowych oprawkach i kurtce Dodgersów. Podniósł wzrok znad laptopa i pomachał Burnetowi.

- Sie ma.

- Witam.

- Poprosiłem cię, żebyś wpadł, bo już prawie kończymy - wyjaśnił Watson.

- Pani Maurer wynegocjowała umowę licencyjną z Uniwersytetem Duke'a. Na niezwykle korzystnych warunkach.

- Umiem się dogadywać z naukowcami. - Uśmiechnęła się tajemniczo niczym sfinks.

- Rick Diehl złożył dymisję ze stanowiska prezesa BioGenu - ciągnął Watson.

- Winkler i reszta kierownictwa też odeszła. Większość z nich czeka jeszcze przeprawa w sądzie. Z tego, co słyszałem, domyślam się, że firma im nie pomoże: jeśli złamiesz prawo, firmowa polisa ubezpieczeniowa cię nie obejmuje. Będą zdani na siebie.

- Niestety - wtrąciła Jacqueline Maurer.

- Tak to wygląda. W obliczu kryzysu zarząd BioGenu poprosił mnie o objęcie fotela prezesa i postawienie firmy na nogi. Zgodziłem się, w zamian za stosowną liczbę udziałów.

Burnet pokiwał głową.

- Czyli wszystko idzie zgodnie z planem. Watson spojrzał na niego z ukosa.

- Hm... No, tak. W każdym razie, Frank, ty możesz już bezpiecznie wracać do domu i rodziny. Córka i wnuk na pewno się ucieszą.

- Mam nadzieję. Alex pewnie się wścieka, ale się dogadamy. Zawsze się dogadujemy.

- Świetnie. - Watson podał Burnetowi rękę na pożegnanie. Skrzywił się.

- Wszystko w porządku?

- Tak, to nic wielkiego. Za długo wczoraj grałem w golfa. Coś sobie naciągnąłem.

- Ale to zawsze miłe, trochę się rozerwać.

- Oczywiście. - Watson posłał mu swój słynny uśmiech. - Jak najbardziej.

R092

Brad Gordon stał w tłumie chętnych na przejażdżkę Wielkim Kongiem, olbrzymią kolejką górską w Sandusky w stanie Ohio. Już parę tygodni jeździł po wesołych miasteczkach, ale to w Sandusky było największe i najciekawsze. Czuł się już lepiej, szczęka prawie go nie bolała.

Niepokoił go tylko jego adwokat, Johnson. Sprawiał wrażenie fachowca, ale Brad nie mógł się wyzbyć wątpliwości. Dlaczego wuj nie wynajął jakiegoś pierwszorzędnego prawnika? Wcześniej zawsze tak robił. Brad miał niejasne przeczucie, że jego życie w jakimś tam sensie zawisło na

włosku.

Odsunął te myśli od siebie. Spojrzał na biegnący górą tor kolejki i wrzeszczących ludzi w wagonikach. To była jazda! Wielki Kong! Ponad sto dwadzieścia metrów różnicy poziomów - nic dziwnego, że pasażerowie się tak darli. Ogonek do kasy wrzał z podniecenia. Brad jak zwykle zaczekał, aż stanęły w nim dwie miłutkie dziewczynki: miejscowe, chowane na świeżym mleku, zdrowe, rumiane, o słodkich buziach i pączkujących piersiach. Jedna nosiła aparat na zębach; coś pięknego. Stanął za nimi i z przyjemnością wsłuchiwał się w ich piskliwe, nieustające trajkotanie. A potem wrzeszczał razem ze wszystkimi, spadając z wagonikiem w przepaść.

Po przejażdżce cały drżał z emocji. Na miękkich nogach wysiadł z Wielkiego Konga i odprowadził wzrokiem krągłutkie pupcie dziewczynek idących w stronę wyjścia.

Ale nie! Wracały! Fantastycznie! Drugi raz stanął za nimi w ogonku do kasy.

Zdawało mu się, że śni. Z zapartym tchem podziwiał ich miękkie loki, piegi na odsłoniętych ramionach. Rozmarzył się, jak by to było z którąś z nich - albo, jeszcze lepiej, z obiema naraz! - kiedy podszedł do niego jakiś mężczyzna i powiedział:

- Proszę ze mną.

Brad rozdziawił usta, brutalnie wyrwany ze snu na jawie.

- Słucham?

- Pan pozwoli ze mną.

Mężczyzna był przystojny, miły, budził zaufanie. Uśmiechał się. Brad natychmiast nabrał podejrzeń: gliniarze często udają grzecznych i sympatycznych. Jedno wiedział na pewno: między nim i dziewczynkami do niczego nie doszło. Nie dotknął ich, nie zaczepiał...

- Proszę pana? To ważne. Proszę podejść tutaj, o, tutaj...

Brad spojrział we wskazanym kierunku. Stali tam ludzie ubrani w coś w rodzaju mundurów, pewnie z ochrony, i dwóch mężczyzn w białych kitlach, jak lekarze z psychiatryka. Obok czekała ekipa telewizyjna z kamerą. Już nagrywali. Brad robił się coraz bardziej podejrzliwy. - Proszę pana? - powtórzył przystojny mężczyzna. - Jest nam pan potrzebny...

- Do czego?

- Bardzo proszę... - Pociągnął go za łokieć, najpierw lekko, potem nieco bardziej stanowczo. - Mamy tak niewielu dorosłych recydywistów...

Dorosły recydywista. Brad się wzdrygnął. Wiedzieli.

A ten facet - ten złotousty ełgancik, goguś jeden - już go prowadził w stronę mężczyzn w białych fartuchach. Chcieli go dopaść, jak nic. Szarpnął się, ale przystojniak trzymał mocno.

Serce waliło Bradowi jak młotem. Wpadł w panikę. Schylił się i wyciągnął pistolet z kabury na łydce.

- Nie! Puść mnie!

Kilka osób zaczęło krzyczeć. Zaszokowany przystojniak podniósł ręce.

- Spokojnie - powiedział. - Wszystko jest w...

Pistolet wypalił. Brad nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczył, jak tamten potyka się i osuwa na ziemię. Złapał się Brada, zawisł na nim całym ciężarem. Brad strzelił drugi raz. Mężczyznę odrzuciło w tył. Upadł. Teraz już wszyscy wrzeszczeli.

- On zabił doktora Bellarmino! - zawył ktoś. - Bellarmino nie żyje!

Brad zupełnie zgłupiał. Tłum się rozpraszał, krągłe pupcie uciekały. Nici z marzeń. Kiedy ludzie w mundurach krzyknęli, żeby rzucił broń, do nich też strzelił. A potem zrobiło się ciemno.

R093

Na jesiennym spotkaniu Organizacji do spraw Transferu Technologii Uniwersyteckich (OUTT),

powołanej w celu upowszechniania naukowych osiągnięć uczelni, znany filantrop Jack B. Watson wygłosił emocjonujące przemówienie. Podjął w nim swoje ulubione zagadnienia: spektakularny rozwój biotechnologii, znaczenie patentowania genów, wagę ustawy Bayha-Dole'a, konieczność zachowania status quo dla dobra uczelni i firm.

- Kondycja i zamożność naszych uniwersytetów zależy od współpracy z silnymi partnerami w dziedzinie biotechnologii. To klucz do wiedzy. Klucz do przyszłości!

Powiedział im to, co chcieli usłyszeć, i zszedł ze sceny żegnany jak zwykle burzą oklasków. Mało kto zwrócił uwagę, że lekko kuleje i mniej swobodnie porusza prawą ręką niż lewą.

W holu ujął pod ramię piękną kobietę.

- Gdzie jest doktor Robbins, do diabła?!

- Czeka na pana w klinice.

Watson zaklął i wsparty na ramieniu kobiety podszedł do czekającej limuzyny. Noc była zimna, w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka.

- Cholerni lekarze! Nie dam sobie zrobić żadnych badań więcej!

- Doktor Robbins nie mówił nic o badaniach.

Szofer otworzył drzwi. Watson nieporadnie wgramolił się do samochodu, powłócząc nogą. Kobieta mu pomogła. Rozsiadł się na kanapie i skrzywił. Ona wsiadła z drugiej strony.

- Aż tak boli?

- W nocy bywa gorzej.

- Chcesz pigułkę?

- Już wziąłem. - Watson odetchnął głęboko.

- Robbins wie, co to jest?

- Chyba tak.

- Powiedział ci?

- Nie.

- Kłamiesz.

- Nie powiedział mi, Jack.

- Chryste Panie...

Limuzyna pomknęła w ciemność. Watson wyglądał przez okno. Oddychał z trudem.

O tej porze klinika świeciła pustkami. Fred Robbins - trzydzieści pięć lat, uroda filmowego amanta - czekał na Watsona w obszernej sali konsultacyjnej wraz z dwoma młodszymi lekarzami. Na podświetlarkach wyłożył wyniki rentgena, elektroforezy i rezonansu magnetycznego.

Watson opadł ciężko na krzesło i gestem odprawił młodszych lekarzy.

- Idźcie sobie. - Ale Jack...

- Chcę to usłyszeć sam. Bez świadków. Przez ostatnie dwa miesiące badało mnie dziewiętnastu konowałów. Zrobili mi tyle rezonansów i tomografii, że świecę w ciemnościach. Mów. - Spojrzał na kobietę. - Ty też wyjdź.

Został sam na sam z Robbinssem.

- Podobno jesteś najlepszym diagnostą w Stanach, Fred. Mów.

- Właściwie jest to przede wszystkim proces biochemiczny. Dlatego chciałem...

- Trzy miesiące temu rozboląła mnie noga. Po tygodniu zacząłem ją powłóczyć, aż but mi się starł na krawędzi. Potem pojawiły się kłopoty z wejściem na schody. Teraz mam niedowład prawej ręki, nie mogę nawet wycisnąć pasty z tubki. Coraz trudniej mi się oddycha. Wszystko w trzy miesiące! Mów.

- To tak zwany paraliż Vogelmana. Choroba niezbyt powszechna, ale i nie bardzo rzadka. Co roku notujemy kilka tysięcy przypadków, w sumie na świecie pewnie z pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

Pierwszy raz opisana w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku przez francuskiego...

- Umiecie ją wyleczyć?
- Do tej pory nie udało się opracować zadowalającej kuracji. - Aw ogóle sajakieś kuracje? Jakiekolwiek?
- Podawanie leków paliatywnych i wspomagających, masaże, zastrzyki z witaminy B...
- To nie leczenie.
- Nie, Jack. Prawdę mówiąc, nie.
- Jaka jest przyczyna?
- No, to przynajmniej wiadomo. Pięć lat temu zespół Endera z Instytutu Scrippsa wyizolował gen BRD7A, kodujący białko odpowiedzialne za regenerację mieliny wokół komórek nerwowych. Wykazali też, że punktowa mutacja genu powoduje paraliż Vogelmana u zwierząt.
- Czyli co? Mam zwykłą wadę genetyczną? - Tak, ale...
- Kiedy odkryli ten gen? Pięć lat temu? No to przecież idealny kandydat do zastępczej terapii genowej: kodowane białko będzie wytwarzana w organizmie...
- Terapia zastępcza jest ryzykowna.
- Co mnie to obchodzi? Spójrz na mnie, Fred. Ile mi zostało?
- Różnie to bywa...
- Mów.
- Ze cztery miesiące.
- Jezu... - Watson osłupiał. Wziął głęboki wdech. - Dobra, wiem, na czym stoję. Czas na terapię. Po pięciu latach na pewno majajakieś doświadczenie...
- Nie.
- Jak to nie? Ktoś musi.
- Nie. Scripps opatentował gen. Licencję kupił Beinart Baghoff, szwajcarski potentat farmaceutyczny, w ramach szerszej umowy, obejmującej łącznie około dwudziestu patentów. BRD7A nie był wśród nich najważniejszy.
- Do czego zmierzasz?
- Beinart ustalił wysoką cenę dla potencjalnych licencjobiorców.
- Czemu? Przecież to rzadka choroba, nic im nie... Robbins wzruszył ramionami.
- To wielka firma, nikt nie wie, dlaczego robią to, co robią. Wydział licencyjny określa stawki dla ośmiuset genów, na które mają patenty. Pracuje w nim czterdzieści osób. Biurokracja kwitnie. W każdym razie ustalili wysoką cenę...
- Rany boskie...
- ...i od pięciu lat żadne laboratorium na świecie nie zajmuje się paraliżem Vogelmana.
- Chryste.
- To za drogie, Jack.
- Kupię ten cholerny gen.
- Nie da rady. Sprawdziłem. Nie jest na sprzedaż.
- Wszystko jest na sprzedaż.
- Każda transakcja Beinarta musi zostać zatwierdzona przez Scrippsa, a biuro transferu technologii u Scrippsa nie chce nawet słyszeć...
- Mniejsza z tym. Wykupię licencję.
- No tak, to można zrobić.
- I sam zorganizuję przeniesienie genów. Tu, w tym szpitalu.
- Chciałbym, żeby dało się to zrobić, Jack, naprawdę, ale przeniesienie genów jest piekielnie

ryzykowne i żadne laboratorium się tego obecnie nie podejmie. Jeszcze nikt nie poszedł do więzienia za nieudane przeniesienie genów, ale wielu pacjentów umarło...

- Fred, spójrz na mnie.

- Możesz to zrobić w Szanghaju.

- Nie. Chcę tutaj.

Robbins przygryzł wargę.

- Zrozum, Jack, szanse powodzenia ocenia się na mniej niż jeden procent. Gdybyśmy od pięciu lat pracowali nad tym genem, mielibyśmy dziś wyniki badań na zwierzętach, testy wektorów, protokoły immunosupresyjne, wszystko, co mogłoby ci pomóc. Ale w obecnej sytuacji to byłby strzał z biodra...

- Na nic więcej nie mam czasu. Pozostaje mi strzał z biodra. Robbins pokręcił głową.

- Sto milionów dolarów - powiedział Watson. - Dla dowolnego laboratorium, które się zgodzi. Wynajmij prywatną klinikę w Arcadii. Nikt się nie dowie, to będzie jednorazowa akcja. Albo się uda, albo nie.

- Przykro mi, Jack. Naprawdę.

R094

Lampy w prosektorium zapalały się kolejno, nie wszystkie naraz. Świetne ujęcie na wejście, pomyślał Gorevitch. Mężczyzna w fartuchu laboratoryjnym wyglądał poważnie i dystyngowanie: srebrzyste włosy, okulary w drucianych oprawkach. Był to światowej sławy specjalista od anatomii naczelnych, Jorg Erickson.

- Doktorze Erickson - powiedział Gorevitch, kręcąc wszystko kamerą z ręki. - Czym się dziś zajmujemy?

- Zbadamy słynny na całym świecie okaz rzekomo mówiącego orangutana z Indonezji. Według niepotwierdzonych relacji, orangutan ten znał dwa języki. Sprawdzimy to.

Doktor Erickson odwrócił się do stalowego stołu, na którym leżały okryte białym płótnem zwłoki i zamaszystym gestem ściągnął całun.

- Oto prawie dorosły okaz *Pongo abelli*, orangutana sumatrzeńskiego, mniejszego niż jego zamieszkujący Borneo kuzyn. Samiec, około trzech lat, na pierwszy rzut oka zdrowy, bez widocznych ran i blizn... No dobrze, zaczynamy. - Wziął do ręki skalpel. - Odsłaniam przednią muskulaturę gardła i głośni. Proszę zwrócić uwagę na mięsień łopatkowo-gnykowy, tutaj, i mostkowo-gnykowy, w tym miejscu... Hm... - Schylił się nad stołem.

Gorevitch nie mógł zrobić dobrego ujęcia.

- Co się stało?

- Widzę mięśnie rylcowo-gnykowy i pierścienno-tarczowy, ten, tutaj, i ten... A to bardzo ciekawe, bo zazwyczaj u *pongo* przednie mięśnie są słabo rozwinięte, bez precyzyjnego mechanizmu kontroli ruchu, jaka cechuje człowieka. To jednak jest przypadek przejściowy: ma zarówno właściwości klasycznej głośni człekokształtnych, jak i niektóre cechy typowe dla człowieka. Uwagę zwraca szczególnie mięsień mostkowo-obojczkowosutkowaty...

Mostkowo-obojczkowo-sutkowaty, powtórzył w myśli Gorevitch. Boże... Trzeba będzie podłożyć jakiś inny tekst.

- Czy mógłby pan, panie profesorze, użyć jakiegoś bardziej zrozumiałego terminu?

- Takie nazwy się przyjęły w medycynie, nic na to nie poradzę...

- No dobrze, a tak dla laika? Dla naszych widzów? Co to znaczy?

- Już wyjaśniam. Wszystkie mięśnie powierzchniowe, umocowane do chrząstki tarczowatej, czyli jabłka Adama, bardziej przypominają mięśnie ludzkie niż struktury u małp człekokształtnych.

- Z czego to może wynikać?

- To z pewnością jakaś mutacja.
- A pozostałe części ciała? Czy one również są bardziej ludzkie?
- Nie widziałem jeszcze reszty ciała - odparł z powagą Erickson. - Po kolei. Interesuje mnie zwłaszcza ewentualne skręcenie osi kości potylicznej oraz, naturalnie, głębokość i ułożenie bruzd kory ruchowej, o ile, rzecz jasną zachowała się istota szara.
- Spodziewa się pan znaleźć podobne do ludzkich zmiany w mózgu?
- Szczerze mówiąc, nie. Nie spodziewam się. - Erickson popatrzył na czubek czaszki orangutana, przesuwał palcami po rzadkiej sierści i badając kontury kości. - U tego osobnika kości ciemieniowe pod czubkiem czaszki są nachylone do wewnątrz; to typowe dla małp człekokształtnych. U człowieka te kości są wypukłe i ludzka czaszka jest szersza u góry niż w części dolnej.
Erickson cofnął się od stołu.

- Twierdzi pan zatem, że ten okaz jest krzyżówką małpy i człowieka? - Nie. To po prostu małpa. Niezwykła, bez wątpienia, ale jednak małpa.

JOHN B. WATSON INVESTMENT GROUP

Do natychmiastowej publikacji

John B. Watson, znany także jako Jack Watson, światowej sławy filantrop i fundator Watson Investment Group, zmarł dzisiaj w Szanghaju. Międzynarodowe uznanie zyskały jego działania dobroczynne na rzecz najbiedniejszych i najsłabszych mieszkańców naszego globu. Chorował od niedawna, przyszło mu jednak walczyć z niezwykle agresywną odmianą nowotworu. Udał się na leczenie do prywatnej kliniki w Szanghaju i trzy dni później zmarł. Zegnają go koledzy i przyjaciele na całym świecie.

Więcej szczegółów wkrótce.

R095

Henry Kendall był mile zdziwiony, widząc, że Gerard pomaga Dave'owi w odrabianiu prac domowych z matematyki. Ale nie mogło to długo trwać: Dave wcześniej czy później i tak będzie wymagał specjalnego trybu nauczania. Odziedziczył szympanią niezdolność do dłuższej koncentracji. Z coraz większą trudnością nadążał za resztą klasy, zwłaszcza w czytaniu, i czuł się z tym bardzo źle. A sprawność fizyczna sprawiała, że na boisku nie miał sobie równych i dzieci nie chciały z nim grać. Nauczył się doskonale surfować.

Zresztą prawda i tak już wyszła na jaw, a „People” opublikował szczególnie niepokojący artykuł, zawierający między innymi taki fragment:

Nowoczesna rodzina to już nie para partnerów tej samej płci czy związek partnerów pochodzących z różnych ras. To wszystko przeżytek, twierdzi Trący Kendall, a Trący Kendall wie, co mówi, ponieważ mieszkająca w La Jolla rodzina Kendallów jest rodziną transgeniczną i wielogatunkową. W ich domu jest jeszcze ciekawiej niż w klatce z małpami!

Henry został wezwany do złożenia wyjaśnień przed komisją Kongresu. Było to dla niego swoiste doświadczenie. Najpierw kongresmani przez dwie godziny wdzięczyli się do kamer, po czym wstali i wyszli, tłumacząc się niecierpiącymi zwłoki obowiązkami. Świadczenie mieli po sześć minut na swoje wystąpienia, których jednak nikt już nie słuchał. A potem kongresmani zapowiedzieli, że wkrótce zajmą stanowisko w kwestii tworzenia organizmów transgenicznych i wygłoszą stosowne przemówienia.

Stowarzyszenie Biologii Libertariańskiej nadało Henry'emu tytuł Naukowca Roku. Jeremy Rifkin nazwał go „zbrodniarzem wojennym”. Krajowa Rada Kościołów nie zostawiła na nim suchej nitki. Papież go ekskomunikował, ponieważ dowiadując się, że Henry wcale nie jest katolikiem - pomyłono go z innym Henrym Kendallem. NIZ skrytykował jego pracę naukową ale miejsce Roberta

Bellarmino na czele komisji genetyki zajął William Gladstone, człowiek znacznie bardziej świątły i mniej zachłanny na sławę od poprzednika. Henry był w ciągłych rozjazdach - na wszystkich uniwersytetach w kraju wygłaszał wykłady o technikach stosowanych w transgenice.

Stał się postacią znaną i kontrowersyjną. Wielebny Billy John Harker z Tennessee nazwał go „wcieleniem szatana”. Bill Mayer, głośny lewicowy reakcjonista, opublikował w „New York Review of Books” długi i obszernie dyskutowany artykuł *Wygnani z Raju: dlaczego należy zapobiegać transgenicznym wybrykom*, zapomniał jednak wspomnieć w nim o tym, że transgeniczne zwierzęta istnieją od dwudziestu lat: psy, koty, bakterie, myszy, owce i krowy chodzą po ziemi i mają się dobrze. Zapytany o tę publikację doświadczony naukowiec z NIZ odchrząknął i odpowiedział pytaniem:

- A co to jest „New York Review”?

Lyn Kendall uruchomiła witrynę internetową TransGenic Times, na której opisywała dzień po dniu życie Dave’a, Gerarda i jej dwojga zwyczajnych dzieci, Jamiego i Trący.

Minał rok w La Jolla, kiedy Gerard ni stąd, ni zowąd znów zaczął wydawać dźwięki przypominające wybieranie numeru w telefonie. Zdarzało mu się to już wcześniej, ale Kendallowie nie wiedzieli, co o tym sądzić. Domyślali się, że są to odgłosy jakiejś zagranicznej centrali telefonicznej, nie udało im się jednak rozpoznać kraju.

- Skąd pochodzisz, Gerardzie? - pytali wtedy.

- Nie mogę zmrużyć oka, odkąd zamknęły się za tobą drzwi - odpowiadał. Zakochał się w muzyce country. - Cały czas mnie dołujesz.

- Z jakiego kraju jesteś?

Nie doczekali się odpowiedzi. Gerard znał trochę francuski, często mówił też po angielsku z brytyjskim akcentem, przypuszczali więc, że wychowywał się w Europie.

Któregoś dnia jeden z francuskich studentów Henry’ego jadł u nich w domu obiad, kiedy Gerard znów zaczął wydawać te dźwięki.

- O rany! - zawołał. - Ja wiem, co to jest! - Posłuchał jeszcze przez chwilę. - Nie ma kierunkowego, ale... Spróbujmy. - Wyjął komórkę i zaczął wybierać numer. - Jeszcze raz, Gerardzie.

Ptak powtórzył dźwięki.

- Jeszcze raz.

- Życie jest jak księga, którą musisz przeczytać - zaśpiewał Gerard. - Życie to historia, którą musisz opowiedzieć...

- Znam tę piosenkę - powiedział chłopak.

- Co to jest? - zainteresował się Henry.

- Kawalek z Eurowizji. Gerardzie? Jeszcze raz. Telefon.

W końcu Gerard dał się namówić do powtórzenia dźwięków i student zadzwonił pod ułożony z nich numer. Najpierw do Paryża. Odebrała kobieta.

- Przepraszam panią bardzo... - zaczął po francusku student. - Ale może zna pani papugę żako o imieniu Gerard?

Kobieta się rozplakała.

- Mogę z nim porozmawiać? Wszystko z nim w porządku?

- Jest w doskonałej formie.

Podniósł telefon do żerdki, żeby ptak mógł usłyszeć głos tej kobiety. Gerard podekscytowany pokiwał głową.

- Tutaj mieszkasz? Mama będzie zachwycona!

Gail Bond przyjechała kilka dni później, była u Kendallów tydzień i wróciła do domu sama. Gerard

wolał zostać. I przez wiele dni po jej wyjeździe śpiewał:

Sam, bez mojej ukochanej, w domu nockę przesiedziałem, Strasznie mnie skrzywdziła, oczy prawie wyplakałem. Nie ma cienia przesady, kiedy mówię o tym teraz, Ale coś się pozmieniało, dzisiaj ona lży ociera, Kiedyś ją kochałem, lecz wszystko już skończone...

Właściwie układało im się lepiej, niż się spodziewali. Byli zapracowani, ale dobrze się dogadywali. Pojawiły się tylko dwa niepokojące fakty. Henry zauważył, że Dave'owi wyrastają siwe włosy na pysku - zapowiedź tego, że tak jak inne transgeniczne zwierzęta wcześniej umrze.

A kiedy pewnego jesiennego dnia wybrał się z Dave'em na kiermasz rolniczy, podszedł do nich farmer w ogrodniczkach i powiedział:

- Kupiłbym sobie takiego do roboty na farmie. Henry'emu ciarki przebiegły po plecach.

Od autora

Kiedy przygotowując się do napisania tej książki, skończyłem przeszukiwać dostępne źródła, nasunęły mi się następujące wnioski:

1. Zaprzestać patentowania genów. Pomysł, żeby patentować geny, mógł się wydawać rozsądny dwadzieścia lat temu, ale genetyka zmieniła się od tamtej pory w sposób, jakiego nikt się nie spodziewał. Mamy dziś mnóstwo dowodów na to, że ochrona patentowa genów jest zbędna, nierozsądna i szkodliwa.

W kwestii tej panuje zresztą ogromny zamęt. Wielu komentatorów łączy apele o zaprzestanie patentowania genów z sentymentami antykapitalistycznymi i niechęcią do własności prywatnej. Nic bardziej błędnego. Przemysł ma pełne prawo poszukiwać rozwiązań, które zapewniają zysk z zainwestowanego kapitału. Rozwiązania te muszą ograniczać konkurencję w wykorzystaniu produktu, nie oznacza to jednak, że ochroną patentową powinny być objęte same geny. Przeciwnie: patentowanie genów przeczy wieloletniej tradycji ochrony własności intelektualnej.

Przede wszystkim geny są zjawiskiem naturalnym - podobnie jak grawitacja, światło słońca i liście na drzewach, tak i geny po prostu istnieją w naturze. Faktów nie można kupić. Można opatentować test wykrywający gen albo lekarstwo, które na niego wpływa, ale nie gen jako taki; można być właścicielem kuracji, ale nie choroby. Patentowanie genów narusza tę właśnie fundamentalną zasadę. Można, naturalnie, spierać się o to, co jest zjawiskiem naturalnym, a co nie - są ludzie, którzy za prowadzenie takich dysput biorą spore pieniądze jajednak proponuję proste kryterium: coś, co istniało na Ziemi miliony lat przed pojawieniem się *homo sapiens*, jest częścią natury. Niedorzeczne byłoby twierdzenie, że gen jest w jakimkolwiek sensie wynalazkiem człowieka. Równie bezsensowne byłoby patentowanie żelaza albo węgla.

Patent na zjawisko naturalne prowadzi do niezасłużonego monopolu. Treścią patentu jest czysta informacja, która już wcześniej istniała w naturze. Nie może być mowy o żadnym wynalazku, nie da się więc wymyślić nowego zastosowania patentu, nie naruszając go przy tym - a to zamyka drogę do postępu. To tak, jakbyśmy pozwolili komuś opatentować nosy. Nie można by potem produkować okularów, chusteczek, inhalatorów do nosa, masek, kosmetyków ani perfum, ponieważ w taki czy inny sposób ich działanie jest uzależnione od funkcjonowania nosa. Moglibyśmy posmarować olejkami do opalania całe ciało - z wyjątkiem nosa, ponieważ każda jego modyfikacja naruszałaby patent. Szef kuchni mógłby gotować aromatyczne potrawy, tylko pod warunkiem zapłacenia tantiem. I tak dalej. Wszyscy zgodzą się chyba, że pomysł opatentowania nosa jest absurdalny: skoro każdy z nas ma nos, jak można go zawłaszczyć? Patenty na geny są bezsensowne z tego samego powodu.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby dostrzec, że patentowanie genów hamuje twórcze myślenie i wynalazczość. Gdyby twórca Augustę'a Dupina posiadał na własność wszystkich książkowych detektywów, nie doczekalibyśmy się chociażby Sherlocka Holmesa, Sama Spade'a, Philipa

Marlowe'a, panny Marple, komisarza Maigret, Petera Wimseya, Herkulesa Poirot, Mike'a Hammera ani J.J. Gittesa. Na skutek błędu w rozumowaniu patentowym stracilibyśmy całe to bogactwo ludzkiej pomysłowości. A taki właśnie błąd popełnia się przy patentowaniu genów.

Patentowanie genów nie służy polityce społecznej. Istnieje aż nadto dowodów na to, że szkodzi pacjentom i hamuje postęp naukowy. Kiedy Myriad opatentował dwa geny wywołujące raka piersi, zaczął sobie liczyć po niemal trzy tysiące dolarów za test, mimo że koszt przygotowania testu jest nieporównanie niższy od kosztów opracowania nowego leku. Nie należy się więc dziwić, że europejski urząd patentowy cofnął patent, doszukawszy się w nim nieścisłości formalnych, a rząd Kanady zapowiedział, że zamierza prowadzić testy, nie płacąc za wykorzystanie patentu. Jakiś czas temu właściciel patentu na gen powodujący chorobę Canavana odmówił udostępnienia testów, mimo że rodziny chorych poświęciły swój czas, pieniądze i tkanki, aby umożliwić wyizolowanie genu. A potem ci sami ludzie nie mogli zrobić sobie testu.

Ale to jeszcze nie najgroźniejszy skutek obejmowania genów ochroną patentową. Badania nad SARS (zespół ostrej niewydolności oddechowej) w okresie największego zagrożenia chorobą posuwały się w zółwym tempie, ponieważ naukowcy nie byli pewni, kto jest właścicielem genomu: niemal równocześnie złożono trzy różne wnioski patentowe. Każdy rozsądny człowiek powinien być przerażony taką perspektywą: choroba zakaźna o wskaźniku śmiertelności sięgającym dziesięciu procent zdążyła się rozprzestrzenić w ponad dwudziestu krajach, a prac nad lekarstwem na nianie dało się spokojnie prowadzić ze względu na niejasną sytuację patentową.

Geny odpowiedzialne za żółtaczkę typu C, HIV, niektóre odmiany grypy i cukrzycy są dziś własnością różnych firm lub osób. Tak być nie powinno. Nikt nie powinien móc kupić choroby na własność.

Jeżeli zaniechamy patentowania genów, możemy się spodziewać gwałtownych reakcji ze strony przemysłu farmaceutycznego, lamentów, że ośrodki naukowe zarzucą badania, koncerny zbankrutują, służba zdrowia ucierpi, a pacjenci zaczną masowo umierać. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że doprowadzimy w ten sposób do wyzwolenia, które spowoduje prawdziwy wysyp nowych, powszechnie dostępnych leków.

2. Ustalić jasne zasady rozporządzania ludzkimi tkankami. Banki tkanek mają coraz większe znaczenie dla instytucji naukowych, dlatego błyskawicznie zyskują na wartości. Istnieją już przepisy federalne, regulujące zarządzanie takimi bankami, ale sądy najczęściej je ignorują opierając się - jak uczy doświadczenie - na istniejących od dawna przepisach o własności prywatnej. Najczęściej kończy się to orzeczeniem, że z chwilą gdy tkanka zostanie wypreparowana z organizmu, jej właściciel traci do niej wszelkie prawa. Sądy porównują oddanie tkanki do badań z - powiedzmy - ofiarowaniem książki bibliotece. Kłopot w tym, że człowiek jest w naturalny sposób przeświadczony o tym, że posiada własne ciało i nie da się zbyć prostym kruczkiem prawnym. Dlatego potrzebne są nowe, jasne, stanowcze uregulowania tej kwestii.

Po co? Wystarczy przypomnieć niedawną decyzję sądu w sprawie doktora Williama Catalony. Doktor Catalona, wybitny specjalista od raka prostaty, pobierał próbki tkanek od pacjentów, aby prowadzić badania nad chorobą. Przenosząc się na inną uczelnię, chciał zabrać zbiór tkanek ze sobą, ale jego macierzysty uniwersytet stanowy, Washington University, nie wyraził na to zgody, twierdząc, że jest właścicielem tkanek. Sąd przyznał rację uczelni, powołując się między innymi na takie drobiazgi, jak fakt, że niektórzy pacjenci podpisywali zgodę na wykorzystanie tkanek na firmowym papierze uniwersytetu. Pacjenci nie byli z werdyktu zadowoleni - i trudno im się dziwić. Myśleli, że ofiarowują próbki ulubionemu lekarzowi, a nie czającemu się za nim bezimiennemu uniwersytetowi; że zostaną one wykorzystane do badań nad rakiem prostaty, a nie do całkiem dowolnych celów, do

czego uczelnia uzurpuje sobie prawo.

Pomysł, że oddając próbkę tkanki, tracimy do niej wszelkie prawa, jest niedorzeczny. Zauważmy, że jeżeli ktoś zrobi mi zdjęcie, mam dożywotnie prawo do utrwalonego na nim mojego wizerunku i jeśli ktoś postanowi je opublikować po dwudziestu latach, prawo to bynajmniej nie wygaśnie. Ale jeśli ktoś pobierze ode mnie próbkę tkanki - czyli zabierze mi kawałek ciała! - tracę prawa do niej. A zatem prawo do własnego wizerunku jest ważniejsze niż prawo do kawałka ciała.

Przepisy powinny być tak skonstruowane, aby pacjenci nie tracili praw do swojej tkanki; aby mogli ją ofiarować tylko w konkretnym celu - i w żadnym innym, a jeżeli w przyszłości ktoś będzie chciał jej użyć do czegoś innego, będzie musiał ponownie prosić o pozwolenie.

Taka zasada nie tylko zaspokajałaby ważną potrzebę emocjonalną ale także przypominała, że mogą istnieć ważne powody natury prawnej lub religijnej, dla których nie zgadzamy się na dowolne wykorzystywanie naszych ciał.

Obawy, że takie ograniczenia utrudnią prowadzenie badań naukowych, są nieuzasadnione. Przecież Narodowy Instytut Zdrowia prowadzi badania, przestrzegając takich obostrzeń. Nie jest również prawdą że nowe przepisy będą nadmiernym obciążeniem dla instytucji naukowych. Jeżeli gazeta może z wyprzedzeniem przypomnieć, że czytelnikowi kończy się prenumerata, uniwersytet na pewno może powiadomić nas, że chciałby wykorzystać nasze tkanki do nowych celów i poprosić o zgodę na to.

3. Ustanowić prawo gwarantujące publiczną dostępność informacji o testach genetycznych. Jeżeli FDA ma publikować rzetelne raporty z próbnych terapii genowych, trzeba zmienić prawo, ponieważ obowiązujące dziś przepisy to uniemożliwiają. Zdarzało się, że naukowcy próbowali tuszować fakt śmierci pacjentów, zasłaniając się tajemnicą lekarską.

Opinia publiczna ma coraz większą świadomość niedoskonałości systemu publikacji danych medycznych. Naukowcy nie mogą zapoznać się z pracami kolegów po fachu, a kiedy nie ma mowy o pełnym upublicznieniu wyników badań, nie można również mówić o ich niezależnej weryfikacji. Opinia publiczna jest wskutek tego wystawiona na nieznane ryzyko. Nierzetelność publikowanych badań jest wręcz przysłowiowa. Psychiatra John Davis zapoznał się z wynikami testów porównawczych pięciu najlepszych leków antypsychotycznych. Stwierdził, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć najwyżej oceniano lek produkowany przez firmę, która sponsorowała (opłaciła) porównanie. Kto płacił, ten wygrywał.

Właściwie to nic nowego. Badania prowadzone przez ludzi zainteresowanych ich wynikiem (z powodów finansowych bądź innych) są z natury rzeczy nieobiektywne. Można by temu zaradzić, opracowując obiektywny system testowania i nadzorując jego wprowadzenie, ale na razie subiektywizm badań zagraża nie tylko medycynie, lecz i innym dziedzinom nauki, w których gra idzie o najwyższe stawki.

Inicjatywa należy do rządu. W dłuższej perspektywie błędne informacje weryfikuje życie, ale na co dzień nie brakuje ludzi i grup nacisku, którzy chcieliby nagiąć fakty w sposób dla siebie najkorzystniejszy i którzy nie zawahają się porozmawiać o tym ze swoimi senatorami. Nic się w tej kwestii nie zmieni, dopóki opinia publiczna nie zażąda zmian.

4. Nie zakazywać badań. Różne grupy nacisku w polityce chciałyby wprowadzić zakaz prowadzenia niektórych badań genetycznych. Zgadzam się, niektóre ich aspekty powinny zostać - przynajmniej tymczasowo - zarzucone. Ale z zasady jestem przeciwny zakazom wymierzonym w rozwój nauki i techniki.

Nie da się narzucić zakazu siłą. Nie wiem, dlaczego jeszcze się tego nie nauczyliśmy. Od prohibicji do czasów walki z narkotykami nieustannie dajemy się uwieść fantazji, że pewne ludzkie zachowania

można wyeliminować poprzez zakazy - mimo że za każdym razem ponosimy klęskę. A w dobie globalizacji zakazy są jeszcze mniej skuteczne: nawet jeśli jeden kraj przerwie badania, Chińczycy w Szanghaju będą je kontynuowali. Co więc osiągniemy?

Oczywiście nadzieja jest wieczna, a fantazje nieśmiertelne; niektórym ludziom wydaje się, że potrafią wynegocjować globalny zakaz prowadzenia badań. Ja jednak wiem, że do tej pory nie udało się wprowadzić ani jednego ogólnoswiatowego zakazu, i byłoby dziwne, gdyby poskutkowało to po raz pierwszy właśnie w genetyce.⁵ Uchylić ustawę Bayha-Dole'a. W 1980 roku Kongres doszedł do wniosku, że odkrycia naukowe dokonywane na uczelniach nie są należycie rozpowszechniane, przez co nie służą ogółowi. Dla polepszenia sytuacji przegłosowano wówczas ustawę zezwalającą pracownikom uniwersyteckim na sprzedawanie swoich osiągnięć dla osobistych korzyści, nawet jeśli ich badania były opłacane z kieszeni podatników.

Skutek tej ustawy jest taki, że obecnie większość genetyków jest związana z instytucjami komercyjnymi - albo firmami, które sami założyli, albo wielkimi koncernami biotechnologicznymi. Trzydzieści lat temu istniała wyraźna granica między badaniami naukowymi prowadzonymi na uczelniach a tymi w prywatnych firmach - dziś ta granica się zatarła, a niekiedy całkowicie zniknęła. Trzydzieści lat temu mieliśmy pod dostatkiem bezinteresownych naukowców, gotowych przedyskutować każdy potencjalnie ważny problem; dzisiaj biznes często wpływa na poglądy specjalistów.

Instytucje naukowe zmieniły się w sposób, który trudno było wtedy przewidzieć. W pierwotnej wersji ustawa Bayha-Dole'a uznawała fakt, że uniwersytety nie są jednostkami komercyjnymi, i zachęcała je do udostępniania wyników prac koncernom i firmom. W dzisiejszych czasach uczelnie coraz częściej starają się maksymalizować zyski, prowadząc działalność komercyjną. Ich produkty są coraz cenniejsze, coraz bardziej opłaca się wdrażać i sprzedawać licencje. Kiedy na przykład uniwersytet uzna, że opracował nowy lek, sam przeprowadza wymagane przez prawo testy, i tak dalej. Ustawa Bayha-Dole'a przyczyniła się więc - paradoksalnie - do zwiększenia komercyjnej roli uczelni. Wielu komentatorów zgadza się, że ustawa promuje korupcję i ma destrukcyjny wpływ na uniwersytety jako ośrodki naukowe.

Ustawa od początku budziła zresztą wątpliwości, czy na pewno jest korzystna dla amerykańskich podatników, którzy stali się (za pośrednictwem rządu) niezwykle hojnymi inwestorami. Podatnicy finansują badania, kiedy jednak te przynoszą owoce, naukowcy sprzedają je dla własnego zysku, w dodatku firmom, które sprzedadzą je ponownie - tymże podatnikom. W ten sposób konsumenci wydają fortunę na lek, którego wynalezienie sami opłacili.

Przeciwny inwestor w branży nowych technologii ma pełne prawo oczekiwać znaczących zysków. Amerykański podatnik nie zarabia ani centa. Ustawa Bayha-Dole'a opiera się na założeniu, że społeczeństwo otrzyma w zamian mnóstwo cudownych leków, co usprawiedliwi taką strategię inwestycyjną. Tak się jednak nie stało.

Co więcej, wady tego rozwiązania przeważają nad jego potencjalnymi zaletami. Utajnianie wyników utrudnia badania i wstrzymuje postęp w medycynie. Uniwersytety, które były kiedyś naukowym azylem, skomercjalizowały się całkowicie. Naukowcy, którzy dawniej kierowali się powołaniem, zmienili się w biznesmenów i liczy się dla nich tylko rachunek zysków i strat. Życie umysłowe stało się taką samą abstrakcją jak gorset na fiszbinach.

Te tendencje już piętnaście lat temu były oczywiste, ale nikt nie zwracał sobie nimi głowy. Dopiero dziś wszyscy zaczynają je dostrzegać. Pierwszym krokiem na drodze do przywrócenia równowagi między akademikami a korporacjami mogłoby być właśnie uchylenie ustawy Bayha-Dole'a.

„KB”